

Rebecca Campbell

Katie w świecie  
mody

Dla mojego męża, Anthony'ego,  
który zapewnił mi większość materiału filozoficznego,  
dowcipów oraz wszystkie średniki.

Dziękuję również Stephanie Cabot i Jimowi Farrelowi za  
fachową pomoc i wskazówki.

Ostatecznym i najlepszym lekarstwem  
na melancholię miłości jest obdarzyć ją pożądaniem.

Robert Burton, „The Anatomy of Melancholy”

„Ale ja zawsze jestem ci wierny, kochanie, w pewien sposób,

Tak, zawsze jestem ci wierny, kochanie, po swojemu”

Cole Porter, „Kiss Me, Kate”

CZEŚĆ PIERWSZA

UPADEK KATIE CASTLE

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

### Tacy byliśmy

Codziennie pięć po szóstej słyszę to samo pytanie:

- Katie, ile ci się udało załatwić?

Na te słowa wiele osób poczułoby się nieswojo. Wiecie: co zrobiłaś ze swoim życiem? Znowu coś schrzanilaś. Ale ja wtedy miałam zawsze taką samą, ciętą ripostę:

- Zaparzyłam kawę, gadałam z dziewczynami, usiłowałam (bezsukutecznie) zmusić drukarkę do pracy, zrobiłam sobie manicure w salonie obok, poszłam ma kawę do Gino (tam promiennie uśmiechnęłam się do Dantego, tego boskiego przystojniaczka, ale o tym na pewno nie powiem Penny), potem znowu trochę pogadałam z dziewczynami, myślałam o kolekcji, zadzwoniłam do fabryki (czy oni tam nie mogą się nauczyć angielskiego?), kupiłam sobie kanapkę u Cranka, wyrzygałam ją w kiblu, posprzeczałam się z Francuzami, wysłałam upomnienie Harveyowi Nickowi i nowemu sklepowi w Harogate. To samo, co zwykle.

A Penny, z irytacją wzdychając do słuchawki, zawsze dodaje:

- Dobrze wiesz, o co mi chodzi. He ci się udało załatwić?

Poddaję się.

- Trzy i pół.

- Nieźle jak na wtorek.

- Cholernie dobrze jak na wtorek. Ale dzisiaj jest środa.

- No to nieźle jak na środę. Mówisz, że ile ci się udało załatwić?

- Trzy i pół.

- A co z Beeching Place?

- Tylko półtora.

- O. No, ale to... sześć tysięcy na dwa sklepy.

- Pięć.

- Wiesz, że jestem kiepska z ułamków. Mówisz, że ile ci się udało załatwić?

To cud, że tak długo udało mi się pozostać przy zdrowych zmysłach.

Kiedy zaczęłam pracować dla Penny, była całkiem niezła. W końcu to ona przemieniła „Penny Moss” ze stoiska w supermarkecie w poważaną firmę; firmę, o której wiele osób słyszało, chociaż niektórzy myślą ją z „Ronit Zikha”, „Caroline Charles” albo, Boże uchronaj,

„Paul Costelloe". Dwa sklepy i hurtownia, która wystartowała z powodzeniem i teraz świetnie sobie radziła. Prezenterzy telewizyjni zakładali nasze ubrania do porannych programów. Penny, ostentacyjnie bez Hugh, pojawiła się w magazynie „Hello!". No dobra, w „OK!", ale - co Penny powtarzała każdemu, kto chciał słuchać - „OK!" ma większy nakład. Pewna pani minister na konwent swojej partii założyła jedną z naszych garsonek (jedwabną, w kolorze kawowym, która wyglądała trochę jak unowocześniona wersja Chanel) i po raz pierwszy wyglądała bardziej kobieco od swoich kolegów. Nasze ciuchy noszą kobiety pracujące, które chcą wyglądać jak luzaczki, oraz luzaczki, które chcą wyglądać jak kobiety pracujące. Kiedy następnym razem pójdziecie na czyjeś wesele, uważnie się rozejrzyjcie. Tam, wśród neuralgicznych różowości i żółci w odcieniu małych rzygowin, zobaczycie nasze stroje: subtelne, świetnie skrojone, eleganckie.

Na czym to ja stanęłam? A tak, właśnie gdy zaczęliśmy zarabiać poważne pieniądze, Penny zaczęło odbijać. Zawsze brakowało jej piątej klepki. Zmienność nastrojów, upodobanie do wiskozy. Ale tym razem chodziło o zapomnianie i gubienie różnych rzeczy. Zwykle objawy zbliżającego się stetryczenia. Jeżeli wydaję się bezduszna, to tylko dlatego, że Penny nie jest moją matką. Ona jest matką Ludo. O Boże! Wszystko już zaczyna się komplikować. Muszę wyjaśnić parę spraw, bo inaczej nigdy za mną nie nadążycie.

Nazywam się Katie Castle i chcę wam opowiedzieć historię tego, jak miałam wszystko, wszystko straciłam, a potem to odnalazłam, chociaż nie co do joty, i nie takie samo i, jeśli mam być szczerą (co, przyznaję się bez bicia, nie leży w mojej naturze), nie było to ani trochę tak dobre, jak przedtem. Historia ta dotyczy głównie mnie samej, ale występują w niej również (kolejność przypadkowa):

- Penny, moja szefowa, żona Hugh;
- Hugh, mąż Penny;
- Liam, mój Wielki Błąd;
- Jonah, który był właściwie jeszcze większym błędem, ale w końcu okazał się moim Błogosławieństwem;
- Veronica, moja lojalna i wierna służąca - aż do pewnego momentu; oraz

- Ludo, ukochane dziecko Penny i Hugh, a także, na samym początku, w chwili, kiedy zaczęliście poznawać tę historię, mój ukochany, mój narzeczony.

Pojawi się też wiele innych osób: przyjaciół i intruzów, ale ich poznacie w swoim czasie. Postanowiłam być szczerą, więc może uznacie mnie za wywłokę i zdiurę, ale chociaż czasami robię różne złe rzeczy albo popełniam głupstwa, musicie postarać się stanąć po mojej stronie, bo obiecuję, że na samym końcu okazuje się, że dobra ze mnie dziewczyna.

Zacznijmy od początku. Jak wszyscy mieszkam w Londynie. Jak prawie wszyscy mieszkam w Primrose Hill, tej części Londynu, gdzie Camden przestaje być okropne, a Regents Park przestaje być nudne. Jak nie wszyscy, ale jak bardzo wielu innych, pracuję w świecie mody. Właściwie nie jestem projektantką, ale każdy, kto pracuje w tej branży, powie wam, że najważniejszą osobą w każdym domu mody jest menadżer do spraw produkcji. Wszyscy o tym wiemy.

Kim właściwie jest projektant? Cwanym zbrojeńcem z East Endu, który wie, co kraść i z kim się pieprzyć. Albo komu dać się przelecieć. To nawet nie prawdziwy złodziej, lecz pasożyt pasożytujący na pasożytach. Sroka zbierająca sreberka, które ukradły inne sroki. To nieudacznicy po Akademiach Sztuk Pięknych, którzy za dobrze rysują, by zostać malarzami, są zbyt próżni, by zostać nauczycielami i zbyt głupi, by się sprawdzić w jakimkolwiek innym zawodzie. Uwielbiam projektantów mody, ale nie chciałabym się stać jednym z nich. Poza tym w naszej firmie właściwie nie ma projektantów. Mamy Penny. A Penny ma mnie.

Zaczęłam w sklepie. Na oknie wisiało ogłoszenie: „Potrzebna pomoc. Doświadczenie mile widziane”. No cóż, ja miałam doświadczenie. Penny i Hugh przeprowadzili ze mną rozmowę. Wykonałam swoją starą sztuczkę: byłam jednocześnie dziewczęcą i dojrzałą: dziewczęcą dla Hugh, dojrzałą dla Penny. Sklep znajduje się przy małej uliczce odchodzącej od Regent Street. Od frontu wydaje się dość mały, ale wewnątrz jest mnóstwo miejsca, a schody wiją się aż do nieba. Powinam też dodać, że nad sklepem znajduje się pracownia, gdzie przygotowuje się próbki, a na samej górze jest biuro. Większość czasu spędzam właśnie tam, razem z Penny, która wychodzi o czwartej - codziennie oprócz piątków, kiedy to kończy

pracę o trzeciej. I dlatego dzwoni do mnie pięć po szóstej, żeby sprawdzić, jak nam poszło.

Dziewczyny ze sklepu niezbyt mnie lubią. Gadamy za każdym razem, kiedy schodzę na dół, żeby sprawdzić, jak idzie robota, ale wiem, że kiedy tylko drzwi się za mną zamykają, zaczynają na mnie wieszać psy. Tak to już jest w sklepach - tu nie ma co robić. Jeżeli nie plotkuje się o grubych tyłkach i obwisłych cyckach klientek, to o głupocie i okrucieństwie szefów, do których w pewnym sensie zaliczam się i ja. Nie spodobało im się, że się wspierałam na górę, zostawiając je na dole. Uważają, że mam się za lepszą od nich, i mają rację. Nasza zimna wojna polega głównie na obrażaniu się i nieustępliwości względem grafiku.

W pracowni sprawy mają się zupełnie inaczej. Problem polega na tym, że tam pracownikom muszę mówić, co robią źle. Zmuszam ich do rzeczy, których nie chcą robić, a potem każę im wprowadzać poprawki. Muszę ich besztać. Penny jest zbyt królewska, by samej zajmować się takimi sprawami jak rozciągnięte wycięcia, pofałdowane suwaki, źle wszyte rękawy, niechlujne zakładki i prujące się szwy. Co oznacza, że to oczywiście ja muszę wysłuchiwać Tony, naszej nieodpowiedzialnej, wybuchowej, lecz absolutnie niezbędnej szwaczki o cholerycznym temperamencie, która podczas ataku histerii ciska maltańskimi przekleństwami i rwie kawałki perkalu na postrzępione, białe wstążki. To ja muszę znosić nieskrywaną wrogość Mandy w spodniach w gepardzie cętki i z równie ostrym językiem.

Ale ja się nie przejmowałam. Dlaczego? Bo moje życie było idealne.

Na placu przed moim domem umarła poetka. Kiedyś czytałam jej wiersze, ale pisała w nich tylko o sobie. Mieszkanie oczywiście nie należy do mnie, tylko do Ludo. Miałam jednak wrażenie, że jest moje, urządziłam je po swojemu. Precz poszły szkolne graty Ludo - zapadnięty, stary fotel, ohydne zasłony - część rodowej spuścizny, portrety martwych ludzi. Wprowadziłam czyste linie, lśniąca, drewniana podłoga, żaluzje, dzięki którym - nawet gdy były zasłonięte - pokoje stawały się jaśniejsze. Zawsze stały świeże kwiaty. Ludo nienawidzi kwiatów. „Byłyby do przyjęcia, gdyby dało się je zjeść” - mawiał. Okropne stare książki zostały wygnane do jego gabinetu, który nazwałam Śmierdzącym Pokojem.



Ludo. Wszyscy uwielbiali Ludo. Był taki bezbronny. Wyglądał jak kupka przypadkowo dobranych ciuchów, włosów, butów i butelek po piwie, która jakimś cudem ożyła. Próbowałam zrobić dla niego to, co zrobiłam dla jego mieszkania, ale się nie udało. To tak, jakby polerować zamsz. Przynajmniej udało mi się namówić go do obcięcia włosów, a to już było coś, chociaż potem obraził się na mnie w charakterystyczny dla siebie chłodny sposób.

Najdziwniejsze w Ludo było to, że pracował jako nauczyciel. Chociaż nawet nie musiał. Był tak inteligentny, że mógł wybrać każde inne zajęcie. Ale zamiast każdego innego zajęcia on wybrał posadę nauczyciela angielskiego w szkole w Lambeth - takiej szkole, do której nawet nauczyciele noszą noże. Myślę, że w ten sposób chciał się zbuntować przeciwko swoim rodzicom. Czy też raczej - przeciwko Penny. Całymi nocami poprawiał klasówki w Śmierdzącym Pokoju. Miał swoje poglądy na temat programu nauczania, ale żaden z naszych znajomych nie chciał ich słuchać.

Uwiedzenie Ludo było łatwe. Domyśliłam się, że mu się podobam, bo kiedy mnie zobaczył po raz pierwszy, zarumienił się. Wtedy jeszcze pracowałam w sklepie. Przyszedł spotkać się z Penny. Był sierpień, ale Ludo miał na sobie grubą marynarkę z tweedu, która wyglądała jak krowi placek z rękawami.

- Jest mama? - spytał Zulejkę, dziewczynę z Libanu, która od wielu lat pracowała w sklepie, nic nie robiąc, chyba że za zajęcie uzna się posiadanie pięknej cery. Zanim zdążyła odpowiedzieć, wykonałam *carpe diem*.

- Poszła na lunch z ludźmi z „Vogue'a”. Ty pewnie jesteś ten geniusz. Nazywam się Katie Castle. - Zanim zdążył się zorientować, co się dzieje, wyprowadziłam go ze sklepu i zawlokłam do winiarni „Slacker”. Przy pierwszej butelce Pouilly Fume przerobiliśmy jego ulubione książki i filmy, jego pracę, jego miłości i nienawiści, jego wewnętrzną rozpacz i bolesną samotność oraz rodzinę. Wzdychałam i kiwałam głową, a w moich oczach pojawiały się łzy współczucia. Potem - stosując wręcz podręcznikowy manewr - wyciągnęłam go z dołka, pokazując, że życie może być przyjemne. Żartowałam, flirtowałam, promieniałam. Niczym poławiacze pereł rzuciliśmy się na drugą butelkę wina. Tak rozegrałam sytuację, by wydawało mu się, że to on jest duszą towarzystwa: śmiałam się z jego żartów, przysuwałam coraz bliżej, pochylałam nad nim, dotykałam jego ręki.

I, wiecie, wcale nie udawałam. Pod tymi włosami, pajęczynami i kurzem, odkryłam całkiem przystojnego faceta o pięknym, nieśmiałym uśmiechu i uroczych oczach. Nawet gdyby nie był moją wielką szansą i tak mogłabym się w nim zakochać.

Zdążyliśmy tuż przed powrotem Penny. Zawsze miałam świetne wycucie czasu, jeśli chodzi o powrót z lunchu. Zulejka się dąsała, ale to nie miało żadnego znaczenia. Penny weszła i jak zwykle obrzuciła Ludo krytycznym spojrzeniem. I natychmiast, dzięki swej słynnej przebiegłości, wszystkiego się domyśliła.

- Kochanie, przeszkadzałeś dziewczętom? - przemówiła i bez chwili przerwy zabrała Ludo do swojego gabinetu, żeby wypisać mu czek. Ale on, długie, długie pół godziny później, wychodząc, poprosił mnie o numer telefonu i jego los został przypieczętowany.

Oczywiście Penny starała się z tym walczyć. Doskonale mnie rozumiała. Myślę, że jesteśmy dość podobne. A może po prostu zawsze spodziewa się po ludziach wszystkiego najgorszego, a właśnie w tym wypadku miała rację? Zawsze miałam sprzymierzeńca w postaci Hugh. Hugh kocha kobiety, a im ładniejsze, tym bardziej je kocha. A cokolwiek mówiliby w sklepie, pracowni, czy gdziekolwiek indziej, ja naprawdę jestem ładna. Hugh zawsze uważał, że jestem dobra dla Ludo. „Jesteś dobra dla Ludo - mawiał. - Wyrwasz go z apatii. Nie pozwalasz mu ciągle tylko dumać i dąsać się jak wilk w swojej norze”. Zrozumiałam, że Ludo go rozczarował. Hugh był duży, śmiały, pewny siebie i odnosił sukcesy. Posłał Ludo do tej samej szkoły, do której sam kiedyś chodził, mając nadzieję, że zrobi z syna kopię siebie. Ludo natomiast wyrósł na młodzieńca załamane go i pełnego żalu. Ku rozpaczy Hugh i Penny, i pomimo nienormalnie dobrych stopni, nie zgodził się choćby złożyć podania o przyjęcie na studia w Oksfordzie i poszedł do jakiegoś college'u w Walii. „Jego szkoła nawet nie powstała w dziewiętnastym wieku - jęczał Hugh. - Wygląda jak jakaś bułgarska elektrownia atomowa”.

Zawsze trudno mi było rozgryźć Hugh i Penny jako parę. Hugh był bajerantem, trudno było tego nie dostrzec. Aż do późnego wieku średniego otaczała go ta szczególna aura, jaka cechuje tylko bajerantów. Całkowicie się różnił od moich rodziców i - jak podejrzewam - od rodziców Penny. Penny kiedyś była aktorką. Często wymieniała nieznane mi tytuły seriali telewizyjnych z lat sześćdziesiątych. Wspominała o sztukach. Nakręciła parę filmów.

Parę razy zająknęła się nawet o Seanie Connerym, ale nie zrozumiałam, w jakim kontekście. Twierdziła, że rzuciła to wszystko dla Hugh i Ludo. Firma „Penny Moss” - która wzięła swą nazwę od jej panińskiego nazwiska - zaczęła się jako hobby. W latach sześćdziesiątych Penny projektowała własne stroje - pewnie nierównomiernie farbowane chustki na głowę, poncho robione na drutach z beretami do kompletu, tego rodzaju ciuchy. Ludziom się podobały. Zaczęła je sprzedawać znajomym. Potem otworzyła sobotnie stoisko w Portobello, co traktowała bardziej jako rozrywkę. A potem powstał pierwszy sklep.

Przez ten czas przedsięwzięcia Hugh - interesy w City inwestycje, spekulacje giełdowe - nieco „poupadały”, jak sam to określił. Na początku lat osiemdziesiątych przyszedł taki czas, kiedy firma „Penny Moss” zaczęła przynosić większe dochody niż jego bi2nes. Zamiast podjąć wyzwanie, Hugh skapitulował. Poświęcił się grze w golfa. Penny czasami ciągnęła go do biura, by pomógł jej przy zatrudnianiu i zwalnianiu pracowników, ale było to jedynie symboliczne zajęcie. Najwyraźniej w ogóle go to nie obchodziło. Kupił cudowny dom w Kensington. Pozostało mu jeszcze parę inwestycji, a „Penny Moss” ładnie sobie radziła. Po co więc pracować, skoro po prostu można - że znowu zacytuję jego słowa - „pasożytować na innych”?

To jednak doprowadziło do zmiany władzy w tym związku. Kiedy Hugh się cofał, Penny robiła postępy. W młodości była atrakcyjna, ale jako kobieta w pewnym wieku stała się oszałamiająco piękna. Co roku jeździła na festiwal w Cannes. Chodziły plotki o jej romansach z gwiazdami. Czy to prawda, że Peter Sellers oświadczył jej się w księżycową noc na jachcie wyczararterowanym przez francuskiego ministra kultury? Twierdziła, że na pamiątkę zostawiła sobie pierścionek, którego Sellers nie chciał przyjąć z powrotem. Czy to prawda, że Marcello Mastroianni zaproponował jej trójkącik z jakąś skandynawską gwiazdką? Czy te historie były prawdziwe czy też nie, słuchając ich, trudno mi było się nie roześmiać.

Ale to już prehistoria. Wracam do meritum sprawy. Ludo był mój i nieważne, co Penny o tym sądziła. Mieszkaliśmy razem w domu w Primrose Hill i byliśmy zaręczeni, chociaż Ludo nie mógł sobie przypomnieć kiedy i jak mi się oświadczył. Kiedy stało się jasne, że Penny nie da rady mnie wyrzucić z jego życia (uciekła się do szantażu i przekupstwa), zostało jej na tyle zdrowego rozsądku, aby

przenieść mnie do biura, by uniknąć skandalu, jakiego upatrywała w fakcie, że jej syneczek zaleca się do ekspedientki. Zostałam mianowana na asystentkę Carol, poprzedniej menadżer do spraw produkcji. Carol jednak musiała zwęszyć pismo nosem, bo tydzień później, ku uldze wszystkich, jako wolontariuszka wyjechała do Egiptu i wszelki ślad po niej zagaął. Lubiłam sobie wyobrazać, że pożarł ją krokodyl. Wiem, że może to wyglądać tak, jakby brakowało mi wrażliwości, ale bardzo zajmowało mnie rozmyślanie, czy powinien ją pożreć krokodyl czy rekin. Krokodyl wydał mi się bardziej prawdopodobny, pewnie z powodu filmów o Tarzanie. Wiecie, często wyobrażałam sobie siebie w roli Jane.

Na nowym stanowisku szybko odkryłam, że mam nowych przyjaciół. Londyński świat mody jest doprawdy niewielki. Istnieje sześć osób, które trzeba znać. Kiedy się człowiek dostanie do tego magicznego kręgu, zaczyna chodzić na wszystkie imprezy i już nigdy nie będzie jadł lunchu sam. Nie stałam się jego częścią, ale byłam przynajmniej satelitą krążącym na orbicie planety należącej do niego, a to na jakiś czas mi wystarczało.

I nagle - czy to możliwe, że minęło już dziewięć miesięcy? - odebrałam ten telefon od Penny i rozległa się moja zwykła cięta riposta. Ale na tym nie miało się skończyć.

- Katie, kochanie. - Zły znak, to „kochanie”.

- Tak, Penny?

- Są jakieś problemy w magazynie. Cavafy mówi, że nie może znaleźć odpowiedniej fizeliny. Mogłabyś jutro rano tam pojechać i to sprawdzić? Możesz to zrobić po drodze do pracy.

Zrobiłam minę w stylu Jean Muir i trzy razy mruknęłam pod nosem „cholera” oraz „kurwa”. Magazyn był najgorszym elementem w mojej pracy. To obrzydliwy skład na obrzeżach Mile End, pełen zaharowanych kobiet, których życie było zbyt straszne, by się nad nim zastanawiać. Cavafy to stary Grek, który prowadził magazyn wraz z Anielem, swoim synem - idiotą. A sformułowanie „po drodze do pracy” było dla Penny bardzo typowe. Mile End było mniej więcej tak po drodze do mojej pracy jak dupa do łokcia.

- Nie patrz w ten sposób - powiedziała Penny, wielce przenikliwie, zważywszy, że słuchawkę jej telefonu i moją minę dzieliło kilka mil. - Pojutrze jedziesz do Paryża, więc od wizyty w Mile End korona ci z głowy nie spadnie.

Paryż oznaczał Premiere Vision - największe na świecie targi tekstyliów. Przez ubiegłe dwa lata jeździłam tam z Penny jako jej Piętaszek. Paryż stanowił przeciwieństwo Mile End, niebo a ziemia.

- Tak czy siak - dodała ze swą charakterystyczną pogardą dla logiki - zdaje się, że dzisiaj wybierasz się na przyjęcie? Ja już od miesięcy nie byłam na przyjęciu i jakoś nie narzekam.

- A ten czwartkowy bankiet w ambasadzie peruwiańskiej, gdzie chciałaś opchnąć wełnę z lamy?

- Kochanie, to były interesy, a nie przyjemność. Poza tym nie wiem, co to jest lama i dlatego tam poszłam.

- Nie upiłaś się jak bela i nie wyrzucili cię za to, że ugryzłaś galon generała, żeby sprawdzić, czy jest z prawdziwego złota?

- Ja tylko żartowałam. Poza tym to nie był prawdziwy generał. Ale miał takie męskie... wąsy. - W słuchawce zapadła cisza, kiedy Penny odpłynęła w świat fantazji o romantycznym Latynosie, o uprowadzeniu przez zakochanego pułkownika, o przygodach z dzikimi gaucho, o rewolucji pałacowej, ślubie pod przymusem, zachwyconych tłumach, kuli zamachowca, koronacji...

- W każdym razie - ciągnęła niedoszła królowa Peru - to nie była prawdziwa impreza. Ja bym poszła na przyjęcie, gdzie będą paparazzi i znani ludzie. Rozumiesz, nie dla samej siebie, lecz dla dobra firmy. Przydałby się nam... no ten... lepszy wizerunek.

- To może przyjdiesz dzisiaj? - powiedziałam to tylko dlatego, że wiedziałam, że nie przyjdzie.

- Nie wygłupiaj się, Katie. Nie zamierzam się wpraszać. Poza tym nawet nie wiem, gdzie ma być to przyjęcie. - Trochę mnie zaniepokoiła lubość, z jaką wymówiła słowo „wpraszać”, co sugerowało, że pociąga ją ono jak zakazany owoc.

- Słuchaj, Penny, przychodź albo nie przychodź, to twoja decyzja. Ale teraz muszę iść do domu: jeszcze nie wiem, w co się ubrać.

- No dobrze. Pamiętaj, żeby w Mile End pozdrowić ode mnie Cavafy'ego, OK?

- Oczywiście, Penny - powiedziałam, z wysiłkiem, od którego aż załzawiły mi się oczy, powstrzymując przekleństwa i niecenzuralne wyrazy, jakie cisnęły mi się na usta.

## ROZDZIAŁ DRUGI

### Pumpy

Przyjęciem, do którego nawiązała Penny, był lunch u Momo. Nie pamiętam, co podano - może wódkę o smaku czekoladowym - to zresztą nigdy nie ma znaczenia. Milo naturalnie zajął się Public Relations i bar był zapchany gwiazdami klasy B i C. Oczywiście nie tylko ze świata mody, ale ponieważ była to impreza Milo, musiała ją otaczać podobna atmosfera. Przyszły modelki, paru projektantów cieszących się przebrzmiałą już sławą i kilka dość znanych osób z telewizji, które występowały w serialach nadawanych wczesnym popołudniem lub w wieczornych teleturniejach. Jedyną prawdziwą zdobyczą był Jude Law, który zgodził się przyjść w zamian za nieograniczony limit wypożyczeń kurtek od Gucciego z jaszczurczej skóry.

Znalazłam się w swoim żywiole. Wiecie, mam tego rodzaju urodę, że wielu ludziom wydaje się, że mnie znają. Często są przekonani, że widzieli mnie w jakiś filmie. A, co najlepsze, znałam ludzi z kilku hermetycznych grupek, które natychmiast się potworzyły. To oznaczało, że mogłam przeskakiwać od jednej do drugiej, kiedy rozmowa zaczynała utykać, czyli - we wszechświecie PR - mniej więcej co cztery i pół minuty.

Najpierw przyłączyłam się do grupki Milo przy barze. Stał tam sam Milo, czyli Królowa PR całego Londynu, elegancki i cudownie przystojny w czarnym, kauczukowym garniturze i butach ze skóry srokatych kucyków. Tuż obok, zobaczyłam Xerxesa, perskiego chłopca, który wtulał się w Milo jak pistolet w kaburę. Xerxes wyglądał jak misterna miniaturka o ciemnych i lśniących oczach. Milo mówił, że to Zoroastrianin, czciciel ognia, który nigdy nie pozwala ludziom zdmuchnąć zapalki, tylko każe im czekać, aż ogień strawi całe drewno i zacznie ich lizać po palcach. Nikt nigdy nie słyszał mówiącego Xerxesa. Niektórzy twierdzili, że jest niemową, inni podawali w wątpliwość jego pochodzenie. Oczywiście słyszałam historię o tym, że Xerxes to kelner z Bangladeszu, ale kto rozpozna prawdę w tym świecie plotek, fantazji i torebek Fendi?

Pippin, były chłopak Milo, aktor na wiecznym urlopie, trzymał się blisko niego. Trudno było się zorientować, czy interesuje go były kochanek, perski chłopiec, barman czy też może bar. Pippina trudno

było lubić. Oczywiście był ładny - o wydatnych kościach policzkowych, luźno opadających włosach, trochę wyglądający jak pastisz uczniów z Eton - gdyż inaczej z pewnością nie utrzymałby Milo przy sobie aż półtora roku. Było w nim jednak coś odstręczającego i śliskiego - zupełnie jakby właśnie przed chwilą zakończył czyny lubieżne z osobą nieletnią.

Między nimi uwijały się dwie dziewczyny z PR. Nazywałam je Kookai i Kleavage. Zawsze traktowałam je jak jedną osobę i rzeczywiście często mi się myliły, a jednak istniały między nimi pewne różnice. Fizycznie w ogóle nie były do siebie podobne. Kookai była śliczną dziewczuszką, taaaak azjatycką, że nie mogłam zrozumieć, dlaczego nie prowadzi wiadomości w Channel 4. Niestety była również zbyt głupia, by zrozumieć, że wystarczyłoby poprosić, a mogłaby się od stóp do głów odziać w kostiumy od Prady i Paula Smitha, które wiszą na ścianach u Smacka. Dlatego nazwałam ją Kookai.

Tego błędu Kleavage nigdy by nie popełniła. Mniej atrakcyjna z natury, o może zbyt mocno zarysowanej szczęce, prawie zawsze była najlepiej ubraną dziewczyną na sali. Najlepiej i najbardziej skąpo ubraną, wiecznie popisывała się swymi cudownymi cyckami i talią modelki. Kookai była naiwną dziewczuszką, ale Kleavage była bardziej wyrachowana: wszędzie wietrzyła jakąś korzyść dla siebie, szukała tymi swoimi fiołkowymi oczami sposobności... słabych punktów. Bardzo się różniła od rozpromienionego słoneczka PR, jakim była Kookai.

Przysunęłam się do Milo, który szeptał jakieś sprośności perskiemu chłopcu do uszka. Spojrzał na mnie, na ułamek sekundy zmarszczył brwi, a potem pocałował mnie w usta i na chwilę znaczącym ruchem wsunął mi do nich język.

- Wyglądasz zachwycająco - powiedział zmysłowym, upojnym głosem. Ten głos przyczynił się do jego sukcesu. Pierwszą areną Milo były telezakupy, akwizycja przez telefon - jego powołaniem. „Tak” - brzmiała odpowiedź widzów na podwójny lukier. „Tak, tak” - na encyklopedie. „O Boże! Tak, proszę” na usługi finansowe, a „Nie” może tylko na szampon dla psów. Tak więc pięćdziesiąt tysięcy udziałów należało do niego i Smacka. Milo był urodzonym PR - owcem.

Ta sztuczka z językiem działała na większość osób, wytrącała z równowagi i dawała mu natychmiastową przewagę.

- Jeszcze raz mi włożysz język do ust, ty pieprzona, stara cioto, a ci go odgryzę - odparłam. Zawsze tak mówiłam.

- Daj spokój - powiedział, rozglądając się z teatralną paranoją. - Jest tu mnóstwo klientów.

Przez chwilę gawędziliśmy, a Kookai i Kleavage chichotały, usiłując włączyć się do rozmowy. Pippin palił i ostentacyjnie nas ignorował, zaś perski chłopiec pograżył się w swym świecie ognia, a może tikka masala z kurczaka.

- Gdzie twój przystojny wieśniak? - Milo spytał mnie po jakimś czasie, udając, że przykłada teleskop do oka. - Zostawiłaś go w domu z wieprzowiną zapiekaną w cieście i przykazałaś mu odrobić lekcje z literatury, co?

Pippin zachichotał jak dziewczyna, która po raz pierwszy pokazuje majtki chłopakom.

Nie lubiłam, kiedy Milo nabijał się z Ludo - to było zarezerwowane tylko dla mnie, a poza tym drwiny brzmią inaczej, jeśli kochasz ich obiekt - ale nie mogłam się sprzeciwić, nie wbijając sobie sztyletu we własną pierś.

- Milo, słowo daję - odparłam szybko - z pewnością wiesz, że zacznę zostawiać go w domu dopiero po ślubie. Szuka szatni. To może potrwać wiele godzin.

- Po ślubie? - powtórzył Milo chytrze. - W takim razie już ustaliliście termin ślubu? Czy nadal odkładacie go na bliżej niesprecyzowaną przyszłość?

Nie byłam pewna, czy Milo celowo przeszedł od żartów do złośliwości, ale bezbłędnie trafił w mój czuły punkt.

- Milo, wiem, że jesteś rozczarowany, bo przez cały dzień nie udało ci się znaleźć w centrum uwagi twoich znajomych, bo nigdy nie ubierzesz się na biało, śliczni chórzyści nigdy nie zaśpiewają na twoją cześć, nigdy nie zostaniesz zasypywany tonami prezentów i nigdy specjalnie dla ciebie nie powstanie tort z figurką młodej pary na szczycie, ale powinieneś nauczyć się być ponad to.

Czy posunęłam się za daleko? Milo słynał ze swej drażliwości, która potrafiła przez całe lata pozostawać w uśpieniu, by wreszcie przerodzić się w trujący owoc. Ale nie, uspokoiło mnie złośliwe spojrzenie, jakie mi rzucił.



- Możesz sobie zatrzymać sokowirówkę - powiedział przez zaciśnięte zęby. - A ile popielniczek od Gucciego potrzebujesz? Ślub to maleńkie mieszkanie we wszechświecie heteroseksualistów, skąd widać nieskończoną świetność naszej metropolii. Ja już tam jestem.

- Święte słowa - od strony baru dobiegł nas głos Pippina.

Kiedy tylko poczułam, że wzrok Milo wędruje ponad moim ramieniem, przeszłam do kolejnej grupki - pogadajcie dłużej niż pięć minut z jakimkolwiek PR - owcem, a przydarzy wam się to samo. Jądro następnej grupy stanowiły trzy modelki: jedna bardziej elegancka od księżniczki, jedna taka sobie, a trzecia - urodzona pod chemiczną chmurą, która spowija Canvey Island, w samym sercu Essex. Każda pochodziła z innej klasy społecznej, ale na pierwszy rzut oka różniło je niewiele rzeczy: wszystkie paliły tę samą markę papierosów, miały takie same włosy, takie same oczy obrysowane czarną kredką, takie same wspaniałe kości i - bez przychylnego obiektywu aparatu fotograficznego - taką samą zmęczoną skórę.

Całkiem dobrze znałam tę dziewczynę z Canvey Island. Parę razy pracowała dla nas jako modelka. Miała nieco większy zasób słów niż dwie pozostałe, ale i tak ograniczał się on do opisów jej niesłychanych wyczynów seksualnych. Lubiłam opowieść o tym, jak w wieku trzynastu lat straciła dziewictwo z facetem z mocną trwałą i wąsikiem cienkim jak ołówek. Mężczyzna ten poderwał ją w nocnym klubie w Billericay. Zaczął tańczyć koło niej, fachowo oddzielając ją od jej znajomych. Jego białe mokasyny poruszały się jak dwa pędraki na haczyku. Postawił jej trzy słodkie martini z cytryną, a potem zaprowadził do forda escorta na parking, Wykrzyknął: „Ta - dam!” i otworzył tylne drzwi, za którymi ukazał się kwiecisty materac z plamą wielkości i koloru zdechłego psa. Wpakował ją na tył samochodu i zaczął ściągać dekatyzowane dżinsy. Zanim zdążyła się obejrzeć, już miała zadartą spódnicę i ściągnięte majtki. Jego kutas był mniejszy od minitampona, więc czuła tylko niewielki ból. Doszedł po czterech mizernych pchnięciach, stękając z podnieceniem: „Kurwakurwakurwa”. Z zarozumiałym uśmiechem zawiązał supełek na prezerwatywie i wepchnął ją pod materac, gdzie dołączyła do dziesięciu innych. Zamknął furgonetkę i wrócił do klubu. Dziewczyna zaś kupiła sobie frytki i zjadła je w drodze do domu.

Teraz znowu opowiadała tę historię czterem mężczyznom drepczącym i stroszącym piórka przed modelkami. Dwaj byli wysocy

i przystojni, dwaj - przysadziści i brzydcy: piłkarz i jego agent, aktor i jego agent. Aktor wyrobił sobie nazwisko, grając bandziorów z East Endu w niskobudżetowych brytyjskich filmach gangsterskich, ale przez jego wystudiowany cockney przebijał akcent ze szkoły prywatnej. Piłkarz zasłynął tym, że ugryzł w jądra swojego bardziej utalentowanego przeciwnika, a ten pojedynczy akt brutalności w jakiś tajemniczy sposób dał mu przepustkę do świata gwiazd. Czułam, że moja obecność jest w tym gronie mile widziana i natychmiast zrozumiałam, dlaczego - wyrównałam liczbę dziewczyn. Wiedziałam jednak, że trafią mi się brzydale. Życie, podobnie jak ci agenci, jest zbyt krótkie. No i oczywiście gdzieś tam był Ludo. Uśmiechnęłam się i poszłam dalej. Piłkarz był całkiem przystojny, jakiś ostrożny stylistą ubrał go w garnitur od Oswalda Boatenga, konwencjonalny, niemalże nudny, lecz kiedy jego właściciel się poruszał, widać było genialną, jaskrawoniebieską podszewkę, która błyskała niczym ryba na tle rafy koralowej.

W barze naturalnie było pełno dziennikarzy, którzy przyszli najeść się za darmo. Znałam większość z tych, którzy pisali o modzie, „dupowłazów”, jak ich nazywał Milo, równie złośliwych w bezpośrednim kontakcie, co przymilnych na papierze. Nigdy nie byli pewni, co o mnie myśleć. Wiedzieli, że jestem przebiegłą zołą, że należę do plebsu działów produkcji. Ale wiedzieli też, że jestem prawdopodobną następczynią tronu Penny Moss. No dobra, to tylko nieistniejące na mapie królestwo, a nie, kurde, Święte Cesarstwo Rzymskie, ale ród królewski to w końcu ród królewski.

- Cześć, Katie. No to co będziemy nosić w przyszłym roku? - spytał jeden z nich, ale z błyskiem w oku, jakby chciał dodać: „A skąd ty miałabyś to wiedzieć?”.

- Och, masz szczęście - zrewanżowałam mu się uśmiechem. - Nic, tylko kaftany, kaftany, kaftany. - Odwróciłam się na pięcie i odeszłam, nie czekając, czy moja bomba wybuchnie.

Wolałam osoby spoza branży, szczerych cyników ze wzrokiem wbitym w torby z prezentami firmowymi i tace z drinkami, nawet kiedy jeden z nich wybełkotał mi do ucha: „Chryste, Katie, wyróżniamy się w tym tłumie jak dwie grudy tłuszczu w kaszance”.

Kto jeszcze? A, nerwowa grupka dyrektorów z norweskiej firmy produkującej wódkę. Byli przerażeni, że popełnią jakiś potworny błąd, choć nie mieli zielonego pojęcia, jak mógłby wyglądać taki błąd - albo

sukces. Zastanawiałam się, czy do nich podejść, okazać im sympatię i powiedzieć, że to świetna impreza, ale życie - podobnie jak zimowy dzień w Norwegii - jest zbyt krótkie.

Prawdę mówiąc, impreza wcale nie była tak udana. Jude Law jeszcze się nie pojawił. Zastanawiałam się, czy Momo wypożyczył ochroniarzy od „Voyaga”, którzy nie wpuścili Lawa - „Sorry, złotko, to impreza dla twardzieli”. Darmowe drinki się skończyły, a razem z nimi zaczęły znikać dziennikarze. Poszłam poszukać Ludo.

Kiedy tak krążyłam po sali, Ludo czekał cierpliwie w kącie, wstając tylko do tac z wódką o smaku czekolady, czy też może czekoladą o smaku wódki, które przed nim przepływały. Narąbał się na smutno.

- Katie, kurwa mać - zaczął. Przekleństwa wypowiedane jego delikatnym głosem brzmiały zupełnie niewinnie. - Zostawiłaś mnie tu na cały wieczór jak jakąś cipę. Ostatnio często zaczął używać tego straszego słowa na „c”. Twierdził, że nie chodzi mu o zaszokowanie rozmówcy, ale o przywrócenie właściwego znaczenia temu słowu - podobnie jak robią to raperzy, wyzywając się nawzajem od czarnuchów. Nie rozumiem, w jaki sposób miałyby to działać, skoro był mężczyzną, a nie kobietą, a więc nie miał czego przywracać, ale zazwyczaj puszczałam to mimo uszu.

- Ludo, jesteś dorosły. Jest tu mnóstwo osób, które znasz. Dlaczego z nimi nie pogadałeś?

- Kilka razy próbowałam, ale wiesz, jak to jest: nie mam do powiedzenia nic, co mogłoby ich zainteresować.

Wyobraziłam sobie, jak Ludo tłumaczy jakiejś durnej stylistce z „Marie Claire” innowacyjne zastosowanie metafory naukowej w poezji Johna Donne'a, i natychmiast zalała mnie fala czułości. Może rzeczywiście powinnam była zająć go rozmową, przedstawić go komuś, czy coś w tym rodzaju. Ale próbowałam to robić przez miliony lat i nigdy mi się nie udało. Przedstawiałam go jakiejś miłej osobie ze świata mody albo dyrektorowi Channel 5, a on im szczełał do ucha o bielikach i na tym się kończyło. A ja musiałam być stanowcza: każda para powinna się otaczać ludźmi.

- Oj, Ludo, daj spokój. To nie moja wina, że jesteś mniej więcej tak towarzyski jak kaktus. I nie cierpisz ludzi ze świata mody, takich, którzy chcą coś sprzedać, zarabiać pieniądze czy dobrze się bawić.

- To dlaczego każesz mi chodzić na te cholerne imprezy? - Powiedział to na wpół jęklonie, na wpół gderliwie. Niezbyt atrakcyjnie.

- Nikt ci nie kazał tu przychodzić. Poza tym wiesz, że byś się obraził, gdybym cię nie zaprosiła.

- Mogłem to przewidzieć - wybełkotał. - Spójrz tylko na tych ludzi. Co oni mają do zaoferowania światu? Czy świat by coś stracił na tym, gdyby spłonęli w tragicznej katastrofie lotniczej?

- Ale kto by organizował imprezy, gdyby zabrakło Milo? I komu ludzie robiliby zdjęcia, gdyby zabrakło modelek? Słowo daję, Ludo, jaki ty jesteś głupiutki.

I wtedy zauważyłam „to”. Nie mam pojęcia, jak temu czemuś udało się przedrzeć przez kordon ochrony; może bramkarze byli tak zaszokowani, że wpadli w stupor? To „coś” miało na sobie beżowy garnitur w stylu safari, zapięty z przodu dzięki matematycznemu systemowi skórzanych troczków i dziurek. Zaś spodnie - o Jezuniu - obsceniczne jak cholera: pumpy do kompletu, z wielką fantazją zawiązane pod kolanami. Nie był to strój inspirowany modą lat siedemdziesiątych, o nie. Były to lata siedemdziesiąte w swej najczystszej postaci, podane jak na talerzu, czysty rayon. To był koktajl z krewetek, tatar i budyń truskawkowy. To był Demis Roussos z chórkami w postaci Swingle Singers. To była Penny.

Przypomniała mi się pewna rozmowa. Parę dni wcześniej w biurze Penny opisała mi ten strój.

- Jaki trendy! - wykrzyknęłam wtedy. - Musisz się tak ubrać.

Tak się zawsze reaguje, kiedy ludzie mówią ci o starych szmatach, które wygrzebali z szafy.

- Naprawdę? Może rzeczywiście tak zrobię - odparła, a ja się skupiłam na tańczących rzędach cyfr w księgach rachunkowych.

Problem - błąd, jeśli wolicie - polegał na różnicy między latami siedemdziesiątymi wtedy i teraz. Widzicie, za każdym razem, kiedy wraca jakaś moda, pojawiają się akcenty - niekoniecznie subtelne - które ją odróżniają od oryginału. Jeśli się je pominie, człowiek upodobni się do pajaca. Penny z pewnością wyglądała jak pajac. Przechodząc przez salę, zwracała uwagę wszystkich, a jej obecność była tak intensywna, że tłumiała śmiech w zarodku. Aktorska poza Penny, jej wzrok utkwiony w jakimś odległym punkcie - wszystko to

tworzyło takie wrażenie, jakby jakąś małą miasteczką w Czarnogórze odwiedziła wyniosła księżna - wdowa z rodu Habsburgów.

Ludo też ją zauważył.

- Mamo... och, mamó - wymówił bezgłośnie i z powrotem wycofał się do cienia jak uczeń, który wie, że matka zaraz ucałuje go na oczach wszystkich kolegów. Byłam rozdarta między podziwem a zgrozą. Jakże bym chciała mieć takie wolframowe ego, taką pewność, że moje kaprysy to pewna droga do chwały. Ale tymczasem dobrze było stać z boku i śmiać się z tego wszystkiego.

Jej nos - zupełnie jakby miała w rodzinie psy myśliwskie - bezbłędnie zaprowadził ją do baru i, zupełnie przypadkowo, w sam środek grupy Milo i jego dworzaków. Skrzywiłam się w oczekiwaniu na odrzucenie, z jakim niewątpliwie musiała się spotkać: zginie od ognia czy lodu? Milo, podżegany przez swoje hieny przyboczne, był biegły w obu tych technikach.

Penny zaczęła rozmowę. Usłyszałam wyrwane słowa: „Warren Beatty i ja... książę Rainier... często w Sandringham...” przebijające się przez imprezową wrzawę, która znowu się podniosła. I zobaczyłam, że Penny została nagrodzona śmiechem. Milo uśmiechnął się do niej z pobłażaniem, Pippin odwrócił się od baru i skamlał z aprobatą, a Kookai i Kleavage łąsiły się do jej nóg jak kotki.

Wyjaśnienie było proste: Penny - dzięki przypadkowi lub instynktowi - trafiła w jedyne miejsce na tej sali, gdzie mogła znaleźć chłonną widownię. Wiecie, nagle zrozumiałam, że Penny woli towarzystwo homoseksualistów i oto nadeszła jej wielka chwila. Tu jej niefortunnie dobrany strój stał się wielkim triumfem. Tu jej dziwnie męską kobiecość uznano za żartobliwą maskaradę w stylu drag queen.

Zastanawiałam się nad ponownym przyłączeniem do grupy, lecz doszłam do wniosku, że chwila ta jest zbyt idealna, by ryzykować jej zepsucie. Zresztą byłoby to nie fair wobec Ludo. Spojrzał na mnie błagalnym wzrokiem i powiedział:

- Proszę, proszę, proszę, chodźmy natychmiast, zanim nas zauważą.

Całując znajomych na pożegnanie, poszłam do wyjścia z Ludo, trzymając się kurczowo mojej ręki, i zaczęliśmy szukać taksówki. Jak zawsze taksówka zadziałała na niego jak afrodyzjak, ale ja nie miałam do tego głowy.

A to do mnie zupełnie niepodobne.

A więc to się wydarzyło bezpośrednio przed moją podróżą do magazynu. Skłamałabym, twierdząc, że nie byłam zdecydowana na ślub z Ludo. Kochałam go, co oznacza, że za każdym razem, kiedy mu to mówiłam albo kiedy choćby o tym pomyślałam, brzmiało to prawdziwie i nigdy nie miałam wrażenia, że udaję. Nigdy, ani przez chwilę, nie zastanawiałam się nad porzuceniem go. Poza miłością były kwestie praktyczne: życie bez niego okazałoby się niemożliwe. Gdzie miałabym mieszkać? Co bym robiła? Moje życie było zbudowane może nie wokół niego, ale bezpośrednio nad nim. Obecność Ludo była jego integralną częścią - tak jak integralną częścią miasta są sprawne kanały. Przepraszam, jeżeli to brzmi nieładnie, ale naprawdę bardzo staram się być szczerą.

A jednak, pomimo całej tej miłości i potrzeby bycia z nim, wciąż czułam to lekkie, nieprzyjemne niezadowolenie, jakie się pojawia, kiedy wiesz, że musisz coś zrobić, wiesz, że tak będzie najlepiej, to jednak wyklucza robienie wielu innych rzeczy, na które również miałoby się ochotę. Tak, rozpaczliwie chciałam wyjść za mąż i irytowało mnie to, że Ludo wciąż ociągał się z ustaleniem terminu ślubu. Ale jednocześnie jeżeli miałam popełnić jakieś szaleństwo, a dobrze wiedziałam, że je popełnię, to mój czas powoli się kończył.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Cavafy, Angel i brzemiennie w skutki lądowanie w strefie załadunkowej

W metrze było pełno tych samych co zwykle świrów, psychopatów i mutantów. Wkurzyłam się, że Penny nie chciała mi zapłacić za taksówkę do Mile End. Zawsze mawiała: „Ależ Katie, kochanie, metrem jedzie się o wiele szybciej. No i pomyśl o środowisku, wiesz: dziura w wilgotnych lasach równikowych i to coś tam w warstwie ozonowej. Chroń wieloryby, pandy i inne takie”. Nie korzystała z transportu publicznego, odkąd na stacjach metra ustawiono elektroniczne bramki, których przejście daleko przekraczało jej zdolności techniczne.

Powiedziałam „tych samych mutantów, co zwykle”, ale dwaj byli naprawdę wyjątkowi. Jeden z nich był kobietą, normalnie wyglądającą, wręcz elegancką, lecz mniej więcej raz na minutę jej twarz wykrzywiał okropny grymas - zupełnie jakby właśnie znalazła w swoim jabłku przegryzionego na pół robaka. Najgorsze jest to, że najwyraźniej przeczuwała każdy z tych spazmów i próbowała chować twarz za gazetą, ale zawsze o ułamek sekundy za późno. Nie dało się na nią nie gapić, nie czekać ze wstrzymanym oddechem, nie drzeć z oczekiwania na następny taki atak.

Z powodu tej spazmatycznej damy, Rasputina zauważyłam dopiero parę chwil przed moim przystankiem. Wszystko miał długie i brudne: włosy, paznokcie, koszulę, zęby. Trzymał dużą, gumową latarkę, którą raz za razem zapalał i gasił. Gapił się na mnie. Pewnie przez całą podróż. Poczułam, że się rumienię. Boże, błagam, żeby tylko się do mnie nie odezwał - modliłam się w duchu. Wiecie, świry w metrze są do zniesienia - dopóki cię nie zaczepią. Wtedy zaczyna się prawdziwy ból.

- On nie żyje. Zabiłem go.

Miałam dosyć. Wstałam i poszłam na drugi koniec wagonu. Na szczęście właśnie wjeżdżaliśmy na peron. Jeszcze nigdy się tak nie cieszyłam z przyjazdu do Mile End. Kiedy szybkim krokiem szłam peronem, zerknęłam za siebie. Rasputin dalej patrzył na mnie przez okno, z twarzą przyciśniętą do szyby. Nad jego ramieniem po raz ostatni zobaczyłam, jak kobieta się wykrzywia.

Do magazynu idzie się tylko dziesięć minut, ale ta droga zawsze mnie przygnębia. Ludzie spoza świata mody myślą, że tworzą go tylko Mediolan, wybieg i modelki. Dopiero kiedy człowiek znajdzie się w jego środku, dostrzega istnienie siły roboczej, magazynów, podejrzanych interesów i Mile End.

Nienawidzę Mile End. Nienawidzę jego ponurych ulic, okropnych domków, nędznych sklepików. Nienawidzę jego mieszkańców w tanich ciuchach i z fatalnymi fryzurami. Nienawidzę autobusów na głównej ulicy i barów z rybą i frytkami, oferujących specjalne rabaty dla emerytów. Nienawidzę deszczu, który ciągle tam pada. Nienawidzę Mile End, bo przypomina mi moje rodzinne miasto. Nienawidzę go, bo wiem, że moje miasto wzywa mnie z powrotem.

No dobra, skończyłam. Obiecuję - już żadnego narzekania na Mile End, które bez wątpienia jest pięknym i szacownym miastem, uwielbianym przez jego mieszkańców, podziwianym przez historyków urbanizacji za fascynująco zrujnowane teatrzyki i kina w stylu art deco. Mile End, przeciwko któremu kieruję swój gniew, to Mile End umysłu, metafora, symbol. A co symbolizuje? Cóż, sami się dowiecie, kiedy jakieś sto stron dalej znajdziemy się w East Grinstead.

Wracając do magazynu. To miejsce, w którym przechowujemy nasze materiały. Wierzcie lub nie, ale „magazyn” to zbyt wielkie słowo. Kto by pomyślał, że „magazyn” może być zbyt wielkim słowem na określenie czegokolwiek? To pomieszczenie wielkości mniej więcej przeciętnego, dwupokojowego mieszkania w Londynie, przyklejone z boku domu mody Cavafy. Cavafy to duża szopa, w której harują (cztery rzędy po sześć szwaczek w każdym) kobiety w średnim wieku, z grubymi kostkami i zwinnymi palcami. Kiedy w drodze do magazynu przechodzę przez tę szopę, zawsze pamiętam, by z nimi pogawędzić. Żartują, że wyglądam jak księżniczka. Pewnie w ich oczach wyglądam jak jakiś egzotyczny rajski ptak wrzucony do ogródka za domem na przedmieściach. Zawsze zatrzymuję się przy kobiecie, która siedzi najbliżej drzwi prowadzących do magazynu. To chyba ostatnia kobieta w naszym kraju, której nadano imię „Doris”. Pewnie urodziła się na samej granicy między „Doris” oznaczającą coś wyrafinowanego i pełnego klasy, firkami do papierosów i kieliszkami do szampana, a „Doris” mówiącą: „Spójrzcie na mnie: sprzątam w domach obcych ludzi, żeby zarobić na życie, noszę specjalne



pończochy przeciwzylakowe, moje włosy zawsze śmierzą tanim tłuszczem i nigdy nie będę szczęśliwa, spełniona czy kochana".

- Jak tam twój chłop, złotko? - spytała, a jej palce nawet na chwilę się nie zatrzymały przy szyciu szwu.

- Och, wie pani, jacy są mężczyźni - odparłam, uśmiechając się i wzruszając ramionami.

Doris wybuchnęła skrzeczącym śmiechem, zupełnie jakbym jej powiedziała dowcip stulecia. Kiedy tak się śmiała, jej włókniste włosy o konsystencji azbestu trzęsły się jak jedna całość. Sukienka, która nie przeszła kontroli jakości, z szarawobiałego poliestru w różowe kwiatki niesprecyzowanego gatunku, kupiona pewnie na miejscowym targu, wyglądałaby niemal modnie na dziewczynie o połowę młodszej i o połowę chudszej.

- Chłopy! Ech, te chłopcy! - zagruchała takim tonem, jakby przerobiła cały męski gatunek - od lorda aż po chłopca pańszczyźnianego - a nie tylko jednego damskiego boksera, garbatego kolejarza, który dwadzieścia sześć lat wcześniej, bez większego zachodu, odebrał jej cnotę i zostawił z dzieckiem, za to bez zębów. - Ale twój chłop jest dobry. A ja zawsze mówię: jak masz dobrego chłopca, to się go trzymaj!

Lekko się zarumieniłam i rozejrzałam się po sali. Cavafy był w swoim gabinecie - oszklonym pokoju na drugim końcu fabryki. Angel też tam był. Angel to syn Cavafy'ego. Kocha mnie.

Wszyscy uwielbiali Cavafy'ego. To jeden z tych małych staruszków, których ma się ochotę przytulić. Nigdy go nie widziałam bez brązowego kitla i przynajmniej sześciu piór wetkniętych do kieszeni na piersi. Cavafy z pewnością miał nadzieję, że się dogadamy z Anielem. Zapraszał mnie do swojego biura i zawstydział biednego chłopaka, wymieniając jego liczne osiągnięcia: „... i skok wzwyż... dla amatorów, ale jak on skakał, jak skakał! I bieganie. I świadectwa ze szkoły średniej. Spójrz, na ścianach wiszą wszystkie w ramkach: geografia, historia, matematyka - tylko trójka, ale zaliczył".

Angel, ten Angel! Lata temu, kiedy jeszcze pracowałam w sklepie, przychodziłam tu, żeby pomóc przy noszeniu towarów. Angel właśnie zaczął pracować u ojca. Ma uprawnienia księgowego, chociaż właściwie nie zdał egzaminu. Żałuję, że mówiłam o nim jako o głupim synu Cavafy'ego. To było nieuprzejme i zupełnie niepotrzebne. Kiedyś razem się wygłupialiśmy: on się nabijał z ojca, a ja się

nabijałam z Penny. Mocno skręcone włosy, mięsiste wargi, dosyć przystojny gdyby nie wzrost. Widzicie, Angel był ode mnie niższy o dobre siedem centymetrów. A to było stanowczo bez perspektyw.

Wszystko się popsuło pewnego popołudnia, kiedy sortowałam bele lnu na najbardziej chodliwy strój tego sezonu: perłowy płaszczyk, pod który zakładało się jasnoszarą, obcisłą sukienkę w kolorze pasującym do pysznej jedwabno - satynowej podszewki. Nawet wiejskie dziewczyny o ciastowatym ciele stawały się kokieteryjnymi Audrey Hepburn (taki był czarodziejski przepis Penny Moss). Nagle poczułam czyjaś obecność. Kiedy się odwróciłam, zobaczyłam Angela, który stał tak blisko, że czułam zapach jego przetłuszczonych włosów i widziałam pojedyncze płatki łupieżu. Nic nie powiedział: patrzył tylko z wielką determinacją w oczach, widziałam, że ze strachu, niepokoju lub podniecenia zaciska szczękę.

- Angel! - rzuciłam lekko, zdecydowana uniknąć konfrontacji. - Mógłbyś mi pomóc? To waży chyba tonę.

Ale Angel stał tylko, wychylając się do przodu, najwyraźniej nie mogąc ruszyć nogami.

- Angel, nie bądź głupi - powiedziałam, zaczynając czuć niepokój. I wtedy Angel wyciągnął owłosioną rękę i położył ją na mojej pupie, gdzie przykleiła się do jasnego jedwabiu. Wiedziałam, że nie zamierzał mnie napastować seksualnie i nie czułam zagrożenia dla swojej cnoty: Angel po prostu nie mógł znaleźć odpowiednich słów, właściwie żadnych słów, i tylko w ten sposób potrafił wyrazić swoje uczucia. Gdyby się odezwał, zareagowałabym również werbalnie. Ale on milczał, więc poczułam, że mogę zakończyć tę sytuację tylko w jeden sposób. Poza tym podejrzewałam, że jego ręka zostawi wilgotny odcisk dłoni i palców na mojej spódnicy, a to mnie wkurzało. Więc go spoliczkowałam.

Jeszcze nigdy przedtem mi się to nie przydarzyło: ten gest zawsze wydawał mi się bezsensownie kobiecy, jak przyznanie się do faktu, że nie jesteś dość inteligentna, by wyrzucić poważniejszą krzywdę. Niemal w tej samej chwili pożałowałam tego, co zrobiłam (a z pewnością miałam powód, by żałować tego później). Angel zdjął rękę z mojej pupy i powoli przyłożył dłoń do policzka. W kącie jego oka uformowała się wielka, oleista łza, która spłynęła po twarzy, aż zatrzymały ją szerokie palce, pomiędzy którymi znalazła podziemne

przejście i w końcu gdzieś zniknęła. Nadal bez słowa Angel odwrócił się i wyszedł.

Chłopcy nie rozumieją, jakie to trudne, złamać komuś serce. Myślą, że z łatwością nam przychodzi uszczęśliwianie lub unieszczęśliwianie poprzez kiwnięcie lub pokręcenie głową, kiedy oni uwijają się wokół nas, aż się prosząc o to, żeby ich upokorzyć. Ale naprawdę trzeba być skończoną dziwką, żeby czerpać jakąkolwiek przyjemność z kopnięcia w tyłek jakiegoś bezbronno młodzika. Prawdę mówiąc, od odrzucenia chłopaka gorsze jest tylko to, kiedy nie ma się chłopaka, któremu można by dać kosza.

Po paru minutach poszłam go przeprosić. Lubiłam go i nie chciałam, by powstała niezręczna sytuacja. Zobaczyłam, że jest w gabinecie. Cavafy go obejmował. Spojrzał na mnie pustym wzrokiem, a kiedy ruszyłam w ich stronę, przegonił mnie ruchem ręki.

Krótko po tym incydencie z Angelem zaczął się mój związek z Ludo i minęło parę miesięcy, zanim znowu zawędrowałam do magazynu. Podczas tej pierwszej wizyty po przerwie nigdzie nie widziałam Angela, a Cavafy stał w swym gabinecie w milczeniu i z kamienną twarzą, chłodnym wzrokiem spoglądając na mnie przez szybę. Nawet Doris była na dystans i ledwo odwzajemniła mój uśmiech. Pewnie Penny o wszystkim powiedziała Cavafy'emu. Oboje znali się od kilkadziesiąt lat. Ten stary Grek wykonał dla niej pierwszą kolekcję. Teraz, kiedy Penny rozkręciła interes na większą skalę, w imię starych czasów czasami nadal składała u niego zamówienia na pięćdziesiąt spódnic lub kilkadziesiąt zakietów. Wyobrażam sobie, w jakim świetle mnie przedstawiła: Katie - naciągaczka, Katie - ekspedientka, Katie, której się wydaje, że jest za dobra dla twojego syna, Katie - służebnica Belzebuba, Katie - czarownica, która karmi swojego kota trzecią piersią. Tego rodzaju bzdury.

Ale ja to przetrzymałam (prawdę mówiąc, nie było mi aż tak ciężko, bo ciągle myślałam o tym, że cała reszta życia zaczyna mi się układać) i po jakimś czasie wydawało się, że sprawa już przebrzmiała. Po paru miesiącach nie widziałam już śladów kryzysu: poza żalem, który niekiedy pojawiał się w oczach Angela i, gdybym była bardziej spostrzegawcza, pewnym chłodem w zachowaniu Cavafy'ego.

Czułam ten żal, przemykając koło Doris i przechodząc przez drzwi prowadzące do magazynu. Odnalezienie fizeliny zajęło mi

niewiele czasu: była schowana pod belą wełnianej krepy. Drugie wyjście z magazynu prowadziło do strefy załadunku. Nie miałam ochoty wracać przez fabrykę i znaleźć się pod ostrzałem spojrzeń Angela. Przez drzwi wychodzi się na rampę, a - jak pewnie wiecie - obcasy nie lubią takich miejsc, więc zazwyczaj siadałam z nogami przewieszonymi nad krawędzią i zsuwałam się w dół. Teraz właśnie to robiłam, kiedy z cienia wyłoniła się jakaś postać.

- Katie, pomogę ci! - Rozległ się głos o wspaniałym irlandzkim akcencie, taki głos, do którego idealnie pasuje określenie „śpiwny” i do diabła z banałami! Poczułam jednocześnie przestrasz i ulgę. Za ręką z cienia wynurzyła się twarz. Wydawała mi się dziwnie znajoma.

- Czy my się znamy? - spytałam ostro, usiłując zamaskować zaskoczenie.

- Oczywiście. Nazywam się Liam... Liam Callaghan. W zeszłym roku byłem kierowcą podczas Londyńskich Targów Mody.

Racja! Zazwyczaj sama chodzę z ubraniami, ustawiam stoiska, wieszam linie - wyjaśnienie dla dyletantów spoza branży: linia to część kolekcji z tego samego materiału - i tak dalej, ale w zeszłym sezonie pojechałam samochodem z Hugh, który uparł się, żeby wpaść do jego klubu na gin z tonikiem, który rozmnożył się do siedmiu i zanim dotarliśmy na miejsce, cała praca została już wykonana. Penny była wściekła, ale nic nie mówiła, bo zawinił Hugh. Udało mi się złapać Liama przy wyjściu. Na każdym ramieniu niósł pusty wieszak na ubrania. Mijając mnie, odwrócił się lekko i mrugnął do mnie, co mi się wydało impertynenckie.

- A, tak, Liam. Oczywiście. Co ty tu robisz?

- Na pewno się na ciebie nie zacząłem. Jakże może być bardziej naturalne miejsce dla zwykłego kierowcy furgonetki, niż strefa załadunkowa fabryki?

Miał rację, chociaż nikogo by nie nabrał na tego „zwykłego”, i dobrze o tym wiedział. Spotkałam go tylko tamten jeden raz, ale wiedziałam, że Liam Callaghan pracował jako kierowca dla niemal wszystkich domów mody w Londynie. Był odpowiedzialny, pracowity, stosunkowo uczciwy i heteroseksualny. W świecie mody każda z tych cech z osobna zdyskwalifikowałaby go, wszystkie razem sprawiły, że trzeba go było rezerwować z wielotygodniowym wyprzedzeniem. No i niezły był z niego przystojniaczek, niemal karykaturalny typ irlandzkiego łobuziaka: ciemne, kręcone włosy,

niebieskie oczy, owalna twarz o melancholijnym wyrazie - zupełnie jakby przed chwilą skończył grać koncert fortepianowy - dopóki nie pojawił się na niej uśmiech. A co to był za uśmiech! Mógłby zatrzymać pociągi! I serca. Liam z pewnością ćwiczył go przed lustrem. Zaczynał się, jak wszystkie wspaniałe uśmiechy, od oczu, które w ledwo widoczny sposób się rozszerzały, a potem wokół nich pojawiały się rozkoszne zmarszczki. Następnie jego usta zaciskały się na chwilę, by wreszcie się rozchylić, ukazując rzędy pięknych, białych zębów.

- Podasz mi rękę, czy mam zeskoczyć i skrócić sobie nogę? Nagrodził mnie za to uśmiechem, ale nie tym na pełną skalę, od którego dziewczynom spadają majtki, lecz może numerem 7,5 w skali Richtera uśmiechów. Mimo to i tak miałam ochotę go schrupać.

Był silny i smukły: nie napompowany jak jeden z tych mięśniaków z siłowni, lecz silny w naturalny sposób, dzięki codziennej pracy. Kiedy stanęłam na ziemi, jego dłoń na sekundę czy dwie pozostała w mojej.

- Jedziesz do miasta? - spytałam.

- Tak jest. Podwieźć cię?

- Yhm. Wszystko jest lepsze od metra. Nawet śmierdząca, stara furgonetka, gdzie na podłodze walają się pety, a pod siedzeniem - magazyny porno. Już ja znam was, kierowców.

- Wiesz, jeśli ci to przeszkadza, zawsze możesz w niej trochę ogarnąć.

Furgonetka była oczywiście nieskazitelnie czysta. Otworzył przede mną drzwi i znowu podał mi dłoń, mówiąc:

- To już mi wchodzi w nawyk.

Pomimo korków po drodze jazda była bardzo przyjemna. Żartowaliśmy na temat strasznych, starych smoczyc, dla których musiał pracować: gderliwych, skąpych sióstr Elland, które zawsze sprawdzały, czy ma czyste ręce, zanim pozwoliły dotknąć któregoś z ich cennych kapeluszy. Emelia Edwards kiedyś go uszczypnęła za to, że zjadł pomarańczę, do którego to owocu czuła wielką niechęć, a Kathryn Trotter zabraniała swoim pracownikom nosić torby Kathryn Trotter, bo w ten sposób źle wpływali na wizerunek jej firmy.

- A Penny Moss? - spytałam.

- O niej nie powiedziałbym złego słowa. Wściekła jak dwie fretki w worku, ale nigdy arogancka, jeśli się jej nie sprowokuje. I zawsze

płaci w terminie. Zresztą nie mógłbym twierdzić inaczej, skoro masz wyjść za jej synka, prawda?

- Nie powtórzyłabym jej.

- Może nie, a może tak. Jak się czujesz przed ślubem?

Podenerwowana?

- Tę fazę mam już za sobą.

- Wahasz się?

- Zdaje się, że to nie twój interes.

- Ja tylko prowadzę uprzejmą konwersację.

- Oczywiście, że się nie waham. Wszyscy uwielbiają Ludo. To takie słoneczko.

- A ty jesteś jego gwiazdeczką.

Jak się nad tym zastanowić, jego słowa brzmiały strasznie, ale wypowiedział je z takim wdziękiem, że się nie obraziłam.

- Po ślubie nie będzie ci brakowało imprez, i tak dalej? - ciągnął.

- Jak to, czy nie będzie mi ich brakowało? Dlaczego miałabym przestać chodzić na imprezy?

- Ach, zupełnie bez powodu. Ale kiedy ostatnio spotkałaś małżeństwo na firmowej imprezie? Przecież tam chodzą tylko single albo parki. W stanie małżeńskim jest coś takiego, że po ślubie zaczynają spędzać spokojne wieczory przed telewizorem, a przed pójściem spać popijają kakao. A co dopiero, kiedy pojawią się dzieci! Nie, najlepiej mieć najpierw kilka spokojnych lat, zanim zaczniesz się chaos z dziećmi. Powiedzmy, że urodzisz dwójkę, w odstępie dwóch lat. Do osiemnastego roku życia wiszą ci u szyi jak młyńskie kamienie, a potem idą do college'u. Miną dwadzieścia dwa lata, zanim na dobre się ich pozbędziesz. Może wtedy będziesz miała nastrój na imprezę, ale kto cię wtedy zaprosi?

Roześmiałam się, ale nawet w moich uszach zabrzmiało to niewesoło.

- Gdybyś znał mnie lepiej, zrozumiałbyś, że nic nie jest w stanie powstrzymać mnie przed chodzeniem na imprezy. Poza tym to moja praca. Inaczej skąd miałabym wiedzieć, co kto nosi albo kto nosi kogo? Jak miałabym nadążać za skandalami i plotkami? Po ślubie moje życie wcale się nie skończy.

- Ale niektóre rzeczy będą musiały się skończyć, prawda, Katie?

- Znowu cudownie się uśmiechnął. Nie sposób było nie zrewanżować się tym samym.

Liam w żaden sposób nie mógł wiedzieć o jednym czy dwóch moich flirtach. Nie spodoba się to wam, ale, to prawda, zastanawiałam się nad ostatnim, końcowym, nic nie znaczącym, nieszkodliwym romansikiem przed całkowitym poświęceniem się Ludo. Myśl ta na wpół uformowała się w moim umyśle. Wiedziałam, że tam jest. Szturchnęła mnie pod żebro i mrugała do mnie. I chociaż otwarcie nie uznałam jej obecności, to stała się częścią mnie samej. Wiedziałam, że wcześniej czy później to zrobię.

Ale z kim? Na pewno z nikim z mojego otoczenia. Najprzystojniejsi faceci oczywiście byli gejami. Najseksowniejsi mieli żony - a ja może i jestem niegrzeczną dziewczynką, ale nie aż tak niegrzeczną. Nie, to musiał być ktoś z zewnątrz. Był już przeze mnie wspomniany boski Dante, który zawsze dodawał czekolady do mojej porannej kawy z mlekiem (którą to czekoladę zajadałam potem łyżką w biurze, drżąc z podniecenia). Przystojny, w stylu typowym dla Włochów. Ale nie, nie z nim. Zastanawiałam się nad Maxem z Turbo Sports, który to sklep od naszej firmy dzielił tylko jeden dom. Kiedyś go widziałam w siłowni, połyskiwał od potu. Ciało twarde jak u pitbulla. Miał zimne oczy seryjnego dusiciela kotów, co mi się dosyć podobało. Szalenie się różnił od ślicznego, bezbronnego Ludo. Ale znowu - nie: miał za małą głowę i porozumiewał się głównie za pomocą chrząknięć i sprośnych gestów. Był jeszcze taki dziwaczny, mały facecik, który czasami przychodził naprawić nasz komputer. Kiedyś dał mi wielkiego słonecznika. Ale, jak zawsze powtarzam, strzeżcie się Greków niosących dary.

Podobnie było ze wszystkimi mężczyznami, których znałam: za starzy, za głupi, za brzydki, za homoseksualni, za niscy, zbyt bliscy, zbyt obcy.

- Co twoja dziewczyna mówi na to, że pracujesz z tyloma wspaniałymi kobietami ze świata mody? - spytałam bezwstydnie.

- A skąd wiesz, czy w ogóle mam dziewczynę? Może jestem smutnym, melancholijnym samotnikiem, który bez miłości przechodzi przez życie?

- Niemożliwe - odparłam.

- Tak się składa, że obecnie nie mam dziewczyny, dzięki czemu zaoszczędzam na różach, ale wydaję fortunę na Guinnessa.

- Nie cierpię Guinnessa. Smakuje jak żółć starego człowieka.

- Wiesz, to zależy, gdzie się go pije i...

- Z kim się go pije?

- Chciałem powiedzieć, że od tego, jak jest nalewany. Ale skoro już o tym wspomniałaś...

- Jest na to doskonałe irlandzkie słowo, które czasami słyszę - powiedziała słodkim głosem. - DUBY SMALONE. - Po raz pierwszy się roześmiał. Śmiech ten był mniej wystudiowany niż jego fantastyczny uśmiech, ale tym wspanialszy.

- DUBY SMALONE? Co za słownictwo! Niedługo nazwiesz mnie starym capem.

- Gdzie więc powinnam pić Guinnessa?

- Jedyne miejsce, gdzie można się napić dobrego, ciemnego, powoli nalewanego Guinnessa, w wesołym towarzystwie i gdzie twoje uszy pieszczą dźwięki gry na skrzypcach, to „Czarna Owieczka” w Kilburn.

- Kilburn? A więc to tam mieszkasz?

- No wiesz, nie każdy Irlandczyk mieszka w Kilburn. Wiedziała. Połowa ludzi, których się poznaje na imprezach, to Irlandczycy prosto ze Szmaragdowej Wyspy, tuż po Harvardzkiej Szkole Biznesu albo studiach dziennikarskich - elegancy, inteligentni, ambitni. Wszystkie dziewczyny są piękne, choć ciutkę pospolite i lizusowate, a chłopcy mają buzie jak szczeniaczki i niespożyte pokłady entuzjazmu. Tak samo mieszkają w Kilburn, jak i ja. Oczywiście, zaciągnięta przez Ludo, kilka razy byłam w teatrze Tricycle. Raz obejrzelśmy adaptację jakiejś sztuki Brechta w wykonaniu Eskimosów. Za drugim razem przedstawienie było mniej komercyjne. Aktor, zakopany po pas w stercie zepsutych zegarków, krzychał: „Jest później, niż wam się wydaje! Jest później, niż wam się wydaje!”. Nawet Ludo uznał, że podczas przerwy możemy wyjść.

Wyjrzałam przez okno i pochwyciłam swoje odbicie w tylnym lusterku. Niedawno u Daniela Galvina zrobiłam sobie pasemka. Zawsze mi się wydaje, że lepiej wyglądam w kiepskich lustrach, uchwycona w ruchu lub pod kątem. Jeżeli nie znajdujesz się na którymś końcu skali urody, nie da się określić twojej atrakcyjności. Modelki wiedzą, że są piękne. Często udają, że mają co do tego wątpliwości, ale tylko po to, by sprawiać wrażenie bardziej inteligentnych niż w rzeczywistości. A ludzie z zajęczą wargą, i tak dalej? Pewnie wiedzą, że są brzydki. Przepraszam, przepraszam - z pewnością wewnątrz mają piękne, ale jakkolwiek by patrzeć, na



zewnątrz są brzydcy. Z doświadczenia wiem, że brzydota fatalnie wpływa na duszę. Świadomość, że każdy, z kim rozmawiasz, myśli tylko: „Boże, ależ ona brzydka!”, z pewnością wżera się w twoje wnętrze niczym kwas. Chyba że jesteś wyjątkowo głupia. Tym smutniejsze, że ładni są często głupi, a brzydcy - inteligentni. (Wiem, że to banał, ale banały stają się banałami dlatego, że są prawdą. Przynajmniej czasami). Hugh kiedyś dał mi bardzo dobrą radę. Nie wiem, skąd ją wziął.

- Katie - powiedział. - Zawsze mów ładnym dziewczynom, że są inteligentne, a brzydkim, że są ładne. Będą cię kochać do końca życia.

- A jeżeli powiem, że są i ładne, i inteligentne? - spytałam. Uśmiechnął się i poklepał mnie po pupie.

- Oj tak, Katie. Oj, tak. - Niegrzeczny chłopczyk.

Ale trochę odchodzę od tematu, czyli faktu, że o ile nie znajdujesz się na którymś końcu skali, naprawdę nie potrafisz ocenić własnej atrakcyjności. Przeglądając się w tylnym lusterku, pomyślałam: „Katie, czy ty jesteś ładna? Czy też może brzydka? Jeżeli ładna, to jak bardzo? A jeżeli brzydka, to jak bardzo?”. Moi chłopcy i inni mężczyźni zawsze mi mówili, że jestem ładna, nawet bardzo. Ale mężczyźni kłamią. A nawet ci, którzy nie kłamali, ci, którzy wierzyli własnym słowom - czy rzeczywiście wiedzieli, co mówią? Czy mieli rację? Czy liczy się podziw jakiegoś biednego prostaczka, który uważa, że jesteś babka z klasą, bo nie kupujesz ciuchów w sklepie z nazwą bez & w środku? Każdy facet, który dorwie się do twoich majtek i wsadzi ci nos w stanik, powie, że jesteś piękna. Oczywiście dziewczyny dobrze o tym wiedzą. Uważnie taksują wzrokiem koleżanki, ale świadomość, że inne dziewczyny uważają cię za ładną, to jak picie bezalkoholowego wina albo bezkofeinowej kawy: to po prostu nie działa. Nie, my chcemy - a przynajmniej ja chcę - żeby mężczyźni uważali nas za piękne i żeby mieli rację.

Myślę jednak, że znam prawdę. A prawda jest taka, że jestem całkiem (piękne słowo, które może oznaczać „bardzo” albo „niezbyt”) ładna. Niezbyt wysoka, około metra sześćdziesięciu pięciu.

Szczupła, ale żadną miarą chuda. Moje włosy mają naturalną miodową barwę, którą Ludo kiedyś, bez złych intencji, porównał do barwy palców zażółconych od nikotyny. Dlatego robię sobie pasemka. Oczy mam szare, i bardzo dobrze. Nie mam brwi, co czasami ma swoje dobre, a czasami złe strony. Moje rzęsy są tak jasne, że prawie

ich nie widać, więc je sobie ufarbowałam. Kiedy za drugim razem spaliśmy ze sobą, Ludo powiedział, wpatrując się w moją twarz: „Twoje rzęsy”. - Jego oddech pachniał winem i papierosami. „Są niesamowite. Takie ciemne i długie! Kocham je, kocham twoje powieki, oczy, twarz, głowę i całą resztę”. Nie miałam sumienia go wyprowadzać z błędu. Nadal nie mam. To jeden z haczyków, jakie Penny ma na mnie. Moje piersi są na tyle małe, by mi nie przynosić wstydu w świecie mody i na tyle duże, by mi nie przynosić wstydu w świecie mężczyzn. A cała reszta? O Boże! Kto wie?

Chodzi mi o to - wiem, że zdążałam do tego okreśną drogą - że jestem dziewczyną atrakcyjną, ale nie na tyle, by być zblazowaną, nie na tyle, by nie potrzebować spojrzeń, pochwał, prezentów, pochlebstw, podziwu, komplementów, zalotów mężczyzn. Widzicie, jestem interesująca dlatego, że te kolorowe, nieistotne, jarmarczne błyskotki są w zasięgu mojej ręki, ale nie łapię każdej z nich.

A teraz - co za idiotka! - sięgałam po błyskotkę, jaką był Liam Callaghan, kierowca furgonetki, irlandzki bajerant, przystojniaczek na granicy dobrego smaku.

- Pewnie ta „Czarna Owieczka” to nie knajpa, do której dziewczyna mogłaby pójść samotnie.

- Mnóstwo dziewczyn przychodzi do „Owieczki”, ale rzeczywiście żadna nie przypomina ciebie. Atrakcyjna, samotna kobieta mogłaby wzbudzić pewne zainteresowanie, ale przecież nie trzeba tam chodzić samej. - Zbliżała się ta chwila. - Wiesz, gdybyś kiedyś miała ochotę posmakować ciemnego piwa - ale wiesz, oryginalnego - to mógłbym cię tam zabrać. Byłaby to twoja inicjacja.

Nie mam pojęcia, na ile poważnie mówi. Może tylko udaje irlandzkiego łobuziaka, żeby uprzyjemnić sobie jazdę do miasta, a tak naprawdę jestem mu obojętna? Czy dla niego to tylko rozrywka na czas podróży? Jeżeli to blef, to chciałam, żeby wyszedł na jaw.

- Dobrze.

- Co „dobrze”? - Z przyjemnością zauważyłam, że jest nieco zaskoczony.

- Dobrze, możesz mi pokazać, jak wygląda przyzwoity Guinness. Nie uśmiechnął się.

- Kiedy możesz przyjść?

- Dzisiaj jest środa, prawda? Od czwartku do niedzieli jestem w Paryżu. Może od jutra za tydzień?

To „w Paryżu" zabrzmiało genialnie. Dzięki Bogu za Premiere Vision.

- W takim razie od jutra za tydzień. Może spotkamy się w pubie powiedzmy o ósmej?

Nagle zakręciło mi się w głowie. Czy ja panuję nad sytuacją? Kiedyś wydawało mi się, że tak. A teraz umawiam się z prawie obcym mężczyzną na spotkanie w jakimś nędznym pubie w Kilburn, części Londynu, o której wiedziałam mniej więcej tyle samo, co o rytuałach godowych bielików.

- Jezu, zobacz, to już Regent Street - powiedział Liam. - Może tu wyskoczysz?

- Dzięki za podwiezienie.

Nic na to nie odpowiedział, tylko spojrzał na mnie i się uśmiechnął. Poczułam się tak, jakby przetoczyła się przeze mnie ciepła fala z Morza Karaibskiego: przyprawiająca o zawroty głowy, oszalamiająca, zbijająca z nóg, zgubna w skutkach.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

### Interludium techniczne dotyczące dzierżaw oraz pochodzenia Penny

Nie mogę powiedzieć, by moje popołudniowe zajęcia tamtego dnia osiągnęły szczyt możliwości menadżera do spraw produkcji. Jakikolwiek zdanie Penny ma na mój temat, wie, że pracuję ciężko i wydajnie. Bycie dobrym w swoim fachu zależy od koncentracji i umiejętności filtrowania białego szumu. Kiedyś Ludo mi powiedział, że jacyś naukowcy przeprowadzili eksperyment, w którym monitorowali ruchy gałek ocznych u różnych typów szachistów - wiecie, wielkich mistrzów, czy jak ich tam się nazywa, oraz zwyczajnych członków klubów szachowych, takich w bezrękawnikach i z brudnymi mankietami. Okazało się, że wytrawni gracze przez cały czas studiowali tylko kilka wybranych pól - tych, które naprawdę miały znaczenie. Natomiast pełni zapału amatorzy strzelali oczami po całej planszy, od pola do pola, szukając sekretu, kodu, którego nigdy nie mieli złamać.

Oczywiście Ludo fatalnie grał w szachy. Był za miękki; z wielkim żalem tracił pionki i nie poświęciłby żadnego z nich tak samo, jak nie utopiłby nowo narodzonego szczenięcia. Nigdy z nim nie grałam, ale czasami wpadał do nas jego kumpel, Tom, i znikali w Śmierdzącym Pokoju z szachownicą i butelką whisky.

Nie, tego popołudnia za nic nie mogłam się skoncentrować. Strzelałam oczami po całej planszy. Albo w ogóle odwracałam od niej wzrok. Byłam rozdarta między strachem przed tym, w co miałam się wpakować, a podnieceniem nie do opanowania. Siedząc przy biurku, złapałam się na tym, że jestem zaskakująco napalona. Założyłam nogę na nogę i zaczęłam myśleć o Irlandii.

Widziałam, że Penny zaczyna się irytować: co chwila wydawała z siebie odgłos, który zaczynał się jak cmoknięcie, a kończył jak chrząknięcie. Jej umysł ciężko pracował nad tym, co by tu mi zarzucić. Wyobraziłam sobie wołu uwiązanego do takiego jarzma, jakie się pojawiają w opowieściach biblijnych.

- Katie! - zawołała chytrym tonem ze swojego miejsca pod świetlikiem. - Rozmawiałaś już z Liberty o ponownym zamówieniu? Dzisiaj musimy ich powiadomić.

- Wiesz, że jeszcze nie. Nie mogłaś tego zrobić, kiedy byłam w magazynie? - Normalnie nie odszczekuję się Penny, ale, jak mówię, tego dnia myślami byłam gdzie indziej.

- Nie, Katie, kochanie. - Auć! Jedną z rzeczy, jakie zapamiętałam z lekcji angielskiego, jest to, że w komediach epoki Stuartów kiedy rośnie poziom uprzejmości, wiadomo, że lada chwila ktoś wyciągnie miecz zza pazuchy. - Lady Frottager przyszła pijana i zsikała się na otomanę.

- Co, znowu?

- Tak, znowu.

- Ktoś powinien wytłumaczyć tej kobiecie - powiedziałam, na wpół świadomie naśladowując manierę wielkiej damy, jaką często przybierała Penny - że nasza otomana to nie szalet publiczny.

- W każdym razie okropnie się zdenerwowała i musiałam ją pocieszać, dopóki nie przyjechała taksówka.

- Kupiła coś?

- Namówiłam ją na szal z kaszmiru, ale nie o to chodzi. Potem zadzwonił ten wstrętny brutal, Kuyper.

- Nadal grozi podwyżką czynszu?

- Bez... tej, no... bazuki nie da się powstrzymać tego człowieka.

Kuyper, Południowoafrykańczyk, który uczył się obcowania z ludźmi jako oprawca w czasach apartheidu (no, w każdym razie to bardzo możliwe), był prawdziwym brutalem. Jego firma, „Kuyper i Furtz”, wykupiła na własność nasz sklep i trzy inne przy naszej ulicy, z których jeden stał pusty i przeklęty po tym, jak różne firmy usiłowały sprzedawać w nim po kolei eleganckie biustonosze, sprzęt turystyczny, aparaty fotograficzne i świece.

Pierwszą rzeczą, jaką zrobił Kuyper, było zaproszenie do pustego sklepu beznadziejnej Anity Zither, która akurat szukała punktu sprzedaży detalicznej. Anita była beznadziejna, bo chociaż była ulubienicą prasy i projektantką faworyzowaną przez angielski establishment, to nigdy nie udało jej się stworzyć kolekcji ubrań, które ktoś chciałby kupować i co dwa lata bankrutowała, wisząc swym dostawcom dziesiątki tysięcy funtów. Dzień po podpisaniu przez nią umowy Kuyper przyszedł do nas, twierdząc, że Anita płaci trzykrotnie wyższy czynsz niż nasz. Rzeczywiście, tak było napisane na fakturze. Kiedy przyszedł czas na renegocjację naszego czynszu, wywołało to całą lawinę kłopotów. Kuyper zaczął się rozwodzić nad stawkami na

rynku, jego okrągła głowa i gruby kark czerwieniały z chciwości. Tłustym palcem dźgał powietrze jak szkolny łobuz, przekłuwający balony. Nie było nas stać na czynsz, jakiego żądał, zresztą jestem pewna, że i Anita Zither nie mogła sobie na niego pozwolić.

Następnego dnia dowiedziałyśmy się prawdy. Jedna z pracownic Anity była kumpelką od plotek Nester, naszej dostojnej kierowniczką. Poszły na kawę i nikczemna intryga Kuypera wyszła na jaw. Okazało się, że ten wygórowany czynsz istniał tylko na papierze. Sklep Anity Zither miał dostać dwuletnie wakacje. Potem mogła renegocjować bardziej realistyczną sumę albo wykonać swą zwykłą sztuczkę ze zniknięciem. Fałszywa umowa miała posłużyć jako bat, którym Kuyper chciał nas zmusić do posłuszeństwa.

Penny jako prawdziwa twardzielka zablokowała negocjacje, a Kuyper stawał się coraz bardziej agresywny, stosując wobec nas najprzeróżniejsze groźby - prawne i fizyczne - oraz przeklinając w języku afrykanerskim.

(Przepraszam, jeśli ten fragment o wykupie na własność, dzierżawach, i tak dalej, wydał się wam zbyt nużący i techniczny, nie jest jednak bez znaczenia, o czym przekonacie się później. Potraktujcie go jak dialogi w operze, pomiędzy ariami - zdaje się, że nazywa się to recytatyw. Na początku naszej znajomości Ludo zabrał mnie do opery na „Wesele Figara”. Przeczytałam program, który zajmował wiele stron. Za dużo przypisów).

Wracając do Penny i jej nastroju.

- Przepraszam, że nie mogłam ci pomóc. - Uznałam, że pogodzenie się to dobry pomysł. - Już dzwonię do Liberty.

- Nie musisz przeproszać. W końcu w jednej trzeciej jestem Amerykanką - powiedziała, jakby to wszystko tłumaczyło.

Zapadło milczenie. Szybko dokonałam kalkulacji.

- Czy można być kimś w jednej trzeciej? Myślałam, że te sprawy liczy się na połowy, ćwiartki i części ósme?

- Oczywiście, że można. Jestem jednym z trójki dzieci. Moja matka była Amerykanką. A wszyscy wiedzą, że pochodzenie amerykańskie dziedziczy się po matce.

- Chyba żydowskie?

- Nie, widzisz, Żydówką jestem w dwóch siódmych. I tak nam minęło popołudnie.

Przed wyjazdem do Paryża musiałam wcześniej wstać, cieszyłam się więc, że tej nocy nic się nie działo: żadnych kolacji, lunchów, żadnych wieczorków, bankietów, żadnego łożenia po klubach, i tak dalej. Ludo uwielbia, kiedy nie ma nic do roboty: szwenda się po domu, rzucając głupie uwagi i spontanicznie oraz zupełnie bez powodu się do mnie przytulając. Muska mnie po karku i jeżeli tylko nie stawiam wielkiego oporu, niesie mnie do sypialni. Nie, w domu nie mogłabym marzyć o bardziej uroczym chłopcu. Ludo nie radzi sobie tylko ze światem kontaktów towarzyskich, z moim światem.

Ale to nie brak zaangażowania Ludo w mój świat skłonił mnie do snucia tych złych, szalonych planów. Pewnie się zastanawiacie, jaki miałam powód. Byłam z dobrym mężczyzną, nie idealnym, ale dobrym. Może nawet bardzo dobrym. Miłym, przystojnym (mniej więcej) i w sam raz bogatym. A jednak wyruszałam w drogę, która mogła doprowadzić tylko do katastrofy. Wiem, że martwicie się o mnie. Chyba powinnam wam wszystko wytłumaczyć.

Ma to związek ze złożoną naturą ludzi, z tym, że ich poszczególne części są powiązane ze sobą. Nie chodzi mi tylko o to, że kość kolanowa łączy się z udową, i tak dalej. Mam na myśli różne części osobowości. Gdyby spróbować pozbyć się jednej z nich, złej - na przykład wyjątkowy szacunek, jaki Penny żywi do samej siebie - okazałoby się, że jest ona przywiązana do sznurka. Ciągniesz za niego i ciągniesz, aż wyskakuje jakaś inna cecha, tym razem dobra, której wcale nie chciałbyś się pozbyć - na przykład zapal u Penny. Człowiek to spleciona masa wad i zalet. Albo się go akceptuje, albo odrzuca, choć oczywiście istnieje jeszcze opcja często stosowana w świecie mody: uśmiechanie się do rozmówcy, choć w myślach zatapia się mu sztylet między łopatki.

Tak więc zalety Ludo - jego ogromny urok - łączyły się z wadami. Zwłaszcza jedna z nich krążyła po mojej głowie jak mucha pod sufitem. I naprawdę nie chodziło o jego nietowarzystwość. Martwiło mnie nie jego bałaganiarstwo, nie obsesja na punkcie rzeczy, które nie obchodziły innych - na przykład ciężki los bielików albo prawa pasterzy reniferów na pustkowiach Finlandii. Moje myśli zaprzętało nie jego melancholijne usposobienie albo skłonność do obrażania się za każdym razem, kiedy coś nabroiłam, na przykład kiedy włożyłam płytę do niewłaściwego pudełka albo odłożyłam ją na półkę - grzech nad grzechami - nie zważając na porządek

alfabetyczny. Irytowało mnie nie to, że czasami wylizywał talerz, zanim odłożył go do zmywarki i nie nawyk bezmyślnego szczypania się w krocze, kiedy coś go zdenerwowało, chociaż tu akurat zbliżamy się do celu.

Nie, problem polegał na tym, że Ludo, bezradny, bezbronny Ludo, po prostu nie był seksowny.

Teraz pewnie chcielibyście, żebym podała swoją definicję seksowności. W takich wypadkach Ludo zawsze ode mnie tego żądał - kolejny z jego irytujących nawyków. Jedynym sposobem na zamknięcie mu ust było powiedzenie: „W takim razie zdefiniuj słowo definicja” - sztuczka, której się nauczyłam w szkole i której używałam w rozmowach z inteligentnymi chłopcami. Ale seksowność to dziwna sprawa. Tu rzeczywiście trzeba sprecyzować swoje oczekiwania. Albo przynajmniej powiedzieć, co się podoba.

Nie chodzi mi tylko o atrakcyjność fizyczną, chociaż - i nieważne, co twierdzą inni - to bardzo ważny element. Tu przepraszam dziewięć dziesiątych wszystkich chłopców. Poza tym seksowność z pewnością nie ma nic wspólnego z miłym usposobieniem. Sorry, Ludo. Albo z kupowaniem prezentów. Pewnie już wiecie, do czego zmierzam. Każdy, kto przeczytał choć jeden romans - od Jane Austen aż po Judith Krantz - wie, co za chwilę powiem. Przygotujcie się więc na wodowanie i powitajcie morze banałów - poluję nie na oryginalne stwierdzenia, lecz na tę rybę, jaką jest prawda. Tak, szukamy naszego starego przyjaciela, „elementu ryzyka”. Nie chodzi mi o ryzyko w stylu „zaciągnę cię w ciemny kąt i stłukę na kwaśne jabłko”, lecz o świadomość, że obiekt twojego zainteresowania może odejść do kogoś innego. O tę złośliwość, która czasami czai się w jego uśmiechu. O to, że nie wiesz, co mogłabyś znaleźć w jego kieszeniach.

Dobrze wiedziałam, co znalazłabym w kieszeniach Ludo, choć nie zamierzałam ich przeszukiwać: dwie chusteczki do nosa, obie niemiłosiernie pomięte, bilet na metro sprzed miesiąca, pogryzioną skuwkę od taniego pióra, zużyty plaster zwinięty w kulkę, wiersz nabazgrany na serwetce oraz książkę w miękkiej okładce autorstwa osoby, o której nigdy w życiu nie słyszałam, kogoś w rodzaju Zbignio Cheznishkirov.

No więc tak. Jestem typową bohaterką powieści: głupią dziewczyną, która - niezadowolona ze swojego porządnego



mężczyzny - marzy o odrobinie ryzyka w swoim życiu. Ale fikcja tworzy nasze życie; żyjemy w świecie gęsto zaludnionym przez postaci wymyślone przez pisarzy, reżyserów filmowych czy redaktorów naczelnych magazynów, postaci bardziej realne od bezcielesnych duchów, które mijają nas na ulicy, przejeżdżają samochodami albo jak padlina wiszą, uczepione poręczy w metrze. Często kiedy się nam wydaje, że jesteśmy sobą, okazuje się, że nasze słowa, czyny, a nawet myśli, zostały nam narzucone. Przepraszam, znowu popadam w dygresje.

W każdym razie tamtego wieczora w naszym domu panowała atmosfera zadowolenia. Przemięliśmy czas, cmokając z niezadowoleniem podczas oglądania seriali i krzywiąc się na widok niektórych scen w „Oстрым dyżurze” (był to ten odcinek, w którym Doug Ross ratuje chłopca od utonięcia w studzience, najlepszy ze wszystkich).

Mniej więcej koło jedenastej napomknęłam, że powinnam się spakować. Ludo rzucił jakąś głupią uwagę, że to pewnie nie zajmie mi dużo czasu. Chłopcy nie mają pojęcia o tym, jak dziewczyny się pakują. Potrzebujemy rzeczy, o których istnieniu oni nawet nie wiedzą. Spakowanie się zajmuje Ludo od trzydziestu do czterdziestu pięciu sekund - w zależności od tego, w jakim czasie uda mu się wyciągnąć skarpetkę z nogawki spodni. Nie kochaliśmy się, ale się całowaliśmy, a potem poszłam spać, myśląc o tych cudownych rzeczach na całym świecie, które można kupić i o tym, że większość z nich czeka na mnie w Paryżu.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

### Trzewna moda

Pociąg odchodził o wpół do dziesiątej rano. Oznaczało to, że musiałam wstać o wpół do siódmej, do siódmej wypić herbatę w łóżku, ubrać się i umalować do ósmej piętnaście, piętnaście minut na ostatnie przygotowania, wyjść o wpół do dziewiątej, pojechać metrem na dworzec Waterloo, dotrzeć tam pięć po dziewiątej - na tyle późno, by Penny dostała histerii, ale tak naprawdę mając dość czasu, by przejść odprawę i przed dziewiątą piętnaście wsiąść do pociągu.

Ubrałam się wygodnie na podróż, w kostium od Clements Ribeiro i prawie ulubioną parę butów od J.E Toddsa. Przed wyjściem oczywiście na chwilę wpadłam w panikę i musiałam biec na dworzec, szarpiąc się po drodze z moim nowym płaszczem Burberry. Co gorsza, makijaż musiałam dokończyć w metrze, co zawsze sprawia, że czuję się jak dziwka.

Spotkałam Penny przy stanowisku odprawy. Jak zwykle siała wokół siebie chaos, rozkazywała zamiast współpracować, gestykulowała do obcych ludzi i warczała na Hugh, który ją odprowadzał - w co nie wątpię - z ogromną ulgą.

Jak zwykle wyglądała jednocześnie wspaniale i absurdalnie, choć zazwyczaj trzymała się nieco na prawo od tej granicy. Tym razem ubrała się w stylu „gwiazda filmowa podróżuje incognito”.

Założyła ciemne okulary i zwariowaną apaszkę od Gucciego, która odciągała uwagę od imponującego, długiego futra z soboli. Odziedziczyła je lub w jakiś inny sposób dostała od rodziny Hugh. Wyglądało tak luksusowo, że nikt nie podejrzewał, że to prawdziwe sobole. Efekt ogólny nasuwał skojarzenia z Sophią Loren.

Hugh pocałował mnie na przywitanie, a potem jeszcze raz, szybko, na pożegnanie. Penny protekcyjnie cmoknęła go w policzek, dając mężowi do zrozumienia, że nasze wyjazdy do Paryża to nie do końca praca i nie do końca zabawa.

Dramaturgia sięgnęła szczytu, kiedy szłyśmy na peron. Jak zawsze miałyśmy do wyboru ciasną windę i zatłoczone schody ruchome. Ponieważ w kolejce do windy stało pełno Belgów, Penny postanowiła pojechać schodami, których zwykle unikała. Wielki błąd. Kurczowo uczepiła się poręczy, jakby schody były stateczkiem targanym przez sztorm.

- Katie, moje stopy! - krzyknęła. - Moje stopy! Co ja bez nich zrobię? Co się z nimi stanie?

- Zamknij oczy i udawaj, że to zwykłe schody - poradziłam jej, rumieniąc się z powodu uwagi, jaką na siebie zwracałyśmy. - O Boże... Czekać... Trzymaj się... postaw ją tutaj... a tę tu.

Ludzie się na nas oglądali. Belgowie w windzie robili miny w stylu Magritte'a i wskazywali na nas parasolami. I wtedy schody stanęły. Zaterkotały. I wreszcie stanęły na dobre.

- Udusimy się! - zupełnie bez sensu wrzasnęła Penny. - Musimy wracać!

Byłyśmy już w połowie drogi, a za nami tłoczyło się z pięćdziesiąt osób.

- Penny, nie możemy! - zaproponowałam niepewnie.

Ale Penny przestawiła się z trybu bezradnej paniki na tryb człowieka czynu. Zaczęła się przeciskać między nieszczęsnymi podróżnymi, którzy cierpliwie czekali, aż to okropne urządzenie znowu ruszy. Parła do przodu jak jeden z tych statków rozbijających arktyczny lód podczas bezsensownych ekspedycji. Pasowałby do niej nagłówek „Pierwsza kobieta, która zdobyła biegun północny bez podpasek”. Ruszyłam za nią ze wstydem, ale jak to bywa z niezmordowaną Penny, i pewnym podziwem.

Drzwi windy otworzyły się w chwili, gdy dotarłyśmy do szczytu schodów. Penny nie wahała się ani sekundy: wparowała do środka, roztrącając po drodze rozbawionych Belgów, machając ręką i mówiąc tonem nie znoszącym sprzeciwu:

- Przepraszam, to wyjątkowa sytuacja. Jesteśmy projektantkami mody. Nazywam się Penny Moss.

Windziarz się uklonił. Naprawdę. Oczywiście możliwe, że był pijany.

Na chwilę się uspokoiło, kiedy znalazłyśmy nasze miejsca i po dwudziestu minutach Penny odpoczywała nad drugim kieliszkiem szampana, a za oknami pociągu przesuwał się wesoły, zielonobrazowy krajobraz Kent czy Sussex.

Ja oczywiście siedziałam tyłem do kierunku jazdy. Penny zawsze lubiła wiedzieć, dokąd jedzie. Nie miałam nic przeciwko temu. Zawsze uważałam - zwróćcie na to uwagę, bo to jedyna głęboka myśl, jaka kiedykolwiek pojawiła się w moim umyśle - że życie jest jak podróż pociągiem tyłem do kierunku jazdy. Dlatego, że terazniejszość,

ta część krajobrazu, która znajduje się dokładnie w tym miejscu, gdzie akurat jesteś, pojawia się jeszcze zanim ją zobaczysz, a kiedy ją widzisz, to już tylko jej cień. Możesz zgadywać, co się wyłoni zza twojego ramienia, bo mniej więcej widzisz, jaki rodzaj terenu cię otacza, ale zawsze istnieje prawdopodobieństwo, że nagle wyskoczy coś niespodziewanego lub przerażającego - tunel, pole pełne koni albo Leeds.

Och. Po zapisaniu, to porównanie już nie wydało mi się tak interesujące. Może po prostu nie jestem zbyt refleksyjna.

- Ten Milo to interesujący młody człowiek - powiedziała Penny pomiędzy łykami. W całym tym pośpiechu zapomniałam o jej dramatycznym pojawieniu się na imprezie. - Powiedział, że też będzie w Paryżu. Zabawny zbieg okoliczności. Wydał mi się taki wrażliwy, taki... troskliwy.

- Penny, ci z PR już mają taki styl bycia. Pewnie uznał cię za potencjalną klientkę.

- Nie, naprawdę nie sędzę, że jego zainteresowanie było czysto zawodowe. Obawiam się, że dokonałam wówczas jednego ze swoich tragicznych podbojów.

Zakrztusiłam się darmowym orzeszkiem.

- Ależ Penny, na pewno wiesz, że Milo... - I wtedy urwałam. Jej pomyłka była cudowna. Na pewno bardzo spodoba się Milo. - Na pewno wiesz, że Milo jest strasznie, yyy... zagubiony... nieśmiały i bezbronny.

- Tak, wyczułam to. Uważasz, że w jego obecnym stanie byłabym dla niego zbyt kobieca? Oczywiście, oczywiście. Nie, żebym zamierzała zrobić jakiś skok w bok, na to zbyt długo jestem mężatką. Ale każdemu wolno marzyć - powiedziała tęsknym tonem, skubiąc palcami rąbek spódnicy. - Bardzo współczuję temu biednemu chłopcu, rozdartemu między zgubną intensywnością posiadania a pustką straty.

Ta podróż już zaczęła potwierdzać moje oczekiwania.

Szampan był dla Penny jak machina odmierzająca czas i w końcu porzuciłyśmy temat Milo i przeniosłyśmy się w lata sześćdziesiąte. Trudno mi było się zorientować, do którego dokładnie roku, bo Penny tego nie sprecyzowała, gdyż to by ją zdradziło. Podejrzewam, że było to miejsce w dużej mierze istniejące w wyobraźni, lata sześćdziesiąte umysłu, kwintesencja różnych okresów, kombinacja dziewczęcej

niewinności z lat pięćdziesiątych z różową sceną orgii narkotykowej w wiejskim domku w roku 1969.

Najpierw oczywiście pojawiły się lata, które spędziła w Królewskiej Akademii Teatralnej. Z jej opowieści wynikało, że czcił ją Albert Finney, uwielbiał Richard Harris i rozpieszczał Peter O'Toole (czy też raczej obściskiwał, jak gdzieś słyszałam). W przerwach między hulankami biegała na zajęcia z emisji głosu, pantomimy, szermierki („kiedyś na widok moich ran Roy Kinnear się rozplakał”), baletu, charakteryzacji i znowu emisji głosu. Dosiedli się do nas jej nauczyciele, którzy już od dawna nie żyją, Ernest Milton, Hugh Millar i Edward Burnham, wciąż pełni wdzięku, zwariowani, afektowani.

Opowiadała o nocach w „Wesołym Husarze” albo „Białym Słoni”, po których chodziła na tańce do „Dudley Moore w Piwnicy”.

Satyrze na establishment towarzyszyły opisy dziwacznych podrywów ze strony komików: Lenny Bruce zaproponował, że podzieli się z nią strzykawką, a Frankie Howard dopuścił się na niej obscenicznego aktu („Tak, kochanie, byłam przebrana za mężczyzną”).

Ale przede wszystkim były ubrania.

- Kochanie, wyglądałam bosko w białej sukni z piki od Mary Quant, z czarnymi szwami, na którą zakładałam czarny, pikowy płaszcz z podniesionym kołnierzem... Ossie Clark podarował mi suknię z kremowej krepy szytą ze skosu z dekoltem w kształcie łezki... Nosiałam prążkowaną, żółtą, wełnianą od Courreges, w kształcie litery A, oraz prześliczne buty od Gucciego ze srebrnymi sprzączkami.

Siedziałam rozparta na swoim miejscu, jednym uchem słuchając monologu Penny. Kiedy co jakiś czas się skupiałam, słyszałam, jak mówi coś w rodzaju: „... i wtedy spojrzałam w dół i zobaczyłam, że księżniczka Małgorzata położyła rękę na moim kolanie” albo „... nigdy przedtem nie widziałam czegoś podobnego, przysięgam, że był fioletowy...”.

Kto wie, ile z tego było prawdą? Penny wierzyła we własne fantazje, a to im nadawało autentyczności o wiele istotniejszej niż suche fakty. Ale w wypadku Penny chodziło jeszcze o coś innego. Zupełnie jakby rzeczy istniały dopiero wtedy, gdy zostały uzewnętrznione: gdy się o nich mówiło lub gdy paradowały przed

twoim nosem. U Penny nic się nie dzieje na zewnątrz. Ona zawsze mówi to, co myśli, a raczej myśli dopiero wtedy, kiedy coś powie. I jestem pewna, że pomimo całej gamy rozmaitych emocji: od czułości do odrazy, Penny nie miałyby żadnych uczuć, gdyby pozbawiono ją widowni. Można powiedzieć, że była królową dramatu. Ale w jej wypadku „królowa dramatu” to określenie zbyt plebejskie. Właściwsze byłoby „cesarzowa dramatu”. A jakże ona kochała dramaturgię! Słowo daję, że nie raz widziałam, jak przykładła wierzch dłoni do czoła i dosłownie omdlewa na otomanę na pierwszym piętrze, która prawdopodobnie została stworzona do takich celów.

Zdrzemnęłam się i nawet nie zauważyłam, kiedy przejechałyśmy przez tunel, a kiedy otworzyłam oczy, już byłyśmy we Francji. Tego zawsze można się domyślić na podstawie nagłej obfitości małych furgonetek prowadzonych przez nieobliczalnych kierowców. W końcu znalazłyśmy się na Gare du Nord. Penny wysiała mnie po wózek, zaś sama, chwiejąc się lekko na peronie, broniła naszych walizek przed drapieżnymi francuskimi bagażowymi.

Nasza podróż ma dwie zupełnie różne strony. Zła strona wiąże się z nużącym maratonem po stoiskach z materiałami, które wypełniają trzy ogromne hangary, tak wielkie, że zmieściłyby się w nich sterowce. Łaźnienie po wystawie Premiere Vision zajmuje dzień drugi i trzeci. To żadna zabawa, ale warto odbębnić ten obowiązek, bo po nim pojawia się dobra strona wyjazdu.

Dobłą stroną jest sam Paryż. Nieważne, że w Mediolanie i Nowym Jorku jest bardziej odlatowo. Nieważne, że w Londynie jedzenie jest lepsze, a w Rzymie pogoda ładniejsza. Paryż zawsze był moim Szmaragdowym Grodem, moją Krainą Czarów, miastem moich marzeń. Jako mała dziewczynka myślałam, że kiedy tylko dość wysoko rozbujam się na huśtawce w parku, dojrzę wieżę Eiffla wystającą znad bezbarwnych, zalanych deszczem dachów East Grinstead. Kazałam Veronice mnie popychać. „Wyżej! Wyżej!” - wołałam. Ale ona nigdy nie spełniła swojego zadania, za co żywiłam do niej wielką urazę.

W Paryżu Penny jest zupełnie inna. Oczywiście nadal zachowuje się jak tyran i terrorysta, dalej uważa, że świat istnieje po to, by składać jej hołd albo przynajmniej ułatwiać życie, dalej reaguje gniewem, kiedy ktoś nie uznaje jej znaczenia. Ale w Paryżu Penny emanuje światłem, które bardziej grzeje niż oślepia. Jakimś cudem

machnięcie ręką na kelnera w „L'Assiette” sprawia, że jego wiecznie zaciśnięte usta ustępują miejsca głębokiemu ukłonowi. Jakimś cudem jej nieporadne próby mówienia po francusku, ta nadzwyczajna mieszanina podziemnej grypsery, wyrafinowanego słownictwa rodem z prywatnej szkoły dla dziewcząt i zwykle błędy (kiedyś przetłumaczyłam jej instrukcje, jakie wydała taksówkarzowi, tylko odrobinę je redagując jako: „Hej, ty pojebie, byłybyśmy oczarowane, gdybyś skierował swój pojazd pod frontowe wejście do naszego pałacu. Masz krocze nietoperza”) są przyjmowane przez najbardziej nadętych paryżan z pobłażaniem i poczuciem humoru.

Zawsze zatrzymywałyśmy się w Hotel de Universite przy rue de l'Universite przy St. - Germain. Może to was zdziwi, ale zajmowałyśmy jeden pokój: to kolejny element dziwnej bliskości podczas naszych wspólnych wypraw do Paryża. Nagrodą, rekompensatą dla mnie za chrapanie Penny, a dla niej za wszystko to, co ją we mnie irytowało, był najwspanialszy apartament: neoklasycyzyzm sześcian perfekcji. Nasz hotel nie mógłby istnieć nigdzie indziej na świecie. Według Penny (choć ten jeden raz miała rację) łączył w sobie „stateczny wdzięk Racine'a z rozmachem i werwą Moliere'a”. Obsługa była zawsze do naszej dyspozycji, ale nie nachalna, i nawet najmłodszy odźwierni wiedzieli, że powinni flirtować z Penny, a nie ze mną.

Ale przede wszystkim hotel Universite był idealny z powodu sklepów. A w Paryżu Penny kupowała na całego! Wiecie, w Londynie nigdy nie kupowała ubrań zaprojektowanych przez inne osoby: jej zdaniem przypominałoby to sypianie z wrogiem. Ale w Paryżu jej to nie przeszkadzało, chociaż wybierała tych samych projektantów, których wystrzegala się w Anglii. Przynajmniej ten jeden raz jej logika rzeczywiście była logiczna.

Tak więc tego pierwszego popołudnia zostawiłyśmy walizki w naszym pokoju i zaczęłyśmy biegać od Prady do Paule Ka, Kashiyama (ten dom mody już się tak nie nazywa, ale Penny nie mogła zapamiętać jego nowej, głupiej nazwy i zawsze spoglądała na mnie pustym wzrokiem, kiedy ją wymieniałam), Sabbia Rosa i znowu do Prady. W modzie akurat była skóra. Obie znalazłyśmy coś stosownego: ona w kolorze gorzkiej czekolady, ja w kolorze wielbłądziej skóry.

Pewnie myślicie, że ponieważ pracuję w świecie mody, kupowanie ciuchów jest dla mnie jak wycieczka autokarowa dla kierowcy autobusu. Sądzicie, że ponieważ pięćdziesiąt godzin w tygodniu spędzam zagrzebana w ubraniach, o których dziewięćdziesiąt dziewięć procent populacji mogłoby tylko pomarzyć, mój apetyt na stroje jest stłumiony? Jakże się mylicie. Ubrania nadal dają mi niemalże erotyczną przyjemność, przeszywającą dreszczem, ekstatyczną, przeobrażającą rozkosz. Ubóstwiam grę wstępną - dotykanie, wachanie, chłonięcie zapachu pięknych materiałów - przed słodkim spełnieniem, jakim jest przymierzenie oraz orgazmem towarzyszącym kupowaniu. Nadal drzę z pożądania dla krepy na satynowej podszewce: chłodnej na języku jak diament. Jakże podniecające było odkrycie, że ten jedwabny aksamit pachnie dokładnie tak, jak powinien: ziemią i zgniłymi liśćmi. To się powtarza za każdym razem

Uczucie to było równie intensywne, jak za pierwszym razem, jak tamtego cudownego popołudnia, kiedy tata po raz pierwszy postąpił słusznie w swym smutnym życiu i przywiózł mi prześliczną sukienkę z poliestrowej różowej tafty, wyszywaną w pączki róży, z satynową szarfą i halką z siatki. Były to moje szóste urodziny. Na przyjęciu Veronica wylała na nią poncz, więc tak ją pociągnęłam za włosy, że się rozplakała. Miała szczęście, że nie utopiłam jej w misie z ponczem.

\* \* \*

Pierwszego wieczora wybrałyśmy się na kolację do małego bistro. Penny twierdziła, że chodzi tam od jej miesiąca miodowego, który razem z Hugh spędziła, mieszkając w burdelu. Tak w każdym razie brzmiała jej opowieść, bardzo zabawna, pełna komicznych nieporozumień i przypominająca klasyczne francuskie farsy. Natomiast Hugh mówił mi, że był to poważany hotel, w którym po prostu znalazło się zbyt dużo obić z aksamitu. Penny jednak nigdy nie pozwalała, by prawda zaszkodziła dobrej historii - w tym wypadku złej.

Bistro przypominało tysiąc innych w Paryżu, chociaż odzegnoywało się od innych, powołując się na związki ze starą gildią stolarzy, kołodziejów, czy też może fryzjerów - tego Penny nigdy nie mogła sprecyzować, a co się zmieniało w zależności od tego, którego kelnera się spytało - jeśli ogarnęła cię ciekawość. Dla uczczenia tej



odmienności na suficie powieszono misternie rzeźbione dziwadło, coś w rodzaju gotyckiej klatki na papugę. I znowu w zależności od kaprysu kelnera mógł to być model sklepienia Notre Dame, średniowieczny zegar lub une machine pour le fabriquer les cigarettes.

Jak zwykle Penny spytała, na co mam ochotę, po czym zamówiła coś zupełnie innego. I, jak zwykle, była to jakaś obrzydliwa potrawa ze świni garniowana żołądkami. Zanim przyniesiono nam tę potrawę, ale w połowie drugiego kieliszka wina, Penny przerwała monolog na temat tego, co powinniśmy obejrzeć następnego dnia na Premiere Vision, i obrzuciła mnie długim, badawczym spojrzeniem. Jej oczy się rozszerzyły i pojawiło się w nich skupienie. To spojrzenie należało do jej specjalności i było prawdopodobnie jej największym atutem w interesach. Żaden mężczyzna i niewiele kobiet potrafiło przez dłuższy czas znieść ten wzrok bazyliuszka. Moc jej spojrzeniu nadawała oczywiście jej wyjątkowa pewność siebie i całkowity brak wątpliwości, które nocą prześladowe większość z nas.

- Katie, kochanie, powiedz mi, co złego się dzieje. - Te słowa mnie zaszokowały. Odniosłam wrażenie, że Penny ogarnęło jedno z tych rzadkich, cynicznych przeczuć.

- Nic. Dlaczego pytasz?

- Katie, kochanie. Ja cię znam. Wiem, jaka jesteś. Znam twoje humory. - Muszę zaznaczyć, że żadne z tych stwierdzeń nie było prawdziwe, nawet odrobinę nie było bliskie prawdy. Penny знаła tylko Penny. Penny знаła się na interesach w świecie mody. Penny mogła się znać na szkockich tańcach, ale nic nie wiedziała o mnie. Cały problem polegał na tym, że rzeczywiście działo się coś złego. Po prostu nie mogłam przestać myśleć o Liamie. Jego twarz pojawiała się na misternych osiemnastowiecznych fasadach domów, jego głos szeptał w eleganckich korytarzach, jego uśmiech lśnił w srebrnych pasmach na szarobrazowych wodach rzeki.

- Nie mam zielonego pojęcia, o czym mówisz. Penny zamrugła oczami, lekceważąc mój sprzeciw.

- Kochanie, ja chcę ci pomóc. Wiem, o co chodzi. O Ludo, prawda?

Ludo? Co miała na myśli? Nie mogła o niczym wiedzieć. Chyba że Liam... nie, to niemożliwe. Penny tylko snuła domysły, próbowała mnie wybadać. Pomyślałam, że powinnam udawać niewinną, bo przecież taką byłam.

- Ludo jest cudowny. Co tu może być nie tak?

- Katie, jesteś bardzo dzielna, wiem jednak, że zżera cię niepokój. Nie nazwałabym tego niepokojem. Cholera, do czego ona zmierza?

- Chyba trochę się wstawiłaś - mówię bez złośliwości.

- Kochanie - odpowiada, ignorując moje słowa - musisz zrozumieć, że mężczyźni się od nas różnią. Mają silniejsze... namiętności.

Nie można ich winić jako jednostki; odpowiedzialność za to ponosi cały gatunek. Widziałam taki program telewizyjny: geny zmuszają ich do robienia różnych strasznych rzeczy. Musimy się nauczyć ich tolerować i nie zwracać na nich uwagi. Kłania się wiktoriańska hipokryzja.

Teraz już miałam mętlik w głowie.

- Jak to: silniejsze namiętności? Jakie straszne rzeczy? - spytałam, ale w tej samej chwili zaczęło mi świtać, o co jej chodzi. Sugerowała, że Ludo ma romans albo przynajmniej oddaje się - jakby to nazwał Hugh - „sianiu ziarna”. No i te brednie o tym, by ich nie obwiniać. Gdyby biedny Hugh kiedykolwiek wykroczył poza zwykły flirt, zaatakowałyby go nożyczkami, zanim by zdążył powiedzieć „Lorena Bobbitt”. Dlaczego Penny daje mi do zrozumienia, że jej ukochany syn zachowuje się jak młody byczek? Istnieje tylko jedna odpowiedź: Penny jeszcze nie odwołała swojej akcji mającej na celu rozdzielenie nas oraz ocalenie rodzinnych sreber przed zwykłą ekspedientką. Nie miałam pojęcia, czy ta najnowsza strategia została opracowana z wyprzedzeniem czy też zaimprovizowana. Tak czy siak, nie zamierzałam dopuścić do tego, by plan Penny się powiódł.

- Przecież Ludo nie ma żadnych namiętności - poza bielikami, socjalizmem i reformą programu nauczania. To dosyć nudne pasje, ale mi nie przeszkadzają.

- Oczywiście Ludo pozwala ci wiedzieć o pewnych swoich zainteresowaniach, ale ma też takie, które przed tobą ukrywa.

- Ależ Penny! Ludo jest najbardziej szczerą, najmniej skrytą osobą, jaką znam! Jestem pewna, że jako matka wolisz go uważać za niezłego szelmę, któremu kobiety nie potrafią się oprzeć, ale on po prostu taki nie jest. Kocham go, ale za to, co...

- Za to, co ma?

- Nie, za to, co ma w sobie.

Trochę mi było głupio za te słowa, wiedziałam jednak, że zwyciężyłam na polu moralności: na terenie, który nie jest mi jakoś szczególnie bliski, lecz na którym potrafię się odnaleźć. W każdym razie Penny zamilkła, choć może bardziej dlatego, że na stół wjechała jej sola oraz mój świński ryj niż z powodu mojej walki o honor jej syna oraz naszą miłość.

Żałuję, że nie mogę stwierdzić, iż Premiere Vision to niesłychanie interesujące i imponujące wydarzenie. Oczywiście dla osoby uzależnionej od tkanin to istny raj. Zjeżdżają się tam wszyscy ważni i większość nieważnych producentów z Europy. Ilu? Nie wiem: może tysiąc? Dwa tysiące? A to oznacza mnóstwo pysznego jedwabnego aksamitu, świetnej wełnianej krepy i wygodnej wiskozy. Targi te przyciągają projektantów mody z całego świata, którzy przyjeżdżają tu po natchnienie, desperacko usiłując opracować nowy fason - podobny, a jednak inny od reszty, nowatorski, a jednak dziwnie znajomy, na tyle niezwykły, by stać się przebojem sezonu i na tyle praktyczny, by chcieli go nosić wszyscy.

Przyjeżdżają też po to, by się nawzajem ukradkiem obserwować, by podstępnie odnotowywać kurs obrany przez konkurencję, by posyłać pocałunki i uśmiechy i żartować nieszczerze, by czasami zranić starego wroga lub nowego przyjaciela, pić szampana w barze na tarasie, śmiać się szyderczo, szpiegować, plotkować, szlochać.

Kiedy tylko człowiek przedrze się przez nadmiernie galijską ochronę (Penny nigdy nie broni się przed rewizją osobistą, podając siebie na tacy jak te ryby, które płyną na określone terytoria morza, by poddać się czyszczeniu przez mniejsze rybki), znajdzie się w pierwszej z trzech kolosalnych sal przypominających hangary. Kolosalnych, a jednak - z powodu przygnębiająco niskiego dachu, złowieszczych dźwigarów i bram - dziwnie klaustrofobicznych.

Przesuwając się od stoiska do stoiska, z wysoko uniesioną głową, i idąc majestatycznym krokiem, Penny znalazła się w swoim żywiole. Penny Moss, niewielka wzrostem, kiedy wchodziła na ring, stawała się gigantem. Ignorowała młodszych asystentów i wywoływała z ciemnych kątów dyrektorów fabryk, którzy wychodzili do niej, otrzepując marynarki z okruszków i uśmiechając się potulnie.

Moim zadaniem było dopilnowanie, by Penny nie popełniła poważniejszych błędów i by jej (jakże sporadyczne) przebliski inteligencji nie zostały przyćmione przez (coraz częstsze) gafy. Któż

by zapomniał o Roku Żółci i Fioletu? Pewnie się domyślacie, że moja taktyka polegała na tym, by Penny wierzyła, że każdy pomysł wyszedł od niej. Przerzucając próbki, natykała się na coś, co przykuwało jej wzrok i wydawała z siebie dźwięk wskazujący na zadowolenie lub wstręt. Wtedy ja się włączałam, delikatnie wyrażając swe poparcie lub jeszcze delikatniej - sprzeciw. Tak czy inaczej, zapadała właściwa decyzja. Być może w głębi ducha Penny uznawała, że mam pewien wkład - może nawet decydujący - w wybory, jakich dokonywałyśmy. Jednak na poziomie świadomości, a przynajmniej do tego momentu, gdzie świadomość znajduje ujście w słowach, całą robotę odwaliała ona sama, a moja rola sprowadzała się do bycia jej totumfackim, dziewczyną od przynoszenia kanapek i wołem roboczym.

Zachowywałam się bardzo grzecznie, ale nastrój miałam najgorszy z możliwych. Nieporadne próby Penny wyrwania Ludo z moich objęć - wybaczcie ten melodramatyczny ton - zmroziły moje serce. I to akurat w Paryżu, gdzie miałyśmy być przyjaciółkami, niemalże siostrami, gdzie dzieliłyśmy pokój i wspólnie jadałyśmy kolacje i gdzie wspólnie miałyśmy podbić świat. Wiem, że zemsta to danie, które najlepiej smakuje na zimno, to jednak nie powinno ograniczać moich możliwości: ja zaplanowałam cały bufet.

Cóż, skoro już kiedyś snułam takie plany, które jednak zawsze kończyły się jak weselny tort starej panny. Często planuję zemstę, kiedy jednak przychodzi co do czego, zapominam, co mnie wkurzyło albo po prostu tracę zainteresowanie i zadowolam się długą, plotkarską sesją z Veronicą. Penny była wyjątkowym przypadkiem. Zbyt ciężko pracowałam, by zdobyć swoją pozycję, teraz nie mogłam ryzykować, że ją utracę. Musiałam się pogodzić z tym, że Penny to wstrętna krowa.

Tak więc w miarę upływu czasu porzuciałam swoje kolejne plany ukarania jej, sabotażu, oszczerstwa i defraudacji. A jednak - jakby za sprawą jakiegoś dziwnego alchemicznego procesu - te głupie myśli, znikając, zostawiały po sobie dziwny osad. Osad ten uformował się w postać irlandzkiego kierowcy furgonetek. Oczywiście nie postanowiłam wykorzystać Liama jako zemstę na Penny, bo to by jej nie zraniło. Prawdopodobnie dałoby to wręcz przeciwny skutek: dostałaby moją głowę na talerzu. Była to raczej kwestia moralności. Złe traktowanie ze strony Penny usprawiedliwiało mój nieszkodliwie zły postępek.

Pod koniec dnia, kiedy Penny popijała grappę z Signorem Solbiati, smętnym mężczyzną w pogniecionym lnianym garniturze, zatopiona we wspomnieniach ze starym znajomym, zauważyłam, że w moją stronę zbliża się jakaś znajoma, elegancka postać, a za nią - mniej znajomy i mniej elegancki cień.

- Milo - powiedziałam - co powiesz na popis Penny na ostatniej imprezie? - Spodziewałam się protekcyjnego tonu, lecz czekało mnie rozczarowanie.

- Była gwiazdą wieczoru. Rozbijała imprezę, która zanosila się na straszne nudziarstwo. Po twoich narzekaniach nie spodziewałem się, że zrobi taką furorę.

- A więc miała rację. - Roześmiałam się.

- Rację?

- Podoba ci się.

Jego odpowiedź była bardziej przemyślana, niż złośliwa:

- Może gdyby była czterdzieści lat młodszym chłopcem... Chodźmy na lody. A przy okazji: to jest Claude, Claude Malheurbe.

Spojrzałam obojętnie na mężczyznę w średnim wieku u jego boku. Był wyjątkowo nieatrakcyjny, jego twarz wyglądała jak odwrócona do góry nogami. Miał na sobie czarną, jedwabną koszulę, spod której wyłaniał się blady tors, czarne, obcisłe spodnie i koszmarne, czarne buty ze szpiczastymi noskami. Jego włosy były długie i intensywnie pachniały żelam.

- Claude Malheurbe - powtórzył z naciskiem Milo.

- Bonjour, Claude - powiedziałam, nadal z pustką w głowie.

- Malheurbe od dekonstrukcji - syknął Milo.

Oczywiście. Kiedy to było? Pięć lat temu? Wtedy projektanci mody przejęli jakieś idiotyczne francuskie trendy i postanowili ujawnić do tamtej pory skrywany fakt, że ubrania powstają w wyniku uszycia. Dokonali tego, odsłaniając szwy i przewracając ubrania na lewą stronę lub do góry nogami. Za wszystkim stał Malheurbe ze swą książką „Hermeneutyka ubrania”, ulubioną pozycją świata mody, której nikt nigdy nie przeczytał. Projektanci upodobali sobie tego wcześniej nieznanego filosofa, a Malheurbe wyrwał się ze swojego prowincjonalnego liceum, by przez krótki czas błyszczeć jako gwiazda mediów. W tamtych czasach Malheurbe nosił berety i palił gauloises i dlatego teraz nie od razu go rozpoznałam.

Jego druga książka, „Trzewna moda”, która propagowała noszenie ubrań wewnątrz ciała, co miało obalić ostatnią błędną tezę „bilogizmu” głoszącą, że organy wewnętrzne wymykają się niekończącej się grze w znaczenia, jakimś cudem okazała się mniej popularna niż poprzednia i Malheurbe zniknął z firmamentu świata mody.

Sami widzicie. Moje trzy lata na wydziale projektowania mody nie poszły na marne.

- Milo, co ty tu robisz?

- To tajemnica. Nie mogę ci powiedzieć. Nie jesteś znana z dyskrecji. Pewnie dlatego mówią na ciebie „długi język”.

Malheurbe uśmiechnął się ironicznie, a może lubieżnie, odsłaniając poźółkły ząb.

- Dobra. Zresztą i tak mnie to nie obchodzi - powiedziałam. Milo wiedział, że nie udaję i wpadł w panikę.

- Och, no dobrze, nie musisz mnie torturować jak gestapo, przyznam się bez bicia. Wiesz, że XXX - tu wymienił nazwę szalenie znanej sieci domów mody, której pomimo mojego długiego języka naprawdę nie mogę wam zdradzić - schodzi na psy? Poproszono mnie o pomoc. Jestem tu po to, by - delikatnie rzecz ujmując - wszyscy się dowiedzieli, że dla nich pracuję.

- Myślałam, że to Swank zajmuje się ich PR - em.

- To prawda.

- Co więc ty robisz?

- Widzisz, mam sprawiać wrażenie, że to ja jestem ich PR - owcem.

- Ale wcale się tym nie zajmujesz?

- Nie.

- Nic z tego nie rozumiem.

- Słuchaj, to proste. Jaki jest wizerunek XXX?

- Stateczny, nudny, tani.

- Właśnie. A jaki wizerunek ma Smack? PR?

- Chyba dość wyluzowany. Ekskluzywny. Młody. Nieco narkomański, nieco klubowy.

- Trafiłaś w samo sedno, kochanie, dziękuję. Sama więc widzisz, że kiedy tylko rozejdzie się wieść, że XXX podpisał umowę ze Smackiem, cały świat - tu mam na myśli tę część świata, która się liczy, czyli nasz świat - pomyśli, że XXX zmienia swój wizerunek,

przyciąga nowych, młodych ludzi i tak dalej. A wiesz, jakie to ma znaczenie dla pewności na rynku akcji i dla cen udziałów.

- Ale przecież ty się nie zajmujesz ich PR - em! - Nie.

- Dlaczego?

- Dlatego, że moja technika PR raz na zawsze odstraszyłaby babcię. W ten sposób wszyscy wtajemniczeni wiedzą, że XXX jest trendy, a cała reszta dalej kupuje ich majtki. Słowo daję, że to natchniony, wręcz mistrzowski pomysł.

A Swank nie ma nic przeciwko temu? To ich nie stawia w zbyt dobrym świetle, prawda? To był ich pomysł.

- Co oni z tego mają?

- Ogromny prestiż w branży za to, że wymyślili ten plan i mnie zatrudnili. Taka będzie ich nagroda. Ci z PR - u uwielbiają takie rzeczy. Kiedyś PR - owcy będą rozmawiać tylko z innymi PR - owcami.

Tak więc Milo został opłacony przez firmę PR, by udawać, że robi PR dla firmy, którego PR już jest robiony przez inną firmę, która opłaciła Milo, by udawał, że robi dla nich PR. Jak się później dowiedziałam, na nieszczęście dla XXX rozgadał wszystkim, że tylko udaje. Oczywiście dla niego była to świetna reklama, gorsza jednak dla XXX. Chyba.

Stanęliśmy w kolejce po lody. Wyskrobałam sto franków na trzy małe lody. Skąpstwo Milo jeśli chodzi o drobiazgi było jego legendarną cechą - zrozumiałym, choć nieatrakcyjnym reliktem czasów ubóstwa. Poszliśmy, by zjeść lody, do smętnego ogródka ze wszystkich stron otoczonego szklanymi ścianami i gapiącymi się karłowatymi Japonkami.

Trochę mnie zdenerwowało uznanie Milo dla Penny, więc podrzuciłam mu parę przykładów jej komicznych błędów językowych i zamieszania, jakie się pojawiło w ich następstwie, a dotyczących głównie dość zabawnego systemu znaków w budynku. Milo kolekcjonował moje historyjki o Penny, które następnie w innych kontekstach przypisywał temu projektantowi, który go akurat czymś wkurzył.

Na dźwięk słów „językowy” i „znaki”, Claude pośpiesznie przełknął resztkę swoich lodów (nie wycierając jednak czekolady z górnej wargi) i zaczął mówić, wbijając wzrok gdzieś ponad moją głowę, jakby zwracał się do studentów na wykładzie.

- Mogę wytłumaczyć lęk, jaki twoja matka - MATKA! - czuje przed znakami.

Słowo „znaki” wypowiedział z dziwnie fetyszystyczną przyjemnością.

- Problem istnieje nie tylko tutaj. Teraz cały świat jest jednym wielkim tekstem, pisany tekstem: wszędzie widzimy słowa.

Chociaż z uprzejmości próbowałam go słuchać, głos Malheurbe'a wkrótce zaczął przypominać śpiew ptaków: dość melodyjny, ale jednak tylko hałas. Co jakiś czas docierały do mnie pojedyncze zdania:

- Jesteśmy nieświadomie, pasywnie uwikłani w słowa, w dekodowanie ich i odszyfrowywanie.

Już chwilę później znowu przestałam go słyszeć. Szybko mnie znudził. Spojrzałam ponad jego ramieniem i zobaczyłam, że pojawia się Penny ze swoją grappą i Signorem Solbiati. Sądząc po jej zbyt królewskiej postawie, tych grapp (jeśli tak brzmi liczba mnoga) było więcej niż jedna. Z umiejętnością dostrzegania ludzi, którzy nie chcą zostać dostrzeżeni, wypatrzyła naszą grupkę, pomachała ręką i ruszyła w naszą stronę.

- W społeczeństwach z okresu przedpiśmiennego naturalna próba zrozumienia otoczenia przybiera postać głębokiej więzi ze światem naturalnym. Tak więc każda cecha fizyczna ma swoje znaczenie, każda skała, każde drzewo i każdy zarodnik zwierzęcia nabiera znaczenia, treści, obrasta mitem.

Zanim Penny doszła do szklanego korytarza, musiała zmierzyć się z ogromną instalacją artystyczną. Co sezon stawiano nową, a tym razem była to potworna konstrukcja pod nazwą L'Esprit de Tissu, która składała się z chromowanej ramy w kształcie wigwamu oplątanej milionami sfatygowanych kawałków przędzy.

- Człowiek cywilizowany traci umiejętność odczytywania natury. Zamiast okrążyć przeszkodę (co, szczerze mówiąc, zajęłoby jej dobre pięć minut), Penny, w charakterystyczny dla siebie sposób, postanowiła przejść przez jej środek.

- Dopiero z przyjściem Romantyków i wynalezieniem wzniosłości naturę dało się ponownie zrozumieć jako coś „niezrozumiałego”.

Przypuszczam, że w zamglonych grappą oczach Penny ta strona instalacji, do której stała przodem, musiała wyglądać jak zasłona z



koralek, przez którą łatwo przejść, poza tym konstrukcja ta miała w sobie pewną lekkość, która wręcz zapraszała do środka. Bez chwili wahania Penny rzuciła się do wnętrza.

- Wiesz, kiedy określasz naturę mianem „wysublimowanej”, zastępujesz jeden, choć niewątpliwie złożony, element, wielorodnością znaczeń, które prymitywne ludy widzą w naturze.

Zza lekkich zasłon z przędzy widziałam zarys sylwetki Penny. W środku wigwamu straciła orientację i zaczęła po omacku szukać drogi wśród rozmaitych płaszczyzn i kątów.

- Aż w końcu znika nawet to, co wysublimowane - kto dzisiaj poza mną mówi o wysublimowaniu? - i pozostaje nam zwykła nowa, łagodna „natura”, miejsce, które ludzie bez stylu i rozmachu przemierzają w niedzielne popołudnia w towarzystwie brzydkiej żony, brzydkich dzieci i brzydkiego psa. Wybaczcie, ale ja nienawidzę tych ludzi.

Próby, jakie Penny podejmowała, by wydostać się z wigwamu, stawały się coraz bardziej rozpaczliwe, a ja z przerażeniem spostrzegłam, że cała konstrukcja zaczyna się chwiać. Nie tylko ja się zaniepokoiłam: w stronę L'Esprit de Tissu ruszyli zdenerwowani organizatorzy oraz paru żandarmów podnieconych perspektywą zastrzelenia antyartystycznego terrorysty, bezczeszczonego narodowy pomnik.

- Ale świat naturalny jest stracony dla języka, więc nasz świat społeczny i całe środowisko sprowadziły się do poziomu - jak już powiedziałem - słowa pisanego. Co się dzieje, kiedy ktoś się znajdzie w kraju, którego języka nie zna? (Mnie oczywiście to nigdy się nie przydarzyło, bo ja znam wszystkie języki świata).

Żandarmi i sługusy Premiere Vision próbowali sięgnąć do środka wigwamu, który jednak okazał się nie do zdobycia - pomimo mocnego już nadwyżnienia konstrukcji, energicznie potrząsanej przez trzęsienie ziemi w postaci jednej, jedynej kobiety. Zresztą kto mógł wiedzieć, jak bardzo uzbrojona jest terrorystka przebywająca w środku? Zebrał się spory tłumek: dyrektorzy w statecznych garniturach i ekstrawaganccy narkomani uzależnieni od mody - wszyscy zjednoczeni w żądzy krwi i słabej, lecz wcale nie płonnej nadziei, że L'Esprit de Tissu się zapadnie.

- Na przykład twoja matka. Coś ci powiem. Znajduje się na pozycji cywilizowanej osoby, która nie potrafi odczytać natury, więc

czuje strach, zawroty głowy, przerażenie, zagubienie i panikę. Myślę, że się o tym sama przekonasz. Co powiesz na seks?

Na dźwięk słowa „seks” odwróciłam uwagę od wciągającego widowiska, które się rozgrywało nieopodal. Rozejrzałam się. Milo gdzieś zniknął, zmija jedna. Pewnie przez cały dzień czekał na okazję, kiedy będzie mógł komuś podrzucić tego filozofa.

- Seks? - powtórzyłam nieco głośniejszym głosem niż zamierzałam, w rezultacie czego w naszą stronę odwróciło się parę głów. Zaskoczył mnie, chociaż bezceremonialne paryskie oferty nie były dla mnie niczym nowym i zawsze miałam pod ręką gotową strategię. - Przykro mi, ale teraz jestem zajęta. Może spotkamy się jutro wieczorem?

Wymieniłam nazwę kawiarni na Montmartrze, w której nigdy nie byłam i dokąd nie zamierzałam się udawać. To mój zwykły sposób na tego rodzaju próby podrywania. Zawsze działa. Jeżeli nie przyjdiesz na miejsce spotkania, facet myśli, że albo przydarzyło ci się coś tragicznego i poetyckiego i już na zawsze zachowuje cię w czulej pamięci, albo przeklina cię przez dziesięć minut, a potem zapomina.

Penny wreszcie wypadła z wigwamu. Jej włosy, przedtem upięte w ciasny i precyzyjny kok, rozpuściły się i opadły niechlujnie na jej twarz. Jeden z kosmyków przykleił się w poprzek czoła. Schludna spódnica do kolan jakimś cudem odwróciła się o sto osiemdziesiąt stopni, a rozporek oskarżycielskim gestem wskazywał na pępek. Widownia spontanicznie zaczęła klaskać i gniewnie posykiwać na żandarmów, którzy bardzo surowo potraktowali Penny.

- Napisz adres, proszę - zażądał Malheurbe. Naskrobałam coś na kartce, którą mi podsunął, on zaś poszedł sobie, pewnie myśląc, że wszystko, co się słyszy o Angielkach, to szczerą prawdą. Czar prysł i podbiegłam do Penny. Zanim dotarłam do tłumu, zobaczyłam, że ktoś mnie prześcignął. Milo, płynnym, melodyjnym francuskim, łagodnie uspokajał żandarmów i flirtował z oficjami Premiere Vision. Penny, niczym Maria Magdalena, spojrzała na swego wybawcę wzrokiem pełnym oddania i jestem pewna, że obmyłaby mu stopy, wytarła je własnymi włosami i namaściła wonnymi olejkami, gdyby tylko znalazł się niezbędny sprzęt oraz ustronne miejsce.

I na tym cały incydent się skończył. Nie wniesiono oskarżenia przeciwko Penny, a w wieczornych francuskich wiadomościach nie pojawiła się satyryczna informacja na ten temat. Następnego dnia nie różnił się od poprzedniego. Było tylko więcej tkanin, mniej filozofii,

no i zabrakło skandalu z Penny oraz artystyczną instalacją w roli głównej. W sobotę rano odbezpieczyliśmy naszą broń i zaatakowałyśmy sklepy Paryża. Potem już czekał nas tylko Eurostar i dom. I, tak, o wiele częściej myślałam o Liamie. I, tak, myśl o tym, żeby się z nim przespać - chociaż raz albo może i dwa razy, gdyby mi się spodobało - na dobre zagnieździła się w moim umyśle, podsycana przez nudę i złośliwość Penny. Ale nie, na tym etapie wierność, lojalność, oddanie i miłość nadal przeważały nad porzuceniem, pożądliwością (moje ulubione słowo w szkole, o seksowny panie Carapace, marzycielski zastępco na angielskim i obiekcie westchnień nastoletnich uczennic!) oraz zdradą.

Jeszcze jedno. Na dworcu i w pociągu ogarnęło mnie przedziwne uczucie, że ktoś mnie obserwuje, może nawet śledzi. Nie miałam na to żadnych dowodów, po prostu wyczuwałam, że gdzieś na peryferiach mojego wzroku czai się jakiś cień. Była to pewnie metafora.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Nie mogę zaprzeczyć, że ona jest moja, a ja należę do niej

Miło było wrócić do domu. Ludo skakał koło mnie jak szczeniaczek: gdybym mu pozwoliła, pewnie polizałby mnie po twarzy. Nawet kupił kwiaty, nie wiadomo jaki gatunek, ale jednak. Zjedliśmy obiad u Odette, w otoczeniu czarodziejskich, złotych luster, w których każdy - nawet brzydał - wygląda pięknie. Ludo sypał pomysłami i dowcipami oraz próbkami parodii, które trwały zaledwie po dwie sekundy, ale świetnie oddawały charakter naśladowanej osoby. Takiego Ludo lubiłam najbardziej: poważnego i jednocześnie głupiutkiego, wędrującego myślami po dziwnych i niekiedy mrocznych miejscach, lecz zawsze wracającego do świata z jakimś ładnym świecidełkiem. Kiedy Ludo zachowywał się w ten sposób, jak też się zmieniałam. Miałam ochotę brać udział w jego gierkach słownych, myśleć o poważnych rzeczach i oczyścić umysł z niepotrzebnych gratów, błahostek i plotek.

Tej nocy kochaliśmy się po raz pierwszy od tygodni. Był to jeden z najlepszych razy. Mówiłam wcześniej, że Ludo brakuje genu seksowności, ale to nie fair (pewnie już zauważyliście, że nie zawsze zachowuję się fair). Ja raczej zapomniałam o tym, że Ludo może być seksowny. Miało to jakiś związek z faktem, że uważał seks za coś zabawnego.

Tak, wszyscy wiemy, że dowcipni mężczyźni są seksowni, ale nie oznacza to, że i seks powinien być zabawny. Ludo miał w zwyczaju mówić niewłaściwe rzeczy w szczególnie... intensywnych chwilach. Likwidował w ten sposób napięcie i psuł nastrój. Najgorzej, kiedy zamieniał ciało (przeważnie moje) w rekwizyt rodem z komedii: łaskotał je, dmuchał na nie, cmokał, ssał - nie z pożądania, czy po to, by osiągnąć wyjątkową rozkosz seksualną, lecz po to, by sprawdzić, jak różne odgłosy ciało potrafi wydawać.

Tej nocy było jednak inaczej. Żadnego rozgniatania truskawek na moim brzuchu, tylko głęboki, długi pocałunek na szczycie schodów - taki pocałunek, podczas którego nie wiadomo, gdzie się kończy jedna twarz, a zaczyna druga. Nie przestając się całować, padliśmy na łóżko i Ludo znalazł się we mnie. Nie poruszał się, tylko leciutko pulsował, powolutku rosnąc. Postanowiłam udąć orgazm - widzicie? mówiłam, że nie jestem aż taka zła - ale po paru wstępnych jękach poczułam, że

zbliża się prawdziwa rozkosz. Zaszlochałam i z zaskoczeniem zaczęłam go kąsać w ramię i wtedy Ludo doszedł, roześmiany i uradowany.

W poniedziałek rano spóźniłam się do pracy. Ten jeden raz Penny przyszła przede mną. Była zapłakana. Suicie, nowa dziewczyna, obdarzona nieco większą inteligencją niż reszta, zawołała mnie, kiedy biegłam po schodach.

- Katie, lepiej uważaj. Penny ma kryzys.

- Jaki znowu kryzys? Chyba nie chodzi o tego cholernego Harveya Nicksa, co? Przysparza nam więcej kłopotów, niż jest tego wart.

- Nie, chodzi nie o niego, tylko o tę Nagrodę Dla Młodego Brytyjskiego Projektanta Mody. Ktoś nominował Penny, a potem jeden z jurorów zadzwonił, żeby sprawdzić jej wiek. Kiedy się dowiedzieli, że przekroczyła trzydziestkę, usunęli ją z listy nominowanych.

- O Boże. Ciekawe, kto ją nominował? Pewnie sama to zrobiła. Sukie raptownie wciągnęła powietrze i zachichotała. Wśród dziewczyn ze sklepu Penny nadal miała status bóstwa, i to potencjalnie okrutnego. Błuznierstwa zawsze je szokowały i ekscytowały. Nie byłam pewna, co myśleć o Sukie. Z pewnością była bystra i wiedziała, jak w odpowiednich chwilach okazywać entuzjazm. Przypominała nieco króla Ryszarda III - ciemnowłosego, z małym garbem i nieodgadnionym spojrzeniem. Uczyła się w żeńskim college'u Cheltenham i twierdziła, że to studia „uzupełniające”, choć nie sprecyzowała, co miałyby uzupełniać. Ogólnie rzecz biorąc, nie ufałam jej.

W biurze zobaczyłam mnóstwo ludzi. Hugh sterczał bezradnie, jak typowy Anglik. Tony, szwacz, szlochał ze współczucia razem z Penny, bezgłośnie powtarzając każde słowo z jej wypowiedzi. Obok stała Mandy, z zaciśniętymi zębami, gotowa do skoku.

- Powiedzieli, że jestem dojrzała. Dojrzała!

- Dojrzała - powtórzył Tony. - Jak mogli, co za potwory!

- Potwory - odezwało się echo, czyli Tony.

- Penny, kochanie, wiesz, może coś w tym jest - powiedział Hugh. - Sześć... y... pięćdziesiąt lat to, jak stwierdzili, dosyć dojrzały wiek jak na młodego projektanta. - Nigdy nie widziałam Hugh w

takiej rozterce. Bywał roztargniony, rozbawiony, rozwiedziony, ale nigdy w rozterce.

- Cóż - prychnęła Penny z rozdrażnieniem, poirytowana takim brakiem lojalności. - Sara Bernhardt zagrała Julię, mając sześćdziesiąt lat, drewnianą nogę i tylko jeden pośladek.

- Jeden pośladek? - zdziwiłam się.

- Tak, jeden pośladek. Ale oczywiście to było jeszcze zanim wynaleziono bicykl.

To stwierdzenie wywołało lawinę ciekawych, choć dość upiornych, pytań. W jaki sposób straciła ten pośladek? A może urodziła się tylko z jednym? I z którym? Brakowało go po tej samej stronie, gdzie miała drewnianą nogę? Czy nogę i pośladek straciła w jakimś straszliwym wypadku, w którym zasadniczą rolę pełnił jakiś dziwny sprzęt rolniczy z cepami i łopatami? A może Penny się przesłyszała? Może Sara straciła jakiś ślad albo coś pośledniego?

- Czy Voltaire przypadkiem o tym nie pisał? - zasugerował Hugh.

- O tak, grała wszystkie największe role.

- Nie, miałem na myśli tę historię o oblężeniu haremu...

- Sara Bernhardt - przerwała mu Penny tonem stanowczo nakazującym koniec tej rozmowy - nie należała do tego typu aktorek. Nie mówiąc o mnie.

Pół godziny później burza nieco ucichła. Wybuchy emocji u Penny były już legendarne. Hugh wykonał fachowy odwrót taktyczny, pozostawiając uspokajanie Penny jej pracownikom. Wysunęliśmy teorię, że Penny Moss to najwyraźniej zbyt uznana firma, by ją honorować miernymi nagrodami odpowiednimi dla nowicjuszy, którzy dopiero muszą się przebić, i że jurorzy nie wzięli nas pod uwagę, tak samo jak pominęli Gucciego, Maxa Mara czy Yves Saint Laurenta. Kranik w oczach Penny nieco przysechł, a ja - wyczuwając, że ta hiperbola przyniesie najlepsze rezultaty - wytoczyłam najcięższe działo:

- Penny, jesteś ostatnia z największych. Balenciaga, Dior, Chanel - wszyscy już przestali się liczyć. Zostałaś tylko ty, Penny. Musisz działać dalej, jesteś to winna światu.

- Tak, chyba masz rację - przyznała, ale z jej twarzy uszło całe życie i nagle Penny zaczęła wyglądać na swój prawdziwy wiek.

Zadzwoił telefon. Była to Sukie.

- Milo Mayerbeer do Penny.

- Milo! - powiedziała głośno. - Czego on chce? Penny przestała pociągać nosem.

- Milo? Milo! Och, zaproponowałam, żeby wpadł, by porozmawiać o naszym wizerunku. Przynajmniej tak mogłam się odwdziaczyć, po tym jak mnie wybawił z zamieszania z tą złośliwą instalacją. Poproś, żeby za pięć minut przyszedł na górę.

Nagle jej twarz znowu się ożywiła. Małe mięśnie zaczęły się napinać, rzeźbiąc piękno w miękkim cieście. Penny wytarła nos i oczy, pośpiesznie poprawiła makijaż. Kiedy Milo stanął na szczycie schodów, znowu wyglądała jak drag queen z jego snów.

Rada Milo była prosta: mniejsza dyskrekcja na temat naszych słynnych klientów, więcej kontaktów z wydawcami magazynów mody, może odrobinę śmielsze projekty. Od miesiąca to samo powtarzałam Penny, ale ją przekonały dopiero ciemne oczy i pełne usta Milo oraz czek na tysiąc dolarów (nie wspomniany podczas tej wstępnej pogawędki).

Tego popołudnia Penny zaczęła projektować kolekcję zimową. Dla mnie oznaczało to rozszyfrowywanie jej bazgrołów, przeglądanie rysunków i zdjęć, oraz zabawę próbkami z Premiere Vision. Z tej płataniny wkrótce zaczęły wyłaniać się pomysły. Z pojedynczej, sinusoidalnej linii w szkicowniku wyrosła suknia wieczorowa. Z rozmaitych rupieci, kapeluszem do przodu, narodził się idealny strój ślubny. Żakiety i spódnice powstawały jak wampiry, odrodzone z kupki popiołu za sprawą kropli krwi dziewczycy.

Przyglądałam się i wysuwałam swoje propozycje, rzucałam podpowiedzi i krytyczne uwagi. Przynosiłam jej rekwizyty, robiłam herbatę, uspokajałam ją i obsypywałam komplementami. Uwielbiam to. Wiecie, na samym początku troszkę skłamałam twierdząc, że nie chcę zostać projektantką mody. Oczywiście, że chciałam. Przecież po to poszłam na wydział projektowania mody. Po to podjęłam pracę w sklepie. Po to uwiodłam Ludo. Po to znosiłam kaprysy Penny. Ale każdy, kto pracuje w świecie mody, chce zostać projektantem, odnaleźć święty graal „kreatywności”. To żalosne, a ja nie chcę się wydawać żalosna. Nie wam. Nie wtedy.

Jestem świadoma tego, że przedstawiłam Penny w nieco groteskowym świetle. Musicie jednak pamiętać, że to nie wszystko. Penny miała w sobie to coś. Ciężko mi to przyznać, ale taka jest

prawda. I nie mam tu na myśli tylko niezachwianej wiary w siebie. Tej Penny miała aż w nadmiarze, ale to nie wystarczy. Nie, miała też inne cechy: w jej wnętrzu żył ludzik, który jej podpowiadał, co ludzie będą chcieli nosić, który jej szeptał, jak przekonać kobietę, że właśnie tę garsonkę powinna kupić, że w tej sukience będzie wyglądała najlepiej, że te stroje zapewnią jej pożądanie mężczyzn, podziw lub zazdrość kobiet i awans w pracy.

Na pewno znacie to uczucie. Przeglądacie się w zbyt małym lustrze w przebieralni i nie jesteście pewni efektu, więc wychodzicie boso, by stanąć przed dużym lustrem. Wygładzacie materiał na biodrach, odwracacie się na wszystkie strony, usiłując znienacka zaskoczyć własny tyłek. I zaczyna narastać w was radość - jakbyście wypili trzy łyki martini. Godziny pogoni za tym uczuciem, godziny niezadowolenia i rozpacz odchodzi w niepamięć. Sprzedawczyni grucha i wzdycha z zachwytem, a wy wiecie, że nie udaje i nawet się zastanawiacie, czy z wdzięczności nie kupić torebki do kompletu (ale nie robicie tego).

Penny opracowała pewną formułę, którą próbowała mi wbić do głowy, kiedy zaczęłam jej asystować przy projektowaniu. „Kochanie - mawiała. - Kobieta musi w tym się czuć bogato, chudo i ponętnie. Jeśli zostaną spełnione wszystkie trzy warunki, czyjś mąż będzie płakał nad swoją kartą kredytową”.

A więc Penny miała głowę na karku. Teraz trafiała do celu nie tak często jak wcześniej, ale jej wyniki nadal były wysokie. A ja się od niej uczyłam. Nadejdzie taki czas, kiedy to moje bazgroły i notatki ożyją i zawładną ulicami Londynu, a ja dorobię się własnej małej Katie Castle, która będzie dla mnie robić to, co teraz ja robię dla Penny.

Minał poniedziałek i wtorek. Nie zapomniałam o czwartku, ale bardziej bawiłam się tą myślą, niż rozważałam ją na poważnie. Pomagała mi spędzić wolne chwile, te cudowne, wolne chwile, kiedy nic się nie dzieje. Podobała mi się świadomość, że zachowałam się nierozsądnie, a jeszcze bardziej świadomość, że nie muszę robić kolejnych kroków.

Przyszła środa. Wpół do szóstej, właśnie kiedy zbierałam się do wyjścia, zadzwonił Ludo.

- Jestem w supermarkecie. Co dokupić?
- Dokupić? Do czego?



Na linii pojawiły się zakłócenia. Usłyszałam coś na temat Guinnessa.

O czym on mówił? O Guinnessie? Zrobiło mi się zimno. Czyżby wiedział o Liamie?

- Połączenie jest kiepskie. Co mówiłeś?
- Co dokupić do zapiekanki z wołowiny i Guinnessa?

Spokojnie, weź parę głębokich oddechów. Zapiekanka z wołowiny i Guinnessa to specjalność, jaką Ludo podaje na przyjęciach. Nagle wszystko mi się przypomniało. Parę tygodni wcześniej zaplanowałam przyjęcie. Przez Liama i Paryż zupełnie o tym zapomniałam. Cholera. Nie miałam do tego głowy. Zwłaszcza zważywszy na dobór gości.

- Och, warzywa albo jakąś sałatkę. Naprawdę wszystko mi jedno.
- Dzięki, bardzo mi pomogłaś. Co kupić do picia?
- Do zapiekanki z wołowiny i Guinnessa? Chyba Guinnessa?
- Przecież ty nie cierpisz Guinnessa!
- Ostatnio jest bardzo trendy.

Przyjęcie w środku tygodnia to istny koszmar - zwłaszcza jeśli to ty je wyprawiasz. Nie ma czasu porządnie posprzątać domu. Nie ma czasu ładnie się ubrać. Starcza go tylko na to, by z wierzchu ogarnąć salon i byle jak się umalować. Chyba oszalałam, skoro zaprosiłam gości na tuż po Premiere Vision. Dzięki Bogu, że Ludo lubi gotować. Nawet nieźle mu to wychodzi - to znaczy, dopóki się trzyma prostych, pożywnych potraw i nie eksperymentuje ze zbyt skomplikowanymi czy egzotycznymi daniami. Zawsze mówię, że gotuje jak kanibal: ogromny gar, z którego do połowy wystaje jakieś nieszczęsne zwierzę, i wielka chochla do mieszania. On zaś powtarza, że dla mnie sprzątanie jest jak jakaś sztuka walki: parę dzikich kopnięć i wymachów rękoma i cały pokój się poddaje.

Ponieważ był to środek tygodnia, zaprosiliśmy głównie znajomych drugiego sortu. Aha, i przyjaciół Ludo. Miał tylko dwóch bliskich znajomych: wspomnianego już wcześniej Toma, również nauczyciela, oraz Daniela, którego znał jeszcze ze szkolnej ławy. Tom był zdeklarowanym prostakiem z jakiegoś przygnębiającego miasteczka w środkowej Anglii: Birmingham, Nottingham czy innej miejscowości pełnej fabryk. Był całkiem zabawny, łącząc w sobie pewien prymitywizm ze sporadycznymi napadami surrealistycznego

poczucia humoru. Wszyscy moi znajomi nienawidzili go i się go bali, przez co niekiedy bywał pożyteczny.

Daniel prezentował się o wiele bardziej przyzwoicie. Pracował w domu aukcyjnym, choć dość poślednim, przez co jego biedny, ale dumny wygląd był do przyjęcia. Żaden z nich nie miał dziewczyny. Tom był na to zbyt okropny, Daniel - zbyt miły.

Jak na ironię, atmosfera tego wieczoru była nieco irlandzka. Pojawił się nie tylko Guinness. Zaprosiłam też dziennikarkę zajmującą się modą, której imię przypominało coś w rodzaju Blaranugh Eroughnagh. Wymawiano je jednak jako „Blahna” i tak zamierzam ją dalej nazywać. Była pulchna i dość niejednoznaczna, miała te celtyckie oczy o zamglonym spojrzeniu. Nigdy nie mogłam dojść, czy to jej sztuczka, czy też zwykła głupota. Pracowała w mniej więcej poważanej niedzielnej gazecie i chociaż można by pomyśleć, że w moim świecie jej pozycja powinna robić pewne wrażenie, powszechna opinia była taka, że Blahna jest miałka. Nigdy nie dorobiła się tego kręgu „dupowłazów”, których kaprysy stają się instrukcjami dla krojczych i napędzają maszyny do szycia. Powinnam podkreślić, że wbrew swojemu nazwisku Blahna tak samo pochodziła z Irlandii jak i ja. Jej rodzice - stateczni mieszczaństwo ze Stevanage - wybrali to imię z „Oksfordzkiego przewodnika po pretensjonalnych imionach, których żaden normalny rodzic nie nadałby swojemu dziecku”.

Luke, jej mąż, mecenas zajmujący się prawem handlowym, był bardzo oschły, a wręcz wyschnięty na wiór. Zupełnie jak pustynia Gobi. Jak Namibia. Miał irytujący zwyczaj patrzenia na rozmówcę jak na powietrze, więc w jego obecności nie sposób było się nie jękać, i nosił okulary bez oprawek, które nadawały mu wygląd lekarza z obozu koncentracyjnego. Nigdy nie zrozumiem, jak wytrzymał z celtycko romantyczną Blahna. Przyjęcie to wydaliśmy głównie z myślą o nich, gdyż już od roku czy dwóch im to obiecywaliśmy.

Miały też przyjść Kookai i Kleavage - dlatego, że one bywały wszędzie, a jeśli ktoś nie chciał, żeby przyszły, powinien się do nich zwrócić osobiście i powiedzieć, że nie są zaproszone, co zazwyczaj przynosiło więcej kłopotów niż korzyści. Tak czy inaczej może opowiedzą kilka nowych historyjek Milo.

I wreszcie stawiała się zawsze wierna Veronica. Veronica to moja najstarsza przyjaciółka. Znamy się od zerówki w East Grinstead. Byłam jej idolką. Zawsze naśladowała mój sposób ubierania się.

Starala się mówić i chodzić tak samo jak ja. Niekiedy brano nas za bliźniaczki - nie z powodu podobieństwa fizycznego (ble), nie, Veronica zdecydowanie znajduje się na niewłaściwym końcu skali - ale dlatego, że ona zachowywała się jak aktorka grająca mnie samą, a jej występy niekiedy były genialne.

Oczywiście wszyscy się spóźnili. Daniel i Tom pili w miejscowym pubie, którego jeszcze nie przerobiono na restaurację. Ludo poszedł do kuchni z butelką wina, co oznaczało, że nie musiał uczestniczyć w gorączkowej rozmowie wstępnej. Chłopcy przynieśli siatki pełne puszek i butelek piwa. Dziewczyny przyniosły kwiaty. Luke i Blahna nie przynieśli nic, co dosadnie świadczy o stanie ich konta.

Faza pogaduszek wypadła bardzo kulawo. Po prostu nie chciało mi się występować w roli katalizatora. Prawda jest taka, że ci ludzie nic mnie nie obchodzili. Nie byli częścią mojego planu, w najlepszym razie odgrywali drugoplanową rolę. Ci od mody - Blahna, Kookai i Kleavage - mieli niewiele do zaoferowania pod względem wpływów czy informacji - a pozostali nie byli dość zabawni, by nadrobić swój brak znaczenia.

Veronica różniła się od nich. Co nie znaczy, że była lepsza, pod wieloma względami była wręcz gorsza. Ale inna. Widzicie, my się przyjaźniłyśmy. Mam taką teorię, że przyjaźń nie ma nic wspólnego z sympatią. Można lubić wiele osób, a jednak nie zaprzyjaźnić się z żadną z nich. I (przyznaję, że ten argument jest dosyć kontrowersyjny) - można się zaprzyjaźnić z osobami, których wcale się nie lubi. W przyjaźni musi więc chodzić o coś innego, zaś mnie wydaje się, że tym czymś jest - ani wazicie się śmiać - przeznaczenie. Za przyjaciela uważam osobę, której życie tak się splotło z moim, że niezależnie od wszystkiego pozostanie ona w nim już na zawsze. Taka właśnie była Veronica.

Tego wieczora moje zainteresowanie mógł wzbudzić jedynie luźny plan wyswatania Daniela z Kookai. Albo Toma z Kleavage. Albo na odwrót. Tak czy siak, zadanie nie należało do łatwych. Problem nie polegał na kierunku chłopak - dziewczyna. Cokolwiek by o nich mówić, Kookai i Kleavage oka nie męczą - w końcu obie pracują w PR. Bardzo mnie martwiło przestrojenie K&K na częstotliwość T&D. Ale oczywiście zapomniałam o Wielkiej Zmianie. Co to jest Wielka Zmiana? Chodzi o to, że kiedyś było mnóstwo

chłopaków, z desperacją szukających dziewczyn, które stanowiły mniejszość, zaś teraz mnóstwo dziewczyn bije się o coraz mniej liczną garstkę przyzwoitych mężczyzn. „Przyzwoity” nie musi oznaczać „przystojny, inteligentny, błyskotliwy czy mądry”. „Przyzwoity” to „nie dziwaczny, psychiczny, zdeformowany albo bankrut”. W jakiś skomplikowany sposób, którego nigdy nie potrafiłam rozgryźć (można by tu użyć suwaków albo tablic logarytmicznych, ale nie kalkulatorów), wiąże się z tym fakt, że każda dziewczyna - nawet pucołowata, pryszczata, zezowata, obrzydliwa nudziara o krzywych zębach, rozdziawionej gębie, sianowatych włosach i iksowatych nogach - uważa, że zasługuje na Jude'a Law.

Dopiero kiedy zasiedliśmy do stołu, uświadomiłam sobie, że chociaż ja musiałam pokonywać wyjątkową irytację, Kookai i Kleavage były porażone zwykłymi, absurdalnymi wygłupami chłopców. Ludo wykonał większą część roboty przy daniu głównym, lecz i tak musiałam ciągle kursować do kuchni, a za każdym razem, kiedy wracałam, pojawiał się nowy temat: własnoręcznie robiona biżuteria z żelków, tajemne treści odkrywane w czekoladkach. W pewnym momencie Tom oznajmił, że zamierza dokonać inwazji na Indie.

- Pewnie cały subkontynent trzęsie portkami ze strachu - rzucił Luke, który nigdy nie przegapi okazji do wypowiedzenia jakiejś ironicznej uwagi.

- Nie, to proste. Każda inwazja na Indie się powiodła.

- Bzdury. A Japonia? - powiedział Daniel.

- Nigdy nie wykroczyli poza Birnę, więc technicznie rzecz biorąc, nigdy nie dokonali inwazji na Indie. Chodzi mi o to, że albo mi się uda i zostanę cesarzem lub będę czczony jako bóstwo, albo spieprzę sprawę i trafię do księgi rekordów jako pierwszy człowiek, któremu nie udało się podbić Indii.

- Nie podoba mi się twój pomysł - stwierdziła Kookai, marszcząc śliczne brewki. Pewnie uwierzyła, że Tom rzeczywiście zamierza wyskoczyć z okrętu desantowego na plażę w Bombaju. - Nie możesz najechać na jakiś inny kraj? Na przykład na Danię albo Paragwaj?

- Bułka z masłem. Ale jeżeli mnie ładnie poprosisz, zastanowię się nad tym.

Następnym razem, kiedy przyszedłam z butelką wina, roztrząsano temat rozmiarów genitaliów u małp człekokształtnych. Tym razem rej wodził Daniel:

- ...wszystko zależy od zwyczajów godowych. Goryle żyją w rodzinach, gdzie jeden wielki samiec ma prawo do wszystkich samic. Nie potrzebują więc... no wiecie, odpowiedniego sprzętu - bo nie istnieje konkurencja. Z drugiej strony szympanse żyją w licznych grupach, gdzie każdy uprawia seks z każdym. Kiedy samica ma ruję, każdy samiec może ją przelecieć. Wygrywa ten z największym i najlepszym sprzętem - po prostu wypłasza rywali.

Kleavage rzuciła mu twarde spojrzenie, od którego aż się zarumienił.

- A co z wami, chłopcy? Przypominacie bardziej szympanse czy goryle? A może jedni z was to szympanse, a inni - goryle?

- Nnno cóż - wyjąkał Daniel, który rozpoczął swe rozważania w duchu naukowych dywagacji, nie spodziewając się, że sprawy przybiorą taki obrót. - To szalenie interesujące, gdyż ludzie znajdują się w połowie drogi pomiędzy szympancami a gorylami, jeśli chodzi o... yyy... rozmiary. Nasuwa się wniosek, że nasze zwyczaje godowe zawierają elementy zwyczajów obu tych gatunków. Tradycje rodzinne plus odrobina niewierności z obu stron.

- Co za brednie - powiedziałam, zamierzając rozładować atmosferę, ale również ratując Daniela z opresji tak wielkiej, że z zakłopotania zaczerwieniły mu się nawet dłonie.

No dobrze, może i było zabawnie, ale rozmowa ani trochę nie dotyczyła mody. A nawet gdyby, to myślę, że z każdym łykiem gorzkosłodkiego Guinnessa odpływałabym coraz dalej - nie w romantyczny świat Celtów, lecz w objęcia bardzo realnego i krzepkiego Celta. Bardzo was za to przepraszam.

Veronica przyszła do mnie do kuchni.

- Ludo jest cudowny, prawda?

- Jest w dobrej formie.

- Ustaliliście już termin ślubu?

Tego pytania nienawidziłam najbardziej. Nie dało się z niego wybrnąć w sposób inteligentny i błyskotliwy i nie znajdowałam odpowiedzi, za sprawą której nie wyszłabym na idiotkę.

- Jeszcze nie mamy konkretnego dnia. Raczej porę roku.

- O, to miło. Mniej więcej kiedy?

- Mniej więcej niedługo.

- Pewnie sama zaprojektowałaś sobie suknię ślubną. Będzie piękna?

- Słuchaj, Tom zachowuje się jak goryl, a Daniel jak szympan. Lepiej już do nich wracajmy.

Chłopcy jak zwykle rzucili się na zapiekankę z wołowiny i Guinnessa, a dziewczyny ledwo ją skubnęły: bawiły się nią, przesuwały po całym talerzu, by w końcu zostawić prawie wszystko. Koło jedenastej zaczęłam przebąkiwać, że następnego dnia muszę wcześniej wstać, by projektować kolekcje ubrań i zająć się sklepami. Blahna podjęła nieśmiałą próbę wyciągnięcia ode mnie trendów na następną zimę, ale ją zbyłam, ziewając i rzucając parę ogólników o tym, że szkocka krata zastąpi modę na brąz, a aksamit ustąpi miejsca tweedowi. Możliwe, że nawet dodałam jakąś głęboką myśl o odwrócenie mini. Blahna zapisała to sobie ołówkiem w czarnym notesiku, wysuwając koniuszek języka z jednego kącika ust. Tego roku panowała moda na całowanie się w oba policzki, więc pożegnanie ciągnęło się w nieskończoność, ale wreszcie poszła sobie nawet Veronica, rzucając przez ramię ostatnie pełne miłości spojrzenie.

- Wszystko w porządku, kochanie? - spytał Ludo, kiedy ładowałam naczynia do zmywarki.

- Yhm. Nieźle poszło, prawda?

- Tak. Wiesz, myślę, że Daniel spodobał się Sarennie. A może Tom? A może Tom spodobał się Ayeshy? Nie, ona wolała Daniela. Już sam nie wiem. Ktoś się komuś spodobał.

Ayesha? Sarennia? Kto...? A. Kookai i Kleavage. Zupełnie zapomniałam, jak mają na imię.

Oczywiście w normalnej sytuacji dobrze bym się orientowała, kto się komu spodobał. Przecież po to tu jestem. Umiem odczytywać sygnały. I znowu - wszystko ma związek z koncentracją. Zadurzona dziewczyna atakuje chłopaka jak sowa myszkę, poza nim wszystko przestaje dla niej istnieć, skupia się tylko na swojej ofierze. Ale by odczytać te sygnały, sama powinnam się skoncentrować, a przedmiot mojego zainteresowania był gdzie indziej.

- Muszę ci coś powiedzieć - odezwał się Ludo. - Nie chciałem poruszać tej sprawy przy ludziach.

Nagle wróciłam myślami do kuchni. Słowa Ludo mogły oznaczać tylko jedno.

Datę ślubu.

Ustalił datę ślubu!

Odkąd stało się jasne, że się pobierzemy, termin ten - wbrew mym wyteżonym wysiłkom - pozostawał wkurzająco niejasny i sprowadzał się do „kiedyś w przyszłym roku”. Dostyc tego. Chciałam usłyszeć: 29 lipca, 3 sierpnia, 15 czerwca, jakąkolwiek realną datę, dzień, w którym rodzą się i umierają prawdziwi ludzie, dzień, w którym się pobierzemy. Wyskoczyłam - tak, dosłownie wyskoczyłam - do góry, piszcząc jak nastolatka.

- Kiedy, kiedy, kiedy? - zaczęłam się dopytywać, podskakując. - Kocham cię, kocham cię, kocham cię.

Ludo posłał mi ten swój cudowny, nieśmiały uśmiech, nie zarozumiały grymas gwiazdora, ale cudownie ludzki, łagodny i pełen miłości uśmiech: uśmiech mojego mężczyzny.

- Nie wiedziałem, że aż tak ci na tym zależy. W przyszłym miesiącu.

Moje piski ucichły jak karaluch pod butem.

- Słucham? Co ma być w przyszłym miesiącu?

- Magazyn. Magazyn z moim wierszem. „Londyński przegląd poezji”.

I wtedy zrozumiałam, o czym mówi. Zainspirowany skupioną na sobie kobietą z drugiej strony placu, tą, która włożyła głowę do piekarnika jak ciasto, Ludo zabrał się do pisania wierszy. Jak przez mgłę pamiętałam, że coś tam wysyłał. Pamiętałam też jego cichą rozpacz, kiedy wracały. Pewnie teraz chodziło mu o to, że przyjęto któryś z jego wierszy.

- Chcesz zobaczyć, który wydrukują?

- Czemu nie?

Czy on jest ślepy, czy głupi? Jak mógł nie zauważyć, że czuję się zraniona? Ale nie, on, rozentuzjasmowany tym, co uznał za mój zachwyty jego głupim sukcesem, pobiegł do pokoju i wrócił z kartką papieru formatu A4.

- Przed wysłaniem nie pokazałem ci go. W szóstym wersie jest wyjątkowo udany przykład nieregularnego rytmu... - Obojętnie wzięłam od niego kartkę. Po przeczytaniu dwóch linijek, czyli gdzieś po ośmiu sekundach, już płakałam. Oto, dlaczego:

We śnie

We śnie ma ukochana rośnie w całej swej krasie

Rozchyła usta i chrapie  
Przez zaślinione usta. Szerokimi biodrami  
Brnie przez sny z owłosiona, małpią  
Obojętnością. Jak stary pies, co ze sterty drewna  
Przy kominku skacze za urojonymi zajęcami,  
Tak ona we śnie goni za czekoladkami,  
A potem uśmiecha się słodko jak pralinka.  
Nieprzenikniony kaftanik i spodnie  
Oblekają ją w prawdziwą, tyrańską niewinność  
Skóra gruba jak u nosorożca między nami.

Marzę o francuskich majtkach  
Z delikatnej, czarnej koronki. Ale ma ukochana się porusza  
I jak mogę zaprzeczyć, że należy do mnie, a ja do niej?

Co wy byście zrobili na moim miejscu? Podarłam kartkę na kawaleczki i wyrzuciłam je do śmieci. Potem wyjęłam je z kosza, i wdeptałam w drewnianą podłogę.

- Katie, co się stało? - spytał Ludo płaczliwym tonem. - Czy to dlatego, że forma jest tak konwencjonalna? Ostatnio nastąpił powrót do form tradycyjnych, pod warunkiem, że traktuje się je z dużą dozą wyobraźni. Dlatego właśnie użyłem rytmu nieregularnego i asymetrycznych ceszur. A może uważasz, że sonety Petrarke są lepsze od sonetów Szekspira? Moim zdaniem Petrarca nie sprawdza się po angielsku, po prostu w naszym języku - w przeciwieństwie do włoskiego - nie ma dość rymów, więc zawsze wydają się wymuszone.

- Ludo, na miłość Boską, czy ty nic nie rozumiesz? Całemu światu powiedziałaś, że jestem gruba i brzydka, że wyglądam jak stary pies albo nosorożec! Co sobie ludzie pomyślą? Jesteś draniem, skończonym draniem. Nienawidzę cię.

- Ależ kochanie, który z twoich znajomych choćby słyszał o „Londyńskim przeglądzie poezji”? To niskonakładowe czasopismo mające czterystu czytelników i możesz być pewna, że żaden z nich nie ma żadnego związku ze światem mody. Poza tym to tylko wiersz. To sztuczny konstrukt, który nie ma nic wspólnego ze światem rzeczywistym. To artefakt stworzony ze słów. Nie jest prawdziwy. Nie jest o tobie. Może mówić o kimkolwiek. Albo o nikim.

- Ludo - powiedziałam. - Tak?



- Czy mógłbyś wziąć swój szekspirowski sonet, swoje asymetryczne cezury i goryle... i wsadzić je sobie do dupy w takim rytmie, jaki ci odpowiada, nieregularnym lub nie?

Po czym poszłam do łóżka, jasno dając Ludo do zrozumienia, że nie oczekuję tam jego towarzystwa.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

### Zły uczynek

Takie jest tło. Wszystko wam wyjaśniłam: niejasne uczucie niezadowolenia, które z kolei przerodziło się w ochotę na ostatni skok w bok, zanim zwinę się w kłębek jak kot w spokojnym, miłym, bezpiecznym ognisku domowym. Ogólne rozdrażnienie wywołane przez Penny, które stało się wątpliwym moralnie uzasadnieniem dla każdego aktu zdrady z mojej strony. Pojawienie się szansy w moim życiu w postaci zniewalającej osoby Liama. Oraz potężny szok po przeczytaniu wiersza.

Żaden z tych elementów z osobna nie nakłoniłby mnie do zrobienia tego, co zrobiłam. Często się zastanawiam, co by się stało, gdybym tamtego dnia wykreśliła się od wizyty w magazynie albo gdybym nie spotkała tam Liama, gdyby ten cholerny „Londyński przegląd poezji” nie przyjął idiotycznego wiersza Ludo albo gdyby Penny nie była taką krową. Nie twierdzę, że zostałamby kandydatką do wyniesienia na ołtarze, że starsze panie w Peru twierdziłyby, iż wyleczyłam je z brodawek lub nieregularnych okresów, a pielgrzymi udawaliby się do East Grinstead, by kąpać się w cudownych wodach tryskających ze skalniaka w ogródku mojego taty, ale jestem pewna, że nie wpakowałabym się w aż tak wielkie tarapaty.

Tej nocy nie spałam dobrze. Całymi godzinami - z tą nadnaturalną koncentracją, której człowiek nabywa, kiedy jest wyjątkowo wkurzony - leżałam, wsłuchując się w muzykę nocy: rozmawiające ze sobą alarmy samochodowe, głośny łomot kół nocnego pociągu, który według Ludo przewozi odpadki nuklearne przez samo centrum Londynu, dziwne dźwięki przypominające płacz pieczonego żywcem dziecka albo miauczenie kotów pieprzających się za domem, zdumiewająco wyraźne odgłosy sikania za ścianą. Miałam gonitwę myśli. W moim umyśle obrazy wywołane przez nocne hałasy mieszały się z wydarzeniami minionych paru dni, tworząc collage przyprawiający o mdłości i zawroty głowy. Próbowałam się uspokoić, wyobrażając sobie cudowne buty od Manolo Blahnika, Giny i Jimmy'ego Choo, które kiedyś całymi rzędami będą stały w moim domu - jak u Imeldy Marcos. Buty te ciągle jednak były przejeżdżane przez nuklearne pociągi, noszone przez pieczone dzieci, pieprzone przez rozszalałe koty lub obsikiwane przez staruszków zza ściany.

W końcu, szukając oazy spokoju w całym tym horrorze, skupiłam się na Liamie. Jego twarz, podobnie jak głos, jednocześnie przynosiła mi ulgę i podniecała. Jego wąskie biodra, sprężysty krok, dłonie - o długich palcach, lecz stwardniałe od pracy - już tylko mnie podniecały. Zupełnie odruchowo zaczęłam robić coś, co nigdy przedtem mi się nie przydarzyło. Snułam fantazje na temat mężczyzny, mężczyzny z krwi i kości, który żył w prawdziwym świecie. Oczywiście wcześniej zdarzały mi się długie, erotyczne fantazje - przynajmniej raz, a często i dziesięć razy dziennie - ale wszak piękno fantazji polega na tym, że nie muszą, a wręcz nie powinny, mieć żadnego związku z rzeczywistością. W szkole, kiedy siedziałam w klasie, przychodzili do mnie bezimienni, idealni chłopcy, którzy mi całowali i pieścili, a ja pod ławką zaciskałam nogi. Jestem pewna, że jedna z nauczycielek, panna Plenty, wiedziała, co robię, ale tylko uśmiechała się lekko i spoglądała na mnie swymi jasnoszarymi oczami. Później ci sami chłopcy nadal do mnie przychodzili. Często, kiedy Penny myślała, że usiłuję rozwiązać jakiś szczególnie skomplikowany problem produkcyjny lub siedzę skupiona nad katalogiem z próbkami, ja drżałam, zarumieniona, mocno wbijając sobie paznokcie w dłonie.

Nigdy, poza jednym wyjątkiem, nie zamieniłam tych cudownych, czystych, eterycznych postaci na gwiazdy muzyki pop czy aktorów.

Wyjątkiem tym był David Bowie, który niczym duch wstępował w chudą, przyszczatą osobę Connora O'Neila, kiedy, obserwowani przez Veronikę, całowaliśmy się w dyskotecę u Metodystów.

Teraz jednak przywołałam Liama, dotykałam swoich piersi jego dłońmi, wiłam się i falowałam w rytmie, który mu nadałam. Wreszcie odegnałam od siebie odgłosy nocy i usnęłam z wilgotną ręką nadal między udami.

Cóż, przynajmniej na mojej twarzy pojawił się uśmiech.

A potem przyszedł ranek. Włączył się budzik w radiu, które było nastawione na Radio 3. Stacja ta mnie irytowała, więc przełączyłam radio z powrotem na czwórkę i odwróciłam się na drugi bok, żeby zagnać Ludo do kuchni. Po sekundzie czy dwóch dźgania łokciem poduszki, powietrza i kołdry uświadomiłam sobie, co się stało. Poranna herbata zawsze była naszą ulubioną porą dnia: omawialiśmy wtedy, co będziemy robić i śmialiśmy się ze wszystkiego. Ale nie

dzisiaj. Byłam zbyt obrażona, żeby przytulić się do niego na kanapie, gdzie pewnie spędził tę noc.

Dobór ubrania stanowił dla mnie pewien problem. Jeżeli mam się spotkać z Liamem, pójdę prosto z pracy, więc mój dzisiejszy strój musi się nadawać zarówno do pracy, jak i na wieczór. Dziewczyny w sklepie znajdują się na ciuchach jak Eskimosi na śniegu: potrafią dostrzec niuanse niewidzialne dla niewprawnego oka. Jeżeli za bardzo się wystroję, domyślą się, że gdzieś wychodzę. I to nie z przyjaciółkami.

W końcu zdecydowałam się na bieliznę firmy La Perla (wiem, że to dość oczywiste, ale niekiedy to, co oczywiste, okazuje się najwłaściwsze), marynarkę od YSL, którą kupiłam w sklepie z używaną odzieżą, džinsy od Chloe w kolorze indygo i zabawne klapki na obcasie ozdobione puszką. Złapałam teczkę od Billa Amberga - uroczy prezent od Milo, który zajmuje się PR, a raczej zajmował, zanim go zwolniono za wynoszenie zbyt wielu bonusów dla swoich kochanków, i poszłam na kawę do baru za rogiem. Przez dwadzieścia minut siedziałam przy oknie. Wypaliłam aż trzy silk cuty, a z każdym płytkim zaciągnięciem moje serce twardniało coraz bardziej.

Nie zapisałam sobie nazwy pubu, ale pamiętałam ją. Jeszcze się nie zdecydowałam, czy tam pójdę, ale wiedziałam, że na pewno nie zrezygnuję tak całkiem. Wiecie, co mam na myśli? Perspektywa wieczoru w Kilburn stanowiła dla mnie większą przeszkodę niż niewierność. Byłam tam tylko raz i to przez pomyłkę. To koszmarnie miejsce. W Brixton może i jest trochę niebezpiecznie, ale przynajmniej fajnie, poza tym są tam knajpy, które rzeczywiście warto odwiedzić. Natomiast wydawało mi się, że Kilburn to zapuszczona ulica pełna sklepów dla ubogich ludzi, gdzie można kupić tanie baterie i sprzęt kuchenny z Europy Wschodniej i gdzie wszędzie na chodnikach leżą pijacy, kobiety chodzą bez rajstop, brudne, małe dzieci kurczowo czepiają się wózków spacerowych, starsi ludzie z powodu niskich emerytur nie mają dokąd pójść, a brzydki mężczyźni z psami gapią się na ciebie z nienawiścią i mają ochotę cię zamordować. Takie właśnie myśli chodziły mi po głowie w ciągu siedmiu minut, jakie poświęciłam na łapanie taksówki, która miała mnie stamtąd zabrać.

W południe Ludo zadzwonił z przeprosinami.

- Przepraszam. Chyba rozumiem, dlaczego się zdenerwowałaś. Zachowałem się nieładnie.

- Dajmy temu spokój - powiedziałam, wypluwając słowa jak przekleństwo.

- O Boże - Ludo się zaniepokoił. - Znowu się zacięłaś w sobie, prawda?

- Tak, rzeczywiście. Gdybyś dziś rano był w kawiarni, usłyszałbyś jak moje serce twardnieje, jak lód w zamrażarce.

- Nie rób tego, proszę. Słuchaj, zrobię dla ciebie głupią minę. Wiesz, że to zawsze cię rozśmiesza. Gotowa? Uwaga.

Na pięć - sześć sekund w słuchawce zapadła cisza.

- Nie śmiejesz się, prawda? - Nie.

- No dobrze. W takim razie teraz będę udawać małpę. To zawsze działa.

Byłam zdecydowana nie roześmiać się. Gdybym to zrobiła, zalałaby mnie fala miłości i nie mogłabym zrobić tego złego uczynku, a bardzo go pragnęłam.

- Przestań już. Nie jestem w nastroju. Daj mi parę dni, samo mi przejdzie.

- Nie mogę czekać parę dni. Źle się z tym czuję. Dałbym wszystko, żeby odrzucili ten wiersz.

- Nie zrobiłbyś tego. To ja bym oddała wszystko. Chciałbyś, żebym wszystkim powiedziała, że ci nie stanął?

- To niesprawiedliwe. Ile razy to się zdarzyło? Dwa?

- Właściwie cztery, ale nie o to chodzi. Chodzi o to, że nawet gdybyś usiadł z najwybitniejszymi umysłami w historii świata, z Albertem Einsteinem, Marią Curie, Izaakiem Newtonem i Vivienne Westwood, to i tak nie moglibyście wymyślić gorszej obelgi.

- Przecież przeprosiłem. Próbowałem wytłumaczyć, że w tym wierszu nawet nie chodzi o ciebie. Nie wiem, co jeszcze mogę zrobić. Chodźmy wieczorem się upić i wszystko samo się ułoży.

- Przykro mi, ale na dzisiaj umówiłam się z dziewczynami.

- Z jakimi dziewczynami? - spytał ze smutkiem, ale bez cienia podejrzliwości.

- No, z dziewczynami, głuptasie. - Wiedziałam, że nie będzie się dopytywać.

- Aha. Ale żartowałaś, kiedy porównałaś Vivienne Westwood do Isaaca Newtona, prawda?

- Ludo, słowo daję! A wydawało mi się, że ironia to cecha mężczyzn!

Była za pięć szóstą. Penny wyszła dużo wcześniej. Pracownia szybko pustoszała. Dziewczyny w sklepie zastygły w bezruchu jak czaple nad stawem, czekając, aż drzwi się zamkną i będzie można podliczyć utarg. Zadzwoiłam do Veroniki.

- Spotkałabyś się z innym mężczyzną, gdybyś miała chłopaka?

- Katie! - krzyknęła. - Nie! Nigdy! Kiedy oddaję się mężczyźnie, to całkowicie, inaczej nigdy bym nie...

- Urocze. Ale dla ciebie to łatwe. Nietrudno być grzeczną, kiedy się nie ma wyboru.

- Katie, o co ci chodzi? Chyba nie zamierzasz... czegoś zrobić, co?

- Oczywiście, że nie, głuptasku. Zastanawiałam się tylko tak, no wiesz, ogólnie.

- Katie, przecież ty nigdy nie robisz niczego ogólnie. Zawsze robisz bardzo konkretne rzeczy.

- Veronico, gdybym chciała się poddać psychoanalizie, poszłabym do... - Ale nikt mi nie przychodził na myśl, więc zakończyłam: - .. psychoanalitka. Kto ci dał prawo - ciągnęłam aroganckim tonem - rwać na strzępy mój charakter? Co ty w ogóle wiesz? Siedzisz sobie nad kartami pacjentów i nie ma z ciebie żadnego pożytku. Potrafisz tylko krytykować, zrzedzić i wypowiadać ironiczne uwagi. - Veronica była recepcjonistką w klinice alternatywnego leczenia bólu, pełnej akupunkturzystów, zielarzy, kręgarzy i innych świrów. Moje bezpośrednie spotkanie z medycyną niekonwencjonalną nastąpiło wtedy, kiedy poczułam się lepiej, bo ktoś mi powiedział, że ładnie wyglądam.

- Przepraszam, Katie. Wiem, że nigdy nie skrzywdziłabyś Ludo. Wiem, że go bardzo kochasz. Ale kiedyś przecież traktowałaś źle swoich chłopców.

- Wymień chociaż jednego.

- Malcolm Gidlow.

- Malcolm Gidlow! To był jakiś żart. Za to nie możesz mnie winić.

- Stephen Solanki.

- Wyjechał na studia. Chyba nie chcesz powiedzieć, że miałam czekać, aż wróci na wakacje. - Zerknęłam na zegar wiszący na ścianie.

- Przepraszam, ale muszę kończyć. Niedługo się odezwę, pa.

Odłożyłam słuchawkę. Nie miałam zamiaru słuchać, jak Veronica prawi mi kazania. Musiałam jeszcze zadzwonić do paru osób. Najpierw - telefon do informacji, żeby zdobyć numer do „Czarnej Owieczki”. Proste. Potem - telefon do pubu, żeby się dowiedzieć, jak właściwie tam dojechać.

- Halo - odezwał się głos w słuchawce.
- Czy to „Czarna Owieczka”?
- Nie, yyy, tak. To znaczy nie, ale tak.
- Gdzie dokładnie jesteś?
- Stoję przy telefonie, tym przy barze.
- Nie mam czasu na zabawy. Gdzie jest "Czarna Owieczka"?
- A skąd będzie pani szła?
- Od metra.

- Proszę przejść na lewą stronę na High Road. Po drodze będą sklepy i różne takie i zaraz potem jesteśmy my. To cztery minuty pieszo od metra.

To mi wystarczyło.

Jedyną rzeczą, jaka przemawia na korzyść Kilburn, jest to, że znajduje się na linii metra Jubilee - na tej, którą jeździ najmniej śmierdzących ludzi. Zabawne, że linia ta prowadzi na taki śmietnik jak Kilburn. Z Bond Street jechało się tam dwadzieścia minut. Po drodze czułam wielkie podniecenie. Ciągłe sobie powtarzałam, że do niczego nie dojdzie, że zostanę na jednego drinka, a potem wymyślę jakąś wymówkę. Ale moje ciało mówiło co innego i uświadomiłam sobie, że się uśmiecham dopiero wtedy, kiedy kobieta naprzeciwno, w pięknym futrze ze sztucznego ocelota, odwzajemniła mój uśmiech.

Kiedy wyszłam na ulicę, Kilburn - pomimo mroku i mżawki - wydało mi się mniej odrażające, niż je zapamiętałam. Rosło tam sporo drzew, zobaczyłam luksusowy apartamentowiec i ulicę o oryginalnej nazwie Shoot - up Hill. Potem przeszłam pod trzema posepnymi, ociekającymi wodą mostami, wszystkie w odległości stu metrów od stacji. Pod każdym mieszkały skulone, brudne gołębie. Tyle mostów! Zupełnie jakby cały świat chciał przejść przez High Road w Kilburn, krążąc między tymi miejscami, które się liczyły: miejscami, gdzie żyją piękni ludzie i gdzie zarabia się duże pieniądze.

Wreszcie znalazłam się we właściwej części Kilburn. Już zdążyłam zapomnieć o tych barach z kebabem, gdzie na roznach obracały się zatłuszczone kawały mięsa. Już zdążyłam zapomnieć o

zabawnych sklepikach, gdzie Afrykanie i Azjaci kupują egzotyczne ryby, słodkie ziemniaki i takie brązowe coś, co wygląda jak artretyczny staw kolanowy staruszki (a może to właśnie są słodkie ziemniaki?). Czy oni nie wiedzą, że zaledwie dwadzieścia minut jazdy samochodem dalej znajduje się lśniący Mark&Spencer? Już zdążyłam zapomnieć o dziwnych „irlandzkich” piekarniach pełnych białego chleba, lepkich bułek i wczorajszych ciastek za pół ceny.

Przede wszystkim jednak już zdążyłam zapomnieć o mdląco słodkim zapachu płynącym ze sklepu rzeźniczego Halal. Przyjechałam trochę za wcześnie i nie wiedzieć czemu zatrzymałam się i zajrzałam przez okno, za którym wisiały platy, kawały i połacie mięsa. Pod ścianą naprzeciwko kasy leżała sterta czegoś, co przypominało drewno na opał. Nie widziałam tego dokładnie. Potem dostrzegłam napis: KUP MIĘSO ZA 10 FUNTÓW A DOSTANIESZ KROWIĄ NOGĘ ZA DARMO. Zaczęłam się histerycznie śmiać. Znowu spojrzałam na drewno. Miało kopyta. To były nogi. Na miłość boską, co można zrobić z krowią nogą? Po co w ogóle komu taka noga? Czy trzeba ją wziąć przy każdym zakupie za dziesięć funtów? Nagle wyobraziłam sobie, że kupuję w tym sklepie mięso, a rzeźnik goni mnie ulicą, machając nad głową tym obrzydliwym odnóżem i krzycząc: „Paniusiu, paniusiu, pani krowia noga, pani krowia noga!”. Poszłam dalej.

Minęłam kilka pubów. Wyglądały jak podupadłe domy pogrzebowe. W końcu trafiłam do „Czarnej Owieczki”. Z zewnątrz wyglądała całkiem nieźle, była ozdobiona wieżyczkami, latarniami i misterną murarką. Pomimo tych nieszczególnie marynistycznych cech, pub nieco przypominał statek. Nad wejściem wisiała tablica z dumną informacją, że lokal ten został „Przebudowany w 1898 roku”. Zaczęłam się zastanawiać, jakiż to kataklizm - naturalny czy też dokonany ręką człowieka - wymógł na właścicielu odbudowę? Pożar? Meteoryt? Inspekcja sanitarna?

Do środka prowadziły trzy wejścia - z mojego punktu widzenia o dwa za dużo. Które jest to właściwe? Zawsze miałam niejasne wrażenie, że w każdej części pubu obowiązuje inna etykieta: w sali głównej, przy barze, w przytulnych kąciakach, przy bekanie i w ładowni.

Jak miałam się zachować, wkraczając do tej nędznej knajpy? Oczywiście w czasach studenckich bywałam w pubach, ale zawsze w



towarzystwie wielkiej paczki znajomych, a nawet wtedy wybieraliśmy bary i kluby, których nie odwiedzali drobni przestępcy, robotnicy, prostytutki i kibice chuligani - te grupy, które tworzą większą część klienteli takich miejsc. Czy mam podejść prosto do baru i zamówić coś mocniejszego, a potem odcharknąć do spluwaczki? Czy może łązić po całej knajpie, zaglądając do ciemnych kątów i gapiąc się na miejscowe staruchy i świrów, aż znajdę swojego mężczyznę? Czy usiąść cichutko przy najbliższym stoliku i modlić się, żeby nikt mnie nie zaczepił?

Przepraszam, ale tu muszę się zatrzymać, na parę chwil zostawić samą siebie, znieruchomią przed wkroczeniem do tajemnego królestwa, i uczynić krótką dygresję na temat pubów, a zwłaszcza kwestii relatywnych zalet pubów i innych tego rodzaju miejsc spotkań towarzyskich. Wiem, że uznacie to za dziwne, zważywszy, iż właśnie przyznałam się do ignorancji w tym temacie, ale wielokrotnie oddawałam się długim debatom (które dość często kończyły się na żartobliwych przytykach z mojej strony oraz obrażaniu się z jego strony) z Ludo, który w pubach czuł się jak u siebie w domu. Twierdził, że puby - w przeciwieństwie do kawiarni, winiarni czy klubów - przyciągają ludzi (w domyśle było: mężczyzn), którzy rozmawiają o „ideach”.

- To jedyne miejsce - mawiał - gdzie, niezależnie od pochodzenia społecznego czy wykształcenia, rozmawia się o pojęciach.

- A ja myślałam, że chodzi się tam po to, żeby się upić.

- Alkohol to tylko alibi.

We wszystkich innych miejscach spotkań towarzyskich ludzie (w domyśle: kobiety, geje i ci heteroseksualni mężczyźni, którzy więcej wydają na spodnie niż na książki i płyty) rozmawiają o innych ludziach. Poprosiłam o parę przykładów tych cudownych „idei”, o których dyskutował podczas swojej ostatniej wizyty w pubie. Zastanawiał się przez chwilę, po czym zaczął je odliczać na palcach, aż doszedł do niezgrabnej liczby jedenaście, która zawisła w powietrzu jak samotna skarpetka na sznurze.

1. Tony Blair: Nowa Margaret Thatcher, Nowy Harold Wilson czy Nowy Benito Mussolini?

2. (w dwóch częściach)

• Dlaczego pudding groszkowy nosi taką nazwę, skoro nie zawiera groszku?

- Co właściwie zawiera?

3. Dlaczego sztuka współczesna jest konserwatywna, przez duże i małe „k”? (Ani abstrakcja ani figlarna Britart nie odnoszą się do kwestii społecznych. Ooooch, muszę to powtórzyć dziewczynom!).

4. Dlaczego faszyzm jest kiczowaty, a kicz faszystowski? (Najwyraźniej ma to jakiś związek z upodobaniem do popisywania się).

5. Przeznaczenie i pochodzenie męskich sutków.

6. Hemingway kontra Chandler jako mistrzowie prozy.

7. Czy „Wombles” byli wielkim, niedocenionym, artystycznym zespołem glamrockowym lat siedemdziesiątych?

8. O wyższości wrzutek nad płaskimi podaniami. (Nawet nie pytajcie, ale chyba ma to jakiś związek z piłką nożną).

9. Do czego służył ten mały facecik z Boney - M?

10. Relatywne zalety notebooka Psion oraz PalmPilota (Okazuje się, że ten drugi to nie eufemistyczne określenie masturbacji tylko notes elektroniczny).

11. Czy w postmodernistycznym świecie miłość nadal jest możliwa?

Zdaje się, że miało to na mnie zrobić wrażenie.

- Ale dlaczego lepiej rozmawiać o futbolu i sztuce niż o ludziach? - spytałam, nie bez racji.

- Dlatego, że mówiąc o ludziach, przeważnie mówisz o samej sobie. To zwykły narcyzm. Naszym obowiązkiem jest wyjść poza siebie i zrozumieć wszechświat, a nie tylko świat w naszych głowach.

- A pudding groszkowy jest kluczem do wszechświata?

- Nie... Tak. Nie rozumiesz, że żądza poznania, co się znajduje w tej żółtej masie, jak się tworzy złożone rzeczy z prostych elementów, to zaczątek alchemii, która prowadzi do chemii, która z kolei prowadzi do... do wszystkiego? Chodzi jednak o to, że siły nadprzyrodzone - użył tego określenia bez zażenowania czy ironii - chcą, byśmy rozmawiali o tym, kto spał z kim i co przedtem miał na sobie, bo wtedy nie zajmujemy się nimi. A zajmujemy się nimi po to, by się dowiedzieć, jak świat został stworzony. A wtedy można wykazać, że większość z tego, co głoszą, to kłamstwa.

- Wydaje mi się, że te rozmowy o ideach to rozmowy o rzeczach, które z całą pewnością są przeciwieństwem idei - powiedziałam. Zirytowała mnie jego zawoalowana - nie, jawna! - krytyka

wszystkiego, co lubiłam. - Cała twoja wypowiedź ma ukryć fakt, że lubisz rzeczy bardziej niż ludzi, bo masz tylko dwóch znajomych i jesteś nieprzystosowany społecznie.

Te ostatnie słowa wypowiedziałam z szerokim uśmiechem, a na koniec pocałowałam Ludo, co w rezultacie spowodowało, że w tej dyskusji miałam ostatnie słowo, i każdy był zadowolony.

\* \* \*

Ale wróćmy do środkowych drzwi „Czarnej Owieczki”. Nacisnęłam klamkę. Były zamknięte. Widziałam, że w środku są ludzie. Obejrżeli się z obojętnymi minami, kiedy napierałam na drzwi, powodując grzechotanie systemu łańcuchów i zasuw. Jakiś mężczyzna kciukiem wskazał mi drugie drzwi.

Kiedy weszłam, nie mogłam skupić wzroku - tak gęsty był dym z papierosów i piwne opary. Nie miałam pojęcia, w którą stronę się odwrócić, dokąd pójść. Chciało mi się płakać. Bliska paniki, postanowiłam, że wychodzę. Nagle uznałam, że Ludo to najwspanialszy mężczyzna na świecie i poczułam się jak idiotka, w ogóle biorąc pod uwagę tak niebezpieczną przygodę.

Wtedy poczułam dłoń na ramieniu, a przy moim uchu znalazły się czyjeś usta - tak blisko, że poczułam ciepły oddech.

- Pomóc w czymś, Katie? - Po raz drugi zadał mi to samo pytanie. - Chyba jeszcze nie wychodzisz, co?

- Nie widziałam cię. Myślałam, że źle trafiłam. Możemy usiąść?  
- Mówiłam zbyt szybko.

Liam miał na sobie prosty strój: białą koszulę i garnitur z miękkiej bawełny. Z rozbawieniem zauważyłam, że w każdym uchu ma dość grube, złote kółko. Nie mogłam uwierzyć, że spotkałam się z mężczyzną, który nosi kolczyki. Wyglądał bardzo w stylu Davida Essex, mniej więcej z 1974 roku. Jak Cygan albo pirat. Ale chociaż teoretycznie nie cierpiałam kolczyków, to jednak nieco mnie one zaintrygowały. Co dziwne, kiedy oceniłam swoje odczucia, okazało się, że niechęć i fascynacja, jaką we mnie wzbudzały, zniosły się nawzajem i znalazłam się w punkcie wyjścia.

Liam znalazł wolny stolik.

- A więc pijemy Guinnessa - powiedział z ledwo wyczuwalną drwiną w głosie. Najwyraźniej spodziewał się, że wybiorę coś bardziej właściwego. Pewnie myślał, że prawdziwe damy piją Malibu, creme de menthe albo advocata.

- Tak, poproszę duże piwo. - Wcześniej na okrągło powtarzałam sobie to zdanie w myślach.

Kiedy Liam zaczął się przepychać do baru, rozejrzałam się po sali. Miejsce było zdumiewające. Ciemnozielone ściany i czerwono-brunatny sufit pokrywały pozłacane gzymsy. Na ścianach widniały misterne reliefy ukazujące Posejdon z całym zastępem nimf i innych mitologicznych panienek. Na suficie znajdowały się jeszcze bardziej skomplikowane, lecz abstrakcyjne malowidła, które mieszając się z chmurami dymu z papierosów tworzyły halucynogenne wizje. Przez chwilę się zastanawiałam, czy te złocenia to może tylko ślady po nikotynie, które osiadły na wystających częściach niczym śnieg latem na Alpach. Efekt ogólny był częściowo klasyczny, częściowo gotycki, ale przede wszystkim dziwny.

Przez całą długość głównej sali biegł poczerniały dębowy bar. Za nim wisały rzędy połyskujących dozowników, których zawartość miała barwy od jasnego bursztynu do ciemnej umbry. Widziałam też pandę w przezroczystej plastikowej torbie, pewnie nagrodę wygraną na loterii, wiszącą niczym ofiara dla boga whisky.

Klienci, choć dziwni i wyraźnie nie z mojego świata, swoją dziwacznością nie mogli się równać z tym miejscem. Większość z nich stanowili mężczyźni. Starsi mieli na sobie garnitury i wystrzępione poliestrowe koszule. Młodszy nosili standardowe uniformy: T - shirt, dżinsy i tenisówki. Mieli grube karki, krótkie włosy i szorstkie dłonie, ale sprawiali wrażenie dziwnie łagodnych, niczym stare cyrkowe lwy.

Nieliczne kobiety również dzieliły się na stare i młode. Stare były korpulentne i miały na sobie ciężkie, tweedowe płaszcze, w rękach ścisnęły siatki na zakupy i głośno rechotały. Wszystkie młode dziewczyny miały włosy ufarbowane na zbyt jasny kolor. W ich pragnieniu wyglądu ładnie i ochocie na zabawę było coś rozpaczliwego. Smutek ten wydawał się jeszcze większy u tych, które najbardziej zbliżyły się wyglądem do gwiazd oglądanych w magazynach lub telewizji.

Nie wystarczył nawet ich wdzięk, pomysłowość i przyzwoity materiał. Przez parę sekund myślałam o tym, jak niewiele trzeba, bym się do nich upodobniła: parę kilometrów na wschód lub zachód lub drobna zmiana w wydarzeniach sprzed wielu lat. Zadrzałam i szybko

odegnałam od siebie tę myśl. Cieszyłam się, że nie jestem jedną z nich. W końcu przyszedł Liam.

Postawił przede mną Guinnessa. Płyn był piękny, o czarnej głębi, nadal lekko wzburzony, jakby w jego sercu powstawały gwiazdy i galaktyki, a piana miała barwę i konsystencję gęstej śmietany. Przyłożyłam szklanekę do ust i aż mną wstrząsnął dreszcz. Piwo było tak obrzydliwe, jak to zapamiętałam.

- Pycha - powiedziałam.

Liam spojrzał na mnie zmrużonymi oczami.

- Pewnie nie bywasz w takich miejscach, co, Katie?

- Nie, raczej nie.

- Może chciałabyś się przenieść? Niedaleko jest bar, gdzie przychodzą tacy jak ty.

- Co to ma znaczyć „tacy jak ja”? - Nie byłam pewna, czy się ze mnie nabija czy po prostu stwierdza fakt.

- Katie, dobrze wiesz, o czym mówię. Gdybyś miała wielkie sito i wrzuciła do niego tutejszych i tamtejszych klientów, a potem mocno nim potrząsnęła, to zostaliby w nim tutejsi, a wypadli tamtejsi, a ty razem z nimi.

Jakaż prosta metafora! Nagle wyobraziłam sobie Liama w kucharskim fartuchu. Albo, wizja jeszcze bardziej upiorna niż ta gastronomiczna - jako boschowskiego ogromnego diabła oddzielającego potępionych od zbawionych. Wybrałam wersję Liama z rogami i trójzębem. Bardziej do niego pasowała.

- A gdzie ty byś się znalazł? Zostałbyś w sianie razem z plewami czy przeleciałbyś z mąką?

- Za tobą poszedłbym wszędzie - odparł z uśmiechem.

Nie byłam pewna, kiedy muzyka zaczęła grać, ale wiedziałam jedno: była koszmarna. Z drugiej sali - tłumione przez sporadyczne brawa i pojedyncze gwizdy - popłynęły dźwięki standardów country na okropnym elektrycznym pianinie i automatycznej perkusji.

Pewnie Milo znalazłby w tej muzyce pewien wdzięk, uznałby, że jest „tak straszna, że aż fajna”.

- Mówiłeś, że tu grają dobrą muzykę. Spodziewałam się czegoś bardziej tradycyjnego. Wspominałeś o skrzypcach. A ja słyszę tylko, że jakiś kowboj ujeżdża syntezator.

- Ach, więc lubisz dudy irlandzkie, piszczałki i brodaczy w wełnianych swetrach, którzy śpiewają o kłopotach i wielkiej rebelii w 98?

- Właściwie tak. To lepsze od „Stand by Your Man”. - Zaśpiewałam, powtarzając ostatni wers piosenki rozlegającej się za drzwiami.

- Ludzie chcą tego słuchać. To im przypomina potańcówki w rodzinnym mieście. Jeżeli zostaniemy, później może usłyszysz coś na ludowo.

Pub się zapełniał i wkrótce miejsce to nabrało nowego charakteru, rozedrganego, pijanego. Gawędziliśmy, stopniowo przesuając się z płytki świata mody na głębokie wody naszego życia osobistego. Złapałam się na tym, że dobrze się bawię. Liam zachowywał się swobodnie, a nawet najbardziej błahe z jego stwierdzeń wydawało mi się interesujące. Ale, co najlepsze, używał tej kobiecej sztuczki, dzięki której to rozmówca czuje się interesujący, dowcipny i refleksyjny. Na krótko, w postaci żartu, pojawił się pudding groszkowy, męskie sutki i podania płaskie w piłce nożnej. Podniecenie, które czułam wcześniej, opuściło mnie, a jego miejsce zajęło coś zbliżonego do prawdziwej przyjemności.

Jakimś cudem udało mi się skończyć Guinnessa. Czas na kolejnego drinka. Zdecydowałam się zamówić kieliszek wina. Liam był na tyle łaskawy, by nie uśmiechnąć się z ironią. Moje zamówienie wywołało lekką panikę za barem. Widziałam, jak barmani kręcą głowami. Wreszcie jakiś chłopak poszedł na zaplecze i pojawił się z dwulitrową butelką, z której aż po brzegi nalał wina do kieliszka na sherry. Wypicie tego trunku kosztowało mnie jeszcze więcej samozaparcia niż w przypadku Guinnessa. Pomyślałam, że zminimalizuję ten horror, wypijając zawartość duszkiem.

- Brawo! - wykrzyknął Liam. - Jeszcze jedna kolejka?

- Tym razem poproszę gin z tonikiem.

Drink pojawił się bez lodu i cytryny, ale smakował o wiele lepiej.

Na szczęście muzyka ucichła. Rozległy się ostatnie, słabe brawa. Przy naszym stoliku usiadł jakiś grubas w przepoconym T - shircie.

- Liam, może potem pośpiewamy? O, widzę, że jest z tobą dama. Będzie miała okazję posłuchać, co potrafisz zrobić ze swoim gardłem.

- Zobaczymy, Pat. Nie chcę jej tu zostawiać z tymi dzikimi bestiami.

- Och, daj spokój, chętnie posłucham. Gdzie jest toaleta?

Kiedy już tam dotarłam, z powodu smrodu niemal wytrzeźwiałam. Kibel wyglądał i cuchnął tak, jakby nigdy w nim nie sprzątno. Jeden sedes był zapchany papierem toaletowym, podpaskami i czymś jeszcze gorszym. W drugim nie było deski klozetowej. Koło brudnej umywalki stał automat z prezerwatywami. Ktoś napisał na nim czarnym flamastrem: „By otrzymać zwrot pieniędzy, wrzuć dziecko”.

Kiedy wróciłam, Pat siedział sam przy stole, co - jak pewnie sobie wyobrażacie - przepełniło mnie wielką radością. Rozejrzałam się i zobaczyłam Liama na drugim końcu sali, pogrążonego w rozmowie z potworem Frankensteina, któremu udało się wymienić śruby w głowie na tupecik z włókna szklanego.

- Liam za chwilę wróci - powiedział Pat głosem równie uradowanym, co ja sama. Jedną dłoń trzymał na krótko przystrzyżonych włosach. Oczami gorączkowo strzelał po całej sali w poszukiwaniu tematu do rozmowy. Nagle poczuł natchnienie. - Znasz głuchych? - spytał, dziwnie modelując głos, jakby mówił przez krótkofalówkę.

- Słyszałam o nich - odparłam.

- Myślę, że oni wcale nie są głusi - powiedział pewnym siebie głosem, stukając palcem w lepki blat stołu.

- Nie są głusi? - powtórzyłam, modląc się w duchu o powrót Liama.

- Znaczy się - ciągnął, wznosząc głos do poziomu o ton czy dwa cichszego od krzyku - skąd można wiedzieć? Normalnie skąd to można wiedzieć? Jak z kimś rozmawiasz i powiesz „Słucham?”, to ten ktoś od razu se myśli, że jesteś głuchy. I do końca życia już ci przyklejają łatkę.

Wreszcie Liam przybył na ratunek nam obojgu.

- Dobra, Pat, przyłączę się do was. Jeżeli tylko Marty zagra na skrzypcach.

- Kim był ten straszny człowiek, z którym rozmawiałaś? - spytałam.

- Duży Jonah. Rzeczywiście jest dość straszny.

- Dlaczego? Czym się zajmuje?

- Straszeniem ludzi.

- To znaczy ochroną? - spytałam, dumna ze swej wiedzy.

- O tak. Egzekwuje długi. Słynie ze swojego powiedzonka. Wiesz, to taki filozof. Kiedy bierze się do roboty, najpierw pyta klienta: „Znasz twórczość Fryderyka Nietzsche?” - takim głębokim basem i akcentem chyba z Glasgow - a potem wyjmuje młotek. No, czas coś zaśpiewać. Chodź, Katie.

Druga sala była niemal tak samo duża jak główna. Ludzie stłoczyli się, by zobaczyć zespół i nie zostało już ani jedno wolne krzesło. Liam znalazł dla mnie dobre miejsce, a potem dołączył do trójki muzyków na malej scenie w kącie. Pat porzucił syntezator i zawiesił sobie na szyi ogromny akordeon. Jakiś żyłasty staruszek o twarzy jak zapadnięte płuco ustawił się ze skrzypcami, a inny - z olbrzymimi bakami niewiele krótszymi od bokobrodów - trzymał banjo. Liam wziął gitarę.

- Witaj, Londynie! - zawołał jak gwiazda rocka i mrugnął do mnie. - Tę piosenkę słyszeliście już z milion razy, ale dzisiaj zaśpiewam ją z większym uczuciem. - Widzowie zaczęli pokrzykiwać i się śmiać. Czyżby już wcześniej słyszeli nie tylko tę piosenkę, ale i zapowiedź Liama?

Dla irlandzkich imigrantów z Kilburn i Cricklewood piosnka ta była może znajoma, a nawet oklepana, ale ja ją słyszałam po raz pierwszy. Przywykłam do dźwięków płynących z głośników w sklepach odzieżowych, do stłumionych wersji tego, co się działo na muzycznej scenie klubowej. Była to muzyka, przy której mogłam pozować, muzyka, która wypełniała mi przerwy między myślami. To, co usłyszałam tutaj, całkowicie się od niej różniło. W piosence Liama brzmiały tęsknota i smutek, które mocno chwyciły mnie za serce.

O, Peggy Gordon, ma ukochana, Usiądź na moich kolanach I wyjaw mi szczerze, Co mnie w tobie tak bierze.

Liam nie miał pięknego ani szczególnie mocnego głosu, a jednak świetnie sobie radził, wypełniając swój śpiew szczerością i cierpieniem.

Tak cię kocham, co tu kryć, Miłość mi nie daje żyć. Zachowaj to w sekrecie, Nie znajdę spokoju na świecie.

Śpiewając, patrzył na mnie. Było tak jasne, że śpiewa dla jednej, konkretnej osoby, że ludzie zaczęli się rozglądać.

Do kieliszka dziś zajrzałem, Właśnie taki kaprys miałem. Bo kiedy piję, zawsze marzę, Ze Peggy Gordon ujrzę przy barze.



Mężczyzna grający na banjo wyjął piszczałki, których delikatne dźwięki zaczęły baraszkować między słowami niczym dziewczynka bawiąca się u stóp dorosłych.

Chciałbym być daleko stąd, Do obcych pozegłować stron  
Przemierzyć ogromne oceany, Bo nie chcę już być zakochany.

Chciałbym być w samotnej dolinie, Gdzie urok kobiet mnie ominie,  
Gdzie ptaki śpiewają piosenki, Co chwila zmieniając dźwięki.

Kiedy tylko Liam zaczął pierwszy wers, wiedziałam, że wydarzy się coś naprawdę okropnego. Straszny obciach, to go jednak nie powstrzymało. Nie powstrzymało też dreszczu, który przechodził mi przez kręgosłup aż do karku, ani uczucia ciepła w brzuchu.

O Peggy Gordon, ma ukochana, Usiądź na moich kolanach

I wyjaw mi szczerze,

Co mnie tak w tobie bierze.

Widzowie zaczęli pohukiwać i klaskać. Liam zszedł ze sceny. Stali bywalcy baru - mężczyźni w dziwnych kapeluszach i kobiety w średnim wieku w terminalnej fazie podniecenia seksualnego - zaczęli go klepać po plecach i mierzwić mu włosy. Liam przepchnął się do mnie przez tłum.

- Przepraszam, Katie, za zmianę imienia. Pewnie myślisz, że to straszny kicz i przez te wszystkie lata wożenia ludzi z twoich sfer mógłbym nabrać trochę ogłady.

I wtedy... no, wiecie, jak to jest. Znalazłam się już w tej fazie upojenia alkoholowego, kiedy kocha się cały świat i kiedy ta miłość do świata skupia się na osobie, w towarzystwie której akurat się przebywa. Usiedliśmy na podartym siedzeniu ławeczki obitej skóropodobnym tworzywem, ale nawet się nie dotknęliśmy, co jeszcze bardziej uwydatniło nastrój tej chwili.

Wiedziałam, że jestem w dobrej formie. Liam nie był idiotą i w przerwach między flirtowaniem i wygłupianiem się rozmawialiśmy o bardzo poważnych rzeczach: oczywiście o Irlandii Północnej, ale też o naturze tożsamości i o tym, jak to jest znaleźć się w obcej kulturze. Rzuciłam nawet parę uwag na temat symboli, teorii dekonstrukcji Malheurbe'a, co dosyć rozbawiło Liama.

Jak to było do przewidzenia, piwo nam przyniesiono, kiedy Liam wykonał swój ruch. Spodziewałam się, że będzie owijał w bawełnę, on jednak był podniecająco bezpośredni.

- Pożyczyłem klucz do mieszkania nieopodal. Moglibyśmy tam pójść.

- Nie mogę zostać na noc.

- Rozumiem. Idziemy?

Kiedy ruszyliśmy do wyjścia, podszedł zataczający się staruszek, w którym rozpoznałam skrzypka. Objął nas, co - zważywszy na jego drobną posturę - wymagało od niego wyciągnięcia rąk, a od nas zgarbienia się. Jego twarz i głowa były porośnięte rzadkimi kępkami siwych włosów. Zdaje się, że nie miał zębów.

- Oj, Liam, Liam... - powiedział, lekko się chwiejąc. Uderzyła mnie chmura zapachu z jego ust, wilgotnego i trupiego.

- Marty, fantastycznie dzisiaj rzępoliłeś - odparł Liam, usiłując się uwolnić od zaskakująco silnego uścisku mężczyzny.

Marty zignorował jego komplement i wbił w Liama mętny, lecz skupiony wzrok.

- Dziecko - powiedział, spoglądając na mnie i aż pokaszując z emocji. - Och, co za dziecko. Chyba nie chcesz się łajdaczyć z dzieckiem? - Znowu się rozkasłał, a ja poczułam, jak mi prycha w twarz prątkami gruźlicy. Zemdlilo mnie, więc się wyszarpnęłam i łapiąc powietrze wybiegłam na ulicę. Liam dołączył do mnie chwilę później.

- Katie, przepraszam cię za to. Biedny stary Marty już nie jest taki jak kiedyś. Coś mu się roi w głowie, ma przywidzenia.

- W porządku. Od roku czy dwóch nikt mnie nie nazwał dzieckiem. Poza tym chyba nigdy przedtem nie słyszałam czasownika „łajdaczyć się”. A będziesz?

- Co będę?

- Czy będziesz się ze mną łajdaczył?

Liam posłał mi jeden ze swych firmowych uśmiechów i po raz pierwszy mnie objął. "Wyprowadził mnie na High Street i wkrótce zatoneliśmy w labiryncie niegdyś pysznych mieszczańskich kamienic, a teraz nędznych, rozlatujących się domów z czerwonej cegły.

\* \* \*

Teraz pewnie sobie myślicie, że zachowałam się jak dziwka, pijąc w knajpie z facetem, którego prawie nie znałam, a potem wychodząc z nim. Oczywiście macie rację. Ale, jak już powiedziałam, była to moja ostatnia szansa, mój ostatni błąd, ostatni skok w bok. A kto by go zabronił dziewczynie?

Przyszliśmy na miejsce. Dom wyglądał jak wszystkie inne. Do drzwi pomalowanych obłazącą, zieloną farbą prowadziła ścieżka wybrukowana płytkami ułożonymi w szachownicę. Przebrnęliśmy przez wysoki stos reklamówek i znaleźliśmy się w przedpokoju tak wąskim, że miałam ochotę iść bokiem. Dywan koloru szumowin pokrywały ślady po papierosach. Ostrożnie okrążyliśmy niekompletny szkielet roweru i coś, co wyglądało na kocie odchody. W mieszkaniu unosił się zapach starej, wilgotnej tektury. Nagle poczułam się o wiele mniej pijana.

- Co za bajzel.

- Przepraszam, Katie. Gdybym wiedział, nigdy bym cię tu nie przyprowadził.

Przecisnęliśmy się po schodach, a dywan ustąpił miejsca pofałdowanemu linoleum. Dwie kondygnacje wyżej Liam nieufnie włożył klucz do zamka. Spodziewałam się ujrzeć jakąś ohydłą norę, więc ogarnęła mnie ulga, kiedy się okazało, że mieszkanie jest tylko brzydkie. Trzy pomieszczenia: salon połączony z kuchnią, łazienka i sypialnia. Wyglądało na czyste, choć dosyć spartańskie. W sypialni na podłodze leżał materac przykryty czarną kołdrą. Ściany były oklejone niemalże ładną tapetą we wzór z wiśni, jagód i innych owoców leśnych, ale osoba, która ją kładła, nie dopasowała wzoru między rolkami, co stworzyło dziwny efekt inżynierii genetycznej: wiśnie wyrastały z dzikich jagód, czerwonych porzeczek lub dosłownie znikąd.

Opadłam na materac, starając się nie myśleć, kto przedtem na nim leżał.

- Napijesz się kawy? - spytał Liam.

- Tak, jeśli jakąś znajdziesz.

Po raz pierwszy tego wieczora spojrzałam na zegarek. Była dopiero dziesiąta. W ciągu zaledwie paru godzin wydarzyło się tak wiele. Pomyślałam, że już przeżyłam swoją przygodę. Zwiedziłam świat, o którego istnieniu nie miałam pojęcia, i teraz mogę bezpiecznie wrócić do własnego. Miałam zabawną anegdotkę, którą będę mogła opowiadać znajomym, trochę ją koloryzując albo cenzorując. Może nawet opowiem ją Milo. Z pewnością bardzo by mu się spodobał ten kawałek z „nie łajdacz się z dzieckiem”. Właśnie się śmiałam na myśl o tym, kiedy wszedł Liam z kawą.

- Nie ma mleka.

- Nie szkodzi. Jest tu telefon? Chciałabym zamówić taksówkę.

- Pewnie, zadzwonię, kiedy wypijemy kawę. Znam numer.

Usiadł koło mnie na materacu. Położyłam głowę na jego ramieniu. Objął mnie i delikatnie pocałował w czubek głowy. Odsunęłam się i podałam mu usta. Jak zwykle przy pierwszym pocałunku przez chwilę czy dwie musieliśmy się dopasować, zrobić rekonesans warg, zębów i języków.

Piękno pocałunku, przyczyna jego uroku i tajemniczości polega na tym, że jest jednocześnie najniewinniejszą i najbardziej brudną formą kontaktu między ludźmi: matka niewinnie całuje swoje dziecko, prostytutkom tak niewinny pocałunek nigdy się nie zdarza. Żadne erotyczne przeżycie, jakie pojawia się potem, nie może się równać z intensywnością pierwszego pocałunku, który jest tak cudowny dlatego, że oznacza zapowiedź nieograniczonych przestrzeni, odległych horyzontów, nieskończonych możliwości. Potem mogą nastąpić niepowodzenia, ale nie da się ich złożyć na karb pocałunku. Sam pocałunek obiecuje spełnienie, nigdy więc nie może rozczarować.

A nigdy, zwłaszcza kiedy mężczyzna i kobieta po raz pierwszy znajdują się sam na sam w sypialni, pocałunek nie jest tylko pocałunkiem. Moja bluzka znalazła się w rękach Liama i chwilę potem byłam naga. Na chwilę przestał mnie całować i westchnął:

- Katie, jesteś taka piękna, taka idealna.

Objęłam jego twarde, umięśnione ramiona i obsypałam pocałunkami jego szyję i twarz.

Ale wtedy, gdzieś głęboko w moim wnętrzu, rozległ się głos, który powiedział: „Nie”. Nie była to racjonalna decyzja, nie chodziło też o to, że boję się zdemaskowania. I z pewnością nie doszła do głosu moja moralność. Był to jakiś prymitywny instynkt, ostrzeżenie, głos, który mówił jaskiniowcom, że tuż za kręgiem światła rzucanego przez ognisko, czai się tygrys szablozęby.

- Liam, przepraszam, ale nie mogę. Niepotrzebnie dałam ci nadzieję. Jestem zwykłą idiotką. Jesteś świetnym facetem, ale naprawdę nie mogę tego zrobić.

- Katie, kochanie, wszystko w porządku - powiedział czule. - Rozumiem. To moja wina. Nie powinienem był zawracać ci głowy. Rzeczywiście jestem starym capem.

Potem spuścił głowę i dodał, uśmiechając się lekko, ale też z prawdziwym smutkiem:

- Ale co ja mam teraz zrobić z tym cholerstwem? Podążyłam za jego wzrokiem. Zobaczyłam największą erekcję,

jaką kiedykolwiek zdarzyło mi się podziwiać. Przepraszam, nie chcę być ordynarna, ale erekcja ta po prostu była jednym z cudów świata. Nie mogłam się oprzeć połączeniu tego ogromnego, lśniącego fiutka z bezradnością i smutkiem, jakie malowały się na twarzy Liama. Zaczęłam chichotać, a Liam przyłączył się do mnie. Rozpostarłam ramiona.

- Biedaczek - powiedziałam, kiedy się do mnie przytulił. - Lepiej daj go tutaj.

Tak więc spędziliśmy godzinę na materacu na podłodze, pod czarną kołdrą, otoczeni spletanym wzorem na tapecie. Zrobiliśmy wszystko. Tak, nawet to.

Kierowca taksówki pochodził z Wybrzeża Kości Słoniowej. Kiedyś był więźniem politycznym. Z zawodu księgowym. Słuchałam, jak z czułością opowiada o swojej rodzinie i ze smutkiem o tym, że na życie musi zarabiać jako taksówkarz (był fatalnym kierowcą, o ile zdążyłam się zorientować, cały czas jechał na trzecim biegu), zamiast wykorzystywać swoje kwalifikacje. Dałam mu duży napiwek. Podając mu pieniądze, pod wpływem impulsu spytałam, czy już wcześniej odwoził dziewczyny spod tego domu.

- O tak, panienko, wiele razy - odpowiedział.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

### Krótki rozdział przerwany opowieścią o okrężnicy

Weszłam tak cicho, jak tylko mogłam, mając nadzieję, że Ludo już się położył, on jednak siedział nad książkami w swojej pracowni.

- Cześć, mała! - zawołał. - Dobrze się bawiłaś z dziewczynami?

- Niespecjalnie. Śmierdę dymem z papierosów. Idę pod prysznic.

Po prysznicu wsunęłam się w czystą, białą pościel i podziękowałam Bogu za Primrose Hill. Tamta godzina z Liamem była bardzo przyjemna, ale minęła już na zawsze i bardzo się z tego cieszyłam.

Wkrótce potem Ludo przyszedł do łóżka. Znajomym ruchem przytulił się do moich pleców, ujmując w dłonie moje piersi. Zaczął skubać moje ucho i ściągać mi majtki. A ja, co zaskakujące, byłam dosyć mocno podniecona. Ale nawet ja nie miałam dość czelności, by zrobić to samo jednego wieczora z dwoma różnymi mężczyznami. A poza tym trochę... trochę mnie bolało. Zalała mnie fala czułości dla mojego chłopca. Delikatnie go odsunęłam.

Kiedy następnego dnia rano otworzyłam oczy, poczułam przypływ wielkiej energii. Przez ciężkie, październikowe chmury nie przebijał się ani jeden promień słońca, ale ja się czułam tak, jakbym właśnie rozsunała kotary i ujrzała za nimi nowy świat. Po cichutku wstałam z łóżka, co nie było proste, bo chciało mi się skakać do góry, i poszłam zrobić kawę. Zniosłam ją do Ludo na tacy razem z płatkami kukurydzianymi i gazetą i obudziłam go pocałunkiem. Jak zwykle rano włosy stały mu dęba, ale wyglądał uroczo. Postanowiłam mu wybaczyć tamten wiersz.

- Tryskasz energią - powiedział rozespanym głosem. - Nie masz kaca?

Dziwne, rzeczywiście powinnam mieć kaca. Jeżeli wypiję więcej niż jeden kieliszek wina, następnego dnia jestem nie do życia. Myślę, że jednak byłam skacowana. Kiedyś słyszałam, że po zastrzyku z morfiny człowiek wie, że go boli, ale nie zwraca na to uwagi. Teraz właśnie tak się czułam.

- Po prostu cieszę się, że żyję - powiedziałam jak uczennica ze szkółki niedzielnej.

Mój dobry nastrój utrzymał się przez całą drogę do pracy i jeszcze dłużej. Nawet Linia Północna miała jeden ze swych rzadkich dni w stylu doktora Jekylla, a nie Mr. Hyde'a. Twarze o barwie popiołu, mamrotanie i świrów zastąpiły kolory, życie i podniecenie - jakby karnawał z Rio przeniósł się do Londynu.

Ten ranek był dla mnie najpłodniejszym ze wszystkich. Jak nigdy przyłożyłam się do swoich obowiązków w różnych dziedzinach mojej pracy: projektowaniu, produkcji, PR - u, sprzedaży. Nawet udało mi się wymienić toner w drukarce, co zazwyczaj wymaga wezwania specjalisty. Wówczas cała nasza szóstka stoi obok, z rozdziawionymi buziami, dziwując się inteligencji chłopaka, zupełnie jakby przyniósł dar w postaci ognia do naszej ciemnej i zimnej neandertalskiej jaskini.

Penny pojawiła się o wpół do dwunastej z zabawną anegdotą o tym, jak w klubie fitness do jej jacuzzi wszedł „dżentelmen ze środkowego Wschodu”, który w pewnym momencie zaczął ściągać gacie.

- Usiadł sobie, szeroko rozkładając ręce i nogi, a jego aparacik falował w wodzie jak węgorz. Nie wiedziałam, co zrobić z oczami.

Mandy, która przyszła z pracowni ze skargą na nową szwaczkę na zastępstwo (która ponoć „dziwnie oddychała, chcąc mi działać na nerwy”), dorzuciła podobną historię, której akcja rozgrywała się w jakimś kurorcie na Karaibach.

- Wiecie, co zrobiłam, kiedy się do mnie przysunął? - spytała, aż się krzywiąc z obrzydzenia. - Nasikałam do wody, a potem wyszłam. Niech się dusi w moim sosie.

- A woda nie zabarwiła się na czerwono? - spytała zaintrygowana Penny.

- To tylko przesąd. Wiem, co mówię, bo byłam chyba na każdym publicznym basenie w południowym Londynie.

- Co za potwór - rzuciła Penny, kiedy Mandy już sobie poszła, i obie pograżyłyśmy się w milczeniu i rozmyślaniach o metodycznych wędrówkach Mandy przez baseny naszej metropolii.

Po południu zadzwonił Milo, żeby pogadać o swoich urodzinach. Zamierzał zorganizować imprezę w swoim świeżo „odnowionym” mieszkaniu, którego styl był w tym sezonie chyba trzecim co do kolejności ulubionym tematem rozmów w świecie PR - u - po kokainie i wielkości tyłka wiecie - kogo. Miał pewne problemy z dopasowaniem koloru kanap do koloru zasłon, ale nie chciał zdradzić

zbyt wiele. Domyślałam się, że w grę wchodziła cętkowana skóra, co oznaczało, że wszystko obił skórą z kucyków.

- Mam problem z czernią. Po prostu jest za mało czarnych rzeczy do jedzenia, zostaje tylko kawior i oliwki.

- A kałamarnica w sosie własnym lub swojej koleżanki?

- Niezły pomysł, ale na przystawkę się nie nadaje.

- A te czarne kawałeczki mięsa w świeżym tuńczyku? Może da się z nich zrobić sushi?

Wkrótce wyszło na jaw, że Milo ma większe problemy, niż to wyglądało na pierwszy rzut oka. Między Pippinem a Perskim Chłopcem źle się działo.

- Pip jest nie do zniesienia. Pieprzy się ze wszystkim, co się rusza, żeby się na mnie zemścić. Oczywiście mnie to nie obchodzi. Poza tym roznosi plotki o Xerxesie. Nienawidzi go. Dlatego go nie zaprosiłem na sobotę. Uwielbiam sceny, ale tylko wtedy, kiedy sam w nich biorę udział. Któregoś dnia wpadłem na niego w Met Bar, kiedy wychodził z kabiny w kiblu z jakimś bandziorem, a on po prostu się wprosił! Pewnie myśli, że jest tak niezwykły, że nawet nie potrzebował zaproszenia. Przecież nie mogłem powiedzieć, żeby nie przychodził. To byłoby straszne. Chyba by mnie zadźgał. Wiesz, on nosi ze sobą nóż Stanleya. Chce tym zaimponować kibicom, których podrywa.

- Zaszlachtować.

- Słucham?

- Nożami Stanleya szlachtuje się ludzi, a nie dźga. Ludo ciągle konfiskuje je w szkole.

- Coś takiego. No, w każdym razie, jeżeli dojdzie do bójki, to ich rozdzielisz, prawda? W końcu po to cię zaprosiłem. Przyrowadzisz ze sobą dobrego, starego Ludo?

- Jakżeby inaczej?

- Szkoda... No cóż, może uda mu się „skonfiskować” nóż Pippina i zasłużyć na wejście?

Z dobrego dnia zrobił się idealny. Milo poprosił mnie o radę w związku ze swoją imprezą. Już na samą wieść o tym, że zostałam zaproszona, z podniecenia sutki mi stwardniały, chociaż nie zamierzałam uprzejmie rozmawiać z Milo, gdyby sam mnie nie zagadnął, a teraz jeszcze zaczął mi się zwierzać i uchylił rąbka tajemnicy, jeśli chodzi o nowy wystrój swojego mieszkania.



Impreza zapowiadała się na najlepszą w historii świata. Do swego eleganckiego mieszkania w Camden Milo zamierzał wcisnąć pięćdziesiąt najważniejszych osobistości. Lista gości była imponująca: wszyscy wydawcy magazynów mody, jedna trzecia świętej trójcy japońskich projektantów, wysoka, chuda amerykańska aktorka słynąca z tego, że potrafi naśladować angielski akcent, nie połykając przy tym języka, dwaj rywalizujący ze sobą eksperci z programu telewizyjnego poświęconego modzie oraz Casper, ulubiony pudel Vanessy Eastleigh, mający zastąpić swoją właścicielkę, która z radością przyszlaby na przyjęcia, gdyby nie to, że musi się poddać płukaniu okrężnicy. Po rozmowie z Milo uśmieliśmy się z tego z Penny, której reakcja okazała się zaskakująca.

- Do kogo ona chodzi? - spytała ostrym tonem.

- Nie mam pojęcia. Pewnie do jakiegoś świra, który leczy kryształami. Wiesz, jaka ona jest.

- Niestety wiem i dlatego się o nią martwię. Mam nadzieję, że nie wybierze się do mojego fachowca na Harley Street. Nie chciałabym używać sprzętu po niej. Ona nie nosi majtek.

- Penny! Tylko mi nie mów, że chodzisz na płukanie okrężnicy. To takie w stylu lat osiemdziesiątych.

- Nie powinnaś się śmiać z tego, czego nie rozumiesz. Ten zabieg uwalnia moją kreatywność. Chociaż za pierwszym razem miałam nerwy w strzępach. Przez cały czas wstrzymywałam oddech. Wszystko zostało nagrane. Chyba głównie dla mojego bezpieczeństwa, ale za trzydzieści funtów w prezencie wysyłają nagranie wideo.

- A konkretnie czego nagranie? - spytałam, osłupiała. - Nie rozumiem.

- Na końcu rurki umieszczona jest taka miniaturowa kamera.

- Bleeeee. I auć!

- Nie, nie, to nie boli. Obiektyw smarują wazeliną, dzięki czemu na ekranie wygląda się o wiele młodziej. - Przemówiła przez nią aktorka.

Coś mi przyszło do głowy.

- Penny?

- Tak, Katie?

- Ale ty chyba go nie kupiłaś, co?

- Nie! No... chociaż właściwie tak. Ale nie kopię. Uparłam się przy oryginale. Wolałam, żeby nie wpadł w niepowołane ręce. Mam go tutaj - dodała, wyciągając paczkę z szuflady w biurku. - Chciałabym, żebyś to wyrzuciła do śmieci, ale najpierw napisz na kopercie „Odpady toksyczne: spalić”.

Położyłam paczkę na swoim biurku, już w myślach układając sobie anegdotkę dla Milo.

Reszta tygodnia trochę się ciągnęła. Całą uwagę skupiłam na zbliżającej się imprezie i przez wiele godzin rozmyślałam, co na nią założyć. Miałam trzy zupełnie różne możliwości. Styl klasyczny, swobodny i trochę zwariowany albo mieszany, klubowy. Tym razem uznałam, że najlepszy będzie złoty środek: style dzikuska albo dziewczyna od Prady nie wymagają zbyt dużego wysiłku intelektualnego, ale skoro chciałam wyglądać jednocześnie szokująco i szykownie, musiałam zaopatrzyć się w ołówek i papier i spędzić dobre dwie godziny przed cierpliwym lustrem.

Z Ludo wszystko się ułożyło. Ulżyło mi, że burza wywołana wierszem już minęła, a ja się cieszyłam, że udało mi się wykonać bezpieczny skok w bok - przynajmniej wtedy tak mi się wydawało - więc oboje zachowywaliśmy się bardzo poprawnie. Rozstanie z Liamem było pełne niedopowiedzeń. Coś tam przebąkiwaliśmy, że musimy to powtórzyć, ale Liam chyba znał zasady, prawda?

Zadzwoił w czwartek.

- Cześć, Katie.

- O, cześć - powiedziałam cicho, szybko się rozglądając po biurze, by sprawdzić, czy nikogo nie ma w zasięgu słuchu.

- Chyba nie bardzo się cieszysz, że zadzwoniłem.

- Nie o to chodzi. W pracy trudno się rozmawia - wiesz, dlaczego.

- Jasne, jasne. Słuchaj, tak sobie pomyślałem: jesteś zajęta w sobotę? Moglibyśmy skoczyć i coś przekąsić. - Oczywiście trudno było się spodziewać, by kierowca furgonetki, nawet pracujący w świecie mody, został zaproszony na imprezę u Milo.

- Nie, przykro mi. Już jestem zajęta.

- Trudno. Może innym razem. Masz jakieś plany na przyszły tydzień?

- Prawdę mówiąc, będzie ciężko.

Wyglądało na to, że muszę mu wszystko powiedzieć wprost.

- Liam, słuchaj, jesteś świetnym facetem, ale...
- Jasne, rozumiem. Było miło, ale do widzenia - przerwał mi.
- No niestety tak. Przepraszam.

Ten, kto pierwszy wymyślił okrucieństwo pod płaszczkiem uprzejmości, powinien dostać jakąś nagrodę.

- Nie przejmuj się. Nic się nie stało. To na razie. Mogło pójść gorzej. O wiele gorzej.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

### Zenit

- Słuchaj, po pół godzinie możesz wyjść, naprawdę mi nie zależy. Ale jeżeli nie przyjdziemy razem, ludzie zaczną pytać, a to strata czasu, który można poświęcić na zacieśnianie więzi.

Jak zwykle przed imprezą branżową Ludo był w złym nastroju.

- Nic z tego nie rozumiem. Ja ich nie lubię, oni nie lubią mnie, a i tak zawsze muszę chodzić na te imprezy. Milion razy bardziej wolałbym posiedzieć w pubie z Tomem i Danielem. Nie masz pojęcia, jak ja się męczę na takich przyjęciach. Wnętrznosci mi się przewracają, pocę się, nie mogę oddychać...

- Boże, a ja myślałam, że to świat mody jest pełen królowych dramatu. To największa bzdura, jaką słyszałam, odkąd Jasper Conran ostatnio rozbił namiot.

To nim lekko wstrząsnęło i potulnie wkroczył w fazę akceptacji, którą da się znieść, choć jest dość nudna. Doszło jeszcze tylko do jednej drobnej utarczki: na temat transportu.

- Przecież to dziesięć minut pieszo - zaczął gderać. - Musimy wzywać taksówkę?

Zdjęłam jeden but, niebiańsko piękny pantofelek od Sergio Rossiego, i - niczym rycerskim toporem - pomachałam mu przed nosem niebezpiecznie wysokim obcasem.

- To - powiedziałam zagadkowym tonem - potencjalnie śmiertcionośne obuwie. Te buty - dodałam niezbyt trafnie, gdyż ten lekki jak pianka pantofelek tak samo przypominał but jak impreza Milo piknik w górach - nie został stworzony do tego, by w nim chodzić.

\* \* \*

Na zaproszeniu było napisane „ósma”, ale my przyszedliśmy o dziewiątej, czyli jakieś dwadzieścia minut za wcześnie. W tych czasach strasznie trudno trafić w odpowiednią porę. Drzwi otworzył jakiś młody Wietnamczyk. Milo sprowadził kelnerów z firmy cateringowej, którzy robili wszystko po kosztach w zamian za dobrą reklamę.

Na widok wnętrza aż mi dech zapało w piersiach. Wiedziałam, że tak zareaguję i wiedziałam, że takiej reakcji Milo się ode mnie spodziewa. Wstrzymywanie oddechu było pożądaną reakcją fizyczną i

żadna inna nie mogłaby jej zastąpić. Lenie lub niemowy powinni przychodzić z nagraniami westchnień w wykonaniu bezrobotnych aktorów, które mogliby odtwarzać, przekraczając próg czyjegoś domu. Westchnienie pełne zachwytu, uśmiech, oklaski, czołobitność - wszystko to mogłoby oznaczać pewne uznanie, ale temu odnowionemu wnętrzu brakowało jednego elementu, a element ten tworzyło właśnie wstrzymanie oddechu.

Nie spodziewałam się natomiast, że oddech wstrzymam z przerażenia: słynny, odnowiony apartament Milo okazał się fiaskiem. Również z powodu cętkowanej skóry, którą obita była kanapa, fotel i chromowany szezlong. Ale to była tylko część problemu. W minionym tygodniu cętkowanej skórze kucyka przydarzyło się to, co się dzieje z każdą chwilową modą, na którą ludzie ciągle się nabierają: stała się obciachowa. Moda ta osiągnęła swoje apogeum w pewien późny środowy wieczór, kiedy Jude Law założył kurtkę z takiej właśnie skóry na premierę filmu, w którym urocza i nieskazitelna Stephanie Phylum - Crater uprawiała seks oralny z żółtym kundlem o imieniu Nobby, łamiąc w ten sposób ostatnie tabu, mówiące, że dobrze wychowana angielska aktorka może występować tylko z psami - medalistami. Od tamtej pory kariera skóry kucyka zaczęła lecieć na łeb na szyję szybciej niż początkujący snowboardzista.

Chodziło jednak o coś więcej, niż tylko zrozumiałe niefortunne poparcie dla kucyków. Wszystko, dosłownie wszystko w tym mieszkaniu, wyglądało jak zdarte z padłego zwierzęcia. Podłogę pokrywała wykładzina ze skóry o dziwnej strukturze, co być może miało tworzyć efekt skóry krokodyla, mnie jednak kojarzyło się z jelitami. Ściany były obite skórą w podobnym odcieniu, lecz o gładkiej powierzchni. Na podłodze i fotelach leżały futrzaki z królika czy też może lamy. Czułam się tak, jakbym przebywała jednocześnie wewnątrz i na zewnątrz jakiegoś mitologicznego stworzenia: nie wiedzieć czemu przyszło mi do głowy słowo „kamelopard”, choć wiedziałam, że to archaiczna nazwa żyrafy. W każdym razie wyglądało ohydnie. A zaledwie jeden sezon temu „Smack!” pojawił się w nagłówkach magazynów mody jako firma, która nie obsługuje klientów szyjących futra.

Niektóre z detali rzeczywiście robiły wrażenie: krzesła od Miesa van der Rohe, ustawione z logarytmiczną niedbałością, fantastycznonaukowe oświetlenie w stylu lat sześćdziesiątych wiszące

w eleganckich łukach nad głowami, dziwaczne drzwi obite tkaniną, każące się domyślać rozpustnych wnętrz, które się za nimi ukrywały. A jednak te ironiczne akcenty były zbyt skomplikowane i wielopoziomowe, by dać pożądany efekt, zaś całość robiła wrażenie zwykłego, staroświeckiego złego smaku.

W pokoju znajdowało się tylko około dziesięciu osób, z których większość skupiła się wokół Milo i Perskiego Chłopca. Milo był ubrany na srebrno, moim zdaniem w stylu z zeszłego roku, chociaż pewnie się myliłam, bo Milo - przynajmniej w świecie mody - zawsze był wyrocznią. Może chodziło o konkretny odcień srebra. Xerxes jak zawsze wyglądał absurdalnie i pięknie w obcisłym, dziewczęcym czarnym topie z bufiastymi rękawami z szyfonu we wzór z ciemnych gwiazd. Kookai i Kleavage jako półprofesjonalistki próbowały rozkręcić imprezę w jej wczesnej fazie, jeszcze zanim przyszli prawdziwi goście.

Przyszła też jedna z telewizyjnych ekspertek w dziedzinie mody, która usiłowała ukryć swoją irytację związaną z faktem, że przybyła za wcześnie. Pewnie jej informator za to oberwie. Jak to wcześniej twierdził Milo, na żywo wyglądała wstrząsająco brzydko. Telewizja niesłychanie łagodnie traktuje niskie, grube blondynki. Jej wygląd sugerował, że bardzo się starała dobrze wyglądać, lecz jednocześnie zbyt do tego nie przyłożyła.

W grupce obok dostrzegłam Canvey Island. Opowiadała anegdotkę o mężczyźnie z nogami jak pędraki. Nikt jej nie słuchał.

- No i co ty na to? - spytał mnie Milo. Wyczułam, że jego zazwyczaj wybujałe zadowolenie z samego siebie zmalało do minimum. Rozpaczliwie potrzebował otuchy. W głębi duszy z pewnością wiedział, że popełnił katastrofalny błąd, gdyby jednak się do niego przyznał, to by go zabiło. Potrzebował takiej wiary w siebie, jaką ma jogin chodzący po rozżarzonych węglach.

- Oszłamiające - powiedziałam. - Wygląda to tak pięknie, że aż chce mi się płakać.

Oczywiście tylko moja opinia nie wystarczyłaby do rozwiania jego wątpliwości, ale jako część chóru czołobitnych pochwał, trafiwszy na podatny grunt wybujałej próżności Milo, spełniła swe zadanie i Milo powitał mnie pokazem przekonującej czułości. Tym razem bez jęczyczka i kąśliwych uwag. Przyłączyłam się do grupki gości i zaaplikowałam zastrzyk niezbędnej energii systemowi, który

wyraźnie popadał w stan entropii (dziwne, co się zapamiętuje z lekcji fizyki). Ludo czmychnął w poszukiwaniu tacy z drinkami, chociaż jego polowanie na piwo miało się zakończyć niepowodzeniem, gdyż z powodów znanych tylko niektórym wtajemniczonym, od 1995 roku na imprezach w świecie mody podaje się tylko wymyślne drinki i szampana.

Milo jak zwykle wybrał okropną muzykę: brzdąkający jazz, który brzmiał jak bułgarska awangarda sceny muzycznej w latach sześćdziesiątych. Można by pomyśleć, że między światem mody a światem muzyki powinna zachodzić twórcza wymiana, tej jednak właściwie zupełnie brakuje. Przynajmniej na moim poziomie, czyli takim, gdzie trzeba wydawać pieniądze. Prawdę mówiąc muzyka i moda to dwa zupełnie odmienne archetypy stylu „cool”, a żaden z nich nie zamierza uznać drugiego. Ludo, który ma znajomego pracującego w jakiejś nieliczącej się wytwórni płytowej, mówi, że sytuacja ta kojarzy mu się z dwoma niemal identycznymi ptakami, które śpiewają w zaroślach, jednak nie zamierzają dobrać się w parę, bo jeden ma brązowy pasek nad okiem, a drugi - oliwkowy, albo jeden śpiewa „pipo - pi”, a drugi „po - pi - po”. Ja myślę, że przyczyna leży w tym, iż nie sposób znać się na wszystkim. A należy pamiętać, że większość osób związana z modą to tępaki. Gdyby choć na chwilę odwrócili uwagę, już na zawsze wypadliby z obiegu. Podobnie jest z muzyką.

- No, Katie, opowiedz nam coś świńskiego. Wiesz, że tego chcesz - Milo powiedział po chwili.

Przyszłam przygotowana.

- Co sobie życzysz? Polityka, showbiznes czy prawo?

- Katie Castle, gdybyś miała kutasa, już byłabyś moja! - wykrzyknął z entuzjazmem. Ciekawe, czy już się uraczył kokainą. - Trochę podnieśmy poziom naszej rozmowy: poproszę politykę.

Opowiedziałam im więc o członku przywództwa opozycji, który właśnie kupował jedną z naszych sukni z jedwabnego szantungu dla swojej kochanki - z powiększonymi piersiami, tatuażem na pośladku, kolagenem w wargach i śmiejącej się piskliwie, pełen zestaw - kiedy do sklepu weszła jego żona, kierownik do spraw funduszy miejskich, i nasza wieloletnia klientka.

Milo wybuchnął:

- Ależ to niemożliwe! Przecież on jest homo! Bardziej ciotowaty niż największa ciota! Widziano go we wszystkich barach dla gejów w Londynie i w Brighton. W Heath ma własny krzaczek. Powszechnie wiadomo, że torysi załatwili mu odpowiednią żonę, która ma... inne zmartwienia i której jego orientacja nie przeszkadza.

- Chciał, by tak to wyglądało, ale okazuje się, że była to tylko przykrywka dla jego rozbuchanej heteroseksualności i teraz cała prawda wyszła na jaw.

- Co powiedziała jego żona? - spytał ktoś.

- Och, nic. Zamieniła się tylko w górę lodu. Ale nie zamierzała udawać drugiej Mary Archer. Nie zamierza trwać przy swoim mężczyźnie. Zajrzyjcie jutro do „Maila”.

Po tym małym wystąpieniu wszystko poszło po mojej myśli. Nowi goście uznali mnie za centrum imprezy, niemalże za pełniącą honory pani domu, a ja czułam, jak rosną moje akcje na katiecastle.com. Perski Chłopiec robił, co mógł, by się sprzeciwić mojej uzurpacji, sycząc przez zaciśnięte zęby i ciskając gromy swymi ślicznymi oczami. Ale ja się nie przejmowałam. Już nie znajdowałam się na marginesie towarzystwa. Przed tym przyjęciem prawie wszyscy wiedzieli, kim jestem (poza dwiema lesbijskimi artystkami konceptualnymi z Australii, których najnowsza instalacja - kilka obscenicznych, różowych wymion zakupionych u rozbawionego rzeźnika i mających odzwierciedlać cześć, jaką społeczeństwo oddaje matkom - sterczała ze ściany w antyseptycznej kuchni Milo), ale teraz przyglądano mi się z większą uwagą. Nagle stałam się osobą, która mogłaby im wyrzucić krzywdę, osobą, o której względy musieli zabiegać.

Kelnerzy krążyli po pokoju z profesjonalną bezgłością. Drinki pojawiały się akurat w samą porę, a kanapki - gdyby komuś zachciało się jeść - podsuwano w tej samej chwili, gdy wyciągała się po nie ręka.

Przyszła aktorka z niezaproszonym długowłosym facetem, który prawdopodobnie był jej menadżerem. Mówiła, że Jude Law płacze na zewnątrz, bo z powodu zbytnej poufałości dozorca go nie wpuścił do środka. Nie miałam czasu na takie luksusy jak pogawędki ze sławnymi osobami: moim zadaniem było urabianie wpływowych. Z wielkim profesjonalizmem urabiałam wydawców magazynów mody, za pomocą przesadzonych pochlebstw wywoływałam uśmiechy na



poszarzałych od nikotyny twarzach, przebąkiwałam o znanych klientach, których nazwiska potem mogli wymienić w gazetach i sugerowałam napisanie artykułów o strojach noszonych przez bizneswomen. Moją ofiarą padały gazety dużego formatu, mierne, głupawe tabloidy i luksusowe miesięczniki, a ja czułam się jak o wiele ładniejsza i nieco mniej bezwzględna wersja Tamerlana\*, mojej ulubionej postaci literackiej ze szkoły średniej.

Musicie pamiętać, że była to nie tylko czysta autokreacja. Sukces w domu mody zależy od wielu różnych czynników, a szycie świetnych ciuchów to tylko jeden - i to wcale nie najważniejszy - z nich.

Tamerlan - muzułmański zdobywca mongolski, słynący ze swego okrucieństwa, bohater dramatu Christophera Marlowe'a, „Tamerlan Wielki”.

Czy kiedykolwiek zastanawialiście się, dlaczego w magazynach mody ciągle pojawiają się pewne nazwiska? Dlaczego niektóre kolekcje zawsze znajdują się w centrum zainteresowania? Pewnie patrząc na ich ciuchy, myśleliście sobie, że są ładne, brzydkie albo po prostu głupie, ale czy zastanawialiście się, dlaczego właśnie one zrobiły taką furorę? Cóż, po prostu dlatego, że ich projektant albo PR - owiec chadzał na takie imprezy jak ta. Oczarował wydawców, kombinował i intrygował.

I nie myślcie, proszę, że to coś w rodzaju expose, KATIE CASTLE WYJAWIA POTWORNĄ PRAWDĘ O ŚWIECIE MODY O ile wiem, inaczej się nie da. Istnieje tyle ciuchów, które się biją o uwagę klientów, że po prostu musi być jakaś metoda podziału na interesujące i nieinteresujące. A swój cel można osiągnąć, na przykład dosiadając się na przyjęciu z papierosem do karłowatej szychy z działu magazynu mody „Daily Beast”, która akurat odkryła, że guma do żucia z nikotyną, plastry i czopki antynikotynowe ani trochę nie złagodziły jej głodu. Na widok fajki wokół ust redaktorki pojawią się kropelki ręciovego potu, a usta rozchylą się, odsłaniając czerwone dziąsła jak u potwora w horrorze. W tym momencie jest cała twoja.

Uwielbiam to.

Wciąż napływał stały strumień gości. Wyglądało na to, że przybyli wszyscy. Japoński projektant przyszedł z wściekłą miną, szukając pola bitwy, na które mógłby się wdrzeć, ale Milo szybko doprowadził go do piskliwego chichotu, opowiadając mu anegdotkę o

kurtyzanach i projektantach. Tak, towarzystwo zostało dobrane idealnie: dominowało wrażenie, że grupa jest jednością, że łączy ją wspólny cel, ale jednocześnie między poszczególnymi podzbiorami istniał poziom wrogości na tyle wysoki, by zainteresowanie zostało podtrzymane.

Największą uwagą obdarzono Pippina, który pojawił się zalany, naćpany koką i śmierdzący chłopcem do wynajęcia, zdecydowany reprezentować styl „ostatnich mrocznych dni Sebastiana Flyte”. Zataczając się, krążył między grupami, wtrącał się do rozmów, które następnie monopolizował w monomaniakalnym celu: obgadywaniu Milo i Xerxesa. W końcu nawet luz Milo został wystawiony na najcięższą próbę. Milo skinął na dwóch krzepkich kelnerów, otworzył portfel, szeptem wydał instrukcje i się odwrócił.

Kelnerzy - z których jeden najwyraźniej dorabiał sobie do stypendium, a drugi wyglądał nieco groźnie, jak pomocnik rzeźnika - schowali do kieszeni nowiuteńkie pięćdziesięciodolarówki, po czym, z minimalną dozą brutalności, zaprowadzili Pippina do wyjścia. Jego bierność mogła brać się z przekonania, że ci dwaj szukają rozrywki. Dopiero w ostatniej chwili zrozumiał, że zamierzają mu przetrzepać tyłek w zupełnie innym sensie. Zawołał przez ramię w sposób tak teatralny, że po prostu musiało to być zamierzone, a jeśli tak, oznaczało jego triumf, szczyt jego kariery jako królowej dramatu:

- Jeszcze cię dorwę, ty dziwko! Zapłacisz mi za to!

W tym momencie impreza już miała zagwarantowaną nieśmiertelność.

Zauważyłam, że w całym tym zamieszaniu jakiś dość elegancki mężczyzna wykorzystał okazję i wszedł do środka. Dopiero po trzech sekundach uświadomiłam sobie, że to Tom, bolszewicki kolega Ludo. Od stóp do głów był ubrany w grafitowe ciuchy od Paula Smitha, co może i nie świadczyło o zbyt dużej wyobraźni, ale jemu się bardzo przysłużyło. Miał też ładnie ostrzyżone włosy. Domyśliłam się, że ten starszy Włoch w N19, czy gdzie tam, w tym miesiącu nie dostanie swoich pięciu funtów. Ale to mi nie wyjaśniło obecności Toma na przyjęciu. Pewnie Ludo go zaprosił dla dodania sobie otuchy, ale z tego powodu mogłam podpaść Milo. Na liście gości nie znalazło się wiele poważanych osobistości ze świata mody, a fakt, że wartościowe miejsce w salonie zajął zwykły nauczyciel bez żadnych powiązań z modą czy showbiznesem (pomimo całkiem udanego przebrania)

stanowił przykład właśnie tego braku profesjonalizmu, który dla Milo był nie do przyjęcia.

- Co za miła niespodzianka - powiedziałam, kiedy Tom mnie wypatrzył i podszedł. Sprawiał wrażenie zaskakująco pewnego siebie, co kontrastowało z na wpół nieśmiałą, na wpół gburowatą postawą Ludo na takich imprezach.

- Cześć - odparł, uchylając się przed moim pocałunkiem. Czuł typową dla klasy pracującej niechęć do kontaktu fizycznego.

- Pewnie szukasz Ludo. Jakiś czas temu zniknął mi z oczu.

- Yyy... nie. Właściwie już znalazłem osobę, której szukałem.

I wtedy pojawiła się Kookai. Na twarzy Toma wykwitł szeroki uśmiech. Uświadomiłam sobie, że nigdy przedtem nie widziałam jego zębów. Wyglądały tak, jakby niedawno je sobie poprawił. Kookai stanęła na palcach, odrzuciła głowę, pocałowała go w usta, a potem przycupnęła u jego boku.

Ledwo mi się udało nie popaść w stan szoku, z całych sił starałam się, by mi szczeka nie opadła, by oczy mi nie wyszły z orbit, a moje zwieracze się nie rozluźniły. Nakazałam sobie w duchu ironię, luz i opanowanie. Postanowiłam unieść jedną brew.

- A więc jesteście parą?

- Nie, na przyjęciach zawsze całuję się z obcymi kobietami - zupełnie niepotrzebnie zażartował Tom.

- Tom, bądź grzeczny. W końcu to urocza Katie nas ze sobą poznała. - Czyżby Kookai właśnie potraktowała mnie protekcyjnie czy coś sobie ubzdurałam? Mam nadzieję, że to drugie.

Postanowiłam poszukać Ludo, na co na żadnym przyjęciu wcześniej nie miałam ochoty. Przypuszczałam, że siedzi gdzieś, skulony w kącie, mamrocząc do siebie coś o okropnych ludziach ze świata mody, więc byłam bardzo zaskoczona, kiedy znalazłam go wśród parujących piekarników, chromowanych sokowirówek i innego, nigdy nie używanego sprzętu w nowoczesnej kuchni pełnej polerowanego brązu.

Co jeszcze bardziej zdumiewające, Ludo stał w środku dość wesołej grupki. Rozpoznałam dwie ładne dziennikarki zajmujące się modą (jeszcze za młode, by porosnąć grubą skórą, nabawić się garba i złośliwej miny charakterystycznych dla wszystkich redaktorów magazynów mody). Obie miały na imię Jane. Był tam też słynący ze swej kapryśności fotografik z Europy Wschodniej, ubrany w sprany

denim i nieuczciwie zdobytą kurtkę motocyklową oraz Galatea Gisbourne, aż nazbyt trendy projektantka, twórczyni nowej koncepcji mieszkania Milo. Poza swym niezwykłym wyglądem - czarne włosy o niebieskawym odcieniu, biała twarz i bardzo wydatne usta - Galatea słynęła głównie z rzadkiej i zabawnej wady wymowy, seplenienia, z powodu którego „s” wymawiała jako „sz”, któremu to dźwiękowi towarzyszyło parskanie śliną zza tylnych zębów. Złośliwcy ciągle namawiali, by powiedziała „sztary szweter, szłoik” albo „Szaszkatchewan”.

Oprócz tych znanych osób była tam jeszcze jedna, ciemniejsza, która stała do mnie tyłem. Coś w jej posturze wzbudziło we mnie dziwny niepokój. Uczucie to urosło niemalże do paniki, kiedy usłyszałam glos. Przez imprezową gwarę wyraźnie przebiło się tylko jedno słowo, ale mi wystarczyło: słowem tym było „znhaki”.

W odpowiedzi na słowa tej ciemnej postaci, Galatea odparła z podnieceniem:

- Tak, kto mógłby nie doszczec znaczenia znaków? - Mi jednak za bardzo zakręciło się w głowie, by docenić komizm jej wypowiedzi. Zaczęłam się wycofywać z kuchni, kiedy zauważył mnie Ludo.

- Katie, chodź się przywitać. Niesamowite. Wreszcie dobrze się bawię na jednej z twoich imprez. Nie wiedziałam, że znacie filozofów.

Zaczęłam szybko główkować. Nie zrobiłam nic złego. Wręcz przeciwnie. Nie miałam się czego wstydić. I co z tego, że wystawiłam tego palanta do wiatru? Należało mu się za ten bezczelny podryw. Pieprzyć go! Będę się zachowywać tak, jakby nic się nie stało.

Malheurbe odwrócił się i spojrzał na mnie.

- Katie! Nie mogę uwierzyć we własne szczęście. Dobrze, że się widzimy, bo chciałem cię przeprosić.

- Słucham? To wy się znacie? - Ludo wyglądał na zaintrygowanego i ubawionego.

- Nie - zaprzeczyłam, ale Malheurbe już się rozkręcił.

- Zachowałem się wobec tej damy z godnym pożałowania brakiem galanterii. Umówiła się ze mną na spotkanie w Paryżu. Podała mi bardzo dokładne instrukcje, co u Angielek należy do rzadkości. Ja jednak byłem bardzo niedysponowany i nie mogłem przyjść na to spotkanie. Zrobiło mi się bardzo przykro, kiedy pomyślałem, że czeka na mężczyznę, który się nie pojawi.

Nagle wszyscy zaczęli się na mnie gapić. Dziennikarze wyczuli, że zanoszą się na niezły ubaw. Zaciekawienie na twarzy Ludo ustąpiło miejsca uzbrojonej neutralności - jak Szwajcaria.

- Katie, o czym on mówi? - spytał mnie chłodno. Przepraszam Malheurbe'a mną wstrząsnęły. Nie wiedziałam, czy

rzeczywiście nie przyszedł, czy też była to starannie zaplanowana zemsta. Postanowiłam wszystkiego się wyprzeć.

- Ten facet to jakiś wariat. Nie mam pojęcia, o czym mówi.

- Ależ, kochanie - powiedział gładko ten francuski pojeb - rozumiem, że jesteś na mnie zła, ale wybaczyłabyś mi, gdybyś wiedziała, jak silne jest moje uczucie do ciebie. Zobacz, zatrzymałem ten miłosny liścik, który mi dałaś, kiedy się poznaliśmy.

Jezus Maria, adres knajpy. Chryste, całusy.

Wyciągnął rękę. Na liniowanej kartce papieru formatu A4 widniało moje pismo i piramidka ułożona z trzech całusów. Wszyscy wiedzą, że tak się podpisuję.

Nastrój wśród obserwatorów zmienił się z ekscytacji w zażenowanie. Zaczęli się od nas odsuwać.

Odwróciłam się do Ludo.

- Kochanie, wszystko ci wyjaśnię. Ten... ten mężczyzna był z Milo na Premiere Vision. Bezczelnie mnie podrywał, więc się z nim umówiłam, żeby się go pozbyć. Możesz spytać Milo, jeśli mi nie wierzysz.

Wtrącił się Malheurbe:

- Przepraszam, nie wiedziałem, że was dwoje coś łączy.

- To moja przyszła żona.

- Pozwolicie, że pochwalę liberalność i otwartość waszego związku. U Anglików rzadko się spotyka takie wyrafinowanie.

Ludo mocno uderzył go w usta.

Obie Jane jednocześnie wstrzymały oddech. Nigdy przedtem nie widziałam, by Ludo dopuścił się aktu przemocy. Zawsze był taki łagodny. Przez chwilę rozważałam podniecenie tym widowiskiem, ale tylko mnie zemdliło. Fotograf wyjął mały, ale drogi aparat i zrobił zdjęcie skulonemu, zakrwawionemu filozofowi.

Ludo się odwrócił i zamaszystym krokiem wrócił do pokoju. Pobiegnęłam za nim. Przyjęcie trwało nadal, goście nie zdawali sobie sprawy z dramatu, jaki rozegrał się w kuchni. Nikt nie zauważył, jak

przepchnęliśmy się do wyjścia. Dogoniłam go, kiedy zbliżał się do windy w korytarzu.

- Ludo, błagam. Chyba nie wierzysz w te brednie? To tak zwariowane, że aż śmieszne.

Przez parę sekund patrzył na mnie poważnie.

- Wierzę ci - powiedział bez uśmiechu.

- Proszę, wróćmy na przyjęcie. Przez cały wieczór nie odstąpię cię ani na krok, obiecuję. Wiesz co? Tom przyszedł, jest z Kookai!

Wreszcie się uśmiechnął, ale nie oczami.

- Tak, wiem o nich. Wydawało mi się, że ci o tym wspominałem. Ale nie mogę wrócić. Zachowałem się jak idiota. Poza tym naprawdę się zdenerwowałem. Wiesz, Katie, nie powinnaś się zachowywać jak... jak zdzira. Nic dziwnego, że ludzie źle cię oceniają. Ja chyba ci ufam, ale i tak wyszedłem na durnia. Wracaj na imprezę i baw się dobrze. Ja trochę pospaceruję. Może zdobędę trochę lodu na rękę.

Spojrzałam w dół. Jego palec wskazujący był fioletowy, widniało też na nim głębokie skaleczenie - pewnie ślad po zębach Malheurbe'a. Ujęłam jego dłoń i pocałowałam. Ludo się skrzywił i cofnął rękę.

- Katie, zostawmy to na razie. Nagle poczułem się bardzo zmęczony.

Kiedy drzwi windy się za nim zamykały, pomachałam do niego. Uśmiechnął się ze smutkiem. Sprawiał wrażenie przegranego.

Jak jednak po całym tym zamieszaniu mogłabym wrócić na imprezę? Cóż, Katie Castle stawia sobie za punkt honoru wrócić na przyjęcie, na którym jej narzeczony pobił francuskiego filozofa za to, że ten twierdził, iż miał z nią romans.

Tak więc wróciłam. Utarczka w kuchni to była bułka z masłem w porównaniu z incydentem z Pippinem i ledwo została zarejestrowana na skali Geigera. Malheurbe uśmiechnął się do mnie ironicznie, co oznaczało, że zemsta mu się udała. Ale przynajmniej na pamiątkę została mu rozcięta warga.

Przez jakiś czas krążyłam po pokoju, ale straciłam cały zapał. Zauważyłam, że Tom i Kookai świetnie się bawią. Kookai opowiadała zaskakująco zabawną historyjkę, w której śmiała się sama z siebie, o tym, jak musiała „surfować autobusem” do pracy, kiedy zaczęła swoją karierę w PR. Bez grosza przy duszy wsiadła do autobusu, a kiedy konduktor poprosił ją o opłatę za bilet (co zawsze zajmuje parę minut), zaczęła rozpaczliwie przetrząsać torebkę i wreszcie

wybuchnęła płaczem. Wyjaśniła, że zgubiła portfel i zaproponowała, że na następnym przystanku wysiądzie. Mniej więcej w połowie przypadków konduktorzy z uśmiechem pozwalali jej jechać dalej. Jeżeli jednak musiała wysiąść, powtarzała całą akcję w następnym autobusie.

- Wiecie, w ten sposób jazda do pracy stała się prawdziwą przygodą - powiedziała ze zwycięskim uśmiechem. - Choć kiedyś trzy razy musiałam się przesiadać, a potem przepłakałam cały tydzień.

Szczwana sztuka, pomyślałam. Wcale nie taka głupia. Subtelnie wykorzystywała to, że mieliśmy ją za słodką idiotkę i że ją za to uwielbialiśmy. Może jednak wyrośnie z niej geniusz PR - u.

Właśnie kiedy zastanawiałam się nad wyjściem, podszedł do mnie Milo.

- Jak poszło twoim zdaniem?

- Nie mogło być lepiej. Mieszkanie wygląda fantastycznie, wszyscy przyszli, bufet był pyszny, mieliśmy dwie bójki na pięści, krew na podłodze. Czego więcej chcieć?

- Tak, słyszałem o Ludo i tym bufonie Malheurbie. Mam nadzieję, że nikomu nie stała się żadna krzywda?

- Co, Malheurbe'owi? Nie, ma tylko rozciętą wargę.

- Szkoda. Ale miałem na myśli ciebie i Ludo.

- Nie, Ludo jest kochany.

- Szkoda. - Milo!

- Tylko żartowałem.

- Mam nadzieję. Wiesz, że gdyby nie Penny Moss, nawet byśmy się nie poznali, a gdyby nie Ludo, nadal byłabym... Bóg wie, kim. Bez Ludo ten mały Wietnamczyk by mnie tu nie wpuścił. - Na słowo „Wietnamczyk”, Milo zamruczał ze zwierzęcą żądzą. Pomyślałam sobie, że kiedy impreza już się skończy, Milo zabawi się w Organizację Narodów Zjednoczonych ze swoimi perskimi i wietnamskimi chłopcami oraz z tym nieprzyjemnym fotografem z Czech, Litwy czy Polski, który łąził za nim jak cień, na coś licząc.

W tym momencie Milo szybko zatrzymał nieprzyzwoity film, który wyświetlał się w jego wyobraźni.

- Katie, słowo daję! Chyba nie sądzisz, że zerwałbym z tobą znajomość, gdybyś znowu została zwykłym zerem bez pieniędzy, znajomości i perspektyw, co, kochanie? Boże uchowaj!

- Takiego chuja - odparłam, zaskoczona własną wulgarnością i gwałtownością. Zamierzałam zareagować odrobinę subtelniej.



## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

### W którym Katie Castle nie płacze

Wróciłam około trzeciej w nocy, wykończona i nieco przygnębiona. Ogólnie rzecz biorąc, impreza się udała, ale jakoś nie umiałam z tego czerpać satysfakcji. Wiedziałam, że powinnam była wyjść z Ludo, ułagodzić go i udobruchać. Chciałam jednak utrwalić swoje osiągnięcia, umocnić swoją przewagę. Zamiast tego snułam się bez celu po pokoju, patrząc jak kokainiści coraz bardziej się nakręcają. Zawsze wołałam porządne upojenie alkoholowe od fałszywej, kokainowej jasności umysłu, ale nigdy mi nie przeszkadzało, kiedy inni ćpali. Dzięki koce jeszcze bardziej śmiali się z moich żartów. Ale jak zawsze, powtórki w końcu drażnią, a narkomańskie ekscesy i sztuczny śmiech zaczęły się robić nudne, bezsensowne i prostackie.

Kiedy tylko otworzyłam drzwi, wyczułam, że wydarzyło się coś złego. Mieszkanie wydawało się zimne i puste. Nie znalazłam w nim Ludo. Sprawdziłam wszystkie pokoje, myśląc, że może zasnął w garderobie, wiedziałam jednak, że go nie znajdę. Nieszczególnie się tym zmartwiłam. Ludo nie należał do facetów, którzy wdają się w bójki przy użyciu obtłuczonych butelek i łańcuchów rowerowych. Przypuszczałam, że poszedł do Daniela. Spałam lekkim snem, śniły mi się smoki.

Kiedy rano Ludo nadal nie wracał, zaczęłam się poważnie niepokoić. Pomyślałam, że lepiej spytam Penny, czy wie, gdzie on się podział, ale właśnie gdy miałam do niej dzwonić, zobaczyłam, że na automatycznej sekretarce jest nagranych kilka wiadomości. Uwielbiałam odsłuchiwać sekretarkę. Zawsze wtedy czułam dreszczyk podniecenia. W końcu mogłam usłyszeć wiadomość, która zmieni całe moje życie.

Pierwsza była od Veroniki. Skasowałam ją po wysłuchaniu pierwszych ckliwych słów: „Czeeeeść, Katie”. Z pewnością była nudna albo przygnębiająca: znowu ją facet odrzucił albo miała kryzys związany z jedzeniem.

Druga pochodziła od Penny. Irytujący głos Stephena Hawkinga powiedział, że wiadomość została nagrana o pierwszej trzydziści siedem rano.

- Katie, mówi Penny. Ludo jest tutaj, ale nie zostanie długo. Coś się stało. Chcę cię widzieć jutro w moim gabinecie. Proszę, żebyś przyszła na jedenastą. Masz tam być i nie wolno ci się spóźnić. Wiem, że to niedziela.

O co, u diabła, mogło chodzić? Pewnie jakaś pilna sprawa zawodowa. Niekiedy chodziłam w niedziele do pracy, kiedy mieliśmy tam piekło, ale przecież Penny nigdy nie zrezygnowałaby z porannego makijażu. Przyszła mi do głowy myśl: chyba to nie ten idiota Malheurbe, co? Czyżby Ludo jednak wziął sobie do serca jego brednie? Rzeczywiście zawsze wszystkim się zamartwiał. Musiał w potrzebie od razu lecieć do mamusi? Nie, nie. Przyczyną z pewnością nie jest Ludo. Pewnie chodzi o naszego gospodarza, Liberty albo nowego klienta, który może przyjść tylko w niedzielę albo o to, że zbankrutowała kolejna fabryka i musimy przenieść produkcję na Litwę.

Był jeden z tych rzadkich słonecznych listopadowych poranków, które wydają się piękne z powodu nieuchronnej szarości, która je poprzedziła i która nastąpi po nich. Przyjechałam do sklepu za pięć jedenasta i zadzwoniłam do drzwi. Byłam zdumiona, kiedy otworzył Hugh. Kiedy wchodziłam, stanął z boku. Nie pocałował mnie na powitanie.

- Hugh - powiedziałam - to bardzo tajemnicze. Co się dzieje? Nie przywykłam do takich przygód w niedzielę. - Starłam się wprowadzić atmosferę flirtu.

- Lepiej niech Penny ci powie. - Nie patrzył mi w oczy, co było bardzo nie w jego stylu. Zaczęłam się bać. Wszystko stanęło na głowie. Penny - praca - niedziela - Hugh - Ludo - przerażająca kombinacja. W milczeniu poszłam schodami za Hugh. Po drodze miałam krótkotrwałe, lecz silne przywidzenie, że wstępuję na szafot. Suszarki bębnowe wirowały, dziewiarki tkały, nie mogliśmy nadażyć z szyciem spódnic - spodni.

Jeszcze więcej niespodzianek czekało mnie w biurze. Oprócz Penny, której się spodziewałam, zobaczyłam Cavafy'ego. Na miłość boską, po co Penny go wezwała? Po raz pierwszy widziałam tego niskiego Greka poza fabryką. Byłam zupełnie zdezorientowana. Przez chwilę patrzył na mnie dziwnym wzrokiem, lekko odwracając głowę. Nie wiedziałam, czy na jego twarzy malował się smutek, czy wrogość, ale na pewno zniknęła z niej zwykła serdeczność.

Hugh usiadł przy drugim końcu biurka, które zostało odsunięte od ściany i ustawione jak na przesłuchaniu.

- Komisja Bezpieczeństwa Publicznego - wymamrotałam pod nosem. Hugh, jakby czytał w moich myślach, uśmiechnął się, po czym zakasłał, by ukryć ten uśmiech. Penny nie wiedziała, co sobie myślę, a może po prostu jej to nie obchodziło.

- Katie - zaczęła swoim biznesowym tonem. - Nie zamierzam owijać w bawełnę.

- W bawełnę - powtórzył cicho Hugh, biorąc życie we własne ręce. Tym razem Penny postanowiła go zignorować.

- Zostałaś zdemaskowana. To było tylko kwestią czasu. Zawsze wiedziałam, że nie jesteś odpowiednią dziewczyną dla Ludo. Nie czuję do ciebie osobistej urazy. Jestem pewna, że nie mogłaś się oprzeć.

Co, kogo miała na myśli? Chryste, co robić? Najlepiej się wściec.

- Ile razy mam powtarzać, że ten pieprzony Francuz to patologiczny kłamca? Dałam mu ten liścik, żeby się go pozbyć. Jest brzydki, nudny i głupi. Kogo teraz obchodzi dekonstruktywna moda? Nawet by mi do głowy nie przyszło, żeby się z nim zadawać.

- Katie - ciągnęła Penny - może to prawda, a może nie. Ludo podał mi fakty i może rzeczywiście uwierzylibyśmy ci na słowo. Ale nie dlatego cię tu wezwaliśmy. Zauważyłaś, że Cavafy był łaskawy tu przyjść. Właściwie to dlatego się zebraliśmy. Wczoraj coś mi opowiedział, coś, co usłyszał od Angela.

Wtedy mnie olśniło. Z przerażenia aż mi się zakręciło w głowie. Sprawa nie miała nic wspólnego z Malheurbe'em. Ogarnęła mnie fala mdłości. Bulimiczkom często się to zdarza. Musiałam jednak walczyć.

- Na miłość boską, Penny, przecież wiesz, że Angel się we mnie durzy. Przeinacza każde moje słowo.

- Mój syn nie kłamie - Cavafy powiedział cicho, ale z takim naciskiem, że jego słowa niemalże zatrzeszczały jak zakłócenia na linii telefonicznej.

- Katie, przejdźmy do rzeczy - wtrąciła Penny. - Czy wiedziałaś, że Liam Callaghan i Angel się przyjaźnią?

- Nie, wcale się nie przyjaźnią - pedantycznie uściślił Cavafy. - Są zwykłymi znajomymi, którzy czasami razem chodzą na drinka.

- Jak wolisz, Cavafy. Jak myślisz, o czym w knajpie rozmawiają chłopcy? Chłopcy tacy jak Liam Callaghan? O kwiatkach? O akcjach?

A może po prostu o dziewczynach? - Penny była mistrzynią ironii. - Katie, kochanie, postaw się na miejscu Liama. Spróbuj sobie wyobrazić, że jesteś mężczyzną. Mężczyzną, który właśnie się przespał z dziewczyną tak ładną, bystrą i ustosunkowaną jak ty. Nie chwaliłabyś się tym? Mmm? Ja bym się chwaliła.

A więc to tak. Liam wszystko wypaplał. Może wiedział, że Angel się we mnie kocha, może nie. Tak czy siak, dobry mały Angel poleciał prosto do swojego tatuńcia. A tak się złożyło, że tatuńcio jest starym znajomym Penny.

Przemówił Cavafy.

- Katie, wiesz, że zawsze cię lubiłem. Wiesz, że widziałem cię u boku mojego syna, bo on też bardzo cię lubi. Kiedy jednak dowiedziałem się o tym kierowcy, byłem bardzo zły. A więc jesteś za dobra dla mojego Angela, ale nie za dobra dla tego Irlandczyka? Nieładnie. Nieładnie się zachowałeś wobec Penny i Ludo. Który też jest dobrym chłopcem. Teraz może nawet żałuję, że przyszedłem z tą historią do Penny, ale pomyślałem, że będzie lepiej, jak ją usłyszy od przyjaciela.

- Dziękuję, Cavafy - powiedziała Penny. - Jak zwykle przemawia przez ciebie džentelmen.

Pewnie się dziwicie, że przyjąłem to względnie obojętnie. W pierwszym odruchu chciałem na nich pomstować. Kim oni są, by mnie osądzać? Toż to absurd. Czułam się jednak oszołomiona i wyzuta z energii. Moje nogi i ręce były ciężkie, a umysł odrętwiały. Nie z powodu poczucia winy. Po prostu dokonałam pewnych kalkulacji. Miałam przed sobą całą brygadę, a na swoją obronę tylko Ja tego nie zrobiłam" - słowa dziecka, którego buzia jest usmarowana tą samą czekoladą, która pokrywa ściany, dywan i zasłony. Ale nikt nigdy mnie nie posądził o tchórzostwo. Zamierzałam walczyć, choć moja broń była marna.

- Penny, Cavafy, posłuchajcie, nie twierdzą, że Angel to sobie wymyślił. Lubię go i przykro mi, że nam nie wyszło. Wszystko przez Liama. Ostatnio, kiedy byłam w magazynie, podrywał mnie. Rzucił się na mnie, więc go spoliczkowałam. Mężczyźni tego nie cierpią, więc wymyślił sobie tę historyjkę, żeby się na mnie zemścić, napompować własne ego albo po prostu narozrabiać. Sama nie wiem.

- Niezła sztuczka, Katie, ale my się na nią nie nabierzemy, nie ma mowy. - Penny wiedziała, że ma przewagę, więc zachowała spokój

i opanowanie. - Twój francuski oblubieniec udowodnił, że to nie twój pierwszy raz. Zresztą rozmawiałam z Liamem. Jest zdruzgotany. - Pewnie, że tak, pomyślałam. - Wiedziałaś, że ma żonę? I dwójkę dzieci?

Urwała, czekając, aż przyswoję sobie tę informację. Osłupiałam. To oczywiste. Inaczej po co pożyczalby mieszkanie? Po co te dziwaczne uniki? Może więc Liam chciał tylko się poprzehwalać, jak to samiec, a nie się zemścić? Ciekawe, jak Penny go do tego zmusiła? Przekupiła go czy mu groziła? Mogłaby zostać jednocześnie „dobrym” i „złym” policjantem.

- On ma więcej do stracenia niż ty. Zgodnie z jego wersją twierdziłaś, że masz wielką ochotę na „skok w bok” - jakież to obrzydliwe - zanim się „ustatkujesz” z Ludo. Twierdzi, że to ty go uwiodłaś. I, szczerze mówiąc, wierzę mu. - Potem rzuciła w stronę Hugh: - To jeden z najlepszych kierowców, jakich kiedykolwiek miałam.

Co za świnią. Dlaczego ja mu zaufałam? Nadal jednak nie mogłam wzbudzić w sobie świętego oburzenia. Czulałam, że tonę. Chcąc się odezwać, musiałam podjąć świadomy wysiłek, by zmusić do działania wargi i język. Udało mi się tylko wybełkotać:

- To jakieś szaleństwo. Gdzie jest Ludo? Chcę z nim porozmawiać.

- Ludo wyjechał. Pomyślałam, że najlepiej na jakiś czas wysłać go z miasta. Ma się zająć jakimś projektem opieki nad bielikami...

- Będzie pilnował ich jaj - dodał Hugh.

- Jaj? Kto by chciał jeść jaja bielika? W każdym razie wysłałam go do Mull, Muck, czy jakoś tak. Wszyscy uznaliśmy, że to najzdrowsze rozwiązanie.

Nie zamierzałam się rozpłakać.

- I co teraz?

- Oczywiście musisz się wyprowadzić z jego mieszkania.

- Nie możesz mi tego zrobić! Ja tam mieszkam. Nie mam dokąd pójść.

Penny zignorowała moje słowa, nawet nie powiedziała „Trzeba było wcześniej o tym pomyśleć”. Ciągnęła dalej:

- Uważamy też, że naprawdę nie powinnaś tu pracować. Z pewnością sama rozumiesz, że byłoby to niemożliwe. - Jednym spiczastym paznokciem pchnęła coś po stole w moją stronę. - W tej

kopercie znajdziesz miesięczne wynagrodzenie, co jest dosyć wspaniałomyślne z naszej strony, oraz referencje - zważywszy na sytuację również wspaniałomyślne. A tak przy okazji, Sukie zajmie twoje stanowisko.

- Dziwka - powiedziałam, ale bez prawdziwej siły. Miałam na myśli tak samo Sukie, jak i Penny.

- Katie, daj spokój - powiedział Hugh, odrywając wzrok od wzoru na dywanie. - Znasz zasady. Dostałaś szansę i jej nie wykorzystałaś. Nie możesz za to winić Penny. Wiesz, zawsze uważałem, że jesteś świetną dziewczyną i życzę ci wszystkiego dobrego, ale musisz zrozumieć, że my... że oni muszą się z tobą rozstać. Penny i Ludo.

To już koniec. Jeżeli stracę Hugh, stracę wszystko. A więc wszystko straciłam. Bang! Mieszkanie. Bang! Kochanka. Bang! Wszystko.

- Tam schowaliśmy twoje rzeczy. - Penny wskazała na kartonowe pudło pod moim biurkiem, jak to zauważyłam dopiero teraz, zupełnie pustym. Zobaczyłam mój futrzany piórnik, prezent od Veroniki. Zachowałam go, by mi przypominał, jak daleko zaszłam.

- Kiedy mam się wyprowadzić z mieszkania? - spytałam. W ten sposób publicznie przyznałam się do porażki.

- Właśnie zamówiłam taksówkę po twoje rzeczy.

- To oburzające. Jak mogłaś to zrobić? Poza tym jakie rzeczy? Jak wszystko zmieszczę do taksówki?

- Katie, chyba nie planowałaś zabrać żadnych mebli, prawda? Domyślam się, że to Ludo wszystko kupił. Poza tym dobrze pamiętam, że przyjechałaś taksówką. Jak przyjechałaś, tak wyjedziesz.

- Nie możecie tego zrobić. - To było moje ostatnie słowo i włożyłam w nie tę resztkę emocji, jaka mi jeszcze została - tak samo jak wszystkie moje dobra materialne zostały załadowane do taksówki.

- Ależ możemy, Katie. Żyłaś marzeniami. Myślałaś, że stałaś się jedną z nas, jedną z osób, które się liczą. A więc się myliłaś. Przez jakiś czas pozwalaliśmy ci udawać. A teraz czas się obudzić.

Nagle doznałam olśnienia, które możecie nazwać fantazją, jeśli wolicie. Hugh, Cavafy, Penny - to już nie byli prawdziwi ludzie, na moich oczach przemienili się w reprezentantów, symbole. Hugh to były człowiek z City, broker, handlowiec lub makler giełdowy (nigdy nie rozumiałam różnicy), Cavafy był właścicielem fabryki, a Penny

tak jakby przedsiębiorcą. Przeciwno mnie sprzyściągł się kapitalizm w całej swej chwale: Finanse, Handel i Środki Produkcji. Byłam oficjalnie miażdżona przez system! No dobrze, może i Hugh nie należał do szych, fabryka Cavafy'ego przynosiła ledwo tyle dochodów, by mógł spłacić hipotekę nałożoną na bliźniak w Hitchin, a umiejętności przedsiębiorcze Penny mały z powodu początkowej fazy demencji, ale brak kompetencji jakoś nigdy nie powstrzymał Stracha Na Wróble, Blaszanego Drwala i Tchórzliwego Lwa. Pomyślałam, że muszę o tym opowiedzieć Ludo, że ta historia na pewno bardzo mu się spodoba. No, ale oczywiście już nigdy nie miałam się z nim spotkać.

- I co ja mam teraz zrobić?

- Katie, jesteś inteligentną dziewczyną, coś wymyślisz.

Penny, Hugh i Cavafy zaczęli wydawać z siebie ciche odgłosy, sugerujące, że zebranie zostało zakończone, lekko wzdychali i cmokali ustami. Hugh z galanterią wziął moje pudło i sprowadził mnie po schodach. Kiedy znaleźliśmy się w bezpiecznym miejscu piętro niżej, odwrócił się i powiedział:

- Pomyślałem, że miesięczne wynagrodzenie byłoby zbyt niskie, więc postarałem się o trzymiesięczne. Zachowaj to dla siebie. Penny chyba by wybuchła, gdyby się o tym dowiedziała.

Teraz łzy już płynęły mi po twarzy sporym strumyczkiem, ja jednak uważam, że płacz bez szlochania się nie liczy, a ja z całą pewnością nie zamierzałam szlochać.

Kiedy znaleźliśmy się na ulicy, Hugh sięgnął po portfel i dał mi dwadzieścia funtów.

- Lepiej pojedź taksówką.

Nie pamiętam, czy mu podziękowałam. Na pewno nie chciałam dziękować.

Taksówka powiozła mnie przygnębiającymi, niedzielnymi ulicami. Dzień był pochmurny, a niebo wisiało tak nisko, że dosłownie można było o nie uderzyć się głową. Przypomniało mi się pewne określenie: „żałośnie błędne rozumowanie”. Chyba powiedziałam je na głos, bo kierowca spytał: „Słucham?”, ale ja tylko pokręciłam głową.

Kiedy dotarliśmy do Camden, moja apatia i niezdrowy dystans zaczęły znikać, a na ich miejscu rozżarzył się znajomy ogień. Przyszło mi do głowy przynajmniej siedem wyśmienitych ripost. Aż się

skręcałam i zgrzytałam zębami, wyrzucając sobie, że tak szybko się poddałam. Gdybym tylko przewidziała rozwój sytuacji, zrównałabym ich z ziemią. Może nie ocalałabym swojego życia, ale po tej rozmowie z pewnością potrzebowaliby mocnego drinka. A tak, miałam wrażenie, że po prostu mi współczuli. Już nigdy więcej!

Taksówka zatrzymała się pod moim domem, naprzeciwko innej. Nie dałam napiwku kierowcy: przyda mi się każdy pens.

- Pan czeka na mnie? - spytałam drugiego szofera.
- Panna Castle? - Tak.
- W takim razie czekam na panią.
- Włączył pan licznik?
- Niech panią o to głowa nie boli. Zapłacił jakiś młody facet.

Zajrzałam na tylne siedzenie. Prawie pod sam dach było załadowane pudłami i czarnymi workami na śmieci. Ledwo starczyło miejsca dla mnie i pudła z biura.

Najpierw jednak chciałam rzucić okiem na mieszkanie: również po to, by sprawdzić, czy nie zostały w nim jakieś moje rzeczy. Mój klucz przekreślił się w zamku, ale drzwi nie chciały się otworzyć. Napałam na nie ramieniem. Nic. Wtedy zobaczyłam, że dodano drugi zamek. Poczułam chłodne uznanie dla zapobiegliwości Penny. Po co wykosztowywać się na zmianę zamków, skoro można mnie nie wpuścić do środka, dodając drugie zabezpieczenie? Moje serce zlodowaciało jeszcze bardziej, gdy dostało się weń kilka kryształków lodu więcej.

Wyszłam na podjazd i pod wpływem impulsu schyliłam się i podniosłam kamień. Bez namysłu odwróciłam się i, jak nastoletni chuligan, rzuciłam go w okno. Niestety, nie trafiłam ani w okno, ani choćby w dom, a kamień odbił się od tynku dwoje drzwi dalej. Szkoda, że nie przykładałam się bardziej na wuefie.

Wsiadłam do taksówki i zauważyłam kopertę przyklejoną taśmą do jednego z pękatych worków. Rozpoznałam charakter pisma Ludo. Zanim zdążyłam ją otworzyć, kierowca przesunął dzielącą nas szybkę i spytał, dokąd ma jechać. Gdzieś w głębi ducha zawsze znałam odpowiedź na to pytanie, które nieuchronnie kiedyś musiało paść. Znałam ją, ale bałam się ją dopuścić do świadomości.

- Tollington Road.
- Koło parku Finsbury? Odchodzi od Stround Green? - Tak.

Veronica.



Kiedy ruszyliśmy, przeczytałam list. Brzmiał następująco:

Katie,

Kiedy wróciłem wczoraj w nocy, zadzwoniła mama. Powiedziała mi o tobie i o tym Callaghanie. Gdyby nie tamta sprawa z Paryża, nigdy bym jej nie uwierzył. Ale z drugiej strony, gdyby nie Callaghan, nigdy bym nie uwierzył w tamtą sprawę z Paryża.

Katie, dlaczego to zrobiłaś? Tak bardzo cię kochałem, mogliśmy być tacy szczęśliwi. Byłem za mało wyluzowany czy chodziło może o seks? Nie mogę przestać myśleć o tobie i o nich. Walłem głową w ścianę, żeby pozbyć się tych myśli, ale to nic nie dało. Dlatego nie mogę się już z tobą widywać. Muszę spróbować o tobie zapomnieć, inaczej oszaleję.

Przykro mi z powodu mieszkania. Penny się uparła. Wiesz, że należy do niej. Mówiłem jej, że ten drugi zamek w drzwiach jest niepotrzebny, ale stwierdziła, że nie życzy sobie, żeby twoja noga stanęła w tym miejscu. Najbardziej zdumiewające jest to, że w pewnym sensie ma rację. Pewnie dzięki prawu prawdopodobieństwa.

Nie będzie mnie tutaj, kiedy wrócisz. Lecę do zachodniej Szkocji, gdzie mam się zająć projektem ochrony przyrody. Angażuję się w tę akcję już od paru lat, ale pewnie tego nie zauważyłaś. Ten wyjazd był pomysłem Penny, myślę, że całkiem niezłym. Nie wiem, jak długo tam zostanę. Jeżeli tam się spodobam, może nie wrócę już nigdy.

Nie winię cię i nie czuję do ciebie nienawiści. W pewnym sensie zawsze będę cię kochał. Po prostu strasznie mi smutno. Mam nadzieję, że ci się powiedzie w życiu.

L.

Bardzo chciałam wyśmiać użalanie się nad sobą Liama i pompatyczność tego listu. Ale mi się nie udało. Na tym skończę ten rozdział, bo obiecałam, że nie będę płakać, a teraz już mało brakuje.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

### Dom uciechy

Tak więc się rozbeczałam. Popłynęły mi łzy żalu nad samą sobą, łzy frustracji i gniewu. Nie było łez skruchy. Trwało to jedenaście minut - dokładnie tyle, ile zajmuje jazda na Holloway Road (pamiętajcie, że była niedziela). Łzy te były pożyteczne i dobre. Gdybym się nie rozpląkała, pozostałabym w stanie szoku, sparaliżowana i niezdolna do działania.

Kiedy wróciła mi jasność myślenia, zdecydowałam wykonać dwa zadania. Pomyślałam, że lepiej sprawdzić, czy Veronica jest w domu, chociaż nie miałam pojęcia, dokąd mogłaby pójść w niedzielne popołudnie, chyba że powłokła się do parku, by tam w samotności pociągać nosem. Dobrze, że miałam chociaż komórkę. Zadzwoiłam. W słuchawce rozległ się głupawy obcy głos młodego mężczyzny.

- Tak?

- Czy jest Veronica?

- Nie, ona... yyy... wyszła.

- Czy mogę wiedzieć, kiedy wróci?

- Nie wiem.

Cholera! Veronica była ostatnią osobą w Londynie, która nie miała komórki - twierdziła, że boi się guza mózgu, zakłóceń w rytmie biologicznym i poronienia (marne szanse).

- Mam bardzo ważną sprawę - powiedziałam poważnym tonem. - Czy będzie pan w domu przez najbliższe dwadzieścia minut?

- Taaa, chyba tak. Bo co?

- Nazywam się Katie Castle. Jestem przyjaciółką Veroniki i miałam u niej zamieszkać. Pewnie zapomniała. Będzie pan musiał mnie wpuścić.

Chłopak wyglądał mi na kretyna. Próbowałam sobie przypomnieć, z kim mieszka Veronica. Ten duży, przestronny dom przypominający akademik był pełen różnych odmieńców i wyrzutków jak ona sama. Byłam tam tylko dwa razy, a za każdym razem w pilnej sprawie (zgubione klucze oraz pierwsza poważna kłótnia z Ludo z powodu bałaganu, która wymagała ode mnie gry polegającej na przetrzymaniu przeciwnika). Ostatnim razem oprócz Veroniki mieszkał tam pewien irytujący chochlik, który wydawał magazyn poświęcony ćwiczeniom na batucie, ponury Niemiec, który przyjechał

tu, by się nauczyć dąsać po angielsku, urzędnik służby cywilnej, który chętnie opowiadał o podatku VAT, i ładna, ale złośliwa projektantka biżuterii, która specjalizowała się w odbijaniu chłopaków innym kobietom. Nie miałam pojęcia, jak się nazywali. Ten kretyn pewnie był nowy.

Dobra, więc dach nad głową miałam już zapewniony. Teraz trzeba zająć się tą dziwką - przepraszam, ale czasami po prostu trudno znaleźć lepsze określenie - tą dziwką, Liamem. Miałam numer jego komórki, tej, której używał w interesach. Wstukałam ją sobie do nokii pod hasłem „zdejmowanie ciuchów”, co wtedy szalenie mnie śmieszyło.

Najpierw jednak musiałam się dobrze zastanowić, co powiedzieć. Miałam kilka możliwości. Mogłam się wkurzać i ciskać gromy, dzięki czemu na czas rozmowy pewnie poczułabym się lepiej, on zaś wpadłby w dołek, co jednak raczej nie poprawiłoby mojego położenia. Mogłabym być chłodna i złośliwa, zagrozić, że użyję swoich kontaktów i zniszczę jego firmę, chyba że wszystko odkręci (oczywiście wtedy i tak zniszczyłabym mu firmę). Mogłabym stworzyć hybrydę obu tych postaw: najpierw na niego nawrzeszczyć, a potem ochłonąć i stać się twardą jak stal. Mogłabym odwołać się do rozsądku i wytoczyć mocne etyczne argumenty, które powinny go przekonać do odkręcenia całej sytuacji i uratowania mi skóry. Mogłabym go zabić. W myślach sporządziłam tabelkę, która miała mi pomóc podjąć najlepszą decyzję.

	Zalety	Wady	Ocena (0 - 10)
1. Wkurzyć się i ciskać gromy	Zrzucę z siebie cały ciężar; dam popalić Liamowi	Wyjdę na wariatkę; Liam sobie pomyśli, że jestem pod jego wpływem	6
2. Zamach z zimną krwią	Maksymalnie długi wpływ na Liama	Żadnej natychmiastowej ulgi psychicznej	7
3. Hybryda 1 i 2	Szalenie przebiegła metoda	Mimo wszystko mogę wyjść na wariatkę	8
4. Rozsądne argumenty	Żadnych	Żadnej ulgi psychicznej, Liamowi nie stanie się żadna krzywda	1

5. Zabić Liama	Maksymalna ulga psychiczna	Prawdopodobny 10 - 15 - letni wyrok	5
----------------	----------------------------	-------------------------------------	---

Co prawda wynik punktacji sugerował zastosowanie hybrydy, kiedy jednak wystukiwałam numer Liama, nadal byłam niezdecydowana. Już się zbliżyliśmy do domu Veroniki, a jeszcze przedtem chciałam załatwić tę sprawę. Po czterech sygnałach włączyła się poczta głosowa. Liam nagrał nowe powitanie. A brzmiało ono następująco:

- Dzień dobry, mówi Liam Callaghan. Wyjeżdżam na dwa tygodnie i do powrotu nie przyjmuję żadnych zleceń. Jeśli dzwoni Katie Castle, niech przestanie dręczyć mnie i moją rodzinę. Byłem zmuszony poinformować policję o twoich poczynaniach.

Kurwa.

Kurwa.

Kurwa.

Koniec. To już naprawdę koniec. Teraz cały świat mnie uzna za klasyczną naciągaczkę. Nie doceniłam Liama. Niezłe to sobie obmyślił i niemalże go za to podziwiałam. Stanąwszy wobec perspektywy utraty firmy przez podejrzany związek z moim rozstaniem z Ludo, przebiegle zasugerował, że jestem psychiczna. Z jego usług korzystali wszyscy. A ci wszyscy zostawiali wiadomości na jego sekretarce. Plotka ta rozprzestrzeni się szybciej niż wirus Ebola w wiosce w Kongo. Z mojego gardła wydarł się jakiś dziwny dźwięk i dopiero po paru sekundach zrozumiałam, że to śmiech.

- Złotko, wszystko w porządku? - spytał taksówkarz.

- Tak - odparłam, z trudem łapiąc powietrze. Byliśmy na Tollington Road. - To numer 116, po lewej stronie.

Poprosiłam kierowcę, żeby zaczekał, a sama poszłam, zadzwonić do drzwi. Po chwili otworzył je jakiś bosy młodziak z długimi włosami. Domyśliłam się, że to ten kretyn, z którym rozmawiałam przez telefon. Właściwie był dość przystojny w taki nonszalancki sposób jak Johnny Depp w „Co gryzie Gilberta Grape'a?”. Odgarnął włosy z oczu i powiedział.

- O, cześć. Ty jesteś Katie? - Tak.

- Malan.

- Słucham?

- Yyy... znaczy się jestem Alan.

- Słuchaj, Alan, Malan, czy jak ci tam - powiedziałam stanowczym, lecz kokieteryjnym tonem - mam tu parę toreb. Możesz mi pomóc? Nie poradzę sobie sama.

Spuścił wzrok na swoje stopy. Widziałam, że rozważa różne możliwości: polecieć na górę po buty? Czy poczłapać bosą ścieżką, gdzie jego stopy od śladów po ślimakach będą dzielić jedynie odciski? W końcu poszedł za mną bosą.

Pięć minut zajęło przeniesienie całego mojego dobytku z taksówki do holu. Pewnie kierowca domyślił się, że to nie najszczęśliwszy dzień w moim życiu, bo bardzo uprzejmie nam pomógł.

Młodziak spojrział na smętną stertę worków na śmieci, dwie tanie tekturowe walizki jeszcze z okresu sprzed Ludo i kilka nowszych walizek od Louisa Vuittona.

- Gdzie to wstawić? Wprowadzasz się, czy jak?

- Na jakiś czas zamieszkać w pokoju Veroniki.

Sześć razy musieliśmy obrócić - ja dwa, a Malan cztery - żeby wnieść bagaże do jej pokoju. Przez ostatnie dwa lata w ogóle się nie zmienił. Nadal wisiały w nim bezsensowne zasłony z koralików. Nadal było z tysiąc ogarków po świecach zapachowych. Na półkach nadal stały poradniki: „Dochrap się lepszemu pracy”, „Feng Shui na talerzu”, „Olej swojego guru”, „Odzwyčaj się od poradników”. Na podłodze nadal leżały etniczne dywaniki, ręcznie tkane z sierści jaków. Zobaczyłam też starą maszynę do pisania, na której Veronica wystukiwała te niekończące się, nigdy nie przeczytane listy o swym wewnętrznym cierpieniu. Opróżniłam jeden ze swych worków i zaczęłam go napełniać jej śmieciami. Nie wiedziałam, jak długo zostanę, ale jeśli miałam tu wytrzymać, musiałam wprowadzić w to miejsce pewien porządek i dyscyplinę.

Moim następnym zadaniem było zrobienie trochę miejsca na moje ciuchy w jej beznadziejnej garderobie, gdzie okropnie śmierdziało. Do śmieci w worku dołączyło kilka obszernych swetrów Veroniki. Dopiero wtedy, na wpół zadowolona, tymczasowo przewyciężywszy groźbę bezdomności i pogniecionych ubrań, położyłam się na łóżku i zapaliłam papierosa.

Papieros jak zwykle wprowadził jasność i obiektywizm w moje myśli. Ponownie obejrzałam w wyobraźni wszystko to, co się wydarzyło tego ranka. Potem cofnęłam taśmę jeszcze bardziej i

obejrzałam wydarzenia, jakie nastąpiły po tamtym, brzemiennym w skutki, spotkaniu Liama na rampie załadunkowej. Dostrzegłam wszystkie swoje błędy i niedopatrzienia, złą ocenę sytuacji i własnego pecha. I dotarłam wreszcie do kluczowego momentu, na którego zawiasach obróciła się cała moja historia. Chodziło o to, jak potraktowałam Liama, kiedy mnie zapraszał na drugą randkę. Powinnam była udawać napaloną i zdesperowaną. Wówczas nie poczułby do mnie nic poza litością i pogardą, a mnie uszłoby na sucho. Moja wyniosłość i lekceważenie mogły dać w rezultacie tylko dwie rzeczy: jeszcze bardziej wzmóc pożądanie Liama lub wzbudzić w nim chęć zemsty.

Z jakiegoś powodu ta analiza katastrofy bardzo mnie uspokoiła. Dzięki logice i rozumowi udało mi się wznieść tamę między grozą, a sobą samą. Widziałam, jak groza wrze i kipi niczym lawa, lecz na razie nie ma do mnie dostępu.

Właśnie zapalałam trzeciego silk cuta (dwa niedopałki już leżały w filizance do połowy wypełnionej zimną kawą, którą Veronica zostawiła przy łóżku), kiedy drzwi się otworzyły i do środka wparowała Veronica.

- Katie, jak to miło - powiedziała, a jej oczy załzawiły się od dymu. - Ale co ty tu robisz? Co to za torby? - Potem dodała jeszcze bardziej przestraszonym głosem: - Katie, co się stało?

- Odeszłam od Ludo.

- Och, Katie. - Współczucie jeszcze bardziej pobudziło potok łez wywołanych dymem. - Proszę, opowiedz mi, co się stało.

- Pewnie prędzej czy później sama się dowiesz. Pewien mężczyzna, szofer, wymyślił sobie historyjkę na mój temat. Ludo w nią uwierzył i mnie wyrzucił z domu. Właściwie to Penny mnie wyrzuciła. Veronico, nie mam dokąd pójść, poza tobą nie mam się do kogo zwrócić. Czy mogę tu zostać, dopóki nie znajdę sobie innego mieszkania?

- Oczywiście, że możesz - powiedziała, zarzucając na mnie swe ciężkie ramiona. - Będzie fajnie. Ale będziemy musiały spać w jednym łóżku - jak w dzieciństwie. - Nie przypominałam sobie, bym kiedykolwiek, nawet jako malutka dziewczynka, spała w jednym łóżku z Veronicą. Nie przemyślałam kwestii spania. No, ale w czasach kryzysu trzeba umieć się poświęcić. - Ale - ciągnęła Veronica - dziś wieczorem muszę przedstawić sprawę pozostałym mieszkańcom. To

zwykła formalność. No i, Katie, wiem, że byłaś zestresowana, ale muszę ci powiedzieć, że w tym domu panuje absolutny zakaz palenia. Jeśli chcesz zapalić, musisz wyjść na zewnątrz, na patio.

- Patio! Ble. Nie wiedziałam, że w niektórych domach można jeszcze zobaczyć patio. Myślałam, że teraz modne są tarasy. Ale oczywiście uszanuję wasze zasady. Veronico, bardzo ci dziękuję, nigdy ci tego nie zapomnę. Już rozpakowałam parę rzeczy...

Tak więc popołudnie spędziłyśmy całkiem miło - zważywszy na to, że moje życie było zrujnowane. Tym razem bliska obecność Veroniki była dokładnie tym, czego potrzebowałam. Pocieszała mnie i chwaliła, lamentowała i przeklinała we wszystkich odpowiednich chwilach. Byłam zła kniona bezwarunkowej miłości, a tej Veronica miała aż w nadmiarze, nie mając gdzie jej ulokować. Zrobiła mi kawę z gorącym mlekiem, a potem - chociaż była zagorzałą wegetarianką - przyniosła kanapkę z bekonem. Nie jadłam przez cały dzień, więc pochłonęłam kanapkę w trzech wielkich kęsach.

Późnym popołudniem powiedziała:

- Wybrałaś najlepszy dzień: w niedziele zawsze razem jemy obiad - to nasza tradycja. Ja robię pilaw z gryki. Chodź, przedstawię cię całej bandzie, pewnie już się zebrali. Znasz większość z nich: Collin, wiesz, ten od VAT - u, nadal tu mieszka. Tak samo Roxanne, projektantka biżuterii. I mała Tracy ze swoim trapezem, kombinezonem w cętki, i tak dalej. Ale Otto odszedł.

- Zastąpił go Malan. - Kto?

- Wiesz, ten zombie, „jesssemalan”.

- Katie, jaka ty jesteś zabawna. Nie, on chodzi z Roxanne, ale większość czasu spędza tutaj, bo nie ma dokąd pójść. Trochę tak jak ty. - Zanim zdążyłam na nią naskoczyć, Veronica dodała: - Roddy przeniósł się do pokoju Otto.

Wyczułam, że zaszła w niej jakaś zmiana. Veronica się rozmarzyła i zaczęła się wiercić, odrażająco jak zwierzę.

- Roddy, rozumiem. A czym się zajmuje Roddy?

- Jest aktorem - powiedziała z nabożną czcią.

- A czy wolno mi zauważyć, że Veronica czuje miętę do owego przystojnego aktora?

- Ty głuptasku! - wykrzyknęła, rumieniąc się, chichocząc i odwracając wzrok.

- Cóż, chodźmy do nich, zanim ten fotel zupełnie mnie pożre.

Dom Veroniki zajmował parter i dwa piętra, a jej sypialnia znajdowała się na ostatnim. Dom ten z pewnością miał pewien potencjał: były w nim ogromne, wysokie pokoje, duże okna i szerokie schody. Niestety, nieobecna właścicielka, stara pani Alzheimer, która odziedziczyła go w 1906 roku, teraz myślała tylko o swym worku kolostomijnym i windzie, więc nie zamierzała inwestować w ten budynek, który już dawno temu padł na kolana, błagając o chłapięcie farbą, nowe chodniki i meble, albo o to, by helikopter Organizacji Narodów Zjednoczonych zabrał go z Finsbury Park.

W salonie stały dwie kanapy z lat siedemdziesiątych, rozcięte niegdyś przez jakiegoś samuraja i teraz ukazując swe wnętrzności pośladowcom obojętnego świata. Chropowate panele podłogowe zostały nierównomiernie przykryte starymi matami i dywanikami kupionymi w sklepach z używanymi rzeczami, na wyprzedazach garażowych i w więziennych warsztatach. Stał tam też dziwny fotel na biegunach przypominający ortopedyczny i, jak mi wyjaśniła Veronica, zaprojektowany tak, by poprawiać krzywiznę kręgosłupa. Mniej więcej jedną trzecią powierzchni zajmował ogromny stół zbity z nierówno ociosanych desek, w których szczelinach czały się skórki, stonogi i inne paskudztwa.

Na kanapach siedzieli Tracy, Malan, Roxanne i Collin. Kiedy weszłam, odwrócili się i spojrzeli na mnie. Odniosłam wrażenie, że tamten kretyn wiele opowiadał im o moim przybyciu, a oni pewnie się spodziewali starego, brodatego Etiopczyka niosącego garłacz i uprząż dla wielbłąda.

- O, Katie, to ty - Roxanne powiedziała neutralnym tonem.

- Cześć wszystkim - powiedziała Veronica. - Jeśli nikt nie ma nic przeciwko temu, to Katie zostanie u nas przez parę dni, zanim znajdzie sobie nowe lokum. W porządku?

Rozległy się niezobowiązujące pomruki, które można było uznać za przyzwolenie.

- Czy... yyy... Roddy jest w domu? - spytała Veronica tęsknym tonem. - Również jego powinniśmy spytać o zgodę. - Roxanne i Tracy jednocześnie przewróciły oczami.

- Ma problemy ze swoją taryfą. Zaraz tu będzie - odparł Collin. Jego twarz jak kiedyś miała ten sam niebieskawy odcień. Wyglądał jak duch wiktoriańskiego dziecka rozduęty do rozmiarów dorosłego



mężczyzny i ubrany w tanie, codzienne ciuchy. Aż mi ciarki po plecach przeszły.

Veronica promiennie się do mnie uśmiechnęła.

- Jeździ starą, czarną taksówką. Jest baaaardzo ekscentryczny. Usiadłam w fotelu na biegunach. Duży błąd. Oparcie chwyciło mnie i wykręciło w jedną stronę, a dolna część w drugą - zupełnie jakbym była ścierką do naczyń, którą trzeba wyżyć. Jednocześnie dostałam w nerki i podwinęła mi się spódnica. Każdy nerw mojego ciała błagał mnie, bym wstała, ale ponieważ alternatywą było ściśnięcie się koło Collina, pozostałam na miejscu.

Nastąpiła półgodzinna zdawkowa rozmowa, co jakiś czas zanikająca, przerywana brzęczeniem dobiegającym z czarno - białego telewizora stojącego w kącie. Dokonując ostrożnego rozeznania w nastrojach tego domu, odkryłam, że Roxanne i Tracy są do mnie nastawione raczej wrogo, zaś Malan i Collin znajdują się po drugiej stronie barykady.

Przedstawiłam im starannie ocenzone wersję wydarzeń minionego tygodnia: miałam już dość martyrologii, więc urozmaiciłam ją paroma dowcipami, starając się pozyskać sympatię domowników. Moja linia wyglądała mniej więcej tak: i tak trafiło się wam jak ślepej kurze ziarno, więc nawet niech wam w głowach nie postanie uznawać mnie za dziwkę, ale tak, rzeczywiście, byłam trochę niegrzeczna.

Uznałam, że wypada zadać parę uprzejmych pytań na temat ich życia, ale właśnie gdy Collin miał mi opowiedzieć jakiś ciekawy przypadek VAT - u związany z ptasią karmą, wszedł Roddy. Był oszalamiająco przystojny, wysoki, szeroki w barach, o falujących rudoblond włosach. Miał na sobie stare, brudne ciuchy, ale widać było, że kiedyś pewien dżentelmen musiał na nie sporo wydać.

- O, mamy gościa. Chyba jeszcze się nie znamy. Jestem Roddy.

- Katie Castle - powiedziałam, próbując wstać z tego krzesła tortur.

- Nie, na miłość boską, nie wstawaj. Po jakimś czasie się do niego przyzwyczaisz i ból minie. Ale już do końca życia twój tyłek na zakrętach będzie cię wyprzedzał o jakieś trzy sekundy.

Veronica zagulgotała ze śmiechu.

- U - hu - hu, Roddy, przestań.

Może to nieładnie, ale poczułam wielką litość. Biedna, biedna Veronica, pomyślałam, jakie ty masz szanse z tymi skąpanymi w łożach włosami, nogami prostowanymi na beczce i skórą jak tarka do sera? Nie mogłaś wybrać Collina? On by się zgodził. Seks z nim musi przypominać kochanie się z wystygniętą jajecznicą.

Od tamtej pory wieczór zaczął się rozkręcać. Roddy zarażał wszystkich energią i poczuciem humoru. Wyraźnie widziałam, że wszystkie dziewczyny go uwielbiają, a chłopców rozbiera jego pozorna umiejętność śmiania się z samego siebie, dowcipy na własny temat dotyczące głównie wpadek w teatrze. Mówię „pozorna”, bo gdyby dokładniej przyjrzeć się tym wpadkom, okazywało się, że zawsze wychodził z nich obronną ręką. „Patrzcie - mówiły jego anegdotki. - Inni aktorzy są pompaticzni i zarozumiali, ale ja się od nich różnię: ja potrafię się śmiać z samego siebie”. Poza ta oczywiście opierała się na przekonaniu, że wszyscy uważamy go za ósmy cud świata, więc w tym poczuciu bezpieczeństwa mógł się wygłupiać i błaznować, ile wlezie. Zastanawiałam się, jak długo jego strategia będzie zdawać egzamin.

Okazja nadarzyła się, kiedy go spytałam, czy mogłam widzieć sztukę, w której grał. Siedzieliśmy przy stole, każde z nas zmagало się z pilawem - której to walce niestety nie pomagało wino. Roddy jak prawdziwy mężczyzna z wysiłkiem przełknął twardą, warzywną masę, po czym wymamrotał kilka nazw sztuk i teatrów, o których nigdy nie słyszałam, które jednak nieodparcie mi się kojarzyły ze scenkami w pubach. Byłam jednak gościem, więc uśmiechałam się uroczo i próbowałam robić wrażenie zachwyconej.

- A w telewizji?

- Tak, występowałam. Widziałaś może wafelki Crunchie? Musiałam mocno się skupić, żeby się nie roześmiać.

- Crunchie?

- Tak, no wiesz - odparł, mówiąc nieco zbyt szybko - tę kampanię „Piątkowego luzu”. Siedzę w biurze, jem wafelka i przemieniam się w takiego ludzika z gliny, jak Wallace i Gromit, a potem wypływam z biura na fali z czekolady. Na pewno widziałaś tę reklamę? Robili odlew z gliny mojej postaci. Reklama dostała nagrodę.

- Uwielbiam te wafelki - powiedziała Veronica. Gdyby Roddy występował w reklamie świńskiej gnojówki, Veronica też by ją uwielbiała.

- No i oczywiście stale pojawiaam się w serialu „Casualty” - ciągnął Roddy, rzucając Veronice uśmiech pełen wdzięczności.

- O rany - powiedziałam. - Od jakiegoś czasu go nie oglądam. Kogo grasz? Lekarza, pielęgniarza, czy może jednego z tych okropnych administratorów, którzy każą oszczędzać na bandażach, plastrach i innych takich?

- Nie, nie, żadnego z nich. Grałem wiele różnych postaci. Moją specjalnością są pacjenci, wiesz, ofiary wypadków drogowych, i tak dalej. - Jego żywiołowość nieco się zmniejszyła. Zrobiło mi się przykro, naprawdę nie chciałam go demaskować. Postanowiłam udawać idiotkę.

- Ach, rozumiem, jesteś seryjną ofiarą: w jednym tygodniu wyrostek robaczkowy, w następnym - skaleczenie się w krocze podczas przechodzenia przez ogrodzenie z drutu kolczastego. To pewnie dosyć przygnębiające, ciągle umierać na scenie.

Choć mój żart był zupełnie nieszkodliwy, Tracy aż wstrzymała oddech, a Veronica nieomal zemdląła. Posunęłam się za daleko - jak mogłam tak zupełnie bez szacunku wspomnieć o kroczu tego młodego bóstwa? Ale Roddy z galanterią pośpieszył mi na pomoc, wesoło przytaczając inne porażki w telewizji: przesłuchanie do „Teletubisiów”, na którym pomylił się w swojej kwestii, reklama kawy, gdzie się zakrztusił i prychnął fontanną kawy i glutów z nosa prosto w twarz Joannie Umley. Wszystko to było czarujące, a ja bardzo się starałam wyglądać na oczarowaną.

Spanie w jednym łóżku, czego okrutnie się bałam, okazało się całkiem fajne. Chichocząc, przebrałyśmy się w koszule nocne. Pościel była czysta, a zapach świec niezbyt duszący. Veronica przytuliła się do mnie, pocałowała mnie w policzek, odwróciła się na drugi bok i po pięciu minutach zaczęła cicho chrapać. Z całych sił starałam się nie zasnąć, zamierzając się zadrećcać wydarzeniami minionego dnia, ale ukołysały mnie świece, chrapanie i szum przejeżdżających samochodów i zasnęłam, w ten sposób kończąc najgorszy dzień mojego życia. Najgorszy do tej pory.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

### Drugi raz jako farsa

Cóż to był za dziwny tydzień. Wiedziałam, że powinnam opłakiwać utracone życie, ale jakoś nigdy nie rozpoczęłam żałoby. Może wciąż znajdowałam się w stanie szoku, nadal byłam zbyt odrętwiała i oszołomiona, by stawić czoło przerażającej rzeczywistości. Obiektywnie rzecz biorąc, mój świat legł w gruzach, lecz połączenie odrętwienia i wiara w to, że przebiję się dzięki bystrości umysłu oraz bezwzględności w działaniu, chroniło mnie przed tą świadomością. Sytuacja nie wydawała mi się aż tak zła.

W poniedziałek rano obudziło mnie głośne postękiwanie, z jakim Veronica wciągała rajstopy. Kojarzyła mi się ze zwierzęciem, którego nazwy nie mogłam sobie przypomnieć. Dużym, powolnym i nieszkodliwym, ale też bardzo dziwnym.

- Och, już nie śpisz - powiedziała wesoło. - Muszę iść do pracy. Zostawiłam ci klucze. Czuj się, jak u siebie w domu.

- Tapir - powiedziałam sennym głosem.

- Słucham?

- Powiedziałam: dziękuję.

Szybko wzięłam prysznic, wypiliśmy kawę i wzięłam się do roboty. Miałam do załatwienia kilka ważnych spraw. Pomyślałam, że warto sprawdzić, czy Penny się uspokoiła i czy rozumiała, że beze mnie nie da rady. W słuchawce odezwał się znajomy, lecz nieco zmieniony głos. Była to Sukie.

- Czy mogę rozmawiać z Penny?

- Czy to Katie?

- Wiesz, że tak. Możesz mnie przełączyć?

- Penny jest bardzo zajęta. Załatwiam wszystkie telefony do niej.

- Ale nie mój.

- Zwłaszcza twój.

- Sukie, posłuchaj, wiem, że Penny dała ci moje stanowisko... na pewien czas, ale obie wiemy, że nie masz ani doświadczenia, ani ikry. Za dwa tygodnie Penny zrozumie, że nie da sobie beze mnie rady i wtedy wrócę. Na twoim miejscu naprawdę bym się ze mną nie kłóciła. —Nie chciałam mówić, jak zołza, ale musiałam zachować się stanowczo. Spodziewałam się, że Sukie tchórzliwie ulegnie. W końcu ta dziewczyna zaledwie trzy dni wcześniej musiała robić wszystko, co

jej kazałam: parzyć mi kawę, dzwonić do mojej fryzjerki, polerować guziki.

Usłyszałam śmiech.

- Katie, moje ty biedactwo. Nie rozumiesz, co się stało? Zostałaś wyrzucona. Już nie istniejesz. Penny nie będzie z tobą rozmawiać, bo nawet nie odbiera częstotliwości twojego cienkiego, pospolitego głosiku. Katie, ty się po prostu nie liczysz. Poza tym Penny powiedziała, że zawsze chciała, by firmę reprezentował ktoś w moim stylu. Ktoś z większym... polotem... bardziej elegancki.

Oczywiście miała na myśli pieniądze i klasę.

- Posłuchaj, ty garbata karlico, albo w tej chwili mnie przełączysz, albo... - Klik.

Spokojnie, wyluzuj, powtarzałam sobie. To bardzo niedojrzałe, bezsensownie wściekać się na osobę, która odkłada słuchawkę. Przez dwie minuty wściekałam się bezsensownie, zrywając listki z doniczkowej figi, która stała przy telefonie. Na szczycie schodów pojawił się ten kretyn w T - shircie i bokserkach. Przez chwilę stał, skonsternowany, po czym się wycofał.

Na wszelki wypadek zadzwoniłam do Ludo - nie do końca nabrałam się na tę wymówkę z jajami bielika. Nikt nie odpowiadał.

Zadzwoniłam do jego szkoły. Zostałam przełączona do gabinetu zastępcy dyrektora, zrędy o jęklwym głosie i - jak to sobie wyobraziłam

- w krawacie z poliesteru, spodniach poplamionych spermą, z paradontozą i ramionami obsypanymi łupieżem. Nie, nie wiedzieli, gdzie przebywa Ludo. Bez uprzedzenia złożył wypowiedzenie. Byli na niego wściekli. Wykształcenie dzieci wystawione na ryzyko, bla - bla - bla. Tym razem to ja trzasnęłam słuchawką.

Zastanówmy się raz jeszcze. Nie mam pracy. Nie mam chłopaka. Pierwszy krok: znaleźć nową pracę. Krok drugi: znaleźć nowego chłopaka. Rzadko się spotyka dobrych menadżerów do spraw produkcji. Miałam trzy lata doświadczenia. Wszędzie miałam kontakty

- a Hugh był na tyle głupi, by do pudła z moimi rzeczami włożyć też mój czerwony notes (a może był to kolejny wspaniałomyślny gest?).

Zadzwoniłam do czterech firm mniej więcej tej wielkości, co firma Penny Moss. W każdej rozmawiałam z osobą na moim

stanowisku. Trzy z nich znałam, choć nigdy specjalnie się nie lubiłyśmy. Wszystkie były uosobieniem wdzięku. Żadna jednak nie zdecydowała się połączyć mnie z szefem. Powiedziałam, że szukam pracy w produkcji. Nie było wolnych miejsc. Usłyszałam, że mam przysłać CV

Przez następne dwa dni dzwoniłam do wszystkich znajomych z tej branży. Już nie upierałam się przy stanowisku menadżera do spraw produkcji: wystarczyłaby mi posada asystentki. Nie szkodzi, dopóki nie pojawią się nowe możliwości, mogę sprawdzać spódnice, sporządzać listy, zamawiać guziki i liczyć poduszki pod ramiona. Ale zawsze spotykałam się z taką samą grzeczną odmową i za każdym razem odnosiłam wrażenie, że koło się zamknęło, wyrzucając mnie na zewnątrz.

Nadal jednak nie wpadałam w panikę. Jeden krok do tyłu, dwa kroki do przodu - powtarzałam sobie. Jeśli będzie trzeba, mogę znowu zatrudnić się w sklepie. Stanie się to moim nowym wyzwaniem. Postanowiłam rozesłać swoje oferty pracy w produkcji, a także w sklepie. Ktoś na pewno mnie przyjmie. Miałam duże doświadczenie, byłam znana i poważana. Byłam graczem.

Wieczory jeszcze bardziej wzmagaly uczucie dziwności. Mój statek zatonął, ale mnie fala zniosła na wyspę i chociaż znajduje się ona dość daleko od cywilizacji, to miałam na niej wszystko, co potrzebne do przeżycia. Domownicy wiele czasu spędzali razem: chodzili do pubów lub tanich miejscowych restauracji, a ja ze sporą łatwością wkroczyłam do ich niewinnego świata. W normalnej sytuacji w takich ludzi nie inwestowałabym energii, no ale sytuacja z pewnością nie należała do normalnych. Zaczęłam sporo pić i flirtować z Roddym. Okazało się, że akrobatka jest całkiem miła, choć nie należy do błyskotliwych rozmówców. Kiedy się zboczyło z dość wąskiego tematu, jakim jest oscylacja pionowa, a który potrafiła drażnić bez końca i z wielką ochotą, jej wypowiedzi ograniczały się do popiskiwania oraz zaciekawionego, lecz nic nie wnoszącego mruczenia. Całkiem szybko zjednałam sobie krety, który wkrótce zaczął mnie hołubić. Był wolnym strzelcem, projektantem stron internetowych, i dlatego w ciągu dnia zawsze przesiadywał w domu. Jego sympatia dla mnie stała się przyczyną mojej jedynej porażki: Roxanne, z godnym podziwu zaangażowaniem, zachowała wrogie nastawienie wobec mnie. Ja jednak zrobiłam coś, co zdaniem Toma

wychodziło mi całkiem odruchowo, a co Machiavelli i Clausewitz usiłowali ubrać w teorię, i wkrótce Roxanne została pominięta, odizolowana, odcięta i obłożona. Za każdym razem, kiedy wymieniałam jej imię, Collin, facet od VAT - u, drżał jak przed orgazmem.

Veronica i ja zbliżyłyśmy się do siebie bardziej niż kiedykolwiek przedtem. Co noc przed snem tuliłyśmy się do siebie (nie, niech wam się nic nie roi w głowie - to nie taka historia), w ciągu dnia opowiadałyśmy sobie, co robiłyśmy. Głównie to ja opowiadałam, bo kto by chciał słuchać o staruszkach z obolałymi tarczycami, które się zapisywały na leczenie arniką i hipnozę? Moje rzeczy, zwłaszcza buty i ubrania, stopniowo zawładnęły jej pokojem, eksmitując z niego telefony komórkowe, świeczki i zbyt długo hołubione pluszowe zabawki. Była to lekcja pogładowa darwinizmu.

Pewnego popołudnia parę nieśmiałych promieni późnojesiennego słońca przedarło się przez chmury, więc poszłam na spacer do parku - nudnego miejsca pełnego kaczek, drzew i tym podobnych, niczym się nie wyróżniających rzeczy. Zabłądziłam i weszłam na jakieś boisko, po którym z kijami biegały krostowate małolaty o zaróżowionych twarzach. Ich mecz skojarzył mi się z hokejem przerobionym przez psychopatycznego kryminalistę. Rozległ się dzwonek, a ja szybko skojarzyłam fakty: to pewnie irlandzki hokej na trawie. Czy ja naprawdę już nigdy nie ucieknę przed irlandzkością? Czułam, że lada chwila zacznę mówić na głos. Co prawda chciałam znaleźć pracę, ale nie uśmiechała mi się kariera parkowej wariatki, czym prędzej więc wróciłam do domu.

Minał tydzień i nadszedł sobotni poranek. Uważałam, że zasłużyłam na jakąś nagrodę. Moje finanse były w opłakanym stanie - na karcie kredytowej miałam debet na prawie trzy tysiące funtów, a w banku na osiemset funtów - ale miałam też przecież kopertę od Hugh z prawie nietkniętymi pięcioma tysiącami. Pewnie myślicie, że najrozsądniej byłoby spłacić długi, ale w ten sposób tylko wpadłabym w przygnębienie i apatię, a wiedziałam, że w ciągu następnych kilku tygodni muszę być w szczytowej formie. Za jedyne sensowne i praktyczne rozwiązanie uznałam zakup nowej kreacji: od butów aż po kolczyki. Zadzwoiłam do paru znajomych spoza świata mody (tak, miałam i takie, no w każdym razie dwie: Carol i Ursulę, które poszły w ślady swoich rodziców i narodziły dzieci, miały psa, dom i nudnych

mężów pracujących w City, oraz mnóstwo czasu do zabicia) i umówiłam się z nimi na lunch w kafejce „U Joego” w Fenwicks.

O dziewiątej już wyszłam z domu, serce mi aż śpiewało z podekscytowania. By odnieść sukces, musiałam działać ściśle według zasad. Nie zależało mi na zwykłych zakupach, lecz na torbach z nazwami projektantów należących do głównego nurtu, nadskakujących sprzedawczyniach, na bezbolesnych zakupach pod znieczuleniem. Wkrótce znalazłam się na Bond Street - tętnicy świata mody - i zaatakowałam czarne mauzoleum Donny Karan, nieodzownego Josepha, Liberty (głównie ze względu na pewną szczególnie uroczą sprzedawczynię w średnim wieku, która zawsze nosiła bezrękawniki i do której wracałam, kiedy baterie mi się wyczerpywały) oraz burdel Versace.

Na spotkanie z dziewczynami stawiałam się pijana i odurzona zakupami. Świetnie się bawiłyśmy, śmiałyśmy się tak głośno, że bardzo ładna kelnerka musiała do nas podejść i z wielkim wdziękiem poprosić, żebyśmy wzięły pod uwagę innych gości. Carol i Ursula były przekonane, że wkrótce coś znajdę, a ja się dałam omamić temu przekonaniu. Wypiłyśmy dwie butelki wina i zjadłyśmy jedną małą sałatkę na spółkę.

\* \* \*

Do Veroniki wróciłam około trzeciej. Przyszła poczta; dla siebie znalazłam dziewięć listów w kremowych, grubych kopertach. Byłam pewna, że wśród nich kryje się klucz do mojej przyszłości, odpowiedź na wszystko, srebrny pocisk. Z podnieceniem zgarnęłam listy i pobiegłam do pokoju Veroniki. Dom wyglądał na pusty. Rozerwałam pierwszą kopertę. Był w niej list odmowny, ale tak czarujący, że moja nadzieja na sukces zamiast zmaleć, wzrosła jeszcze bardziej.

Trzy odmowy później mój nastrój się zmienił. Każda odmowa z osobna była tak zachęcająca jak tylko potrafi być słowo „nie”. Wzięte razem, okazały się silne jak kopniak wymierzony w tyłek. Szybko otworzyłam resztę kopert. Nic. Nic. Nic. Nic. Nic.

Jest taki kinowy efekt specjalny, którego parę lat wcześniej używali wszyscy reżyserzy: pierwszy plan zbliża się do ciebie, a tło się oddala. Teraz przydarzyło mi się coś podobnego. Poczułam się jak mała dziewczynka na środku ogromnego pokoju, bezbronna, samotna. Nic nieznaczące szczegóły stały się nieprawdopodobnie wyraźne: rodzynek na dywanie, moje jasne włosy splecione z ciemnymi Veroniki



na jej szczotce, kruchy szkielecik popiołu z papierosa, zużyty inhalator.

Nie byłam tego świadoma, ale pewnie zaczęłam szlochać, zawodzić albo krzyczeć, bo otworzyły się drzwi i stanął w nich Roddy. Na jego szerokiej, przystojnej twarzy miejsce zaciekawienia zajęło współczucie.

- Katie, co się stało? - spytał, wchodząc do pokoju. Potem jego wzrok padł na listy rozrzucone wokół mnie. - Ach, rozumiem. Pieprzyć to. Oni nie są warci twoich łez. - Dopiero wtedy zrozumiałam, że płaczę. Roddy podszedł i usiadł koło mnie na niskim łóżku.

- Gdzie są wszyscy? - spytałam.

- Poszli na spacer. Ja musiałem powlec się na przesłuchanie. - Urwał i pogłaskał mnie po głowie. - Uda się nam, Katie – powiedział cicho. - Kiedyś obojgu nam się uda. - Wtedy po raz pierwszy przyznał się, że jemu się nie udało, cokolwiek to miało znaczyć, a ja pomimo całego bólu, poczułam wzbierającą falę współczucia dla niego. Gdybym tylko lepiej znała aktorów, pewnie bym wiedziała, że ich bezbronność to tylko kolejna z ról.

Zaśmiałam się cicho, lecz chichot ten przeszedł w kolejną serię szlochnięć. Roddy zaczął mnie uspokajać i otoczył mnie ramieniem. Poczułam deja - vu, co powinno być dla mnie ostrzeżeniem. Poczułam też, tym razem niepożądany, elektryczny prąd rodzącego się podniecenia. Pomimo drapiącej, złotej szczeciny na policzkach, skóra Roddy'ego pachniała czystością. Nawet kiedy Roddy się wałkonił, w jego nonszalanckiej elegancji było coś wystudiowanego.

Pomimo całej intymności tej pozycji, w której oboje przycupnęliśmy na łóżku Veroniki, szczerze się zdziwiłam, kiedy poczułam jego rękę na mojej piersi. Wsunął palce między guziki mojej bluzki i zaczął je rozpinać. Byłam podniecona i podekscytowana tym, że mu się podobam, ale gwałtowność i profesjonalizm akcji Roddy'ego mnie otrzeźwiły. Po raz pierwszy w życiu byłam naprawdę bezbronna i potrzebowałam niewinnego pocieszenia, a on próbował mnie wykorzystać. Czułam się jak wiktoriańska pokojówka, którą dorwał młody panicz. Już mu miałam powiedzieć, żeby przestał, kiedy coś mi kazało podnieść wzrok. W drzwiach, milcząc, stała Veronica.

Na jej twarzy malowała się mina, której nigdy przedtem u niej nie widziałam. Nie ujrzałam na niej łez, smutku, rezygnacji, szoku czy uczucia porażki, jakich mogłabym się spodziewać. Nie. Zobaczyłam zimną furię. Z takiej miny sama byłabym dumna.

Roddy też zauważył Veronicę i z szybkością magika wyciągnął dłoń spod mojej bluzki, ale Veronica zdążyła wszystko dostrzec.

- Roddy, wyjdź, proszę. Chciałabym porozmawiać z Katie. - Roddy, ze zwieszoną głową, bez słowa zastosował się do jej prośby.

- Veronico, wiem, jak to wygląda, ale pozwól mi wytłumaczyć.

- Zamknij się, Katie. Słuchałam cię przez dwadzieścia lat i teraz pora, żebym to ja coś powiedziała. Uwierzyłam ci, kiedy powiedziałaś, że nie zadawałaś się z tym Francuzem ani z kierowcą furgonetki. Wszyscy twierdzili, że działasz jak trucizna. Tylko ja cię broniłam. Przez wszystkie te lata znosiłam twój egoizm, podstępność i złośliwe uwagi pod moim adresem, których twoim zdaniem nie słyszałam. Patrzyłam, jak idziesz po trupach, żeby osiągnąć swój cel. Widziałam, jak kłamiesz, kradniesz, manipulujesz i kombinujesz. Wierzyłam jednak, że tak naprawdę dobra z ciebie dziewczyna. I to tylko z powodu jednego dobrego uczynku, który zrobiłaś wiele lat temu...

- Tak, tak, tak, pamiętam tamten gliniany pojemnik.

- Cóż, myślę, że już spłaciłam ten dług. Wiesz, nawet się cieszę, że przyłapałam cię z Roddym. Teraz się przekonałam, jaka jesteś naprawdę, Katie Castle. Jesteś dziwką i zdzirą. Roxanne mówiła, że próbowałaś uwieść Alana...

- Alana? Nie doceniasz mnie. Ja jestem projektantką mody, a nie pracownikiem społecznym. Nie tknęłabym tego kretyna nawet przez chirurgiczne rękawiczki.

- Wierzę ci. On jest dla ciebie zbyt kiepski, prawda?

- Prawda.

- Ale Roddy był, jest, w sam raz. Więc postanowiłaś go poderwać, chociaż... chociaż wiedziałaś, że ja... że ja...

Wreszcie pękła i się rozplakała, jak mała dziewczynka trąc oczy piąstkami.

- Veronico, proszę, wysłuchaj mnie. Zdenerwowałam się, bo dostałam listy odmowne ze wszystkich firm, do których napisałam. Byłam sama, a Roddy przyszedł, żeby mnie pocieszyć. Nagle zaczął

mnie dotykać. Zastanawiałam się, o co mu chodzi, kiedy weszłaś. To jego wina - ja go nie zachęcałam, słowo daję.

- Przestań, przestań, przestań! - wrzasnęła. - Dlaczego wszystko musisz zmyślać? Dlaczego musisz wszystkich wciągać w to bagno, w którym sama siedzisz? Wiem, że to ty zaczęłaś, a nie Roddy. Zawsze to twoja wina. Chcę, żebyś się stąd wyniosła. Wynieś się na zawsze. Nie chcę cię już widzieć. Nienawidzę cię, nienawidzę cię, nienawidzę.

Drzwi się otworzyły i weszły Roxanne i Tracy, rzucając mi spojrzenia godne Meduzy.

- Patrz, co zrobiłaś! - wyrzuciła z siebie Roxanne. - Pozwoliliśmy ci tu zostać, a ty nam odpłacasz tylko złem. Chciałaś omotać Alana, a ponieważ cię nie chciał, spróbowałaś z Roddym. Nikt cię nie chce, nikt cię nie lubi, nikogo nie obchodzi, czy zdechniesz na ulicy. Idź i zostaw nas w spokoju.

To było zabawne, naprawdę zabawne: odrzuciła mnie kolonia trędowatych. Och, jakąż miałam ochotę dokopać tej bandzie idiotów. Ale nie mogłam. Jeszcze nie. Po raz drugi zostałam zmuszona błagać nieprzejednanego wroga:

- Ale co ja mam teraz zrobić Nie mam dokąd pójść.

- Zawsze możesz iść do diabła - powiedziała Tracy. - Wezwę ci taksówkę.

- Nie - powiedziała Veronica, spoglądając ponad murem z ramion, które ją obejmowały. - Możesz wracać do domu, Katie, możesz wracać do domu. - Odrzuciła do tyłu głowę i roześmiała się jak wariatka.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Katie z rozrzewnieniem ogląda się za siebie

Dom, dom, dom: tylko Veronica mogła wiedzieć, że dźwięk tego słowa był dla mnie jak dzwon oznajmiający śmierć mojej duszy. Poprzez dom rozumiała nie jedno z tych miejsc, w którym mieszkałam podczas swego życia w Londynie, lecz to zagłębienie monotonii, miejscowość, która jest dla nudy tym, czym Nowy Jork jest dla solonej wołowiny, a Syberia dla kopalni soli: East Grinstead.

Myślę więc, że nadszedł czas, bym wam opowiedziała nieco więcej o wczesnych latach życia Katie Castle, bym opisała tę cuchnącą kupę kompostu, z której się wyrwałam z takim obrzydzeniem i radością. Nie będzie to dla mnie przyjemne, więc proszę o dużą dawkę sympatii i wyrozumiałości.

East Grinstead. Jak w miejscu o takiej nazwie mogłoby się wydarzyć coś przyjemnego? Przez pierwszych osiemnaście lat mojego życia East Grinstead było moim domem, chociaż określenie „życie” nie jest tu najbardziej trafne.

Od czego zacząć? Logicznie byłoby od rodziców. Być może już się domyśliliście, że byłam jedynaczką. Matka późno mnie urodziła; rodzice kochali mnie bez pamięci. Przez wiele lat musieli harować w znoju, żeby w chaosie wszechświata stworzyć małą osadę porządku. Zbudowali ją w domku, nazwanym przez nich „Daisybank”, który jednak był zwykłym domem stojącym przy Achilles Mount pod numerem 139. W tym ziemskim rajku pojawiłam się ja: Adam, Ewa i wąż w jednej osobie. Rodzice zainwestowali we mnie wszystkie swoje nadzieje i marzenia, ale z taką bojaźnią i bezradnością, że ich oczekiwania były dla mnie bardziej irytujące, niż uciążliwe. Ja byłam księżniczką, oni zaś - moim ziarnkiem grochu. Musiałam się wykazać prawdziwą pomysłowością, by ich zranić.

Zapewne brzmi to okrutnie, a zanim skończę, stopień okrucieństwa jeszcze wzrośnie. Musicie jednak pamiętać, że obraz moich rodziców, jaki ujrzycie, jest nakreślony przez egoistyczną, znudzoną, inteligentną, nadwrażliwą nastolatkę, której życie rządziło się nie nienawiścią, jak mogłoby się zdawać, lecz wstydem, a ten bardzo często wygląda, pachnie i smakuje tak samo. Przyznaję też, że gdzieś głęboko, bardzo, bardzo głęboko, żyła we mnie miłość.

Mama, biedna mama. Wymienię jej trzy najbardziej irytujące cechy:

Idąc ulicą, odczytywała na głos nazwy sklepów: „Woolworth's, Smedleys', rzeźnik” - dopóki ulica się nie skończyła, albo dopóki jej nie stuknęłam. Po latach strofowania jej i kulenia się ze wstydu, w końcu udało mi się sprawić, że przestała je odczytywać na głos, ale jej wargi nadal się poruszały, wypowiadając zniechęcone sylaby.

Miała w zwyczaju pisywać do producentów proszków do prania, środków czystości i żywności konserwowej, dziękując za ich towary.

Zgadzała się ze wszystkim, co jej mówiono.

Wiem, to nieładne. Kto z nas by zniósł lodowate, przenikliwe spojrzenie nastolatki? Moja mama była jedną wielką dobrocią i jednym wielkim smutkiem. Kiedy miałam szesnaście lat, wieczorami wyobrażałam sobie, w jaki sposób mogłaby zniknąć z mojego życia. Porwanie przez Hezbollah lub kosmitów, areszt i więzienie za przemyt kokainy. Niestety żaden z tych scenariuszy nie został zrealizowany.

Mama cały czas nosiła fartuszek. Raz na dwa tygodnie chodziła do miejscowego fryzjera. Z nieznośnym optymizmem zawsze prosiła o stylistę Kevina, ale nieodmiennie dostawała się w ręce najnowszej praktykantki, Anity, Shelley czy Rubelli. Praktykantka dokonywała na jej głowie aktu wandalizmu, którego efekty jeszcze tego samego wieczora mama zmywała z cichym żalem.

Miała przynajmniej tradycyjny kobiecy dar niewidzialności. Była najbardziej niezauważalną osobą, jaką kiedykolwiek znałam. Może dlatego, że jej ubrania do złudzenia przypominały zasłony lub tapicerkę w pokoju, w którym akurat przebywała. Potrafiła wtopić się w tło - jak kameleon, który pragnie się ukryć. Jej głos przypominał muzykę płynącą z głośników w supermarkecie: był równie dyskretny, monotonny, wkurzający tylko wtedy, gdy na chwilę wdarł się do świadomości słuchacza.

Szkoda, że taty nie dawało się tak łatwo ignorować. Pracował jako aktuariusz w lokalnym samorządzie. Kiedy ktoś go pytał, czym się zajmuje, odpowiadał, zaśmiewając się z własnego dowcipu: „Jestem jednym z czterech księgowych Apokalipsy”. Był niski i łysy z klasyczną zaczeską składającą się z trzech kosmyków, której miejsce tak naprawdę było w słoiku z formaliną w Czarnym Muzeum Scotland Yardu. I, tak, nosił bezrękawniki, rozpinane swetry, domowe pantofle

i spodnie utkane z kłaczków, pleśni, stęchlizny i dusznego zapachu unoszącego się ze starego grobu.

Najbardziej interesujące w nim było to, że wymawiał „Castle” tak, że rymowało się z „Hassie”, a nie z „metatarsal” (zdaje się, że to rodzaj kości). Wiązało się to z faktem, że jego ojciec, a mój dziadek, podobno pochodził z Północy. Moje jedyne wspomnienie z nim związane - właściwie jedyne wspomnienie dotyczące któregośkolwiek z moich dziadków - ogranicza się do jego pięt, które z powodu odleżyn zabezpieczał sobie specjalnymi poduszczkami w kształcie pączków. Umierał na raka w Dewsbury, Doncaster czy też może Halifax. Po jego śmierci byłam przekonana, że zabiły go właśnie te chore pięty.

Raz na rok tata upijał się na firmowej imprezie. Kiedyś (miałam wtedy czternaście lat i byłam bardzo wrażliwa), wrócił zaczerwieniony i śmierdzący wódką. Poszedł prosto do łazienki i zwymiotował do sedesu. Mama żartobliwie zacmokała. Zaszłochałam bezgłośnie.

Strasznie chciało mi się siusiu, więc kiedy tata wreszcie spuścił wodę i wygramolił się z łazienki, czym prędzej tam pobiegłam, unikając spojrzenia jego upiornych, przekrwionych oczu. Już miałam wciągnąć majtki, kiedy przypadkowo spojrzałam w dół. W bursztynowej wodzie w muszli klozetowej coś błysnęło. Wyglądało jak zrobione z plastiku i metalu. Zaintrygowana, szczotką do czyszczenia sedesu wydobyłam to na zewnątrz.

O Boże.

To były zęby.

Na końcu szczotki widniała obrzydliwa, skomplikowana sztuczna szczeka. Nigdy w życiu nie widziałam czegoś podobnego. Składała się z zębów porozdzielanych drucianymi wspornikami i gładkimi łukami różowego plastiku. Kiedy tylko zrozumiałam, co takiego wyłowiałam, wrzasnęłam i odskoczyłam do tyłu, wrzucając to okropieństwo do wanny. W tym samym czasie do łazienki wparował mój ojciec. Zasłaniając sobie usta ręką, na wpół wyjęczał, na wpół zawarczał: „Zie to est? Zie to est?”. Oniemiała, wskazałam na wannę. Tata dał susa w tamtą stronę i zanim zdążyłam go powstrzymać, włożył sobie to potworne urządzenie do ust, umocowując je wśród prawdziwych zębów.

Takie rzeczy musiałam znosić w domu.

Zaczełam się wstydzić swoich rodziców, kiedy miałam jedenaście lat, czyli jak na dzisiejsze czasy dosyć późno. Kiedy jednak zaczęłam, nic nie mogło mnie powstrzymać.

Na szczęście w podstawówce St. Simon Stylites było fajnie, a przynajmniej bezproblemowo. To właśnie tam poznałam Veronicę - Veronicę Tottle, jak się nazywała wtedy, jak się nazywa teraz i jak nazywać się będzie już zawsze, na wieki wieków, amen. Tkwiła do góry nogami w pojemniku na glinę (dużym, plastikowym pojemniku z gliną do modelowania - kiedy byłam mała wszystkie klasy używały takich, chociaż teraz może zniknęły razem z suwakami i tablicami logarytmicznymi oraz darmowym mlekiem dla każdego ucznia), widziałam więc jej zielone majtki z jakiegoś puszystego materiału, pokryte plamkami białoróżowe nogi, smętne, poszarzałe skarpetki i zdarte czerwone sandały. Blokowała mi dostęp do gliny, więc ją wyciągnęłam za kostki. Myślę, że tkwiła tam przez parę minut, ale za bardzo się wstydziła, żeby zawołać o pomoc. Płakała cichutko, a łzy mieszały się z brązowymi grudami gliny, która przykleiła jej się do twarzy. Rękawem otarła oczy, pocałowała mnie w policzek i uciekła.

Już wtedy była pulpecikiem. Miała tłuste włosy i oczy o nieokreślonym kolorze. Mój dobry uczynek już na zawsze ją ze mną związał, a więź ta miała przetrwać aż do... no, sami wiecie. Biedna Veronica ciężko pracowała, by wyrwać się z najniższej grupy w naszej klasie, ale tak naprawdę wcale jej się to nie udało. Nigdy nie broiła, nigdy się nie spóźniała. Jeżeli ją o coś niesłusznie oskarżano, nie narzekała, tylko po prostu spuszczała te swoje bezbarwne oczy i pokornie przyjmowała karę. Dzięki temu stała się dla mnie niesłuchanie użyteczna.

Ja broiłam niemal przez cały czas. Ponieważ jednak byłam inteligentna i, co ważniejsze, ładna, rzadko mnie karano. Tylko raz w szkole dostałam lanie. Siostra Henrietta (z powodu brodawki zwykle zwana „Włochatym Henrym”) przeczytała nam historię Perseusza i skrzydlatego konia Pegaza. Na wielkiej płachcie kartonu narysowała sylwetkę Pegaza i powiesiła ją na ścianie. Wszyscy musieliśmy wyciąć kawałki papieru w kształcie piór, podkręcić je na nożyczkach i przykleić do skrzydeł. Z jakiegoś powodu moje pióra nie chciały się skrócić, więc nożyczkami dźgnęłam Veronicę w rękę i pojawiła się kropelka krwi. Wtedy dosłownie znikąd pojawiła się Henry z

piekielnym wyrazem włochatej twarzy. Podniosła mi spódniczkę i dała parę klapsów po udach. Wtedy Veronica zawyła:

- Proszę siostry, proszę, nie, to był przypadek, to moja wina - błagała.

To rozwścieczyło Henry jeszcze bardziej.

- Dlaczego nie powiedziałaś tego wcześniej, ty krnąbrny bachorze? - I jej też przyłała.

Zycie w liceum imienia Poncjusza Piłata wyglądało mniej więcej tak samo. Byłam lubiana i odnosiłam sukcesy - pomimo stałego niebezpieczeństwa, że ludzie się dowiedzą, jak koszmarni są moi rodzice. Veronica wszędzie wlokła się za mną: to ją chłopcy zawsze prześladowali i to ją ignorowały równe dziewczyny. Jeżeli na ulicy pojawiła się plastikowa torebka, było wiadomo, że owinie się wokół stopy Veroniki i zostanie tam, odporna na szarpanie, ciągnięcie i potrząsanie nogą. Egzotyczne ptaki migrowały do East Grinstead specjalnie po to, żeby narobić jej na ramię. I to zawsze jej dostawały się pączki bez dżemu.

Jedynym moim ustępstwem na jej rzecz było to, że czasami pozwalałam jej maskować moje wykroczenia. Podczas inspekcji papierosy lądowały w jej teczce. Był też słynny incydent z prezerwatywą.

Byłam piątą dziewczyną w klasie, która zaczęła uprawiać seks. Trzecią, jeśli odliczyć te, których partnerzy byli z nimi spokrewnieni. Miałam dwanaście lat, kiedy znalazłam sobie chłopaka: niegroźnego, tyczkowatego młodzika o włosach opadających na oczy, który miał na imię Tony. Na pierwszej randce siedzieliśmy na ławce w parku i razem zjedliśmy chrupki o smaku cebulowym oraz jeden batonik. W drugiej randce zabrał mnie na ryby. Nigdy wcześniej nie łowiłam ryb, a wypad ten okazał się katastrofą. Tony nie potrafił zamocować żyłki na wędce, w końcu się wkurzył i wrzucił sprzęt do stawu. Potem jednak go wyłowił i zażartował, że z jeziora wyłoniła się czyjaś ręka, która chwyciła wędkę - jak Pani Jeziora w „Excaliburze”. Pozwoliłam się pocałować na kamienistym brzegu (nie, to nie eufemizm), a on dał mi pieniądze na powrót autobusem. Na trzeciej randce zabrał mnie do kina, gdzie po raz pierwszy spróbowałam języka drugiej osoby. Był smaczny.

Tony był jednak marnym kompanem i brakowało mu instynktu zabójcy, więc szybko przerzuciłam się na Micka Tordoffa. Mick był



najlepszym graczem w ping - ponga w całej szkole. Chłopcy na przerwach często grali w świetlicy „do ostatniego gracza”. Mick był niepokonany. Tony raz z nim zagrał; wyglądał jak marionetka z rozwianymi włosami. Było 20:6 dla Micka, kiedy Tony nadepnął na piłeczkę. Cicho i zwinnie jak zamachowiec z mafii, Mick okrążył stół i wymierzył Tony'emu cios w twarz. Jego pieczyoty były równie fachowe jak gra w tenisa i jak jego bandytyzm: rżęsami potrafił rozpiąć dziewczynie stanik.

A jednak to nie Mick, ani w ogóle żaden Anglik, wygrał nagrodę. Przypadła ona w moje piętnaste urodziny pewnemu Włochowi o imieniu Guido. Poznałam go podczas szkolnego wyjazdu na narty. Rodziców nie było stać na drogi strój, na który się uparłam.

Ja jednak nie zamierzałam wyglądać na stoku jak jakaś wiejska dziewczucha. Nie mam pojęcia, w jakim wieku był Guido - żadne z nas nie potrafiło zliczyć do trzech w języku swojego rozmówcy. Pojawił się ostatniej nocy na dyskotecce. Nie popisował się metkami na swoich ubraniach, ale jego ciuchy od Armaniego i Gucciego przebiły stroje od C&A, Mistera Byrite i Levisa (lekko zużytych) chłopców z Poncjusza Piłata. Po godzinie zaprowadziłam go na górę do mojego pokoju. Nauczyciele byli zbyt zajęci upijaniem się grappą, by to zauważyć. W pokoju stały cztery łóżka, na który to widok Guido się roześmiał.

- Żadnych dzieci? - spytał. O co mu chodziło? Czy ja mam dzieci? Czy chcę je mieć? Może było to nie pytanie, lecz zapewnienie. Pokręciłam głową. Nie wiedziałam, co robić dalej, wiedziałam jednak, że klamka zapadła.

- Ja uważam.

Położyliśmy się na jednym z łóżek - nie moim, Veroniki. Miałam wrażenie, że zostałam zaprogramowana i że nie mam własnej woli. Podobało mi się. Pocałował mnie, a potem ujął moją dłoń i położył ją sobie na kutasie, który wystawał mu z rozporka. Był długi i cienki, a ja pomyślałam: dzięki Bogu, nie będzie aż tak bardzo bolało. Nagle byłam naga, zostałam w samym staniku, który Guido podciągnął mi do góry. Sam nadal był całkowicie ubrany. Napluł sobie na dłoń i delikatnie wtarł ślinę w moje wargi. Potem, wciąż nie zdejmując spodni, wszedł we mnie. Rzeczywiście nie bardzo bolało. Nie czułam jakiejś szczególnej przyjemności, ale czego można się spodziewać po pierwszym razie? Doszedł, cztery razy wytryskując na mój brzuch i

kołdrę. Pomyślałam: zrobiłam to, zrobiłam to, zrobiłam to, zrobiłam. I to z Włochem.

Zamknęłam oczy i zaczęłam się rozkoszować myślą, jak wstrząśnięci, pełni obrzydzenia i rozczarowania byliby moi rodzice. Świadomość tego, co zrobiłam, podniecała mnie bardziej niż sam akt. Dopiero wtedy uświadomiłam sobie, że jestem sama. Guido zniknął. Już nigdy więcej go nie zobaczyłam. Wytarłam się bluzą z Królikiem Bugsem, którą znalazłam na łóżku, wróciłam na dyskotekę i przetańczyłam całą noc z chłopcami i dziewczynami z liceum imienia Poncjusza Piłata.

Po wszystkich tych opowieściach o nartach, seksie i Włochach, możecie odnieść wrażenie, że mojego życie było niezwykle barwne. Prawdę mówiąc niemal wszystko w East Grinstead miało brązową barwę, jakby cały świat został zrobiony z plasteliny. Domy, ulice, drzewa, ptaki - wszystko brązowe. W tym burym świecie nastolatki nie mieli do roboty nic poza szukaniem miejsca, gdzie mogliby uprawiać seks. Nawet narkotyki ograniczały się do budzących śmiech domowych produktów: kleju, pasty do butów, gazu do zapalniczek, Domestosu.

Pragnęłam tylko jednego: uciec, i odkąd pamiętam, wiedziałam, jak tego dokonać. Zawsze wiedziałam, że mieszkańcy East Grinstead wyglądają koszmarnie. Nie chodzi tylko o to, że mieli fatalne fryzury, popsute zęby i ciała jak coś, co można znaleźć na ruskim statku przetwórczym. Wiedziałam, kiedy ich spódnice miały niewłaściwą długość, a spodnie - zły fason. Nie cierpiałam tych kluchowatych ciał wciśniętych w garnitury z szorstkiego materiału. Nie cierpiałam mechanicznie wytłoczonych poliestrowych spodni ze szwami z przodu, spodni, które można było dostać w dowolnym kolorze - pod warunkiem, tak, zgadliście, że był to kolor brązowy. Ten szew zawsze mnie wkurzał: był jednocześnie niefunkcjonalny i brzydki. Któregoś dnia jakiś człowiek, na którego drzwiach wisiała tabliczka z napisem „Projektant”, usiadł i postanowił, że umieści ten szew z przodu, zwracając uwagę na ohydny materiał, fatalny krój i obwisłe nogawki na udach, do których materiał zawsze się przyklejał.

Jedyny splendor w moim życiu pochodził z magazynów, których kupno wymuszałam na mamie i tacie. Kiedy osiągnęłam wiek, w którym dziewczynka zaczyna dostrzegać istnienie mody (w moim wypadku było to dziesięć lat), już nie pozwalałam mamie kupować

„Women's Journal”, a zmusiłam ją do przerzucenia się na „Elle”, „Vogue”, amerykańską i wreszcie francuską edycję „Vogue” (przy której zostałam do tej pory). W całym mieście tylko my prenumerowaliśmy francuskiego „Vogue'a” i za pierwszym razem, kiedy mama poszła go odebrać, pan Forster, bezbarwny facecik, który stał za ladą kiosku, zawołał do swojej żony: „Netty, chodź zobaczyć! To oni zamówili ten francuski magazyn!”. Potem mama powiedziała, że chyba nie przeżyje takiego upokorzenia. Ja jednak, kiedy już znalazłam się w „Vogue”, uciekłam z East Grinstead. „Vogue” był moją Krainą Czarów, a ja stałam się Alicją.

Mama i tata spełniali moje zachcianki. Myśleli, że to tylko kolejny etap rozwoju. Ambicją taty było, bym została dyplomowaną księgową, która to profesja miała dla niego taki sam urok jak dla mnie posada głównego projektanta u Diora. Skończenie szkoły średniej nie mogło przysporzyć mi problemów, egzaminy końcowe wydawały mi się prościutkie, problemem było tylko to, że miałam w zwyczaju wcielać się w bohatera tej książki, którą akurat przerabialiśmy. Kiedy naszą lekturą było „Vile Bodies” Evelyn Waugh, stawałam się jednym z „Błyskotliwych młodych ludzi” i wszystko robiło się „zbyt denerwujące” albo, niekiedy „zbyt fałszywe”. Przez jakiś czas zabawiałam się grą w Lady Makbet, więc całe szczęście, że w szóstej klasie nie było chłopaka o imieniu Duncan, bo pewnie bym go zasztyletowała. Krytycy mogliby uznać, że w swojej roli Flebasa Fenicjanina z Jałowej ziemi” T.S. Eliota (martwy od dwu niedziel) posunęłam się nieco za daleko, ale jak inaczej można poznać granice własnego świata?

Szczyt mojej szkolnej kariery przyszedł, kiedy panna Cruikshank wspomniała o znaczeniu powieści Fanny Burney dla historii literatury kobiecej. Moja odpowiedź była natychmiastowa, a później obrosła legendą.

- Fanny Burney? - spytałam, szeroko otwierając oczy i robiąc niewinną minkę. - To chyba nazwa choroby, a nie nazwisko pisarki? [Fanny Burney (ang.) to w wolnym tłumaczeniu „piekąca cipka”.]

Panna Cruikshank przez parę chwil gniewnie marszczyła brwi, ale w końcu uśmiechnęła się pobłaźliwie, dając w ten sposób przyzwolenie pięciu dziewczynom i dwóm chłopakom, którzy wybuchnęli śmiechem. Veronica promieniała dumą, jakby to ona wymyśliła ten żart.

Widzicie więc, że byłam całkiem bystra, a wiecie, że możecie mi zaufać, bo opowiedziałam wam również wszystkie okropne rzeczy, na przykład, że dźgnęłam Veronicę nożyczkami. Mogłam zrobić prawie wszystko, co chciałam - no, może poza spaleniem East Grinstead i wygnaniem jego mieszkańców do piekła albo Slough.

Kiedy rozpoczęły się egzaminy, stało się dla mnie jasne, co muszę zrobić. Dostałam same trójki. Lepsze stopnie oznaczałyby, że czekają mnie studia na wydziale Finansów i Księgowości jakiegoś szacownego uniwersytetu. Trzy trójki były w sam raz na małą londyńską szkołę projektowania mody, którą sobie upatrzyłam, więc dostałam właśnie trzy trójki. W ten sposób błyskotliwie wyeliminowałam presję ze strony taty, bym poszła w kierunku księgowości. Myślę, że złamałam mu serce, ale wtedy miałam inne rzeczy na głowie.

Veronica oczywiście wytrwale sekundowała moim fantazjom. W tamtym okresie wyrosła z brzydkiego kaczątka na wspaniałą gęś. Miała chłopaka, czy też raczej „diabłaka”, jak go sama nazywała. Oczywiście nazywał się Trevor. Woził ją na wieś, tam parkował w zatoczce przy drodze i próbował sforsować zbyt solidny mur (wraz z fosą), jaki wzniosła wokół siebie Veronica. Najśmieszniejsze jest to, że za odwiezienie jej do domu kazał jej zapłacić jak za taksówkę. Kiedy mi to powiedziała, oczywiście doradziłam, by go rzuciła. Chyba żadna dziewczyna nie jest aż tak zdesperowana! Veronica jednak, nie widząc, jaki świat jest naprawdę, i bez wątplenia wdzięczna za końskie zaloty Trevora, stanęła po jego stronie:

- Ależ Katie, on obdzwonił wszystkie miejscowe korporacje taksówkowe i spytał o cennik, po czym wybrał najniższą taryfę. To chyba świadczy o jego wspaniałomyślności, prawda?

Biedna Veronica oczywiście nie mogła pójść ze mną do szkoły projektowania mody. Wybrała jakiś kierunek związany z geografiami w Bangor. Irytujące jest to, że dostała lepsze stopnie niż ja. Wszystkim w szkole opowiadałam o swoim planie, ale chyba nikt mi nie uwierzył. Poza samą Veronicą. Prawda jednak jest taka, że nic mnie nie obchodziło, co na mój temat myślą kmiotki z East Grinstead. Dla mnie zawsze byli cieniami, ledwo zauważalnymi w porównaniu z cudownym, jasnym światłem Londynu, w kierunku którego zdążałam.

Tata chciał mnie odwieźć do miasta, ale mu nie pozwoliłam, bojąc się, że nas zobaczą razem. Rodzice odprowadzili mnie więc na

dworzec, dwie smutne, szare postacie, malejące coraz bardziej na peronie, aż znikły całkowicie.

W porównaniu z moimi oczekiwaniami, życie w Londynie okazało się - jak to zwykle bywa - rozczarowujące. Już nie byłam pawiem wśród gołębi, lecz po prostu kolejnym gołębiem, jednym z wielu w stadzie. Wkurzało mnie to, że większość studentów ubierała się modniej ode mnie - w końcu ich przewagą było to, że nie pochodzili z East Grinstead. Nagle przemieniłam się w swojego rodzaju Veronicę. Nie potrwało to długo. W ciągu tygodnia dokonałam wszystkich właściwych poprawek. Nie miałam jednak pieniędzy, którymi mogłabym błysnąć. To była dla mnie cenna lekcja.

Cenne lekcje zdarzały mi się rzadko. Mogę uczciwie stwierdzić, że kiedy szukałam pierwszej pracy i kiedy wreszcie znalazłam się w świecie mody, nie przydał mi się ani jeden z faktów, ani jedna z technik czy zasad, o których uczyłam się na wykładach, seminariach i warsztatach w tym college'u. To prawda, dowiedziałam się, że Madeline Vionnet była „Euklidesem mody”, a Fortuny „Czarodziejką z Wenecji” i że Elsa Schiaparelli wynalazła elektryzujący odcień różu. Nauczyłam się, jak robić kapelusze z resztek materiałów. Jak wykorzystywać w swoich projektach motywy dekoracyjne ze sztuki azteckiej, polinezyjskiej i celtyckiej. Nauczyłam się mówić o modzie jak o jednej z dziedzin sztuki, jak ironicznie się uśmiechać, słysząc tak niefachowe określenia jak „wygodny”, jak wydrwiwać High Street i jej klientów.

Niektóre z tych rzeczy rzeczywiście były przydatne, lecz największą wiedzę zdobyłam poza salą wykładową. Nauczyłam się pić kawę i palić papierosy. Nauczyłam się flirtować z gejami i heteroseksualistami. Nauczyłam się wchodzić do klubów bez płacenia. Nauczyłam się, jak przeżyć tydzień za pięćdziesiąt funtów. Była to jedna wielka zabawa, zapierająca dech w piersiach, trywialna, powierzchowna, pusta i ulotna, ale jednak zabawa.

I nagle się skończyła. Dwie rozmowy kwalifikacyjne wystarczyły, bym się przekonała, że moje wykształcenie jest całkowicie bezużyteczne. Perspektywy miałam ponure. Albo wrócić do taty po pożyczkę na studiowanie księgowości, albo podjąć jakąś denną, niskopłatną pracę i czekać na szansę, która - jak w swej dziecięcej naiwności byłam o tym przekonana - kiedyś w końcu musi się pojawić.

Przepracowałam więc trzy miesiące w Whisdes, pół roku w sklepie Paula Smitha i tydzień w Selfridges. Przez większą część tego okresu chodziłam z Cnutem, studentem architektury z Holandii. Był bardzo poważny pod względem zachowania, ale bardzo głupi, jeśli chodzi o styl ubierania się: preferował surduty i fulary. Co dziwne, mimo to wydawał mi się całkiem fajny. Rzuciłam go z powodu pewnego żartu. Były jego urodziny. Na kartce z życzeniami napisałam „dla Cnuta” (dodałam też trochę sentymentalnych bzdur, których na pewno byście nie chcieli tu czytać), ale „C” napisałam odwrotnie.

- Katie, tu jest błąd - powiedział, wskazując na źle napisaną literę.

- To znaczy, że „c” nie wolno odwracać?

Miał to być mój prezent dla niego. Długo go wymyślałam. Cnut bez słowa patrzył na mnie dobre piętnaście sekund, po czym powiedział:

- Rozumiem. To taki żart, prawda?

- Tak. To dla ciebie. Podoba ci się?

- W moim kraju wyśmiewanie się z czyjegoś nazwiska uważa się za arogancję.

I na tym się skończyło.

Nie cały czas przeżywałam kryzys. Kiedy człowiek ma dwadzieścia dwa lata, bieda mu przystoi. Jest w porządku nawet, kiedy się kończy dwadzieścia cztery. Nie, tu trochę przesadziłam. Dwadzieścia cztery lata to już granica. A już bycie ubogą dwudziestopięciolatką jest niewybaczalne - jeśli się nie jest kobietą obciążoną zasadami etyki lub deformacją twarzy.

Tylko raz pojechałam do domu, by się zobaczyć z mamą i tatą. Byli mniej irytujący, niż ich zapamiętałam, ale wzbudzali we mnie większą litość, co okazało się o wiele, wiele gorsze. Tata przeszedł na emeryturę, więc dla obojga stanowiłam jedyny obiekt zainteresowania. Nie widziałam ich przez dwa lata, lecz pozostałam wpleciona w strukturę ich codziennego życia. Co prawda już się skończyły te czasy, kiedy ciągle się na nich wydzierałam, wiedzieli jednak, że lepiej mnie nie wypytywać o szczegóły dotyczące mojego życia.

- Co tam słyhać, no wiesz.. .w modzie? - pytał tata, kiwając głową w stronę kąta pokoju, jakby tam właśnie mieszkała moda. Mama bezgłośnie podpowiedziała mu „w modzie”.

- W porządku.

Niczym rodzice pogrążeni w żałobie po stracie dziecka, zachowali mój pokój w takim stanie, w jakim go opuściłam jako osiemnastolatka. Na ścianach nadal wisiały plakaty z Davidem Bowie i Roxy Music, na łóżku leżały pluszaki: pingwin Smrodek, miś Freddy i Niebieskie Coś, co nie należało do żadnego z gatunków znanych nauce, nie mogło więc dostać ludzkiego imienia. Na półkach stały moje książki, codziennie odkurzone, ale już żółknące: rząd książek Judy Blooms, „Rebeka”, „Otyłość to sprawa dla feministek” (nie, nieprawda). Widok ten był tak smutny, że nie mogłam go znieść. Przed podwieczorkiem wymknęłam się z domu, twierdząc, że muszę wracać do miasta na pokaz mody i wiedząc, że mnie zrozumieją.

\* \* \*

I mniej więcej w tamtym okresie, mijając sklep Penny Moss, zobaczyłam na wystawie ogłoszenie POTRZEBNA POMOC. Jeśli do tej pory nie zrozumieliście, dlaczego myśl o powrocie do domu, do mamy i taty, przepełniała mnie mniej więcej taką radością i podnieceniem jak obrzezanie albo obdzieranie ze skóry żywcem, to, cóż, poddaję się.

CZEŚĆ DRUGA

TRZY PRZEMIANY  
DUCHA



## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

### Katie na bruku

- Tylko jedna noc, na kanapie.

Wymusiłam na Veronice to ustępstwo, które pozostali przyjęli, choć z niechęcią.

- Ale nie chcę cię widzieć dziś wieczorem i masz się stąd wynieść, zanim jutro wrócę. - Wyraźnie wyzwoliłam najlepsze odruchy w mojej drogiej, starej przyjaciółce. Zamierzałam powiedzieć coś o żmii, którą wychowałam na własnej piersi, ale to by było za bardzo w jej własnym stylu. Poza tym, pewnie ktoś by spytał, kto jest tą żmiją, a kto piersią?

Co jednak miałam zrobić z resztą wieczoru? Na pewno nie zasiądziemy razem do wspólnego oglądania serialu. Pozostałym znajomym nie potrafiłabym spojrzeć prosto w oczy. Nie miałam siły na pogaduszki o modzie czy plotki z Milo - zakładając, że jeszcze nie usunął mnie ze swojego życia. Tak, oczywiście, moja twarz już została usunięta z kartoteki politbiura. Nie byłam zbyt dumna, by poprosić kogoś o dobry uczynek - po prostu nie miałabym do kogo się zwrócić.

Myślę jednak, że przez cały ten czas wiedziałam, co zrobię. Kalkulacje i racjonalne myślenie nie pomogły mi ani trochę. Przyszła pora na to, by zaprząć do działania hormony i posłuchać instynktu.

Tak więc dwadzieścia minut później znowu znalazłam się w taksówce. Na długi, długi czas miała to być moja ostatnia jazda taksówką. Minęłam w salonie bandę trędowatych i wyszłam bez słowa, z wysoko uniesioną głową i myślami kłębiącymi się w głowie. Posepnie powlokłam się na Seven Sisters Road, a na budynkach wokół mnie, niczym w starych filmach z „Cinema Paradiso”, wyświetlały się obrazy z życia, jakie znowu rozpocznę w East Grinstead. Oto ja, ze łzami w oczach witana przez mamę i tatę: mama z udawanym niepokojem załamująca ręce, tata trzyma brązowy imbryk w ocieplaczu zrobionym na drutach. Oto ja, na tle brudnej ściany z cegieł kościoła: zaczynam pracę, sprawdzając podania w biurze zajmującym się dopłatami do mieszkań, mam na sobie szalenie modną niebieską, poliestrową garsonkę i białą bluzkę z kokardą na szyi. Oto ja, na szczycie: tańczę wokół plastikowej torebki, którą położyłam na parkiecie w dyskotecie - mogłaby się nazywać „Proszę,

przeleć mnie, w końcu jest piątek", usiłując zwrócić na siebie uwagę jakiegoś montera (cokolwiek to znaczy), hydraulika czy włamywacza ze słowami „myłość” i „nienawyść” wytatuowanymi na kostkach palców przez East Grinsteadowego tatuażystę - dyslektyka. I oto ja, na tle nieba, gdzie wszyscy mogą mnie zobaczyć, stojąca w rajstopach na zimnie, szukająca miłości i uśmiechająca się do obcych mężczyzn.

Nie. Nie wydarzy się żadna z tych rzeczy. W najgorszym razie na jakiś czas wrócę do domu, by naładować baterie i zaplanować nowy sposób działania. Nie zostanę tam na tyle długo, by porosnąć rzesą, by jak Faust dać się wciągnąć diabłom do tego piekła. Prawda?

Najpierw jednak musiałam dokonać pewnej zemsty. „Co niedziela, poza Wielkim Postem” - powiedział. Cóż, była niedziela, nie w Wielkim Poście. Przynajmniej tego się nauczyłam od siostry Henrietty. Pojawiła się czarna taksówka i pojechałam nią na zachód, niebezpiecznie zbliżając się do miejsc, które zdążyłam już pokochać.

Użyłam słowa „zemsta”, ale niezupełnie o to mi chodziło. Sprawa nie dotyczyła też ani instynktu ani hormonów. Właściwie sama nie wiedziałam, po co chcę się znowu zobaczyć z Liamem. Mniej więcej zrezygnowałam z zadżgania go na śmierć, chociaż nie wykluczałam, że będę chciała się przekonać, czy po pół roku aerobiku z elementami boksu, na który chodziłam parę lat wcześniej, nadal będę potrafiła wymierzyć mu porządny cios w gardło. Ponad wszystko jednak chciałam, by się przekonał, co mi zrobił, by zobaczył, jak namieszał w moim życiu i by mnie przeprosił. Po głowie ciągle krążyło mi powiedzenie: „Pies zawsze wraca do swoich wymiocin”. Niezbyt ładne, ale jest w nim pewna prawda.

Kazałam taksówkarzowi podrzucić mnie na stację metra: było jeszcze dość wcześnie, więc pomyślałam, że dla zabicia czasu wypiję po drinku w każdym z tych pubów, które widziałam podczas tamtej fatalnej w skutkach podróży do Kilburn. Macie świętą rację, jeżeli wydaje wam się, że w moim położeniu łażenie po pubach to dość ekscentryczny pomysł. Czyżbym świadomie dążyła do upodlenia, czyżbym chciała się upokorzyć, by móc przeżyć oczyszczające odrodzenie? A może po prostu byłam zdenerwowana i całkiem zwyczajnie chciałam się nawalić?

Pierwszy pub, do którego weszłam, nosił nazwę „Gwiazda Polarna”. Z zewnątrz wyglądał całkiem ładnie, prawie jak jedna z tych knajpek w Primrose Hill, do których dziewczyna może samotnie

wejść, by coś przekąsić. Czyste, jasne, schludnie pomalowane ściany. Brakowało tylko kręcących się kelnerów i świeżo umytych jasnych włosów. Przeszłam przez drzwi z tabliczką z napisem PUB i z miejsca zrozumiałam, jak długą podróż muszę jeszcze odbyć, zanim pojmę równoległy świat pubów.

W „Czarnej owieczce” pełno było biednych i zdesperowanych ludzi, ale przyszli tam po to, by się zabawić. Chcieli miło spędzić czas, choć ta rozrywka była ulotna i chwilowa. Tu jednak było zupełnie inaczej. Kiedy weszłam do środka, stanęłam wobec muru wrogich twarzy: posępnych, okrutnych, męskich. To nie miejsce na rozrywkę. To miejsce, gdzie się pije, pije, aż zniknie wszystko, co dobre, ludzkie i delikatne, a potem pije się dalej.

Chciałam od razu zawrócić i wyjść, ale ponurość tego miejsca jakoś pasowała do mojego nastroju. Poza tym, po tym, jak mnie przegnała Penny i wyrzucili trędowaci, nie zamierzałam znowu dać się spławić. Śmiało podeszłam do baru, po raz pierwszy od długiego czasu czując, że stoi przede mną wyzwanie, któremu mogę sprostać, problem, który potrafię rozwiązać. Ze zwykłej przekory i brawury zamówiłam Dubonnet z lemoniadą - drink, którego nie piłam, odkąd skończyłam siedemnaście lat. Po jakichś próbnym egzaminach wybrałam się wtedy do knajpy z Veronicą i jedną czy dwiema innymi koleżankami ze szkoły. Usiadłyśmy dumnie nad naszymi cinzano, koktajlami z lemoniady i advocata i innymi drinkami - przysmakami nastolatek lubiących słodycze. Veronica szepnęła mi do ucha:

- Chyba nie wymawiasz „t”.

Do końca wieczoru się do niej nie odezwałam. No, ale wracając do „Gwiazdy Polarnej”. Barman, duży, biały i wilgotny, jakby wyciosany z wielkiego bloku genetycznie wzbogaconego smalcu, patrzył na mnie przez dobre dwie sekundy, nieco się odwrócił, potem powoli znowu zwrócił się w moją stronę, po czym stanął plecami do mnie. Potoczył się na drugi koniec baru i wrócił z wodnistą ciecżą w kolorze fuksji.

- Z lodem - powiedziałam, patrząc mu prosto w oczy, przekrwione i złe. Podejrzywałam, że zbiera filmy z dziecięcą pornografią i wojskowe rekwizyty nazistowskie.

Wskazał na wiaderko na barze i mruknął:

- Dwa funty.

Wypiłam Dubonneta przy barze. Parę kropli mi wyciekło z kącika ust. Potem wyszłam. Co dziwne, to doświadczenie dodało mi odwagi: z pewnością nie ma gorszego pubu na świecie. Jakoś przeżyłam. Wypiłam Dubonneta z lemoniadą i wyszłam.

Naprzeciwko znalazłam lokal, który wyglądał nieco bardziej obiecująco. „Powers Bar” sprawiał wrażenie tak zaprojektowanego, by przypominać jeden z tych uroczych małych pubów, które widuje się na pocztówkach z Irlandii. Brakowało tylko osiołka zaparkowanego przed wejściem. Front był dość mały i pomalowany na jaskrawy niebieski kolor. Weszłam i znalazłam się w świecie ciepła i wrzawy. Grała jakaś studencka czy też hinduska muzyka, czego nie spodziewałam się usłyszeć w Kilburn. Było oczywiste, że tutaj piją miejscowi artyści i niepracująca młodzież. Panowała tam alternatywna, artystyczna atmosfera. Ściany ozdobiono z pewną dozą ironii: z mroku wylaniał się olbrzymi łeb bizona. Na kominku płonął prawdziwy ogień, co mnie ucieszyło - na zewnątrz panował chłód, a ja się zbyt lekko ubrałam. Jeszcze bardziej sympatycznie wyglądały kobiety: nie stare, pijane wiedźmy, lecz młode dziewczyny w umiarkowanie modnych strojach. Nie wyglądały jak z mojej klasy, ale uznałam, że do rozmowy tłumacz nie byłby nam potrzebny. Pomyślałam, że warto zaryzykować i zamówić kieliszek wina. Obsłużyła mnie ładna, młoda Australijka i dostałam duży kieliszek chilijskiego Sauvignon Blanc. Bar był zatłoczony, ale udało mi się znaleźć stolik w rogu, niedaleko kominka. Przy stoliku obok siedziało wielu otyłych mężczyzn w średnim wieku z kucykami i/lub kozimi bródkami, którzy głośno rozmawiali o teledyskach. Jeden z nich wyglądał na dyrektora, drugi pracował w wytwórni płytowej. Trzeci, szczuplejszy od pozostałych, miał na nosie okulary w prostokątnych, czarnych oprawkach, które aż krzyczały: „Spójrzcie na mnie, jestem dziennikarzem muzycznym! Ha!”.

- Musimy wydać na to przynajmniej pięćdziesiąt - powiedział dyrektor, poprawiając skórzaną kurtkę. - Wiecie tak samo dobrze jak ja, że im gorszy zespół, tym lepszy teledysk.

Sama z sobą się założyłam, że za pięć minut się do mnie odezwą. Ale chyba emitowałam z siebie jakieś odstrasżające sygnały, bo w czasie, jaki mi zajęło wypicie dwóch kieliszków wina, odważyli się tylko kilka razy ukradkowo na mnie zerknąć. Odniosłam wrażenie, że przejęli mój nastrój, bo ich rozmowa umarła, jeszcze zanim wyszłam.

- Ale i tak myślę, że będzie ciężko.

Raz jeszcze przeszłam na drugą stronę ulicy i stanęłam przed barem „McGovern's”, który wyglądał jak albański lokal bingo. Weszłam bez namysłu. Był tak zapchany mężczyznami, że początkowo pomyślałam, że to knajpa dla gejów. Ale nie: żaden z nich nie był dobrze ostrzyżony, a wszyscy sprawiali takie wrażenie, jakby napadli na magazyn z ubraniami z tweedu i uciekli, ubrani w to, co im wpadło w rękę, choćby i nie w ich rozmiarze. Panowała tam jednak wesoła atmosfera: klepali się nawzajem po plecach, szczyrzyli do siebie zęby. Śmiech przetaczał się po całym barze. Moja obecność najwyraźniej nikomu nie przeszkadzała, więc precyzyjnie przeczesałam się przez tłum i zamówiłam Guinnessa. Kiedy odwróciłam się od baru, trzymając w ręku ogromną szklanicę, mój wzrok padł na jakiegoś staruszka, który siedział na ławce pod ścianą i uśmiechał się do mnie. Wyglądał znajomo. Oczywiście, to tamten skrzypek! Nie pamiętałam jego imienia. Skinął na mnie ręką, pokazując wolne miejsce obok. Na myśl o jego świszczącym oddechu, który kojarzył się z łóżem śmierci, robiło mi się niedobrze, ale nie wiedziałam, jak się wymigać, więc podeszłam do niego.

- Katie, prawda? - Wyglądał na zdumiewająco trzeźwego.

- Tak. Pamiętał pan. I miał pan rację: on mnie szantażował.

- Brudna, brudna świnia. Gdybym miał trzydzieści lat mniej, sam bym mu wkopał. Ale co ty tu robisz, dziecko? Słyszałem o twoich kłopotach. Myślałem, że już nigdy się nie zobaczymy.

- Nie mogę tego wytłumaczyć. Muszę się zobaczyć z Liamem. Pobić go, czy coś.

- I co to da? Może po prostu wróć do swojej części miasta, do swoich bliskich?

- Łatwo powiedzieć. Ja właściwie już nie mam swojej części miasta. A moi bliscy? Niech mnie pan nie rozśmiesza. Czy Liam będzie dziś w „Czarnej Owieczce”?

- Tak, pewnie tak. Ale co ci to da? Idź do domu, dziecko, idź do domu.

- Jest pan kochany, ale teraz nie mam już nic do stracenia.

- Zawsze można upaść niżej. Sam przeżywałem takie chwile, kiedy myślałem: Boże, to już chyba dno. Teraz już wpadłem w bagno. A potem okazuje się, że to małe piwo, i wpada się jeszcze głębiej.

- Dzięki, bardzo mnie pan pocieszył - powiedziałam to z uśmiechem, bo nie czułam się aż tak źle. Myślę, że Dubonnet, wino i Guinness zrobiły swoje. - A teraz? Już pan spadł na samo dno?

- Ach! - wykrzyknął, również się uśmiechając. - Pamiętasz te filmy z łodziami podwodnymi, które są atakowane przez okręty? Muszą zejść na dno. Jakiś facet chodzi po całej łodzi i zmienia wszystkie żarówki na czerwone, potem pęka rura i inny gość wali w nią kluczem francuskim, aż woda przestaje lecieć? Ja jestem właśnie taki: czerwone oczy i trochę przeciekam.

Z tymi słowy wstał, wskazał na toaletę dla panów i z mrugnięciem, które w 1932 roku mogłoby oczarować jakąś mleczarkę w Kerry, poczłapał w tamtą stronę. Dokończyłam piwo i wyszłam. Czas wziąć się do roboty. Raz jeszcze przeszłam na drugą stronę Kilburn High Road. Tym razem nie przystanęłam przed „Czarną Owieczką”, tylko od razu weszłam do środka. Ruszyłam prosto w jej gotycko - barokowe objęcia.

Było dość cicho. Rozejrzałam się za Liamem, ale nigdzie go nie widziałam. Przy barze zamówiłam duży gin z tonikiem. Ani jednej osoby nie pamiętałam z mojej pierwszej wizyty. Ulżyło mi, ale jednocześnie byłam rozczarowana. Wciąż czułam przypływ adrenaliny. A może jakiegoś innego hormonu? Kiedy usiadłam, coś mi przyszło do głowy. Może wcale nie przyszłam tu po to, żeby się zemścić? Czy to możliwe, że chodziło mi o to, żeby jeszcze raz się przespać z Liamem? Nie, nie, nie. To zbyt proste i zbyt potworne. Przyszłam, by zamknąć sprawę i wykrobać sobie truciznę z rany. Och, Bóg mi świadkiem.

Usiadłam przy tym samym stoliku. Dobry nastrój prysnął i wpadłam w posepne przygnębienie. Tamten skrzypek miał rację. Szaleństwem było tu przyjeżdżać. To szalone i żalosne. Szalone, żalosne i głupie. Zresztą teraz Liam nie mógłby mi pomóc. Już należałam do historii. Bo o co chodzi w modzie, jak nie o to, by iść do przodu? A ja zostałam w tyle. Rozejrzałam się, oglądając bujne dekoracje. Nimf} i driady przemieniły się w drwiące diabły. Ptaki wyryte w szkło stały się sępami. Ściany spływały krwią i były pełne grozy. Zamówiłam jeszcze jeden gin z tonikiem.

Znowu uderzyła mnie myśl, że moje życie się powtarza. Ludziom się wydaje, że moda tworzy kręgi, ale mylą się - co udowodniła porażka stroju safari, w którym Penny pojawiła się na imprezie

wódkowej. Moda to raczej spirala, więc wszystko wraca, ale zniekształcone. Pętle spirali robią się coraz mniejsze, więc obrazy migają coraz szybciej i szybciej, stwarzając dezorientujące wrażenie nowości i jednocześnie wymęczonych powtórzeń. Tak samo wyglądało moje życie - wieczna powtórka, wszystko takie samo, choć inne. Mój świat niekontrolowanym ruchem schodził po spirali w dół.

- Chyba przydałoby ci się towarzystwo. - Głos ten wyrwał mnie z rozmyślań. Był poważny, głęboki i upiorny - jak grzechotanie starych kości miażdżonych w jakimś potwornym mózdzierzu.

Głowa opadła mi niemalże na wilgotny blat stołu. Teraz podniosłam wzrok i zobaczyłam wielkiego chłopca, który wyglądał jak fragment Stonehenge. Jak wielu innych starszych klientów, miał na sobie garnitur, ale ciemny, dobrze skrojony i jakby uszyty na miarę. Trudno było sobie wyobrazić, by gotowa marynarka dała radę pomieścić jego szerokie bary. Rozpoznałam w nim Frankensteina, o którym opowiadał mi Liam.

- Znam cię. Jesteś Jonah. Duży Jonah. Powinno być Olbrzymi Jonah. Albo Olbrzymi Olbrzym. Musi się zaczynać na tę samą literę.

- Twoja twarz wydaje mi się znajoma, ale chyba nie miałem przyjemności cię poznać - odparł z dziwną kurtuazją dyplomaty, który dopiero uczy się obcego języka. Był wielki jak głaz, lecz nie czułam z jego strony żadnego zagrożenia. Pewnie z powodu tego banału, według którego potężni mężczyźni niczego nie muszą udowadniać. Zwłaszcza ważącym pięćdziesiąt kilo dziewczynom, które wyraźnie przeżywają ciężkie chwile. (No dobrze, dobrze, pięćdziesiąt trzy). A może po prostu byłam tak pijana, że pogłaskałabym nawet tygrysa. - Zaraz - ciągnął. - Jesteś Katie, prawda? Katie.. .Katie.. .Castle.

- Tak. Wszystko się zgadza. Uśmiechnął się. Zęby miał mocne i żółte.

- Są trzy rzeczy, których nigdy nie zapominam: nazwisko, twarz, wysokość długu. Mogę się dosiąść i pogadać z tobą? - Potrząsnęłam głową, co mogło oznaczać zarówno „tak”, jak i „nie”. On uznał to za „tak”.

- Liam opowiadał mi o.. .no, o tobie.

- Przyszłam tu, żeby się z nim rozmówić. Chciałam wyjaśnić... pewne rzeczy.

- Może to nie najlepszy pomysł. - Ten refren już zaczynał mnie nudzić.

- A skąd, do cholery, ty to możesz wiedzieć? - Ostrożnie, Katie. Pamiętaj, że ten człowiek to brutalny bandzior. Jonah przejechał wielką dłonią po tyle krótko ostrzyżonej, siwiejącej głowy.

- Znasz twórczość Fryderyka Nietzschego? - spytał po chwili milczenia.

- Zamierzasz mnie wałnąć młotkiem? - spytałam, naśladując komiksową Betty Boop. Na jego twarzy pojawił się wyraz rozczarowania.

- Młotek to bardzo pożyteczne narzędzie. Młotkiem można budować i niszczyć. Używam go tylko wtedy, gdy ktoś nie potrafi pojąć prostego sylogizmu.

- Co to jest szylogizm? - Cholera! Myślałam, że panuję nad sobą, ale jak na wymówienie tak trudnego nowego słowa, wypięłam o jednego Dubonnetta za dużo.

- To argument, który opiera się na dwóch założeniach i płynie z niego taki wniosek jak...

- Tak, wiem - przerwałam mu, chcąc czym prędzej z powrotem umocnić swoją pozycję. - Wszyscy mężczyźni to dranie, Liam Callaghan jest mężczyzną, stąd płynie wniosek, że Liam Callaghan jest draniem. Pieprzyć filozofię - ona na pewno mnie pieprzy. - Poczułam się odrobinę pewniej i chciałam kontynuować.

Jonah uśmiechnął się nieco (ale tylko nieco) złowieszczo. - Jak mówiłem, Nietzsche...

- Bujne wąsy.

- Tak jest, bujne wąsy.

- Faszystowskie zapędy?

- No, może odrobinę faszystowskie. Ale nie był antysemitą, uważał, że Żydzi mają wszelkie zadatki na rasę panującą w Europie. Myślę jednak, że powinienem ci opowiedzieć o trzech przemianach ducha. Da ci to spokój wewnętrzny, a przynajmniej zrozumiesz, w którym punkcie swojego życia się znalazłaś.

- Brzmi fajnie. - Znowu kończyła mi się energia i został już tylko sarkazm.

- No, może nie „fajnie”, ale ten facet rzeczywiście potrafił wywołać radość w człowieku. W każdym razie, duch musi przejść przez trzy etapy. Najpierw musi się upodobnić do wielbłąda...

- Do wielbłąda? Wielbłądy są brzydkie, śmierdzą i plują na ludzi. Dzięki. Właśnie tego mi teraz trzeba.



- Upodobnić do wielbłąda - powtórzył z naciskiem - karmić się żołądziami i trawą wiedzy. Musi cierpieć, dźwigać wielkie ciężary i wędrować kamienistymi ścieżkami przez pustynię.

- Dobra, przekonałeś mnie. Gdzie mam się zapisać?

- Wydaje mi się, że już się zapisałaś.

- Nie mogłabym zostać jakimś ładniejszym zwierzęciem: gazelą albo antylopą? - W pewien dziwny, surrealistyczny sposób ta rozmowa zaczęła mi się podobać.

- To musi być wielbłąd. Ale, jak już powiedziałem są trzy etapy. W drugiej przemianie stajesz się lwem i walczysz, by uwolnić się ze szponów wielkiego smoka.

- Już lepiej. Ten smok pewnie coś symbolizuje?

- Tak jest: „Musisz!”. A lew odpowiada: „Chcę”. W tym „Chcę” lew wyrzeka się wszystkich wartości. Sam sobie stwarza nową wolność, nowe wartości.

- To by mi się przydało. A co z trzecim etapem? Słoń? Nosorożec? Tasiemiec?

- Nie, niezupełnie. - Jak się okazało, Jonah nie przepadał za dowcipnymi uwagami i ciętymi ripostami. - W trzeciej przemianie ducha lew staje się dzieckiem.

- Kurczę! Powinna być domyślić. Zawsze kończy się na dziecku, nie? To znaczy na tym, że człowiek się zmienia w dziecko. Co musi zrobić to dziecko? Wyrzec się wszystkich wartości, śliniąc się i robiąc w majtki?

- Dziecko jest niewinne i roztrzepane. Oznacza nowy początek, sport, samonapędzające się koło, pierwszy ruch, święte „Tak”.

Gdyby nie to „tak”, pomyślałam sobie, „tak” być może bardziej świeckie, niż święte, nigdy bym się nie władowała w takie tarapaty. Czar pubowego Nietzschego przybladł i zaczynałam się nudzić.

- Słuchaj - powiedziałam - naprawdę myślisz, że mi tym zaimponujesz? W modzie pełno jest takich samych hipisowskich, buddyjsko - taoistycznych bredni. Widziałeś „Ab Fab”? Powinieneś popracować nad techniką podrywania.

Jonah pokręcił głową jak aktor udający smutek.

- Rozczarowujesz mnie. Po prostu nie jesteś jeszcze gotowa poświęcić trochę wysiłku, czasu i myśli. Chcesz tylko szybko uciec, szybko znaleźć wyjście. - Siegnął do kieszeni i wyjął garść białych pigułek, na których wryty był skaczący delfin. - Tylko tego chcesz.

Filozofii w łatwej do przełknięcia kapsułce. Wcześniej odebrałem je paru facetom. Wyjaśniłem im, jak wielkie błędy popełniają. - Poglądził się po marynarce, a ja przez chwilę widziałam zarysy pożytecznego narzędzia stolarskiego wypychającego ciemną wełnę. - Przepraszam jeśli ci zawracałem głowę - powiedział, chowając do kieszeni tabletki ekstazy i wstając. - Prędzej czy później Liam tu przyjdzie, jeśli koniecznie musisz się z nim zobaczyć, ale szczerze ci radzę, byś sobie stąd poszła.

Było mi przykro, że zraniłam jego dumę. To poczucie winy stało się słomką, która złamała kręgosłup wielbłądowi. Po policzku pocięła mi wielka łza. Spojrzałam w sufit, by powstrzymać następne i zaczęłam się modlić w duchu, by nikt na mnie nie patrzył. Jonah znowu usiadł.

- Słuchaj, to mnie powinno być przykro - powiedziałam. - Na pewno tylko chciałeś mi pomóc. Po prostu, odkąd poznałam Liama, wszystko zaczęło się psuć. Straciłam pracę, dom, chłopaka, zniszczyłam sobie przyszłość. Muszę wracać do East Grinstead. Moje życie legło w gruzach.

- Widzisz, Katie, to jest właśnie ta jałowa ziemia, o której mówiłem. Teraz przeżywasz ciężkie chwile. Ale może uda mi się ci pomóc. Słuchaj, mieszkam niedaleko stąd.. .no, ale to już wiesz. - Na krótko wynajmowałem to mieszkanie. Jeżeli nie masz gdzie się zatrzymać, mogę ci je wynająć za niewielką opłatą.

Oniemiałam. Nie mogłam się zdecydować, czy to dobry, czy okrutny uczynek z jego strony. Ludo kiedyś mi powiedział, że starożytni Grecy tym samym słowem określali truciznę i lekarstwo (nie pytajcie, jak brzmiało to słowo). Teraz czułam takie właśnie podwójne znaczenie tej sytuacji. Oczywiście ucieszyłam się z możliwości zostania w Londynie, ale w tamtym mieszkaniu? Poza tym były trudności natury praktycznej. Propozycja Jonaha przynajmniej osuszyła moje łzy.

- To bardzo miło z twojej strony, ale nie mam ani pensa. Nie stać mnie na czynsz albo zastaw. Nie bez pracy.

- Jeśli chodzi o zastaw, nigdy nie musiałem go żądać. Zawsze się przekonywałem, że moi lokatorzy chętnie płacą za wszelkie szkody. - Tego się domyślałam. Nie mogło być inaczej, skoro mieli w perspektywie spotkanie z młotkiem oraz „Wstęp do Nietzschego”.

- To naprawdę strasznie miło z twojej strony, ale nic mi to nie da, skoro i tak nie mam pracy.

- Daj spokój, trudno mi uwierzyć, że taka bystra dziewczyna jak ty nie znajdzie sposobu na zarobienie. Robisz w ciuchach, nie?

- Można tak to ująć. - Jakże Penny by się skrzywiła, słysząc to określenie!

- Mam trochę znajomości. Ktoś mi jest winny przysługę. - Zaczęłam się zastanawiać, co to miałyby znaczyć. Nie przypuszczałam, by Jonah miał ciekawe kontakty. Może jakiś wyzyskiwacz zlecił mu podrzucenie komuś głowy konia. Ciekawe, ile by mi policzył za podobną usługę. Penny pewnie dopiero po paru godzinach by sobie uświadomiła, że to nie skacowany Hugh leży obok niej. Poważnie się jednak zastanawiałam nad propozycją Jonaha. Było to rozwiązanie świadczące o mojej desperacji, ale czy miałam inne wyjście? Gdybym miała inną możliwość zostania w Londynie, na pewno bym z niej skorzystała.

- Przemyśl to przez chwilę - powiedział Jonah. - Pójdę tylko do...  
- Zawahał się, nie mając pewności, jakiego słowa użyć przy takiej dziewczynie jak ja. - Do...no, wiesz.

Kiedy poszedł, zobaczyłam, że na krześle koło mnie coś leży. Coś małego i białego. Tabletką ekstazy. Pewnie wypadła mi z ręki, kiedy je chowałam z powrotem do kieszeni.

Nie brałam jej zbyt często - w sumie może ze trzy, cztery razy, a ostatnio przynajmniej przed dwoma laty. W moich kręgach raczej nie przepadano za tym narkotykiem. Tam królowała kokaina (tuż po - w zależności od płci - Pradzie oraz upodobaniu do nieletnich chłopców). Na widok tej małej, białej pigułki, poczułam pewien odruch. Ja rzeczywiście szukałam łatwego wyjścia. Pomyślałam, że ona mi pomoże wygarnąć Liamowi całą prawdę. Nie myśląc o konsekwencjach, wzięłam tabletkę między kciuk i palec wskazujący, wrzuciłam ją do ust i popiłam ginem z tonikiem.

Po przyjęciu zakazanego narkotyku zawsze pojawia się chwila rozczarowania, kiedy nic się nie dzieje. Młodzieńcze marzenia o natychmiastowej euforii lub nagłych, cudownych wizjach abisyńskich służących, cymbałów, lodowych jaskiń i ukrytych świątyń rozkoszy nigdy się nie spełniały. Rozejrzałam się. Wszystko wyglądało po staremu. Wiedziałam jednak, że muszę przeczekać, robić to, co robię aż wreszcie poczuję, że fruwać. Wrócił Jonah.

- Liama nadal nie ma - powiedział. - Może dzisiaj w ogóle nie przyjdzie. Może lepiej już idź. Na jego twarzy pojawił się uśmiech, który pewnie miał być dobry, ojcowski. Mogłabym przysiąc, że rozległo się ciche dudnienie, gdy na jego twarzy przesunęły się płyty tektoniczne. Gdybym była w Kalifornii, krzyknęłabym. Wcale mu nie wierzyłam.

- Ale ja tu się świetnie z tobą bawię. Nietzsche i tak dalej. Poza tym ciągle rozważam twoją propozycję. Nie mówiłeś, jak wysoki miałyby być czynsz.

Wymienił jakąś sumę. Była niższa od tego, co w studenckich czasach płaciłam za tę norę, w której mieszkałam. Kilburn miało przed sobą niezłą przyszłość. Linia metra Jubilee i...i...irlandzkie piekarnie i sklep mięsny Halal. Co miałam do stracenia?

Już miałam się zgodzić, kiedy jakoś dziwnie się poczułam. Zupełnie zapomniałam o ecstazy. Wpadłam w niepokojący stan. Straciłam czucie w palcach u nóg. Może po prostu mi zdrętwiały od długiego siedzenia w tej samej pozycji? Albo od wszystkich tych drinków?

- Pójdę tylko do łazienki - powiedziałam, wstając niepewnie. Wyciągnęłam rękę i przez chwilę trzepotałam nią w powietrzu, aż mnie Jonah złapał.

- Na dzisiaj chyba już dosyć wypijaś.

- Wszystko w porządku, wszystko w porządku. Muszę tylko się wysiusiać.

Z pokojem działy się dziwne rzeczy. Przemienił się w koncertinę graną przez pijaka. Jakoś udało mi się dotrzeć do damskiej toalety. Spryskałam sobie twarz wodą. W umywalce walało się pełno petów i kawałków papieru toaletowego. Przejrzałam się w pękniętym lustrze. Wyglądałam strasznie. Włosy posklejały mi się od potu, makijaż rozmazał. Chciałam się doprowadzić do porządku, ale nie mogłam otworzyć suwaka w torebce. Kilka razy głęboko odetchnęłam powietrzem śmierdzącym moczem i już mi się wydawało, że poczułam się lepiej. Wreszcie znalazłam szczotkę i przeciągnęłam nią po włosach. Pomyślałam, że muszę iść do domu. Liama dorwę innym razem. Dzisiaj pewnie już nie przyjdzie. Pieniądze na taksówkę. Pożyczyć od Veroniki.

Otworzyłam drzwi i zobaczyłam go w środku grupki młodych mężczyzn i kobiet. Wyglądało, że wszyscy weszli dopiero chwilę

wcześniej. Śmiali się z jakiejś historyjki, którą im opowiadał. Zobaczyłam, że w ich stronę idzie Jonah. Potem on zauważył mnie i płyty tektoniczne na jego twarzy znowu się przesunęły, układając się w zatroskaną minę. Co się działo z moimi nogami? Nie czułam ich. Spojrzałam w dół. Widziałam je, ale ich nie czułam. Potem też przestałam je widzieć. Widziałam tylko dywan, czerwono - złote zawijasy. Poczulałam go na swoim policzku, zakurzony i gorący. Ktoś mi wciskał twarz w dywan. Wpychał mnie pod spód, tam, gdzie panowała czerń i cisza.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Nadir

- Katie? Słyszysz mnie? - Mmm.

- Katie, wiesz, gdzie jesteś? - Głos był ostry i stanowczy. Znowu zasnęłam na lekcji. Pewnie na podwójnej fizyce.

- Mmm.

- Katie, jest tu twój ojciec.

Otworzyłam oczy. Wszystko było bardzo jasne, więc je znowu zamknęłam.

- Katie, spróbuj się obudzić. Wiesz, gdzie jesteś? - Mmm.

- Jesteś w Szpitalu Świętej Marii.

Znowu otworzyłam oczy. Zobaczyłam czarnoskórą pielęgniarkę. Aparaturę. Bolało mnie gardło, a głowa wręcz pękała. Co ona powiedziała? Mój ojciec tu jest? Pewnie chodzi o moje zęby mądrości. Nie, to było wiele lat wcześniej, i bardziej bolało. Wybito mi je kijami do baseballa albo wypalono trójnitetrotulenem. Potem pojawiła się inna twarz. Duża. Jak z Wyspy Wielkanocnej. To nie był tata. Przypomniałam sobie. Coś mi się przypominało. Jakieś obrazy. Dywan. Jonah podszedł i szepnął mi do ucha:

- Cześć.

- Wszystko ze mną w porządku?

- Tak - odparła pielęgniarka znad jego ramienia. - Miałaś wielkie szczęście. Niemądra dziewczynka. Dziękuj Bogu, że twój ojciec się tobą zajął.

- Co się stało?

- Słyszałaś o ketaminie? - spytała pielęgniarka. - Nie.

- To środek uspokajający dla koni. Niektórzy dilerzy sprzedają go jako ecstasy - Pielęgniarka wyszła, nucąc i cmokając jednocześnie, co z pewnością nie było proste do wykonania.

Jonah pochylił się nade mną.

- Wczoraj w nocy przewróciłaś się, a ja cię tu przywiozłem. Powiedziałem, że jestem twoim ojcem. Tylko dlatego pozwolili mi tu zostać. Katie, potrzebuję twojej współpracy. Jeżeli się zgodzisz, przez pół roku możesz za darmo u mnie mieszkać. Mogę ci też pomóc w innych sprawach.

Spojrzałam na niego, nic nie rozumiejąc. Zmusiłam swój umysł do zastanowienia się nad tym, co się stało. Wzięłam pigułkę, która nie

była ecstasy. Postąpiłam głupio. Nie mogłam winić Jonaha, ale widziałam, że potwornie boi się, że powiem, iż to od niego dostałam narkotyki. Mogłam to wykorzystać.

- Policja będzie chciała z tobą porozmawiać. O nic cię nie oskarżą, bo substancja, którą wzięłaś, nawet nie jest zakazana. A nawet gdyby była, mogliby tylko dać ci ostrzeżenie, bo nie jesteś notowana. Jeżeli jednak im powiesz, że to ja ci dałem tę pigułkę, oskarżą mnie o rozprowadzanie narkotyków, chociaż sama mi ją zwędziłaś.

- Za darmo przez rok.

Jonah się uśmiechnął, najwyraźniej mu ulżyło. Pewnie się spodziewał, że wpadnę w histerię.

- Umiesz się targować. Dziewięć miesięcy. A z pracą się coś wymyśli.

- Niech będzie dziewięć miesięcy. - Dziewięć miesięcy, w trakcie których odbuduję swoje życie. Da się zrobić. Wiedziałam, że mi się uda. Męczyła mnie tylko jedna myśl. Coś, o czym kiedyś czytałam. Co się dzieje z człowiekiem, kiedy zemdleje. - Jonah?

- Tak, dziecko?

- Wtedy w pubie, kiedy zemdlałam. Wiesz... na oczach... na oczach wszystkich...

- Mów dalej.

- Czy ja.. .no wiesz, czy coś mi się przytrafiło?

- Nie rozumiem.

- Ja chyba nie.. .chyba się nie zmoczyłam, czy coś w tym rodzaju, prawda?

- I tak nikt by nie zauważył. Nikt.. .oprócz mnie. - O Boże.

- Dzięki.

Noc spędziłam na intensywnej terapii, a kolejną na oddziale ogólnym z całą masą innych nieszczęśników. Gdziekolwiek spojrzalam, widziałam worki kolostomijne, żyłaki i artretyczne biodra. W kącie sali przez cały czas migał ekran telewizora, ale dźwięk nastawiono tak cicho, że nic nie było słychać. Czułam, że pielęgniarki mnie nie lubią, ale lekarze często do mnie zaglądali. Nie byłam bardzo chora. Wygląda na to, że zatrucie ketaminą nie jest zbyt groźne - chyba że się umrze.

Przyjechała policja - mężczyzna i kobieta. On miał dziecięcą twarz pozbawioną podbródka, a ona miała drobne stópki i oczy

baleriny. Byli o wiele mniej surowi niż pielęgniarki. Szczegółowo opisałam im dwóch chłopców, którzy wcisnęli mi tę pigułkę. Jeden był niemalże karłem i miał oczy, które „dosłownie przewiercały człowieka na wylot”. Drugi był przygłupim chudeuszem z czterema ćwiekami w nosie, wystającymi, idiotycznymi zębami i utykał w charakterystyczny sposób. Poprosiłam policjanta, by poutykał na kilka sposobów, aż wreszcie trafił na ten właściwy. Najpierw robił wymach prawą stopą, potem zataczał nią mały krąg i wreszcie stawiał na ziemi. I, tak, stwierdziłam, że bym ich rozpoznała. Tak, bardzo chętnie wezmę udział w konfrontacji.

Powiedzieli, że nie wniosą przeciwko mnie oskarżenia. Swoje już wycierpiałam.

Podalam Jonahowi adres Veroniki, a on obiecał, że wyśle kogoś po moje rzeczy. Powiedział, że zanim wyjdę ze szpitala, na błysk wysprząta swoje mieszkanie. Nadal nie wiedziałam, co myśleć o jego wspaniałomyślności. Czy rzeczywiście aż tak bardzo się bał, co mogłabym powiedzieć policji? Za handel narkotykami pewnie można dostać ładnych parę lat. A może to ta filozofia? Ale ulitowanie się nade mną nie pasowało do lwa, który wyrzeka się wszystkich wartości. Ani poczucie winy. Pomyślałam, że zachował się bardzo nie po nietzscheańsku. Może mu się podobałam? Może szykował dla nas miłosne gniazdko? To przynajmniej mogłabym zrozumieć. Nie sądziłam jednak, by taka była prawda. W Jonahu było coś nie z tego świata, nieco kojarzył mi się z mnichem. Myślę, że - nie licząc postaci literackich - nigdy nie da się dotrzeć do samego sedna motywacji człowieka.

W środę rano przystojny, młody lekarz z szopą kręconych włosów, które przypominały mi biednego, utraconego Ludo, powiedział, że mogę już wyjść ze szpitala. Wygłosił wykład na temat narkotyków i kazał mi obiecać, że bym zadzwoniła na specjalną linię, jeżeli znowu będzie mnie kusilo. Kiedy odchodził, zerknął przez ramię i się uśmiechnął. Myślałam, że będzie chciał się ze mną umówić, ale odwaga go opuściła i tylko zaczął coś majstrować przy stetoskopie.

Jonah powiedział, żeby zadzwonić do niego przed wyjściem ze szpitala.

- Przyślę po ciebie mojego współnika - powiedział do telefonu. Spodobało mi się to złowieszcze słowo „wspólnik”. Zdejmując



z siebie okropną szpitalną koszulę i zakładając cywilne ciuchy, zastanawiałam się, kim może być ów współnik. Spodziewałam się zobaczyć jakiegoś szemranego mięśniaka, ciotecznego wnuka braci gangsterów lub złodzieja z Indii Zachodnich. Byłam więc rozczarowana i nieco zażenowana, kiedy zobaczyłam dużo mniej imponującą postać, która szła do mnie szpitalnym korytarzem. Był to ten zabawny facecik z pubu, ten, który uważał, że głusi wcale nie są głusi. Co zaskakujące, pamiętałam jego imię: Pat.

- Dzień dobry, panienko - powiedział, intensywnie się wpatrując we wzór na linoleum. - Przyjechałem po panienkę.

Pojechaliśmy do Kilburn jego starym fordem escortem. Wiotkie, brązowe włosy Pata były przygładzone - poza jednym kosmykiem, który sterczał pod kątem prostym nad jego lewym uchem. Pat miał na sobie niebieską kurtkę z anoraku, ciasno zapiętą pod szyją, lecz poza tym rozpiętą na całej długości. Po jednej stronie nylon się stopił, odsłaniając zwęglony, biały wypełniacz. Kurtka intensywnie śmierdziała mięsem, jakby Pat niedawno nosił padlinę. Próbowałam otworzyć okno, ale na miejscu klamki był tylko wyszczerbiony chromowany kikut. Pat prowadził samochód, z wielkim skupieniem patrząc przez przednią szybę.

- A więc pracujesz dla Jonaha?

- Trochę u niego chałturzę.

- Dla mnie jest bardzo miły - powiedziałam, polując na informacje.

- Jasne, to bardzo dobry człowiek. Chyba, że się jest heglistą. On okropnie nienawidzi heglistów. Wiele razy to powtarzał. Powiedziałbym nawet, że jest do nich uprzedzony. Ja sam nigdy nie byłem w Heglii.

Czy to miał być żart? Zanim zdążyłam rozstrzygnąć tę kwestię, Pat zaczął z wielką szybkością rozprawiać o tym, że piramidy w Egipcie i „inne takie miejsca w Afryce” zostały zbudowane przez kosmitów. Jego opowieści wypełniły resztę czasu.

Nigdy wcześniej nie byłam za dnia w Kilburn. Na High Road - korki, chodniki tętniły życiem. Czułam się jak w Kairze albo Kalkucie (nigdy tam nie byłam, więc tylko sobie wyobrażam, że musi tam panować podobna atmosfera) - nie z powodu mieszanki ras czy widocznego ubóstwa, lecz dzięki wysiłkom jego mieszkańców, energii i pędowi ku temu, by produkować, kupować, sprzedawać życie. Dzieci

prosiły o słodycze. Na jakiejś wystawie wisiała tabliczka z napisem WSZYSTKO ZA JEDNEGO FUNTA. Przez chwilę myślałam, że za tego funta można kupić całą zawartość sklepu: cały zapas papieru toaletowego, worków na śmieci, zapalniczek, tarek do sera, karafek z rżniętego szkła i podróbek lalek Barbie.

Dojechaliśmy na miejsce. Pat wyskoczył z samochodu i otworzył drzwi z mojej strony.

- Od środka nie dla się otworzyć - wyjaśnił, co mnie wcale nie zdziwiło.

Korytarz był tak śmierdzący i zagracony, jak to zapamiętałam. Byłam jednak przekonana, że tym razem na dywanie leżały części innego roweru. O! - i zniknęła kocia kupa. Samo mieszkanie - ku mojemu zaskoczeniu - całkowicie się zmieniło.

- Trochę tu dla ciebie posprzątałem - nieśmiało powiedział Pat. W środku unosił się silny zapach farby, a ściany lśniły bielą. Rozejrzałam się. Materac leżał na drewnianej ramie z prostym wezgłowiem. Moje ciuchy wisiały w dużej, czarnej szafie i leżały w komodzie. Oba te meble były nowe. Kuchnia została wysprządana i znajdowało się w niej kilka nowych urządzeń: moją uwagę zwrócił toster. W salonie stał nowy stół i cztery krzesła - każde z innej parafii. Na stole zobaczyłam wazonik ze stokrotkami.

- Przyniosłem ci kwiatki - powiedział Pat, wskazując na wazonik. Nagle poczułam się bardzo zmęczona i zachciało mi się płakać.

Po zatruciu ketaminą nadal byłam bardzo słaba. Uścisnęłam dłoń Patowi, on zaś zarumienił się i zaczął przestępować z nogi na nogę.

- To ja już będę leciał - powiedział. - Jonah przyjdzie jutro.

- Dziękuję. Bardzo dziękuję - odparłam.

Była jedenasta. Położyłam się na łóżku, próbując pozbierać myśli. Wyglądało na to, że po wszystkich tych katastrofach i porażkach, jakie odniosłam w minionym tygodniu, wreszcie bezpiecznie wylądowałam. Teraz mogłam albo zacząć się wspinać po pionowej ścianie urwiska albo zsunąć się i spaść na skały w dole. Na razie jednak musiałam się wyspać. Szukałam wsparcia dla rąk i nóg, ale byłam za bardzo zmęczona. Zmęczona, tak strasznie zmęczona.

O trzeciej obudził mnie głód. Na High Road widziałam supermarket i teraz przed oczami błysnął mi neon GOTOWE POTRAWY. Zajrzałam do portmonetki. Miałam piętnaście funtów. Godzinę później, podczas której wypiliśmy pół butelki wina i zjadłam

rybacką zapiekankę (akurat ten rybak aż nadto hojnie szafował ziemniakami i mąką, a poskąpił ryby), usadowiłam się na małej kanapie w salonie.

Mieszkanie Jonaha było całkiem niezłe. Coś dałoby się z niego zrobić. Sprawiłoby mi to sporą przyjemność. Nigdy nie miałam własnego mieszkania. A w Kilburn nie było aż tak źle. W porównaniu z East Grinstead tu było jak w raju. Tak więc kwestię mieszkania miałam załatwioną. Pozostawał jeszcze problem pracy. I pieniędzy. Niezbyt liczyłam na kontakty Jonaha. Przypuszczałam, że najbardziej się zbliżył do branży odzieżowej, naszywając strzały na więziennych uniformach. Prawdopodobnie znał samych detalistów Przygnębiająca jednak była myśl, jak bardzo będę musiała się zniżyć, zanim ucieknę przed smrodkiem, jaki się za mną ciągnął. Może nawet będę musiała zacząć pracować w sieci domów towarowych. Aż zadrżałam.

Nagle przyszła mi do głowy pewna myśl. Milo zawsze narzekał na tępe idiotki, z którymi musiał pracować. Wierście lub nie, ale Kookai i Kleavage w swoim środowisku należały do najlepszych specjalistek. Może czas na zmianę kierunku? Czyż nie byłam urodzonym PR - owcem? Potrafiłam zagadywać i kokietować największe szczy. Czyż nie miałam notesu pełnego telefonów? No dobrze, może i będę musiała zacząć od lizania kopert i robienia kawy. Zgoda. Ale z pewnością wkrótce zacznę... zacznę... chodzić na przyjęcia i inne imprezy organizowane przez Milo.

Aż do tej pory wolałam do niego nie dzwonić. Niczym nazista, nienawidził słabych, biednych i bezrobotnych. Chciałam odnowić kontakty, kiedy moja sytuacja się unormuje, teraz jednak wiedziałam, że to nigdy nie nastąpi. Musiałam wziąć sprawy w swoje ręce.

W pokoju był telefon. Działał. Zadzwoiłam do Smacka.

- Smack, dział PR. Czym mogę służyć?

Była to Justine, słynna telefonistka Smacka. W zależności od sytuacji potrafiła mówić głosem głębokim i zmysłowym lub piskliwym jak u małej dziewczynki. Była w tym mistrzynią. Każdy mężczyzna, słyszący jak Justine mówi „Smack!”, z miejsca nawiązałby współpracę z Milo - choćby po to, by ją poznać. Na żywo była jednak rozczarowująca. Jej głos przypominał dźwięk, jaki towarzyszy nadeptaniu na żabę.

- Cześć, Justine, mówi Katie.

- Katie?

- Katie Castle.
- Katie! - wykrzyknęła z radością, natychmiast stając się moją najlepszą przyjaciółką. - Gdzieś ty się podziewała?
- Och, no wiesz, byłam.. .bardzo zapracowana. Słuchaj, czy mogę mówić z Milo? To bardzo ważne.
- Boże, o niczym nie słyszałaś, prawda?
- O czym miałam słyszeć? Co się stało?
- Słuchaj, lepiej cię połączę z Ayeszą. - Z Ayeszą? To znaczy z Kookai czy Kleavage? Myśl, myśl, myśl. Tak, z Kookai.
- Cześć, Katie.
- Ayeszą, co się dzieje? Justine była bardzo tajemnicza.
- Och, Katie, wydarzyło się coś strasznego. Milo... Został... zasztyletowany.
- Boże! Jak to? Kto to zrobił?
- Pippin. Pamiętasz ostatnią imprezę?
- Tak, oczywiście. Kto by nie pamiętał? Ale przecież nie potraktowaliśmy poważnie jego pogrózek. Myślałam, że po prostu się popisuje. Jak to się stało?
- Pippin wdarł się do jego mieszkania. Pewnie miał klucz. Przegonił Xerxesa gaśnicą, a potem związał Milo. Miał takie urządzenie...
- Jak to urządzenie? Elektryczne?
- Zdaje się, że coś w rodzaju stymulatora. Nie jestem całkiem pewna.. .Och, Katie, nie powinnam o tym mówić, to poufna sprawa. Obiecałam.
- Na miłość boską, Ayeszą, przecież jestem jak rodzina.
- No więc Pippin, dźgnął go tym czymś, wiesz, od tyłu.
- Chryste. Jak Edward II.
- Słucham?
- Nieważne.
- Milo jest poważnie ranny. Miał rozerwaną śledzionę. Musieli mu ją wyciąć. Ale nie szkodzi, podobno da się żyć z jedną.
- A więc żyje?
- Tak, już nic mu nie grozi, ale nadal źle się czuje i nie przyjmuje gości. Jest u Świętej Marii, w tym prywatnym szpitalu. Chyba na skrzydle Lindo. Leży tam od niedzieli.
- Nie powiedziałam Kookai o tym dziwnym zbiegu okoliczności.
- A co z Pippinem?

- Uciekł. Nikt go nie widział. Po prostu zniknął.

- Jak... jak znaleziono Milo? Wzywał pomocy?

- Nie, następnego dnia rano sprzątaczką znalazła go nieprzytomnego. Bateria wciąż działała. To musiało być straszne.

Nastąpiła chwila milczenia, podczas której wyobraziłam sobie tę scenę, próbując powstrzymać dziki śmiech.

- Co się teraz dzieje ze Smackiem?

- Cóż, dziwna sprawa. Sarena... no, właściwie przejęła firmę. Powiedziała, że Milo się na to zgodził, chociaż nie mam pojęcia, jakim cudem. Tak czy inaczej właściwie nic się nie zmieniło - poza tym, że Sarena zastąpiła Milo.

- Ayesha, słuchaj, będę brutalnie szczerą. Dzwonię dlatego, że ostatnio mam pewne problemy z pracą...

- Tak, moje ty biedactwo. Słyszałam. Byłam wstrząśnięta.

- W każdym razie zadzwoniłam, żeby sprawdzić, czy Milo... no, czy coś byście dla mnie mieli. Wiesz, jakieś miejsce. Mogłabym robić cokolwiek, naprawdę cokolwiek.

- O Boże! Katie, wszyscy uważamy, że jesteś niesamowita. Nikt na świecie, normalnie nikt, nie zna się na modzie tak jak ty, ale właśnie wczoraj Sarena kogoś przyjęła i chyba nie znajdzie się robota dla drugiej osoby.

Cios prosto w serce. Próbowałam nadać swojemu głosowi ton bez troski.

- Nie szkodzi, tak tylko się zastanawiałam. Znam tę osobę?

- Tak, znasz. To twoja stara znajoma. Na pewno bardzo się ucieszysz. Veronica Tottle.

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

### Katie się asymiluje

Była to dla mnie prawdziwa próba. Mogłam się śmiać z nieszczęścia Milo, ale czy potrafiłam się śmiać również z własnego? Przeszłam tę próbę, choć ledwo - ledwo. Cała ta historia była zabawna: Milo na ostrym dyżurze, Veronica w PR - ze. Ale gdzie w tym wszystkim jest miejsce dla biednej, biednej Katie Castle? Śmiech ocalił mnie przed uzalaniem się nad samą sobą.

Postanowiłam odwiedzić Milo. Skrzydło Lindo znajdowało się w zwykłym budynku z czerwonej cegły, ale przynajmniej miało w sobie pełną dobrych chęci powagę: gdyby nosiło marynarkę, na łokciach pewnie zauważyłabym skórzane łąty. Wnętrze, dzięki drewnianej boazerii i szklanym ściankom działowym, w ogóle nie przypominało szpitala, już prędzej gabinet wiejskiego notariusza. W rejestracji spytałam o Milo.

- Czy pani należy do rodziny? - spytał mężczyzna w okienku. Na głowie miał o kilka numerów za małą czapkę autobusowego konduktora.

- Tak, jestem jego siostrą. Mam na imię Callista.

- Proszę się tu podpisać. Drugie piętro.

To tyle, jeśli chodzi o nieprzyjmowanie gości. Zanim znalazłam Milo, musiałam zajrzeć do kilku sal. W jednej z nich jakiś staruszek z wysiłkiem gramolił się z łóżka. Szpitalna koszula zadarła mu się nad tyłek i mignął mi fragment pomarszczonego pośladka. W innych salach pacjenci patrzyli na mnie pustym wzrokiem lub uśmiechali się z oczekiwaniem, zanim czmychnęłam z powrotem na korytarz.

Znalazłam go, leżącego twarzą do dołu, z głową w nogach łóżka. Oglądał telewizję. Nad jego miednicą wisiało prześcieradło na ramie. W pokoju było ciemno i duszno: brudne, zamknięte okna zasłaniały ciężkie kotary. Pomieszczenie to sprawiało takie wrażenie, jakby w ogóle w nim nie sprzątno. Nie zobaczyłam kwiatów, więc ucieszyłam się, że pamiętałam, by je kupić.

- Zobacz, w jakim stanie dzisiaj jest Judy - powiedział Milo dziwnie monotonnym głosem. Wyglądał tak, jakby nie mógł oderwać oczu od ekranu. - Zupełnie jakby ją zaatakował niedźwiedź. Chyba Richard jej nie bije, co? - Twarz miałby kredowobiałą, gdyby nie ciemne kręgi wokół jeszcze ciemniejszych oczu. Kiedy mówił,

poczułam zapach jego oddechu - ciężki, przesycony lekarami, chory.

- Podejrzewam, że jest raczej odwrotnie. Przyniosłam ci kwiaty. Niestety zwykłe peonie. Na Edgware Road nie znalazłam lepszych. Jak twoje wnętrzności?

- Są w strasznym stanie. Mój tyłek wygląda jak duszone mięso. Pewnie już słyszałaś całą historię?

- Ayesha mi opowiadała, ale chyba coś jej się pokręciło ze śledzioną. W każdym razie znam najważniejsze fakty.

- Wiesz, nikt mnie nie odwiedza - powiedział, wciąż wpatrując się w ekran.

- Ale chyba dlatego, że byłeś zbyt chory, by przyjmować gości?

- Powinni to zignorować. Ty tak zrobiłaś. Pielęgniarka mówiła, że dzwoniły tylko dwie osoby. Jedną z nich była moja matka, co się liczy na minus, więc wynik ogólny jest zerowy.

Kiedyś spotkałam matkę Milo na lunchu charytatywnym, więc wiedziałam, co miał na myśli.

- Może ludzie jeszcze o tym nie słyszeli. Milo się roześmiał i aż skrzywił z bólu.

- Jeszcze nie słyszeli? Wszyscy słyszeli. Nawet ci dwaj kosmonauci z „Mira”. Pasterze jaków w Mongolii nie mówią o niczym innym. To mój największy popis w PR - ze. Fantastyczna reklama, genialna promocja marki.

Taka gorycz, choć w przebraniu typowej dla niego barokowej przesady, była u Milo czymś nowym. Gorycz wyklucza bycie sukinsynem, co wymaga dystansu, poczucia wyższości i zwykłej złośliwości. Gorycz to domena przegranych. Usiadłam na brzegu łóżka i pogłaskałam Milo po głowie.

- Co z Xerxesem?

- Zniknął. Kiedy wrócę domu, muszę policzyć łyżeczki. Mały gówniarz. Pippinowi przynajmniej zależało na tyle, by... by zrobić to, co zrobił.

- Biedny Milo. Wiesz, ja też mam pewne problemy.

- Oczywiście on jest szalony. Zawsze to wiedziałem. Chciałbym jednak wierzyć, że posunął się do tego z miłości.

- Ludo mnie zostawił.

- Gdyby się postarał, przyjąłbym go z powrotem.

- A Penny wyrzuciła mnie z firmy. Jestem samotna, bezdomna i bezrobotna.

- Przepraszam, co mówiłaś? W takich sytuacjach człowiek zaczyna myśleć o przyjaźni. Tylu ludzi zapraszałem na imprezy. Większość z nich nazwałbym swoimi przyjaciółmi. A to tylko iluzja. Katie, w naszym biznesie chodzi o udawanie: udawanie, że coś się liczy, że coś jest niezwykle, choć tak naprawdę jest pospolite albo pospolite, choć jest niezwykle. Nie tworzymy niczego rzeczywistego, niczego pożytecznego. Pracujemy na bazie kłamstw i kłamstwa sprzedajemy.

- Mówisz zupełnie jak Ludo.

- Co mówiłaś o Ludo? Słyszałem, że cię rzucił. Nie powinnaś się tym zamartwiać. Znajdzie się inny palant.

Przestałam go głaskać i usiadłam na krześle.

- Milo, proszę cię, wysłuchaj mnie i na miłość boską, przestań oglądać tę telewizję. Potrzebuję pomocy. Bardzo, bardzo jej potrzebuję. Wszystko mi się zawaliło. Szukam pracy. Muszę wrócić do poprzedniego życia.

Wreszcie Milo skierował na mnie swój wzrok.

- A więc ty też. Nie przyszłaś po to, żeby odwiedzić chorego. Przyszłaś, żeby sprawdzić, co ci się uda uzyskać. Cóż, nic ci nie mogę dać. Odchodzę z biznesu, z PR - u, ze świata mody. Na zawsze. Jeśli tego chciałaś, to możesz już iść.

Kolejne drzwi zostały mi zatrzaśnięte przed samym nosem. Warto było podjąć tę próbę, choć teraz nieco żałowałam, że przepłaciłam za te peonie.

- Nie chcę wychodzić w złości. Przyszłam, żeby zobaczyć jak się czujesz i, to prawda, potrzebuję też pomocy, ale tak czy inaczej przyszłam. Mam nadzieję, że tyłek wkrótce przestanie cię boleć. A tak przy okazji: ja tworzyłam rzeczy. Ubrania, a nie kłamstwa. I jeszcze będę je tworzyć.

O wpół do ósmej rano następnego dnia odezwał się dzwonek do drzwi. Nacisnęłam przycisk na domofonie i wpuściłam Jonaha.

- Jak się dzisiaj czujesz? - spytał, z całych sił próbując sprawić wrażenie zatroskanego.

- Już się nie mogę doczekać. Świat otwiera się przede mną jak ostryga, pobrządek, czy coś tam.

- To hart ducha. Jesteś na dobrej drodze.



- To znaczy, że twoje trzy przemiany były jedną wielką brednią?

- Nie, właśnie o nich mówię. W każdym razie ja jestem słowny i umówiłem cię na spotkanie z moim współnikiem. - Tym razem próbowałam pohamować swoją wyobraźnię.

- To ten kontakt w handlu ciuchami?

- Tak jest. Pan Ayyub. Ściśle mówiąc, mój współnik to stary pan Ayyub, Shirkuh, ale ty się spotkasz z Kamilem, jego bratankiem. On się zajmuje codziennymi... sprawami.

Nie miałam nic do stracenia, więc postanowiłam sprawdzić tę propozycję.

Pojechaliśmy starym, lecz dziwnie imponującym samochodem Jonaha - zdaje się, że był to ford zephyr - z Kilburn do samego serca Willesden. Całe wnętrze samochodu było wyłożone owczą skórą. W strategicznych miejscach wisiały cztery odświeżacze powietrza o zapachu jodły, w każdym zakamarku upchnięto książki.

Podróżowaliśmy ku samemu jądro ciemności - przynajmniej w moim odczuciu. Niejasno zdawałam sobie sprawę z faktu, że w Londynie istnieje taka dzielnica jak Willesden, ale nawet nie wiedziałabym, gdzie jej szukać na mapie. Przemknęliśmy wąską główną ulicą i skręciliśmy w świat magazynów i zakładów przemysłowych. Co tam produkowano? Sandały z wielkimi kolcami służące do napowietrzania trawnika? Nowoczesne deski sedesowe? Kusze? Samochodowe odświeżacze powietrza? Tego świat nigdy się nie dowie.

Jonah był bardzo milczący, a ja się zastanawiałam, czy żałuje swojej „wielkoduszności”. A może po prostu nie umiał gadać o niczym? Próbowałam zabić czas, przeglądając książki. Były to egzemplarze w miękkich okładkach, zniszczone i z połamanymi grzbietami. Jak, pomyślałam sobie, jeden z „klientów” Jonaha, który spóźnił się ze spłatą długu. Pierwszą, która zwróciła moją uwagę, była „Wiedza radosna” - chyba rozwiała moje wątpliwości związane z moszczeniem gniazdka miłosnego [„Wiedza radosna” to po angielsku „The Gay Science”. „Gay” to „radosny”, ale też „homoseksualista”]. Okazało się jednak, że to nieuchronny Nietzsche. Wiele tytułów pięknie brzmiało: „Narodziny tragedii”, „Tako rzecze Zaratustra”, „Ludzkie, arcyłudzkie”, „Zmierzch bogów”. Poza Nietzschem były tam też traktaty innych filozofów, o których nigdy nie słyszałam: Schopenhauera, Feuerbacha, Schellinga, Fichtego.

- Nie krępuj się, Katie - powiedział Jonah, myląc moje zachowanie z zainteresowaniem. - Stworzyłem małe kółko czytelnicze. Spotykamy się raz w tygodniu i analizujemy dany tekst. W tym tygodniu przerabiamy „Poza dobrem i złem”, a w przyszłym - „Świat jako wola i wyobrażenie” - oczywiście tylko pierwszą część, zamierzamy pominąć te nieistotne bzdury w drugim tomie.

- Dzięki, ale ostatnio jestem trochę zajęta.. .no, wiesz. - Nie pociągała mnie perspektywa siedzenia w pokoju z Jonahem, paroma innymi świrami i tomiszczem grubym jak dwie chude dziewczyny z PR - u. Postanowiłam szybko zmienić temat.

- Jak poznałeś Ayyubów?

- Zajmowałem się ich.. .yyy.. .ochroną i.. .yyy.. .egzekucją długów.

Acha.

W końcu znaleźliśmy ten zakład przemysłowy, którego Jonah szukał, i zaparkowaliśmy przed długim, niskim budynkiem z tanich materiałów i pokrytym płaskim dachem. Tablica w krzykliwych kolorach z dumą oznajmiała, że przybyliśmy do „Paryskiej Mody Ayyubów”, która to firma ma swoje oddziały w Paryżu (naturellement), Nowym Jorku, Kabulu i Willesden. Przez małe okienko dochodził doskonale mi znajomy odgłos terkotania i klekotania.

Wysiedliśmy z samochodu, ale zanim dotarliśmy do wejścia, drzwi się otworzyły i podbiegł do nas niski mężczyzna z sumiastymi wąsami, w skórzanej kurtce, beżowych spodniach i w butach na słupkach.

- Jonah Mister Whale! - wykrzyknął z radością, wykonując kilka dość mizernych ruchów bokserskich, które zostały całkowicie zignorowane przez niewzruszonego Jonaha. - A to pani, panna Katie Castle, jak słyszałem.

- Katie, to jest Kamil. Muszę coś gdzieś załatwić. Wrócę za godzinę. - Musiałam się pohamować, by go nie zacząć błagać o to, żeby został.

- Chodźmy do biura. Mogę do ciebie mówić po imieniu, dobrze?

- Oczywiście.

Biuro było wielkości pokoju dziecięcego i wyglądało tak, jakby usiłowało je zdemolować dziecko z wielkimi szansami na wylądowanie w domu poprawczym. Gdziekolwiek spojrzeć, wszędzie

walały się sterty papieru, wybebeszone segregatory, gumki, filiżanki z kawą, noszące ślady pleśni, pudełka po jedzeniu na wynos i inne śmieci. Jeden kąt zajmował ręcznie obsługiwany faks, który mógł stanowić szczyt myśli technologicznej podczas I wojny światowej. Już sobie wyobrażałam, jakie wiadomości przekazywał: „Niezatopialny liniowiec uderzył w górę lodową”, „W całej Europie gasną światła”, „Anglia świętuje zdobycie mistrzostwa świata w piłce nożnej”. W brudnym oknie wisiała połamana żaluzja, rzucając dziwne wzory na całe to upiorne pomieszczenie.

Chuda dziewczyna, która wyglądała tak, jakby próbowała zabić czas przed zrealizowaniem kolejnej recepty na metadon, spojrzała na mnie beznamiętnie i wymruczała słabym głosem: „Cześć”.

- Witaj w moim królestwie - powiedział przymilnie Kamil. - To moja asystentka, Vicky, w skrócie Vic. Klapnij sobie.

Mówił klasyczną angielszczyzną zawierającą elementy akcentu londyńskiego i wymowy standardowej, gdzie każde „l” jest subtelnie wymawiane jako „ł” i gdzie nie ma zwarcia krtaniowego, łącząc ją z amerykańskim bełkotem i delikatnym akcentem środkowowschodnim.

- A więc szukasz pracy jako kierownik do spraw produkcji. To bardzo ciężka praca, trzeba harować wiele godzin dziennie, ale dobrze się zarabia. Zacznesz powiedzmy od dwunastu tysięcy rocznie, a jeżeli się sprawdzisz, na pewno dostaniesz podwyżkę.

- Zaraz, proponujesz mi pracę?

- Tak, oczywiście. Przecież po to tu przyszłaś.

- Myślałam, że na rozmowę kwalifikacyjną, że zadasz mi parę pytań, dowiesz się, jakie mam doświadczenie.

- Słuchaj, skoro docenia cię Jonah Mr. Whale, to doceni cię i Kamil Ayyub. No i co ty na to?

Kiedy tak rozmawialiśmy, Vicky obojętnie przenosiła wzrok z jednej twarzy na drugą.

- W ostatnim miejscu pracy zarabiałam o wiele więcej.

- Słuchaj, Katie, gdyby ci się noga nie powinęła, nie stukałabyś teraz do moich drzwi. Dwanaście tysięcy to przyzwoita pensja.

- Co powiesz na piętnaście?

- Nie da rady. Mogę podwyższyć co najwyżej do trzynastu. Inaczej się pożegnamy, bez względu na to, co powie Mister duży pan Jonah Whale.

Cóż, trzynaście tysięcy to marne pieniądze, ale w sklepie nie zarobiłabym więcej. Poza tym nie musiałam płacić czynszu, więc wszystko mogłam wydać na siebie. Przynajmniej utrzymam się w branży produkcyjnej. Musiałam jednak dowiedzieć się więcej na temat Paryskiej Mody Ayyuba, firmie działającej w Paryżu, Nowym Jorku, Kabulu i Willsden.

- Jakiego rodzaju ubrania szyjecie?

- Różne, bardzo modne.

- Kogo zaopatrujecie?

- Mamy jeden sklep w Kilburn, na pewno go widziałaś. Do twoich zadań będzie jeżdżenie tam i kontrolowanie ich. Czasami trzeba kopnąć ich w dupę, żeby przestali żuć gumę, i całe to gówno. Sprzedajemy też do różnych innych sklepów w całym północno - zachodnim Londynie: Queens Park, Kensal Rise, do wyboru, do koloru. No i mamy liczących się partnerów... - Tu wymienił kilka nazw, które pamiętałam jak przez mgłę. Jednym z tych partnerów była firma zajmująca się sprzedażą wysyłkową, inny zniknął. - Szyjemy dla nich. Ale marża nas udupia, przepraszam za łacinę. Najlepiej zarabiamy na własnych modelach.

- Jakie macie obroty? Kamil wyglądał na urażonego.

- O co znowu chodzi? Jesteś z Urzędu Skarbowego, czy co? Cyferki możesz zostawić mnie.

- Mogę się rozejrzeć? - Jasne, popatrz sobie.

Z biura wchodziło się do pomieszczenia, które Kamil nazywał „salonem wystawowym”.

- Tutaj przychodzą wszyscy nasi najważniejsi klienci...

- Z całego północno - zachodniego Londynu.

- Tak, jasne.

Pokój wyglądał jak sklepowy magazyn, w którym upchnięto wszystkie graty, nie spełniające wysokich standardów głównego biura. Moją uwagę zwrócił zwłaszcza jeden mebel: czerwone, plastikowe krzesło z pęknięciem, które każdemu siadającemu groziło wykastrowaniem. To pewnie na nim zasiadali najważniejsi klienci, przed którymi paradowały Kate, Cindy i Naomi.

Za salonem znajdował się warsztat, czyli „główne pomieszczenie produkcyjne”, jak go nazwał Kamil. Pokój był pełen szwaczek: w tej norze wielkości przeciętnej oranżerii tłoczyło się ich chyba ze dwadzieścia. Kiedy weszliśmy, podniosły zaniepokojone, brązowe

twarze, ale żadna nawet na chwilę nie przerwała pracy. Jakimś cudem upchnięto tam również przemysłowej wielkości żelazka i stół montażowy. W warsztacie było jednocześnie zimno i duszno, a ja miałam ochotę się powachlować, ale także założyć sweter.

- Trzeba ich ciągle pilnować. Wszystkie są strasznie leniwe. Gdybym je choć na chwilę spuścił z oka, zaraz by zaczęły plotkować, popijać kawkę i zasadzać się na moje pieniądze.

Wróciliśmy do biura. Vicky nieruchomo stała przed faksem. Przez chwilę myślałam, że to pełne nabożnej czci milczenie oznacza, że Vicky należy do jakiejś nowej, dziwacznej sekty czcicieli faksów, ale po chwili Kamil otoczył ją ramieniem i powiedział:

- Vic, słoneczko. Milion razy ci pokazywałem, jak się obsługuje faks. Wstukujesz cyferki jak w telefonie, a potem wciskasz niebieski przycisk i pismo leci w kosmos, voila. Może nie korzystaj z niego teraz, tylko później, kiedy się nagrzej. - Zostawił ją, odwrócił się do mnie i powiedział: - Katie, dostaliśmy duże zamówienie. Czeka nas mnóstwo roboty. Zaczynasz jutro?

Wciąż nie byłam pewna, co robić, ale co tam!

- Dobrze. Spróbuję na miesiąc.

Kamil uśmiechnął się i rozpostarł ręce. Pewnie się spodziewał, że podejdę do niego i dam się przytulić. Dzięki, ale nie skorzystam.

Tak więc zaczął się nowy i zupełnie inny okres w moim życiu. Światy równoległe wymyślono chyba specjalnie dla mnie; niektóre elementy się powtarzały. W końcu nadal pracowałam w świecie mody.. .no, powiedzmy, w świecie ciuchów. Wylądowałam w warsztacie firmy, która szyla tego rodzaju ubrania, jakie leżą w stertach na rozmaitych małych targowiskach, poliestrowe okropieństwa, jakie mieszkańcy East Grinstead zakładają, wybierając się na frytki albo do sklepu monopolowego. Ładne Primrose Hill wokół mnie przemieniło się w Kilburn, które, no cóż, ładne nie było. Ludo kiedyś zażartował, że przypominam mu Quetzalcoada, azteckiego boga śmierci... czy też wojny. Jego wyznawcy próbowali go udobruchać, wycinając innym serca czy inne obrzydlistwa, bo inaczej... no, nie pamiętam, jak się mścił, miałam jednak wrażenie, że nie złożyłam mu w ofierze wystarczająco dużo gorących, wciąż jeszcze tętniących, zakrwawionych organów. I dlatego znalazłam się w Kilburn, i dlatego trafiłam do Paryskiej Mody Ayyuba.

Dobrze chociaż, że miałam dobry dojazd. Mogłam pojechać linią Jubilee do Willsden Green, a stamtąd przejść się dwadzieścia minut albo złapać autobus, który zawiózłby mnie trochę dalej. Wyjeżdżanie z miasta środkami transportu publicznego w godzinach szczytu działało na mnie dziwnie kojąco. Nikt się nie śpieszył, nikt się nie rozpychał, nie denerwował. Zawsze znalazło się wolne miejsce. Pasażerami byli głównie emeryci, z determinacją załatwiający swoje niezrozumiałe dla innych sprawy.

Pierwszego dnia postanowiłam posprzątać w biurze. Napelnięliśmy śmieciami trzy worki i przestawiliśmy meble. Vicky okazała się dość pomocna, musiałam tylko dokładnie wyjaśniać, co ma zrobić, i bacznie jej pilnować. Kamil, szybki i czujny jak gryzoń, co jakiś czas pojawiał się i znikał, czasami wyglądając na skonsternowanego, a kiedy indziej - na zadowolonego z przemeblowania swojego królestwa.

Okazało się, że wielkie zamówienie, o którym wspomniał, to sto pięćdziesiąt niebieskich spódnic do kolan dla handlarza z jakiegoś targu. Sprzedawaliśmy je po pięć funtów. Na metce było napisane, że uszyto je z bawełny i lnu, ale chociaż materiał może i był pochodzenia roślinnego, to roślina ta była „uprawiana” pewnie w Teesside, miała czterdzieści kominów i pompowała toksyczne ścieki do Morza Północnego.

Zajrzałam do szwaczek. Znowu obrzuciły mnie przestraszonymi spojrzeniami, znowu bały się choćby na sekundę przerwać pracę. Próbowałam porozmawiać z pierwszą kobietą, do której podeszłam - w średnim wieku, z grubym, czarnym warkoczem do pasa. Zerknęła na mnie i tylko pokręciła głową. Za moimi plecami rozległ się głos:

- To nic nie da. Ona nie mówi po angielsku. Zresztą jak wszystkie. Obejrzałam się, by sprawdzić, kto to. Zobaczyłam młodą, może

szesnastoletnią dziewczynę. Azjatkę, jak pozostałe. Podeszłam do niej.

- Dzień dobry, jestem Katie Castle. Właśnie zaczęłam tu pracę.

- Tak, wiemy.

- Czy możesz je poprosić, by na chwilę przerwały? Chciałam z nimi porozmawiać.

Dziewczyna zrobiła zatroskaną minę.

- Jeżeli przerwiemy, nie dostaniemy pieniędzy.

- Jak to?

- Płacą nam tylko za to, co uszyjemy. Jeżeli przerwiemy, nie zarobimy na życie.

Praca na akord. Powinna być się domyślić. To tyle, jeśli chodzi o minimalną płacę gwarantowaną.

- Słuchaj, to potrwa tylko minutkę. Czy możesz im to powiedzieć w ich języku?

- W którym? Gudźarati? Hindi? Urdu?

- O Boże. Możesz przetłumaczyć na wszystkie?

- Mogę spróbować.

- Powiedz im, żeby się nie martwiły. Chciałam tylko trochę tu pochodzić i popatrzeć, jak sobie radzą. To żadna kontrola, ani nic w tym rodzaju. Przepraszam, jak masz na imię? - Poczulałam się zupełnie bezradna.

- Latifa. Dobra, powiem im. Jeszcze kilka zna angielski.

Zaczęłam chodzić rzędami między maszynami do szycia. Niektóre kobiety podnosiły wzrok i się uśmiechały, inne nawet się witały. Część nadal siedziała z pochylonymi głowami.

Wycofałam się do biura i zaczęłam rozmyślać.

Następnego dnia, w piątek, przeglądałam księgi rachunkowe. Było jasne, że Paryska Moda Ayyuba to nie wielomilionowe przedsięwzięcie. Dochody były, ale marne. Tu i ówdzie pojawiały się wpłaty, których nie mogłam powiązać z żadnym zamówieniem. Wyglądało na to, że to właśnie one utrzymują firmę przy życiu.

W ten weekend ciężko pracowałam nad urządzeniem sobie mieszkania w Kilburn. Wcześniej nawet nie zdążyłam rozpakować swoich rzeczy. W niedzielę po południu zadzwonił Jonah. Zaproponował, że weźmie mnie na kolację, ale odmówiłam, co przyjął z ulgą. Przyniósł mi natomiast przenośny telewizor, co świadczyło o jego życzliwości, odbiór był jednak tak kiepski, że nawet nie wiedziałam, co oglądam. Mimo to, dzięki niebieskawej poświacie padającej z ekranu, czułam się nieco mniej samotna.

Mieszkanie zaczęło wyglądać nieźle. Ładny materiał udrapowałam na tym, co nadawało się do ukrycia, do wazonów wstawiłam świeże kwiaty, w oknach powiesiłam nowe zasłony, ale o ósmej wieczorem nadal czułam się przygnębiona. Jeszcze nigdy nie byłam tak osamotniona, tak słaba i zagubiona. Było to przejmujące uczucie: miałam tyle zabawnych historyjek na temat wydarzeń

minionych tygodni (już do perfekcji opanowałam parodiowanie Jonaha, a i naśladowanie głosu Kamila nie pozostawało w tyle), lecz ponieważ nie miałam ich komu opowiedzieć, z komedii przemieniły się w tragedię.

Przeglądając resztę moich rzeczy, natknęłam się na plastikową torbę, której nie rozpoznawałam. Uchwyt był związany, więc musiałam rozerwać plastik, żeby zajrzeć do środka. Pierwszy powiew powietrza z torby wyjaśnił mi wszystko. Zapach był lekko zatechły i stary, nie świeży, ale też nie odpychający. Właściwie wydawał mi się słodszy od perfum Coco Chanel, bardziej intensywny i przyjemniejszy od aromatu świeżo zaparzonej kawy oraz smutniejszy niż kapryfolium na grobie.

Zrobiłam w torbie większe rozdarcie i wysypałam jej zawartość na łóżko. Ujrzałam brudne skarpetki i majtki Ludo, spłowiałą bieliznę, którą nosił, jeszcze zanim mnie poznał, oraz makową, którą sama mu kupiłam, której jednak prawie nigdy nie zakładał, twierdząc, że oszczędza ją na „specjalne okazje”, które jakoś nigdy się nie pojawiły. Nie mam pojęcia, jak ta torba z brudnymi gaciami znalazła się wśród moich rzeczy, ale tak namacalny ślad Ludo to było więcej, niż mogłam znieść. Łzy, które uroniłam w reakcji na katastrofę, jaka mnie spotkała, nie zapewniły mi niczyjej sympatii ani współczucia, ale przynajmniej przyniosły niewielką fizyczną ulgę. Teraz, patrząc na brudną bieliznę Ludo, znowu się rozplakałam. W umyśle miałam pełno obrazów Ludo: Ludo, który się uśmiecha, rozmawia i żartuje, Ludo, który się kocha, starając się wypaść jak najlepiej. Zgarnęłam te majtki i skarpetki i mocno je do siebie przycisnęłam. Wtuliłam w nie twarz i głęboko odetchnęłam czystą esencją Ludo. Krzyczałam i szlochałam, zawodziłam i lamentowałam. Bóg jeden wie, co sobie pomysleli sąsiedzi.

Tej nocy spałam z jego rzeczami. Rano znalazłam dla nich nową, ładną torbę, którą trzymałam na dnie szafy na wypadek prawdziwej emocjonalnej potrzeby.

W następnym tygodniu zaczęłam mieć jaśniejszy obraz tego, na czym ma polegać moja praca. Moim zadaniem było decydowanie, które projekty mamy kopiować, by potem realizować je po jak najniższych kosztach, oraz strzelanie batem, kiedy dziewczyny się objały. Proste i obrzydliwe. Kamil zajmował się sprzedażą, co sprowadzało się głównie do upijania się z krzepkimi, wytatuowanymi



handlarzami lub ubogo wyglądającymi azjatyckimi detalistami z ciemnymi kręgami wokół oczu. Posiedzenia te niekiedy kończyły się w biurze, kiedy Kamil rzewnymi łzami oplakiwał fakt, że jest złym muzułmaninem i że przynosi wstyd swojej rodzinie, w których to oskarżeniach - muszę przyznać - było ziarenko prawdy.

Środę spędziłam w sklepie w Kilburn, który znajdował się pięć minut pieszo od mojego mieszkania. "Większość tamtejszych ubrań kosztowała mniej niż kawa i kanapka na Bond Street i większość z nich sprawiała wrażenie wysoce łatwopalnych. Nadruki w kształcie zwierząt na nylonie. Szorty i króciutkie topy odsłaniające właśnie to, czego nikt nie powinien widzieć. Podróbki Dolce & Gabbana autorstwa jakiegoś szalonego ślepeca bez gustu, za to nienawidzącego ludzkości i nękanego bólem zębów. Byłam zdumiona, że w ogóle cokolwiek z tego się sprzedaje. Do sklepu napływał stały strumień nastolatków, różnych świrów i nędzarzy. Dwie sprzedawczynie, Stacey i Charity, wyglądały na nieco niedorozwinięte, poza tym były otyłe, leniwe i niechętne do pomocy. Sporą przyjemność sprawiło mi to, że mogę nakrzyczeć na swoje podwładne. Pod koniec dnia udało mi się doprowadzić je do takiego stanu, w którym zaczęły przypominać raczej osoby, które chcą coś sprzedać, niż dwa rottweilery oszołomione zatrutą kiełbasą, którą im podrzucił włamywacz. Zdołałam nawet podbić ich serca, wybierając dla nich po kilka sztuk ubrań. Stacey mniej się ucieszyła z mojej sugestii, że mogłaby sobie kupić jakieś dobre mydło przeciwpotowe.

W ciągu następnych dni zapraszałam do biura pojedynczo wszystkie szwaczki, zaś Latifa występowała w roli tłumacza. Zachowywały się czołobitnie i uległe, widziałam jednak, że mają spore doświadczenie. Sprawdziłam jakość ich pracy. To prawda, materiały były okropne, a fasony - połączenie fatalnie skopiowanego H&M oraz demonów, które się rodzą, gdy rozum śpi - w najlepszym wypadku nudne, w najgorszym - po prostu koszmarne. Ale, co zaskakujące, niektóre ubrania zostały niezwykle fachowo uszyte, co zdumiewało mnie tym bardziej, że znałam szybkość, z jaką szwaczki pracowały. Najlepsze z nich mogły zarobić może trzy funty na godzinę, ale średnia wynosiła dwa i pół funta.

Nie mogę powiedzieć, że byłam jakoś szczególnie zaszokowana. Zresztą nie uwierzylibyście, gdybym się wykreowała na obrońcę biednych i uciśnionych. Znałam świat mody. By móc konkurować z

tanim importem, ludzie tacy jak Kamil musieli płacić głodowe stawki. A wiedziałam, że są miejsca jeszcze gorsze niż firma Ayyuba. Tu przynajmniej była toaleta i miejsce, gdzie kobiety mogły sobie przygotować coś do jedzenia. Problem polegał na tym, że na tym rynku obowiązywała bardzo niska marża, a niskie koszty produkcji uniemożliwiały pełne wykorzystanie potencjału siły roboczej.

Nie zamierzam też udawać, że związałam się z tymi kobietami, wkrótce jednak zaczęłam je postrzegać jako pojedyncze osoby, nie zaś bezkształtną masę. Dowiedziałam się, że Vimla, przystojna i pogodna kobieta po trzydziestce i jedna z najbardziej utalentowanych szwaczek, ma trzymiesięczne dziecko i bardzo cierpi, kiedy musi się z nim rozstawać. Dowiedziałam się, że Roshni cierpi na jakąś nieprzyjemną i bolesną chorobę kobiecą, lecz nie stać jej na urlop, bo Kamil nie płacił im za nieobecności spowodowane chorobą. Dowiedziałam się o długotrwałym sporze między Pratimą a Biną, którego przyczyn nawet one same już nie pamiętały. Uświadomiłam sobie też istnienie podziału na muzułmanów i hinduistów, choć likwidowały go przyjaźnie między wyznawczyniami obu tych religii. Pojawiały się też subtelne i nieuchwytnie napięcia, które początkowo składałam na karb podziału na kasty, chociaż moim zdaniem mogły równie dobrze wynikać z różnic geograficznych lub kibicowania innym drużynom piłkarskim. Poza urdu, hindi i gudżarati niektóre dziewczyny mówiły też po bengalsku, w języku telugu lub pundżabi, a ja wkrótce porzuciłam próby nauczenia się powitania i pożegnania w każdym z nich, wmawiając sobie, że kobiety uznałyby moją postawę za protekcyjną.

Większość spraw załatwialiśmy za pośrednictwem Latify, która była całkiem inteligentna i miała nie szesnaście lat - jak ją oceniłam - lecz dwadzieścia. Nie miała specjalnego talentu krawieckiego, ale była bystra i pełna życia. Nie mogłam uwierzyć, że nie stać jej na coś więcej. Spytałam, dlaczego pracuje w takim miejscu.

- Mój ojciec chciał, żebym wyszła za męża za pewnego mężczyznę w Bangladeszu. On nie był zły, ale ja już tutaj miałam chłopaka. Mama nie chciała, żebym wyjechała, więc tata obie nas wyrzucił z domu. Ona jest stara i muszę się nią opiekować.

- Może powinnaś pójść do college'u?

- Odkładam na to pieniądze.

Kiedy przyszedł Kamil, poprosiłam go o chwilę rozmowy.

- Nie zapewniasz im minimalnej płacy, prawda?

- Katie, cholera jasna - przepraszam za łacinę - chyba nie zamierzasz mi urwać jaj, co? Ta firma balansuje nad przepaścią. Na rynku panują prawa dżungli. Jeżeli koszt produkcji pójdą w górę, do naszych sklepów nie zajrzy pies z kulawą nogą. A te panie nie mają dokumentów, pracują tu prawie nielegalnie. Są szczęśliwe, że znalazły dobrą pracę. Dlaczego chcesz im zniszczyć życie?

Miałam kontrargument, ale jeszcze nie chciałam go używać. Musiałam dowiedzieć się więcej o tej firmie. Postanowiłam, że na razie pozwolę mu myśleć, że mnie przekonał dzięki swemu darowi wymowy.

Jeżeli tylko nie lało, kanapkę na lunch najczęściej zjadałam, siedząc na pudle na brudnym podwórku. Nie mogłam patrzeć, jak Kamil dłubie w zębach i słuchać, jak Vicky pociąga nosem. Zazwyczaj zostawałam sama na sam ze swoimi myślami i kanapką z sałatą, pomidorem i niskokalorycznym dresingiem, ale któregoś dnia Latifa dosiadła się do mnie.

- Zobaczyłam cię i pomyślałam, że wyglądasz na smutną.

- Tak? Wydawało mi się, że jestem bardziej tajemnicza. - Zdziwiłam się, że Latifa z własnej inicjatywy przyłączyła się do mnie. Ale też się ucieszyłam: ostatnio rzadko zdarzało mi się z kimś rozmawiać na tematy inne niż guziki i kokardki.

- Zazwyczaj dobrze to ukrywasz. Dlaczego zaczęłaś pracować dla Kamila? Zupełnie tu nie pasujesz.

- To długa historia.

- Kamil daje nam całe dwadzieścia minut na to, żebyśmy mogły zjeść nasze chapati - powiedziała z przyjemną ironią. Zauważyłam, że ma ze sobą jabłko i dietetyczną colę.

- Kiedyś miałam dobrą pracę...

- To znaczy w lepszym miejscu niż to? - Latifa, kiedy chciała, potrafiła być śmiertelnie poważna.

- W innym.

- Lepszym?

- Lepszym.

- Co się stało?

- Trochę nabroiłam.

- W pracy?

- W życiu osobistym.

- Chodzi o pieprzenie się?

- Latifa - parsknęłam śmiechem. - Nie wiedziałam, że znasz takie słowa!

- A jak myślisz - o czym rozmawiamy przy maszynach - o tym, gdzie można kupić dobre curry?

- Latifa, słuchaj, nie musisz mi ciągle udowadniać, że nie pochodzicie z innej planety. Na miłość boską, mieszkam w najbardziej kosmopolitycznym mieście świata. Wiem, że w głębi duszy wszyscy jesteśmy tacy sami.

- Spróbuj to wytłumaczyć Pratimie i Binie. Wcale nie jesteśmy wszyscy tacy sami. Każdy z nas jest inny.

- Wiem.

- Ale czasami masz taką minę...

- Jaką minę?

- Jakbyś chciała spytać „Kim są ci ludzie i co ja tu robię?”.

Wiedziałałam, o czym mówi.

- A czasami na twojej twarzy pojawia się coś jeszcze gorszego: ironiczny uśmiezek.

- Och, Latifo, to nie ironia. Ale rzeczywiście zawsze byłam zarozumiałą krową. I to ludzie we mnie lubili. Mówiłam złośliwe rzeczy i generalnie wszystko olewałam. Nie stałam się nagle Matką Teresą, bo wylądowałam w Willesden. Nadal śmieję się z zezowatych, ludzi, którzy nie mówią „r” i nabijam się z kobiety, która wychodzi z toalety z sari, wetkniętym w majtki. Po prostu na razie nie mam dokąd pójść, bo nie zostali mi żadni przyjaciele.

Latifa się roześmiała.

- Chyba nie mówisz o mnie, co?

- Co, chodzi ci o to sari? Przecież ty go nawet nie nosisz. Nie, to była Roshni.

Kolejne dziesięć minut spędziłyśmy na ogólnych, nieistotnych plotkach. Czulałam się tak, jakbym zanurzyła twarz w chłodnym, górskim strumieniu. Takiego świata nie znałam, ale nawet mi się spodobało. Nagle Latifa spoważniała.

- Kiedy się stąd przeniesiesz? Bo tutaj tylko chcesz przeczekać, prawda?

- Nie będę cię okłamywać. Nie zamierzam przez całe życie szyc tandetnych ciuchów dla Kamila. Nie chcę też, byście wy to musiały robić. I nie będziecie.

- Jak to? Masz jakiś plan? - spytała z lekką, uszczypliwą ironią. Uśmiechnęłam się.

- Prawdę mówiąc, tak. Rzeczywiście miałam plan. Tak jakby.

Po paru tygodniach znowu poprosiłam Kamila o chwilę rozmowy. Sporo czasu spędziłam na starannych kalkulacjach i knuciu. Pomogło mi to wypełnić długie, puste godziny, zagłuszyć odgłosy ruchu ulicznego na Kilburn High Road, przestać myśleć o Ludo i świecie, który utraciłam.

Sprawa przycichła, a Kamil zaczął coś przebąkiwać o zwolnieniu kilku dziewczyn. Wiedziałam, że niczego nie osiągnę, odwołując się do jego dobrych cech.

- Kamilu - zaczęłam - myślę, że ta firma ma spory potencjał.

- Tak, tak. Planuję rozciągnąć interes na Golders Green, a może nawet na Wembley. Ogromny potencjał.

- Dobry pomysł, ale nie to miałam na myśli. Każdy dobry biznesmen wie, że sukces to ludzie. Pracownicy są twoim największym kapitałem. Udało ci się skompletować świetny zespół. Świetnie potrafisz oceniać ludzi.

- Jasne, szkoła życia, no i studia na Politechnice Północnego Londynu.

- Myślę, że z twoją wiedzą, moimi pomysłami i talentami paru dziewczyn, moglibyśmy zrobić coś fantastycznego, coś zupełnie nowego.

Kamil słuchał uważnie.

- Katie Castle, ty coś kombinujesz - powiedział chytrym tonem.

- Wiem, jaka jesteś. Niegrzeczna dziewczynka.

Doszłam do wniosku, że czas przejść do rzeczy.

- Kamilu, przeglądałam księgi rachunkowe i przekonałam się, że wypruwamy sobie flaki, żeby zachować wypłacalność. Na samym dole nie da się zarobić. Po prostu nie możemy konkurować z Dalekim Wschodem, a nawet takimi krajami jak Polska czy Litwa. I trudno stwierdzić, że zmieniamy świat na lepszy, bo bezrobotne, nastoletnie matki z Kilburn i Willesden Green noszą nasze minispódniczki i topy.

- Kamil po kolei zrobił minę urażoną, zaszokowaną i oburzoną, ale ja ciągnęłam dalej, zanim zdążył mi przerwać. - Naszą jedyną nadzieją jest dostać się na luksusowy rynek. Tylko w ten sposób powiększymy zyski. Prawdę mówiąc teraz się tu marnuję. Mam duże doświadczenie

i kontakty. Wystarczy stworzyć podstawowe, klasyczne projekty - wyrobię się z tym w ciągu paru tygodni

- a potem zainwestować w porządny materiał. Będziemy sprzedawać taniej niż jakikolwiek średni wytwórca w całym kraju.

- Jak to, taniej? Przecież mówiłaś o powiększeniu zysków.

- Wszystkim zajmiemy się sami - projektami, produkcją, dystrybucją. W tym sektorze nigdy nie prowadzono podobnej polityki. Będziemy pionierami. (No dobra, może i trochę rozmijałam się z prawdą, ale sprzedawałam Kamilowi genialny pomysł, więc był mi to winien). Gwarantuję, że do wiosny nasze ubrania znajdą się w trzydziestu dobrych sklepach w całej Wielkiej Brytanii oraz kilku w Irlandii i reszcie Europy. A to tylko pierwszy rok. Kto wie, jak się rozwiniemy na dłuższą metę.

Wzięłam głęboki oddech - moja przemowa była długa i dosyć mnie zmęczyła.

- Ile? - Kamil nie był taki głupi. Wiedział, że mój plan wymaga inwestycji.

- Na początek niedużo. Wystarczy dziesięć metrów dobrego materiału na próbki. Możemy jeździć po sklepach, więc nie musimy nawet urządzać przyzwoitego salonu wystawowego. Nie musimy kupować konkretnej ilości materiału, zanim dostaniemy zamówienia.

- W takim razie ile na początek?

- Jeśli dobrze pójdzie, wystarczy dziesięć tysięcy na materiał.

- Dziesięć tysięcy! Niezły żart, cha, cha, cha. Skąd ja wezmę dziesięć tysięcy funtów? Święty Mikołaj nie odwiedza kurdyjskich domów.

- Kamil, to jednorazowy wydatek. Potem całe przedsięwzięcie będzie się samofinansować. Widziałam, że czasami... masz inne wpłaty. Duże wpłaty.

- Ach, to moje specjalne transakcje. Nie powinny cię obchodzić. Słuchaj, zobaczę, co się da zrobić. Może pięć tysięcy? Pięć jakoś bym wykombinował.

- Na początek może być. Ale to nie wszystko. Skoro mamy przestawić się na wyższy bieg, musimy zmienić formę płatności wobec dziewczyn. Praca na akord jest dobrym rozwiązaniem, jeżeli dla kogoś liczy się tylko ilość, ale my powinniśmy się skupić na jakości, a jakość wymaga czasu. Musimy zacząć płacić od godziny. A to oznacza wprowadzenie płacy minimalnej.

Kamil zaczął się śmiać.

- Katie, Katie, ty szczywana lisico. Niedługo zaczniesz wymachiwać czerwoną flagą i śpiewać „Międzynarodówkę”. Ale twój pomysł nawet mi się podoba. Jak już mówiłem, sam się zastanawiałem nad wejściem na ekskluzywny rynek. Dlatego właśnie znalazłem ciebie. Powiedziałem panu Jonahowi Whale: „Znajdź mi dziewczynę z doświadczeniem z Vogue'a”. Zobaczymy, czy dostaniesz duże zamówienia na ubrania, których uszycie zapewni wysoką marżę zysku. Jeśli ci się uda, wprowadzimy płacę minimalną.

- Potem dodał, właściwie mówiąc do samego siebie: - Ha, ta „minimalna płaca” zawsze mnie rozśmiesza. Tak naprawdę to płaca maksymalna. Bardzo śmieszne, cha, cha.

- Wymyśliłam też nazwę. - Jaką nazwę?

- Nazwę kolekcji. KC.

- KC, KC, co to jest KC? - spytał podejrzliwie. - Wiem, co to za skrót...

- Kamil Couture - przerwałam mu szybko.

- Och, KC, Kamil Couture, co? Ładnie brzmi. - I jeszcze tylko jedno.

- O Boże, już ja znam to „tylko jedno”. Pewnie chodzi o pieniądze.

- Potrzebuję asystentki do spraw produkcji. Latifa byłaby idealna.

- Latifa?

Właśnie wezwałam ją do biura i opowiedziałam o jej nowej roli. Była podekscytowana, ale starała się udawać opanowanie. Kamil wyszedł, „wykombinować” w hurtowni tanią herbatę ekspresową i papier toaletowy. Vicky zrobiła sobie przerwę na papierosa.

- Tak?

- Co wiesz o Kamilu i jego rodzinie?

- Wiem, że są szychami w społeczności kurdyjskiej. Podobno mają mnóstwo pieniędzy.

- A czy Kamil coś, hmmm, kombinuje?

- Jak to?

- Może wiecie, czy ma jakieś inne dochody, jakieś inne „zajęcia”?

- O, tak. Pewnie nie powinnam plotkować, ale jedna z dziewczyn, Roxana, która trochę zna angielski, słyszała, jak rozmawiał z takim jednym handlarzem.

- O czym?

- O kobietach.

- O kobietach? - Uśmiechnęłam się. Latifa zachichotała.

- Nie miałam na myśli jego dziewczyn. Chyba w ogóle z nikim się nie spotyka. Chodziło mi o, no wiesz, dziewczyny na sprzedaż.

- Prostyutki! - Aż mnie zatkało.

- Tak, ma ich wiele w różnych domach. Roxana słyszała, jak mówił, że to same „luksusowe towary, a nie jakieś wywłoki. Białe, czarne, brązowe, do wyboru, do koloru”.

To by pasowało. To wyjaśniało sporadyczne przypiły gotówki. Wielka szkoda. Myślałam, że mój pomysł wypali. Warto było przynajmniej spróbować. Nie mogłam jednak pracować dla alfonsa. Od tego lepsze byłoby prawie wszystko - praca w sklepie obuwniczym, a nawet East Grinstead. To niemoralne, a do tego obrzydliwe zajęcie. Postanowiłam, że kiedy tylko Kamil się pojawi, złożę wypowiedzenie.

Nieco później wróciła Vicky, pociągając nosem i szurając nogami. Byłam wkurzona, więc spytałam ją wprost:

- Pewnie wiedziałaś o tych prostytutkach?

Vicky chciała odpowiedzieć, ale szybko położyła palec na ustach.

- Nie, nie było żadnych panienek - szepnęła. - Kamil się tym nie zajmował.

- Jedna z dziewczyn wszystko mi powiedziała, nie ma sensu udawać. - Zakładałam, że Vicky brała udział w tym procederze. Może w ten sposób zarabiała na metadon.

- Ty nic nie rozumiesz, co? Widzisz, prostytutka to tylko przykrywka, zasłona dymna. - Na mojej twarzy musiało się malować niezrozumienie, bo dodała: - Nie, to nie tak. Chodzi o narkotyki.

- Narkotyki! Ach, w takim razie wszystko w porządku. Ale jak to: narkotyki?

- Widzisz, prostytutka ma ukryć fakt, że Kamil sprowadza prochy z Turcji, skąd pochodzi. Ale nic złego, wiesz, zwykle gówno: heroina i inne takie. Policja myśli, że to zwykły alfons, więc nie zawraca mu głowy. To super plan.

- Tiaa, genialny.

A więc chodziło o narkotyki, a nie prostytutkę. To lepsze czy gorsze? Mniej więcej takie samo, ale jeśli to była heroina, a nie



niewinne skrety, to chyba raczej gorsze. Tak czy inaczej, byłam wściekła na Jonaha, że mnie w to wplątał.

W końcu Kamil wrócił, wyglądając zza ogromnej paki liczącej siedemdziesiąt dwie rolki papieru toaletowego.

- Vicky, spieprzaj na kolejnego peta. Od ostatniego minęło już prawie pół godziny - warknęłam. Nawet jej się nie chciało obrazić.

- Katie, nigdy nie używałaś takich słów. Co się stało?

- A więc czym się zajmujesz, Kamilu? Kurwami czy narkotykami? Tak czy siak, ja stąd spadam.

- Katie, Katie, co te panie ci nagadały? Nabrały cię. Nic nie rozumiesz.

- Jedna ze szwaczek powiedziała mi o prostytutce, a Vicky sprostowała, że to tylko przykrywka dla handlu narkotykami. Nie chcę mieć nic z tym wspólnego.

Wzięłam torebkę i płaszcz. Kamil rozłożył ręce, żeby mnie zatrzymać. Całe upokorzenie, gorycz, ból i frustracja wywołane moim upadkiem znalazły upust w jednym, idealnie wymierzonym ciosie w szczękę Kamila. Upadł jak worek pełen gówna - wybaczcie mi tę łacinę. Niestety legł pod drzwiami, a kiedy próbowałam je otworzyć, zaczął mnie błagać.

- Katie, wszystko ci wytłumaczę. Opowiem ci o moich ludziach. Nie zajmuję się prochami ani dziwkami. Moi ludzie to Kurdowie. Turcja sra na Kurdów, Irak sra na Kurdów, Iran sra na Kurdów. A Stany też srają na Kurdów. Wszyscy na nich srają. Tylko PPK się za nimi ujmuje. Pracuję dla nich. Organizuję pomoc. Broń, lekarstwa, radiostacje. Z tymi prochami i panienkami to tylko przykrywka. Błagam. Mówię prawdę. Stąd te nieoczekiwane przychody i wydatki. Walczymy o wolność!

To ostatnie oświadczenie zabrzmiało mało porywająco, ponieważ zostało wypowiedziane piskliwym głosem, gdyż drzwi, z którymi wciąż się szarpałam, zakleszczyły się na zwiotczalym mięśniu jego chudego uda. Usiadłam. Czy te wyjaśnienia były bardziej wiarygodne niż wersja z narkotykami i prostytutkami? Czy międzynarodowy terroryzm był mniej szkodliwy? Chyba tak. Coś tam słyszałam o ciężkim losie Kurdów. Rzeczywiście, tak jak twierdził Kamil, w dużych ilościach oddawano na nich stolec. Chciałam w to wierzyć. Oznaczałoby to, że dalej z czystym sumieniem mogę realizować swój plan. Zresztą co mi innego pozostało?

## ROZDZIAŁ SIEDEMNAŚCIE

### Herbata z Ayyubami, jarmarczny gil i inne rozrywki

- W niedzielę idę do mojego wuja Shirkuha. Może się dołoży do naszych inwestycji.

Minął kolejny tydzień, podczas którego sporządziłam biznesplan. Realistycznie oceniając sytuację, do końca stycznia musieliśmy zaprezentować detalistom nasze wzory. Miałam jeszcze parę miesięcy na zaprojektowanie kolekcji i przygotowanie próbek. Mało czasu, ale do zrobienia. Postanowiłam odpuścić sobie Londyn. Na tamtym dywanie rozlałam zbyt wiele krwi. Poza tym większość hurtowych klientów Penny Moss, a więc i moich kontaktów, pochodziło z południa Anglii. Parę przyczółków znajdowało się na północy, jeden sklep był w Dublinie, inny w Cork, a trzy czy cztery w Europie.

Obdzwoniłam sześć moich najlepszych kontaktów: klientów, z którymi stworzyłam dobre relacje - zwykle na podstawie obopólnej złości na Penny. Wszyscy słyszeli dziwne pogłoski o tym, że „zmieniłam terytorium”, ale cała prawda pozostała w sferze domysłów. Przekazałam im fakty zbliżone do prawdy: przez ostatnie lata to ja byłam autorką projektów Penny Moss, a teraz weszłam w spółkę z poważanym brytyjskim producentem. Każdy z moich potencjalnych klientów był bardziej niż skłonny obejrzeć kolekcję, która gwarantowała jakość strojów od Penny Moss, lecz za jedną trzecią ich ceny.

- To wspaniale - powiedziałam, prawie nie słuchając.

- Jest tylko jeden mały problem.

- O co chodzi? - Myślałam o guzikach. Ładne guziki potrafią wiele zmienić. To niesamowite, że całkiem porządna garsonka jest do niczego, kiedy...

- Mój wuj Shirkuh jest złym człowiekiem. Lubi się ze mnie wyśmiewać, cha, cha, cha. I mówi o mnie złe rzeczy.

- Jakie rzeczy? - Zaczęło mnie to interesować, chociaż nie bardzo.

- To stary kłamliwy skurwysyn i tu nie zamierzam przeproszać za łacinę. On mówi, że nie lubię dziewczyn i dlatego się nie ożeniłem, chociaż mam już czterdzieści dwa lata. Twierdzi, że wolę chłopców.

- A wolisz?

- Oczywiście, że nie lubię chłopców, ty wariatko. Tak bardzo lubię dziewczyny, że się nie ożeniłem, żeby mieć czas na ich podrywanie. Prawda, Vic?

Vicky, która była bardzo zajęta czytaniem horoskopu, podniosła wzrok i powiedziała „No”. Spojrzała na mnie i się uśmiechnęła.

- Tak więc - ciągnął Kamil - mam taki mały problem. Jak mu zamknę twarz, to da nam pieniądze na inwestycję. Ale tylko wtedy, jeśli przyjdę z szykowną laseczką, która będzie moją dziewczyną albo narzeczoną.

Roześmiałam się głośno.

- Rozumiem. Mam udawać twoją dziewczynę, żeby przekonać twojego wujka, że nie jesteś ciotą, bo wtedy da nam kasę na materiał?

- Tak, coś w tym rodzaju.

- Nie możesz wziąć Vicky?

- Bez urazy, Vic, ale ona się nie nadaje. Lepiej, żebyś ty poszła. Pomogłabyś mi wytłumaczyć sprawę wysokiej marży zysku, nowych sklepów i tak dalej.

Pomysł ten był tak absurdalny, że przemówił do mojego surrealistycznego poczucia humoru. Poza tym Kamil uznał mnie za „szykowną laseczkę”, więc byłam mu winna przysługę.

- Dobrze, zrobię to.

Później, kiedy zostałam sama z Vicky, spytałam, czy coś ją łączy z Kamilem.

- Parę razy poszliśmy gdzieś razem - odparła. - Ucieszyłam się, bo chciałam wypróbować nową wkładkę domaciczną. Ale Kamil strasznie długo zwlekał. A kiedy w końcu zaprosił mnie do siebie na kawę, zaczął się dopytywać, czy lubię brać, no wiesz, od tyłu. Powiedziałam, że nie bardzo, żeby spadał i na tym się skończyło.

Tak więc w następną niedzielę znalazłam się w rdzawoczerwonym jaguarze Kamila, którym pojechaliśmy do Wood Green na - jak to z nabożną czią określił Kamil - „podwieczorek” z legendarnym i straszliwym Shirkuhem. Kamil był podenerwowany i przez całą drogę ćwiczył wypowiedzi, których strzępy mnie dolatywały: „...towary o niskiej jakości to niska marża zysku”, „absolutne dno”, „na skalę międzynarodową”, „latać business class”, „czwórka, może piątka dzieci”.

Rezydencja seniora Ayyuba była przeciętnym bliźniakiem na cichej ulicy. Kamil zapukał do drzwi, które otworzyła młoda

dziewczyna o dużych, smutnych, brązowych oczach. Obróciła się przez ramię i zawołała:

- Mamo, to Kamil i jakaś pani! - A potem wbiegła z powrotem do domu. Poszliśmy za nią.

W domu unosił się intensywny, przyjemny zapach przypraw, ale w pierwszej chwili, kiedy stanęłam na najgrubszym, włóchatym dywanie, jaki kiedykolwiek widziałam, ogarnęła mnie lekka panika.

- Zdejmij buty - szepnął Kamil, ja jednak byłam na to przygotowana. Założyłam najdłuższą spódnicę, jaką miałam i bardzo stonowany żakiet. Nie było sensu obrażać tego starego tyrana. Weszliśmy do salonu pełnego baraszkujących dzieci. Nie dało się ich zliczyć, ale mogło być ich siedmioro, nie licząc tych, które zatoneły we włóchatym dywanie. Siedziały tam też dwie poważne, ale ładne, nastolatki i uśmiechnięta kobieta w średnim wieku ubrana w kurdyjską suknię.

- Witam, witam - powiedziała do mnie ciepło, ignorując Kamila.

- Ciociu, to jest Katie. Katie, to moja ciocia. Podaliśmy sobie ręce.

- Gdzie jest wujek? - spytał Kamil.

- Ma jeden ze swych złych dni. Może to tarczyca, a może woreczek żółciowy - odparła ciocia, po czym szybko dodała coś po kurdyjsku (albo w języku kosmitów ze „Star Treka”). - Usiądź, proszę - zwróciła się do mnie. - Napijesz się herbaty?

W ciągu następnej pół godziny nieźle się ubawiłam, kiedy ciocia próbowała jak najwięcej się dowiedzieć na mój temat. By wydobyć ze mnie prawdę, karmiła mnie ciasteczkami tak toksycznie słodkimi, że pewnie traktat międzynarodowy ograniczał ich rozprowadzanie. Istnieje takie, niewątpliwie kurdyjskie, powiedzenie, które przetłumaczono jako „Synu, zostań dentystą, a zawsze będziesz miał czym zająć ręce, a twój portfel nigdy nie będzie pusty”.

- Twój ojciec jest aktuariuszem? Doskonale. - Tymi słowami podsumowała naszą rozmowę. Ciocia, jak jej ciasteczka, była jednak bardzo słodka i szczerze ją polubiłam. Nawet dzieci, które bawiły się obok, były grzeczne i usłużne, zachowywały się jak malutcy służący, wciąż donosząc więcej słodczy i okropnej herbaty. Dwie nastolatki gapily się na mnie, chłonąc szczegóły mojej fryzury, ubrań i paznokci u nóg, a ja się coraz głębiej zapadałam w miękką tapicerkę fotela.

Kamil wiercił się niecierpliwie.

- Zobaczmy się z wujkiem. Pójdę pierwszy, a kiedy go trochę zmiękczę, zawołam cię po pięciu czy dziesięciu minutach.

Po paru chwilach usłyszałam krzyk:

- Nie pokazuj mi tej mały, jak chcę kataryniarza! Pokaż mi kataryniarza! - Wtedy Kamil mnie zawołał. Na polecenie cioci jedna z dziewczynek wzięła mnie za rękę i zaprowadziła do pokoju wujka.

Drzwi były otwarte. Na łóżku, w zawoju z białej bawełny, który mógł być strojem ludowym lub po prostu prześcieradłem, leżał bardzo gruby, łysy, uśmiechnięty mężczyzna. Trudno mi przychodziło ocenić jego wiek, ale domyślałam się, że ma około siedemdziesięciu lat. Celowo lub przez przypadek, materiał był rozcięty na jego przeponie, odsłaniając brązowy brzuch, który zdawał się posiadać własną, całkowicie niezależną, złą moc. Brzuch ten sprawiał takie wrażenie, jakby w każdej chwili mógł się poruszyć niczym ameba i pochłonąć mnie, jakby miał własną wolę. Shirkuh w każdym calu wyglądał na sybarytę, zdeprawowanego władcę, żyjącego tylko po to, by zaspokajać swe apetyty. Wyobraziłam sobie, jak mówi: Jeszcze jedną przepiórkę, chłopcze. Nie, nie, nie do jedzenia. Mmm, taaak, aaaach, aaaach, aaaaaach, aaaaaaaaach! Tak lepiej. Teraz ją zjem".

- A więc, młoda damo, chcesz, żebym zainwestował? - Jego głos był cienki, rozbawiony i sympatyczny. - Bardzo przepraszam za to łóżko. Mam chore plecy, a mój woreczek żółciowy zupełnie zzółkł, cha, cha, cha.

Uznałam, że fałszywie go posądziłam o sybarytyzm i w duchu go przeprosiłam za tę przepiórkę.

- Tak, mniej więcej tak. Kamilu, czy przysłałeś biznesplan?

- Tak, przysłał. Robi wrażenie. Opowiedz mi więcej o swoim doświadczeniu i kontaktach w branży importu materiałów. - Poklepał miejsce koło siebie i dodał: - Usiądź, moja droga, usiądź.

Nastąpiła długa i pełna szczegółów dyskusja na temat planu. Shirkuh miał świetne rozeznanie w możliwościach i potencjalnych niebezpieczeństwach. Branżę ciuchową znał na wylot. Małe przedsięwzięcie Kamila było tylko jednym z jego interesów. Wyglądało na to, że prowadzi interesy w całym Londynie, a także angażuje się w tajemniczą działalność importową i eksportową. Biedny Kamil, bojąc się przerwać, siedział po turecku na podłodze, nic nie mówiąc.

Minęła pewnie z godzina, kiedy Shirkuh powiedział:

- Kamilu, drogi chłopcze, przynieś wujkowi aspirynę i szklanę wody. Zajmie ci to tylko kilka minut.

Kiedy Kamil wyszedł, Shirkuh spytał:

- Pewnie Kamil zmyślał, że jesteście zaręczeni? Nie było sensu kłamać.

- Tak. Uznał, że dzięki temu przyjmie pan naszą propozycję.

- Mhm. Mhm. Doceniam twoją szczerłość. Muszę też spytać, czy mówił ci o innych swoich interesach? Nielegalnych, podejrzanych?

- Tak. Wiem jednak, że prostytutka i narkotyki to tylko przykrywka dla handlu bronią na rzecz PPK.

Shirkuh roześmiał się, po czym zarządził i się rozkaszał.

- PPK! PPK! I uwierzyła w to tak inteligentna kobieta jak ty?

- To wyjaśnienie podobało mi się znacznie bardziej od... wszystkich innych możliwości.

- Droga panno Castle, Kamil zajmuje się tylko prowadzeniem małej i niezbyt dobrze prosperującej firmy produkującej i rozprowadzającej tanie ubrania, które noszą głównie kobiety żyjące na zasiłku lub zarabiające nędzne pieniądze.

Wtedy zrozumiałam. Handel bronią był tylko przykrywką dla handlu narkotykami, który z kolei był przykrywką dla prostytutek będących przykrywką dla żalostnego faktu, że Kamil to tytan świata mody, któremu się nie udało, żyjący z datków swojego grubego wujka. Poczułam falę czułości dla tego smętnego facecika i przypląw pragnienia, by nasz plan się powiódł.

- Kamil nie jest złym chłopcem - ciągnął Shirkuh. Jego głos nie był już tak rozbawiony i pojawiła się w nim nutka czułości. - Ale zawsze wstydził się tego, że pracuje w branży ciuchowej. Jego kuzyn, a mój syn, zginął w walce z turecką armią o wolność naszych ludzi. Kamil uważa, że to on powinien się znaleźć na jego miejscu. Myśli, że rodzina nim gardzi za to, że nie umarł jak mężczyzna. Ja jednak oddałbym wszystko, żeby mój syn żył i pracował choćby jako sprzątac w publicznym szalecie. Ale on nie żyje, a ja nawet nie mogę zapłakać nad jego grobem. - W jego oczach zalśniły łzy, ale wciąż się uśmiechał. - Kamilu wejdz, nie stój w drzwiach. Daj mi aspirynę.

Kiedy Kamil pochylił się nad starcem, Shirkuh ujął w dłonie jego głowę i ją ucałował.

- Świetnie ci poszło, bratanku. Wybrałeś sobie dobrą partnerkę. Wasz plan mi się podoba i myślę, że przyniesie nam przyzwoite pieniądze. Jestem dumny.

W głębi ducha myślę, że spodziewałam się, iż coś pójdzie nie po naszej myśli, że plan ten umrze w zarodku i nigdy nie wyda owoców. Że kogoś pożre krokodyl, innego trafi złota kulka wystrzelona z pobliskiego lombardu albo że Tokio dotknie trzęsienie ziemi i globalna gospodarka się zawali. A jednak wszystko poszło jak po maśle. Przez następny miesiąc pracowałam ciężiej niż kiedykolwiek przedtem, ciężiej, niż to sobie wyobrażałam.

W poniedziałek obdzwoniłam z pół tuzina znajomych producentów tkanin. Potrzebowałam stosunkowo niewielkiej ilości materiału i z łatwością znalazłam jakieś zabłąkane bele, których nikt nie chciał. Zawsze nieźle radziłam sobie z agentami: rzeczowymi mężczyznami w średnim wieku, którzy chętnie dokonywali ze mną transakcji w zamian za mały flirt - tym bardziej, że brałam resztki, którymi gardziła cała reszta. W ciągu tygodnia zdobyłam to, co mi było potrzebne. Może nie dokładnie to, co chciałam, ale dość, by zrobić próbki.

Wykonanie podstawowych projektów również okazało się łatwe. Dysponowałam ogromnym bogactwem szkiców i pomysłów i po kolejnym tygodniu gryzienia ołówka, drapania się po głowie, przeglądania magazynów i ogólnej burzy mózgu, miałam pół tuzina pastiszów ubrań od Penny Moss. Wiedziałam, że klienci się na nie złapią. Próbowałam wprowadzić do nich akcenty bardziej nowoczesne i młodzieżowe niż w oryginałach, ale nie aż tak radykalne, by odstraszyły końskogębe mieszkanki Wiltshire, Hereford i Rutland. Zrezygnowałam w fasonów o skomplikowanym kroju, skoncentrowałam się na seksownych sukienkach retro w stylu lat pięćdziesiątych. Chcąc zminimalizować koszty, musieliśmy się ograniczyć do świeżej bawełny i zadrukowanej wiskozy. Kolory wahały się między prażonymi migdałami a ładnymi pastelami, sugerując styl Marylin Monroe oraz Courtney Love. Moją największą dumą była portfelowa sukienka z dżerseju, zawiązywana na szyi z szalonym wzorem w barwach czekolady i akwamaryny. Bardzo w stylu Diane von Furstenberg. Może trochę zbyt odlotowa, żeby dobrze się sprzedawać, ale taki kaprys był mi potrzebny - inaczej wpadłabym w przygnębienie.

Zawsze jednak wiedziałam, że schody się zaczną dopiero wtedy, gdy już dokonamy wyboru materiałów i projektów. Każdy student wzornictwa mody uczy się kroju. A potem wszystko zapomina. To trudne, nudne, czasochłonne i plebejskie zajęcie. Trochę jak rysunek z natury dla studentów malarstwa. Pogarda dla kroju oznacza pogodzenie się z faktem, że nigdy się nie zostanie prawdziwym projektantem, którego inni będą wyręczać w tej czynności. No i oczywiście to jedyna przydatna umiejętność, jakiej można nabyć w college'u - a raczej można byłoby, gdyby jego studenci mieli choć trochę oleju w głowie. Dobrzy krojczy nigdy nie głodują i nie kończą jako kasjerzy w McDonalddie, jak to się przytrafiło większości moich koleżanek.

Jak idiotka zrywałam się z zajęć kroju, a nauczyłam się tylko tyle, żeby zdać egzaminy. Następnie przejrzałam swoje archiwum pamięci i usunęłam z niego te resztki wiedzy, które mogły tam pozostać - by nie zajmowały miejsca czemuś rzeczywiście istotnemu. W wyniku tego teraz musiałam ponownie zagłębić się we wszystkie okropne tajniki tego fachu (nigdy nie umieszczaj środkowego szwu na sukience szytej ze skosu, nie myl modelki z klientką). Czułam się jak osoba po wylewie, która od nowa uczy się chodzić, korzystać z toalety i jeść, nie śliniąc się. A jednak było to przyjemne uczucie. Moje ręce tworzyły prawdziwe rzeczy, z każdym ciachnięciem nożyczkami zmieniały tkaną materię świata.

Latifa poczuła się jak ryba w wodzie. Nagle zdobyła pracę, której nie darzyła nienawiścią, pracę, dzięki której zarabiała dość, by nie martwić się o bilet na powrót autobusem do domu. Rzucała się na każde zadanie, jakie jej wyznaczyłam i bacznie mnie obserwowała, by poznać metody produkcji. Aż nadto dobrze wiedziałam, że wciągnięcie kogoś na wyższy stopień drabiny pociąga za sobą niezadowolenie tych, którzy nie zostali nagrodzeni. A jednak żadna ze szwaczek nie miała mi tego za złe, a Latifa działała jako idealny pośrednik między biurem a szwalnią. Postawiła sobie za punkt honoru, nakłonić najlepsze ze szwaczek do tego, by analizowały projekty i doradzały, co jest do przyjęcia, a co stanowi kaprys niemożliwy do zrealizowania.

To jej pomysłem było postawienie wybiegu dla modelek.

- Chyba nie damy rady - powiedziałam początkowo. - Jeszcze za mała część kolekcji jest gotowa. Wiesz, że dopiero robimy modele.



(Modele to projekty z perkalu, które dają pojęcie o ostatecznej wersji).  
Co pokażemy?

- Nie możemy uszyć czterech - pięciu modeli z normalnego materiału? Wtedy lepiej będzie widać efekt końcowy.

- Pewnie możemy ale robienie pokazu to szaleństwo, skoro jesteśmy dopiero w połowie.

Widziałam jego słabe punkty, ale pomysł ten dosyć mi się spodobał i byłam otwarta na dalsze namowy.

- Będzie fajnie - powiedziała Latifa. Jej pewność siebie wzrosła, bo nie sprzeciwiłam się stanowczo. - I, co ważniejsze, w ten sposób dziewczyny jeszcze lepiej przyłożą się do pracy. Poczują, że mają swój udział w tym planie. Kiedy się pracuje całymi dniami przy maszynie, człowiek nie dostrzega szerszej perspektywy. Nigdy nie widzi całego stroju, który właśnie uszył. Mój tata był bolszewikiem, często mówił, że ludzie nie mają kontaktu z owocami swojej pracy i dlatego jej nienawidzą. Sam niewiele wiedział o pracy: przeważnie był na zasiłku. No, w każdym razie chciałabym, żeby odzyskały ten kontakt.

Jej argumenty zrobiły na mnie wrażenie. Może rzeczywiście w ten sposób udałoby się nam zintegrować zespół? A to było nam bardzo potrzebne.

- No dobrze - powiedziałam zdecydowanym głosem. - Ale ty zostaniesz modelką.

- Katie! - wykrzyknęła, wyraźnie zachwycona. - Nie mogę! Nie potrafię, no wiesz, kręcić pupą!

- Pokażę ci.

- Dobrze, ale, jeśli i ty będziesz modelką.

- Zgoda.

Tak więc cztery dni później dwadzieścia szwaczek, wszystkie rozchichotane z podniecenia, oraz Kamil i Vicky stłoczyli się w salonie wystawowym. Kilka kobiet przyniosło jedzenie i po sali zaczęły krążyć pikantne samosa, cebulowe Bhajis i warzywne pakoras, które popijano słodką herbatą i niedietetyczną colą. Zauważyłam, że niektóre z kobiet umalowały sobie oczy i usta, czego wcześniej u nich nie widziałam. Latifa przyniosła wielki magnetofon i pomieszczenie wypełniły gorączkowe, zdyszane dźwięki muzyki Bhangra, energetycznej krzyżówki wschodniej i zachodniej muzyki dance. Kamil chodził po salonie, żartując z dziewczynami, z nieco

wymuszoną poufałością ściskając je za ramiona i poklepując po kolanach, ale nawet to nie mogło nam zepsuć zabawy.

- Jak Versace w cholernym Paryżu, nie? - odezwał się do Pratimy i Biny, które stały tuż obok siebie, starannie ignorując jedna drugą. Ich spojrzenia na sekundę się skrzyżowały i kobiety musiały zasłonić usta dłońmi, żeby ukryć śmiech. - No, zupełnie jak Versace albo Christian Dior - ciągnął Kamil, wydymając wargi.

Latifa i ja obserwowałyśmy salę przez szparę w drzwiach.

- Idź, mała - powiedziałam, klepiąc ją po pupie.

I Latifa wyszła, podskakując i tańcząc do muzyki Bhangra, w pierwszej wzorzystej sukience. Kobiety aż westchnęły, a potem zaczęły się śmiać i klaskać. Rozległy się żartobliwe docinki we wszystkich językach używanych w fabryce. Szwaczki zachowywały się z większym szacunkiem, kiedy to ja wyszłam, ale nadal się uśmiechały i klaskały w rytm muzyki. Wybrałam tylko dłuższe sukienki (zwłaszcza dla Latify), żeby ich nie urazić, myślę jednak, że ta wakacyjna atmosfera usprawiedliwiłaby niemal wszystko oprócz całkowitej nagości. Oczywiście dużo dało to, że w fabryce pracowały same kobiety - oprócz Kamila, pałacowego eunucha.

Wychodziłyśmy na zmianę, pomagałyśmy sobie się przebierać, a w przerwach pociągałyśmy z ukrytej butelki ginu. Właściwie żadna z sukienek nie została dokończona, więc tu i ówdzie wisiały nitki, a rąbki przypinałyśmy szpilkami, ale to nie miało znaczenia, a wszelkie defekty zaginęły w muzyce i śmiechu. Na wielki finał wypuściłam Latifę w bardzo zbliżonej wersji sukni od Diane von Furstenberg (jej zaprojektowanie zajęło mi dużo czasu, ale od razu było widać, że to coś wyjątkowego) i nawet Vicky lekko się uniosła na krześle i wykrzyknęła: „Wow!”.

Na koniec wygłosiłam krótką mowę, w której podziękowałam wszystkim. Wyróżniłam Vimlę i Pratimę, bo to one wykonały najtrudniejszą pracę, ale reszta nie poczuła się urażona. Wszyscy entuzjastycznie je oklaskali, a obie kobiety się zarumieniły i wbiły wzrok w podłogę. Widziałam, że są wzruszone.

Tego wieczora, kiedy wróciłam do domu, moje mieszkanie wydało mi się bardzo ciche.

Pewnie się zastanawiacie, co robiłam poza pracą. Mogłabym odpowiedzieć w następujący sposób: ja nigdy nie przebywałam poza pracą. W każdej chwili przynajmniej część mojego mózgu martwiła

się jakimś problemem: rozgryzała go jak bakteria wgryza się w ząb: jak najlepiej wszyć ten bryt albo połączyć tamten kołnierzyk, na czym można zaoszczędzić, co trzeba dopracować.

Pewnego wieczoru spotkałam się z Carol i Ursulą, ale nie potrafiłam z nimi rozmawiać o swoim życiu, zresztą one nie wydawały się zainteresowane tym tematem. Co je obchodziło Kilburn? Chciały mieć z powrotem dawną Katie: beztroską, złośliwą i głupią. Chciały historii o słynnych projektantach, modelkach i aktorkach. Zaczęłam opowiadać anegdotkę o pewnej pięknej aktorce powszechnie uważanej za szczerą i „prawdziwą”, która przymierzała sukienki w swoim apartamencie w hotelu „Claridge”. „To na nic! - zapiszczała (oczywiście Milo przysięgał, że był przy tym, co nie było niemożliwe). - Nie mogę wybrać! Nie mogę wybrać! We wszystkich wyglądał tak ślicznie!”. Ale wtedy zobaczyłam ich miny i uświadomiłam sobie, że już im kiedyś to opowiadałam. Po raz pierwszy nasze pożegnanie „musimy to powtórzyć” zabrzmiało nieszczerze.

Dwa czy trzy razy Jonah zabrał mnie do pubu. Tu muszę podkreślić, że nie do „Czarnej Owieczki”, lecz do cichej knajpki w St. John's Wood, która skojarzyła mi się z Primrose Hill z dawnych czasów. Łagodnie opowiadał mi o filozofii i o szukaniu sensu życia. Wyglądał na zadowolonego z moich postępów u Ayyuba. Moje przedsięwzięcie wydało mu się szalenie „wielbłądzie”. Spytał, czy teraz jestem „bardziej ustabilizowana, mniej, no wiesz, zdzirowata”. Chciałam się rozprawić z Liamem? Przez chwilę się nad tym zastanawiałam, ale odpowiedź brzmiała „nie”. Moim kosztem uratował swoje małżeństwo, co - jeśli na to spojrzeć chłodnym okiem - było całkiem zrozumiałym krokiem, nawet jeżeli zachował się jak pieprzony, kłamliwy szczur. Ogólnie rzecz biorąc naprawdę nie czułam do niego wielkiej wrogości.

Co parę tygodni robiłam sobie wieczór z Ludo. Wyjmowałam torbę ze skarpetkami i majtkami, otwierałam butelkę wina i kładłam się z tym wszystkim do łóżka, gdzie płakałam tak długo, aż usnęłam. Wiem, że to pobłażanie samej sobie, ale wychodzi taniej i jest mniej tuczące niż pizza.

Tak więc, podsumowując, moje życie skupiło się na intensywnej i całkiem satysfakcjonującej pracy, nie przerywanej żadnymi spotkaniami towarzyskimi (chyba że liczyć mój romans z torbą z

brudnymi ciuchami Ludo). I było mi z tym dobrze. Dopóki się nie ocknęłam i nie zobaczyłam, że to już Boże Narodzenie.

Zawsze próbowałam cynicznie podchodzić do świąt: tandetny komercjalizm, sztuczne emocje, okropny program w telewizji. Ale jakimś cudem świąteczna atmosfera w końcu mnie dopadała. Kiedy tylko zapalały się lampki na Oxford Street, czułam lekki (powiedzmy, taki jak po dwóch espresso) dreszczyk podniecenia. W pracy Gwiazdka zawsze była fajna. W sklepie panował duży ruch, więc dziewczyny się cieszyły, a Penny zawsze się upierała, żeby udekorować biuro i pracownię, dzięki czemu zwykłe obgadywanie się za plecami i dogryzanie sobie nawzajem nieco traciło na sile. Jeśli sezon był udany, a często i wtedy, jeżeli nie był, Penny zabierała wszystkich na elegancką kolację do „San Lorenzo” albo „Le Caprice”. Podczas świątecznej kolacji Hugh zawsze bardzo się starał, metodycznie flirtował ze wszystkimi pracownikami: od nowo zatrudnionych, nieopierzonych nastolatków aż po Dorothy, siedemdziesięcioletnią sprzątaczkę. Penny wygłaszała mowę, która po dobrym początku - serdeczne podziękowania i gratulacje dla wszystkich zebranych - zazwyczaj kończyła się znaną wszystkim anegdotą o ofertach, jakie jej składali niegdysiejsi luminarze show biznesu.

U Ayyuba musiało być inaczej. Nie mieliśmy pieniędzy na takie zabawy - już pomijając różnice religijne, które musieliśmy wziąć pod uwagę. Poprosiłam Kamila o premię dla szwaczek, ale odparł:

- Katie, chcesz, żebyśmy weszli na ekskluzywny rynek, zgodziłem się. Postanowiłaś, że musimy płacić naszym paniom najwyższą stawkę za minimalne nakłady pracy, zgodziłem się. Zachciało ci się asystentki do spraw produkcji, zgodziłem się. Mówisz, że panie muszą mieć prawo do chorobowego, zgodziłem się. - (Na to ostatnie przystał z wielką łaską). - Ale teraz żądasz, żebym im dodatkowo zapłacił za nic dla uczczenia świąt, których nie obchodzimy. Katie, posuwasz się za daleko.

Udało mi się namówić go tylko na to, żeby w Wigilię zamknął zakład godzinę wcześniej. Kiedy się pakowałam, do biura weszła Latifa z dwiema innymi szwaczkami.

- Mamy coś dla ciebie - powiedziała nieśmiało. - Coś na Gwiazdkę. To był pomysł Vimli. Nic wielkiego. - Wypchnęła Vimlę

do przodu. - Proszę... - Vimla podała mi pudełko ładnie przewiązane różową wstążką.

- Mogę teraz otworzyć?

Oczywiście w Bożym Narodzeniu zawsze najbardziej podobały mi się prezenty. Przed pierwszymi świętami, które spędziliśmy razem, Ludo spytał, co chciałabym dostać. Odparłam od niechcienia: „Och, nic, naprawdę, książkę, albo coś w tym rodzaju”, a ten idiota wziął to za dobrą monetę. Potrafię ukrywać swoje emocje, ale nawet on musiał zrozumieć, że mina, którą zrobiłam na widok „Powstania i upadku potężnych mocy”, nie wyrażała ekstatycznej radości. Jestem pewna, że dostał dobrą nauczkę.

Ale prezent od dziewczyn? Byłam bardzo wzruszona, ale też pełna obaw.

- Tak - powiedziała Latifa.

Ostrożnie zdjęłam papier, chcąc, by zobaczyły, że traktuję ich prezent z należyтым szacunkiem. Zobaczyłam i aż wstrzymałam oddech. Potwierdziły się moje najgorsze lęki. Była to jakaś obrzydliwa błyskotka, ohydny bibelocik. Ozdóbka. Mały, porcelanowy ptaszek, szczygieł, gil, czy coś w tym rodzaju. Niczemu nie służył, nie miał żadnego przeznaczenia. Był brzydki i fatalnie wykonany. Mógł stanowić metaforę wszystkich rzeczy, przed którymi uciekałam do Londynu.

Ale nawet kiedy mój zmysł estetyczny się skręcał z obrzydzenia, czułam, że serce wypełnia się emocjami. Te kobiety, które mnie prawie nie znały i dla których robiłam tak niewiele, oddały część swych nędznych zarobków, by mi to kupić. Pokazałam im swój najpiękniejszy uśmiech, który - jak orgazmy, które udawałam przed Ludo - nagle stał się zupełnie szczery. Ucałowałam całą trójkę - Latifę, Vimlę i Rahimę - po czym pobiegam do szwalni, żeby ze łzami w oczach podziękować całej reszcie.

To ten gil przesądził o tym, że pojechałam do domu. Myśl o wizycie w East Grinstead od tygodnia kołatała mi się po głowie. Odkąd przyjechałam do Londynu, ani razu nie spędziłam Bożego Narodzenia z rodzicami. Trudno mi było stawić czoła perspektywie świąt przed telewizorem i nad samotną miseczką puddingu. Jonah i Kamil zapraszali mnie do siebie, ale obie oferty bardzo grzecznie odrzuciłam.

Tak więc tamtego popołudnia wróciłam do Kilburn, spakowałam walizkę, pojechałam metrem na dworzec Victoria, a potem pociągiem przez przedmieścia południowego Londynu do East Grinstead. Przez chwilę, kiedy pociąg zostawił za sobą rzędy segmentów, wydawało mi się, że zaczął padać śnieg, ale była to tylko mżawka, która wkrótce przeszła w ulewny, czarny deszcz.

Pod dworcem nie było taksówek, więc kiedy dotarłam do domu na Achilles Mount 139, znanego również jako „Daisybank”, byłam przemoczona i zmarznięta. Drzwi otworzył tata. Przez parę sekund patrzył na mnie nic nie rozumiejącym wzrokiem. Pewnie się spodziewał, że to kołędnicy, wandale, świadkowie Jehowy albo każdy inny poza jego własną córką.

- Katie - powiedział w końcu. - Lepiej wejdz. Twoja mama się ucieszy.

Zdjęłam płaszcz i powiesiłam go w holu. W drzwiach kuchni pojawiła się mama. Tata położył dłoń na moim ramieniu, a potem mnie objął. Mama stała z boku, a kiedy się wyplątałam z objęć taty, uściśkałam ją.

- Na jak długo przyjechałaś? - spytała.

- Na święta. Parę dni. Jeśli można?

- Całe szczęście, że mamy dla ciebie prezent - powiedział tata.

- Dla mnie? Skąd wiedzieliście?

- Och, zawsze ci kupujemy, tak na wszelki wypadek.

W tym roku dostałam od rodziców osiem prezentów - po jednym za każdy rok, przez który mnie nie było w domu, każdy wyciągnięty z czeluści szafy, nadal w ozdobnym papierze. Każdy sprawił mi wiele bólu: niewiele brakowało, a rodzice utrafiliby w mój gust.

- Co słyhać u twojego chłopaka? - spytał tata w świąteczne popołudnie, kiedy mama cicho oglądała telewizję, siedząc w rogu kanapy. - Wyglądał na bardzo miłego, dobrze wychowanego mężczyznę. Pomógł mi naprawić popsuty...popsuty...no, coś tam w szopie na narzędzia.

Tego właśnie pytania obawiałam się najbardziej. Rodzice kiedyś poznali Ludo. Bałam się go przywieźć do domu, ale on się uparł. Myślałam, że to będzie katastrofa, ale całkiem nieźle się dogadali. Tata zabrał Ludo do szopy, żeby coś tam naprawić - Ludo zawsze miał smykałkę do różnych urządzeń i gadżetów - i wrócili, śmiejąc się i żartując jak starzy kumple. Wtedy Ludo zarobił u mnie minusa.

Dawna Katie, szalona Katie, jak teraz o niej myślałam, nie chciała mieć chłopaka, któremu podobało się w East Grinstead. Ona chciała równego jej cynika z wielkiej metropolii. Ale teraz, wspominając jego naturalność i wdzięk, uznałam je za kolejny powód do tego, by go kochać i opłakiwać.

- Tato, wszystko zepsułam.

- Och, tak mi przykro.

- Nigdy nic nie wiadomo, Katie - odezwała się mama. - Może wróci.

- Tak - powiedziałam, żeby ich pocieszyć. - Może wróci.

- Wiesz, kiedyś twój ojciec popełnił duży błąd i też myślał, że wszystko stracił. Ale ja mu wybaczyłam i teraz się z tego cieszę.

Tata odwrócił się, uśmiechnął do niej i wziął ją za rękę. Jaki grzech popełnił? Chyba nie miał innej kobiety? Ale co innego mógł zrobić? Przecież zawsze chodzi o to samo. Nagle dostrzegłam w rodzicach prawdziwych ludzi prześladowanych takimi samymi pasjami i pokusami jak moje. Wiem, że to niezbyt oryginalna refleksja: „Och, patrzcie, starsze pokolenie to też ludzie!”. A jednak myśl ta uderzyła mnie jak olśnienie. Zobaczyłam ich z większą ostrością, lecz jednocześnie jak gdyby w bardziej miękkim świetle: wyraźniej, a jednak wzbudzili we mnie większą sympatię.

Nie będę udawać, że rodzice przestali mnie irytować. To chyba nigdy się nie uda żadnemu rodzicowi. A jednak jakoś zdołałam pogodzić tę irytację z miłością, którą odnalazłam, schludnie zapakowaną w moim wnętrzu, na dnie jakiejś duchowej szafy. Tak więc to, że mój ojciec nadal miał w zwyczaju kończyć zdanie, które zaczął przed laty w rozmowie z kimś innym albo to, że moja mama nie umiała obejrzeć najprostszego filmu, nie pytając w kółko, co się stało, kto z kim się ożenił, dlaczego ten mężczyzna zastrzelił innego albo dźgnął go w serce mieczem albo dlaczego odleciał balonem - wszystko to sprawiało, że nadal miałam ochotę płakać ze złości, lecz już nie chciało mi się uciekać i już się za nich nie wstydziłam.

## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

### Dziwne spotkania

Pod koniec stycznia większość próbek była już gotowa. Pokaz mody pomógł nam dokładniej sprecyzować, co chcemy szyć. Byłam zadowolona z rezultatów: jeden czy dwa projekty nie wyszły i zostały odrzucone, a niektóre pomysły - choć ładne - okazały się zbyt czasochłonne i zbyt kosztowne w realizacji, ale ogólnie rzecz biorąc nasza kolekcja była udana. Nie wybitna - nie spodziewaliśmy się wielkich nagłówek w gazetach czy tego, że aktorki będą zakładały nasze stroje na premiery filmowe - byłam jednak dumna z naszych dokonań i miałam pewność, że nasze ubrania będą się dobrze sprzedawać.

Latifa była wspaniała. Z godziny na godzinę rosła jej pewność siebie i ranga, a wybrane szwaczki okazały się zdolne do tego, by zamienić ilość na jakość, co Jonah, ze smutkiem kręcąc głową, określił jako „bardzo heglowskie”. Nawet Kamil zaskoczył nas, udowadniając, że nie jest całkowicie bezużyteczny. Odkryłam, że nieźle mu wychodzi zaopatrywanie nas w guziki i inne drobiazgi. Co dziwniejsze, miał nieźle oko do kroju i nie raz prosiłam go o radę w sprawie fasonu spódnicy czy spodni.

Szło nam tak dobrze, że postanowiłam nagrodzić się popołudniem spędzonym w sklepach. Pod względem obuwia znalazłam się w nienajlepszej sytuacji. Brak życia towarzyskiego i czynszu oznaczał, że stan moich finansów się poprawił, choć nadal musiałam nań uważać.

Wędrowałam więc South Molton Street, kiedy ktoś mnie zawołał. Głos ten był cichy i niepokojący jak szum skrzydełek ćmy lądującej na buzi dziecka.

- Katie, to ty, prawda? Kopę lat!

Odwróciłam się. Juliet. Szalona, zła Juliet. Przyrodnia siostra Penny Na sam dźwięk jej imienia Ludo bladł jak ściana. Kiedyś, na jakiejś rodzinnej imprezie, ślubie, a może stypie, siedziałam koło niej. Przez cały obiad mruczała mi do ucha przerażające sekrety reszty gości. Opowieści o kazirodztwie, kradzieżach i morderstwach. Penny jej nienawidziła i ten jeden raz jej przesadna reakcja była w pełni uzasadniona.

- Juliet, jak miło cię widzieć.



- Jakie to szczęście, że na ciebie wpadłam. Może pójdziesz ze mną na lunch? Wyglądasz bardzo chudo. - Czułam się tak, jakbym patrzyła na wijącą się głowę kobry. Byłam zahipnotyzowana, sparaliżowana i nie mogłam pozbierać myśli.

- Z wielką chęcią.

Juliet jak zwykle była ubrana z nieprawdopodobną precyzją i elegancją osoby skupionej wyłącznie na sobie. Miała na sobie garsonkę od Catherine Walker zapiętą aż po samą szyję i wyraźnie dobraną tak, by pasowała do szmaragdów, którymi była obwieszona. Nadal odznaczała się chłodną urodą jak Królowa Śniegu, miała ogromne, czarne oczy i kości policzkowe zbyt wystające jak na Angielkę i zbyt delikatne jak na Słowiankę. Jej skóra z wiekiem nabrała fascynującej, lecz nieco upiornej przezroczywości płodu. Parę minut później, kiedy siedziałam naprzeciwko niej w Connaught, przypomniało mi się powoli poruszające się nocne zwierzę, które kiedyś widziałam w filmie przyrodniczym - gatunek lemura zwany „aye - aye”, który potrafi odwrócić głowę dosłownie o sto osiemdziesiąt stopni i niesłychanie wydłużonym palcem wydłubywać białe larwy ze szczelin. Podobnie jak ten lemur, Juliet emanowała ponadczasowym złem, daleko wykraczającym poza zwykłą złośliwość, która charakteryzuje większość z nas.

- Wiesz, że zawsze uważałam cię za bratnią duszę - zaczęła po wymienianiu zwykłych uprzejmości i zamówieniu butelki szampana. - Słyszałam, że moja droga, droga siostra również ciebie wyrzuciła poza nawias rodziny. Wiem, co to znaczy izolacja i odrzucenie.

Jej oczy elokwentne kłamały na temat poniżeń i krzywd, jakie musiała znosić. Według Ludo Juliet większą część młodości spędziła w szpitalu psychiatrycznym. Wyszła stamtąd, wyrafinowana, lecz uszkodzona: słynna, fatalna, piękna.

Wyszła za dewelopera, który szukał idealnej żony, a następnie przyprawiła mu rogi z jego przyjacielem, bratem i ojcem. Małżeństwo to zakończyła jako bogaczka, ale i parias.

- Cóż, mogłam się tego spodziewać. Słyszałaś o okolicznościach? Ujęła moją dłoń w swe długie, suche palce.

- Moja droga, nie rozumiesz, że oni zawsze tak robią, próbują ci wmówić, że to tylko twoja wina? Najpierw cię niszczą, a potem żądają za to podziękowań. Nigdy nie powinnaś zwracać się przeciwko samej sobie.

- Och, wcale tego nie robię. Prawdę mówiąc, mam coś...

- Nie obracaj tej nienawiści przeciwko sobie - podkreśliła raz jeszcze. - Obróć ją przeciwko nim. Tak, przeciwko nim. A do tego potrzebna ci jest broń.

- Broń? Jaka broń?

Wiedziała, że Juliet mówi to w jakimś celu. Czas i doświadczenie odarły ją z niepotrzebnych, zbędnych elementów i nadały jej idealny kształt grotu strzały. Ona nigdy nie wdawała się w gadki o niczym.

- Katie, czego chcesz od życia? - Zanim zdążyłam odpowiedzieć, rzucając parę ogólników, dodała: - Chciałabyś znowu zacząć pracować na jakimś stanowisku, wyższym stanowisku, u Penny Moss?

- To raczej mało prawdopodobne, prawda? Zważywszy, zważywszy na... wszystko.

- Mówiąc o broni, miałam na myśli coś w rodzaju dźwigni, narzędzie... przetargowe.

- Juliet, na miłość boską, do czego zmierzasz?

- Czy moja siostrzyczka opowiadała ci kiedyś o swoich pierwszych krokach w filmie?

Próbowałam sobie przypomnieć. Czy była jedną z dziewczyn goniących Johna, Paula, George'a i (żenujące) Ringo w „A Hard Day's Night”? Czy to jej twarz na chwilę pojawiła się w lustrze w tym filmie, gdzie Mick Jagger pieprzy się z głową Jamesa Foxa? Czy było to jakieś arcydzieło Viscontiego? Zdaje się, że Penny twierdziła, iż grała we wszystkich tych filmach.

- Być może. Nie pamiętam.

- Raczej ci o tym nie opowiadała. Widzisz, nie były to takie filmy, którymi chciałyby chwalić się przed całym światem. Musisz pamiętać, że w latach sześćdziesiątych, kiedy skończyła Królewską Akademię teatralną, nie było jej łatwo. Problem polegał na tym, że chociaż miała pewien... potencjał, była naprawdę koszmarną aktorką. Tak więc nie było jej pisane przejście z prowincjonalnego teatru na West End. Tak, to były trudne lata. Łatwo więc zrozumieć, dlaczego popełniła taki błąd.

- Jaki błąd?

- Ten film chyba miał tytuł „Albert i Lechtancja”. Roześmiałam się z niedowierzaniem.

- Zaraz, chwileczkę, chcesz powiedzieć, że Penny wystąpiła w filmie porno?

- Tak. I to dosyć ostrym, jak na tamte czasy. Niewiele osób o tym wiedziało. Poszłam z... .no, nieważne, w każdym razie poszłam go obejrzeć do klubu kinowego na Greek Street.

- Skąd wiedziałaś, że tam go wyświetlają?

- Och, wcale nie wiedziałam, ale... mój ówczesny przyjaciel chciał, żebym przeżyła coś zupełnie nowego, no i zobaczyłam ją na ekranie. Potem spytałam ją o ten film i musiała się przyznać. Kazała mi przysiąc, że nikomu nie powtórzę i aż do dzisiaj dotrzymałam obietnicy.

Czekając na odpowiednią chwilę, by rzucić bombę, pomyślałam.

- Słuchaj, Juliet, naprawdę nie mam pojęcia, dlaczego mi o tym mówisz. - Akurat!

- Daj spokój, Katie, rozczarowujesz mnie. Kopia „Alberta i Łechtancji” musi jeszcze gdzieś istnieć. Takie rzeczy nie znikają tak po prostu. Gdybyś ją odnalazła, Penny spełniłaby każdą twoją prośbę.

Stara, przebiegła suka, pomyślałam. Nie mogę jednak udawać, że nie byłam zainteresowana. Znalazłam drabinę, po której mogłam z powrotem wspiąć się tam, gdzie było moje miejsce. Ale szantaż to taka brzydka rzecz. Czy rzeczywiście potrafiłabym zniżyć się aż do niego? Czy mogłabym upaść aż tak nisko, żeby podać rękę tej żmiji, Juliet? Była to dobra pożywka dla moich myśli.

- Och, przyszedł rachunek - powiedziała. - Pozwól, że zapłacę.

- Jonah?

Dwa dni później Jonah przyszedł naprawić przeciekający świetlik w kuchni.

- No? - Miał usta pełne śrubek.

- Miałaś kiedyś coś wspólnego z filmami? - Jakimi...? -

- Nieprzyzwoitymi.

Jonah upuścił śrubokręt i wypluł śruby, tfu - tfu - tfu.

- Na miłość boską, Katie, chyba nie chcesz mnie poprosić, żebym cię wprowadził do branży porno, co? Nie mógłbym tego zrobić, tak nie wolno. Zgoda, pókiś młoda, zarabiasz niezłe pieniądze, ale to nie trwa wiecznie. No i jeszcze jest sprawa AIDS. Stać cię na coś lepszego.

- Nie, nie, nie, źle mnie zrozumiałaś. Chciałam tylko spytać, czy masz jakieś kontakty w.. .dystrybucji filmów na wideo. Myślałam, że

tacy jak ty.. .to znaczy ludzie działający w, jak to nazywasz, półświatku, robią.. .takie.. .rzeczy.

Jonah nadal nieufnie mi się przyglądał.

- To nic złego. Po prostu z sentymentalnych względów szukam pewnego filmu, właściwie to klasyka...

Byliśmy już prawie na miejscu. Na pierwsze spotkanie byliśmy umówieni na poniedziałek w Winchester. Zabraliśmy Pata w roli naszego kierowcy - nakazują mu, by kupił sobie nową kurtkę, odkaził furgonetkę i zaparkował poza zasięgiem wzroku klienta. O piątej w piątek została nam do zrobienia jeszcze jedna próbka, ale bardzo ważna - moja pokazowa sukienka portfelowa z troczkami wiązanymi na szyi. Poprosiłam Vimlę, żeby przyszła w sobotę ją dokończyć, a ona zgodziła się pod warunkiem, że na ten czas znajdzie opiekunkę do dziecka. Latifa również zaoferowała swoją pomoc - głównie dlatego, że lubiła przebywać w moim towarzystwie, ale dla niej zawsze znalazło się coś drobnego do zrobienia. Ja zaś po otwarciu biura miałam niewiele do roboty, lecz czułam, że jest to cisza przed burzą. Ogarnęła mnie wielka błogość.

O dziewiątej w drzwiach stanęła Latifa, przewracając oczami.

- Katie, są problemy.

- O co chodzi?

- O Vimlę. Dziś rano zadzwoniła do mnie. Jej opiekunka do dziecka uciekła z dostawcą gorących ręczników do restauracji z curry. Nie ma kto się zająć jej dzieckiem.

Cholera. Vimla była naszą najlepszą szwaczką, prawdę mówiąc jedną z najlepszych, jakie znałam. Nawet jeżeli uda mi się namówić którąś z pozostałych kobiet, żeby przyszła dokończyć tę pracę, to już nie będzie ta sama jakość.

- Nie możesz parę godzin posiedzieć przy jej dziecku? Latifa zrobiła zmartwioną minę.

- Jeśli chcesz... ale ja trochę boję się dzieci. Zawsze albo je upuszczę, albo zostawię w sklepie albo dam coś nieodpowiedniego do jedzenia.

Coś mi przyszło do głowy.

- Wiesz, co, Latifa? Dziś mam niewiele do roboty. Może zostawię biuro pod twoją opieką, a sama zajmę się dzieckiem Vimli? Dokończenie pracy nie powinno jej zająć więcej niż parę godzin.

Czyżby odezwały się moje jajniki? Ciekawość? Nuda? Nie wiem, ale moja decyzja okazała się brzemienna w skutki. Zadzwoiłam do Vimli, która z zadowoleniem, choć zaskoczeniem, przystała na tę umowę. Potem, szybko wstając, przewróciłam filiżankę i oblałam się zimną kawą.

- Kurwa, kurwa, kurwa - zaklęłam pod nosem. - Mówiłam, że już idę. Myślisz, że zdążę skoczyć do domu i się przebrać?

- Nie bardzo, Katie. Ale skoro masz tylko posiedzieć przy dziecku, to może założysz coś z fabryki?

Szybko przejrzałam zawartość szwalni. Wolałam nie ryzykować, zakładając jedną z próbek, więc miałam do wyboru okropne spódnice i koszmarne topy.

- A może to? - spytała Latifa z uśmiechem, pokazując wściekle różowy, nylonowy dres.

- Boże, to my nadal je produkujemy? Myślałam, że zostały w humanitarny sposób unicestwione.

- Zostało tylko kilka. Założ, będzie niezły ubaw.

Miała rację. Na tę myśl byłam wniebowzięta. Założyłam dres, a Latifa aż zapiszczała ze śmiechu. Przyłączyłam się do niej.

- Pozwól - powiedziała, zbierając moje włosy i ściągając je w węzeł za pomocą błyszczącej gumki, którą znalazła na jednym ze stołów. Z uciechą przygryzła wargę. - Super!

A co tam! Fajnie będzie, pochodzić po Kilburn w przebraniu. Zresztą czyż i tak nie zachowywałam się jak aktorka?

Vimla mieszkała w dużym domu komunalnym niedaleko ode mnie w Kilburn. Nawet w tak jasny, pogodny poranek, miejsce to wyglądało ponuro. Przez dwadzieścia minut krążyłam wokół budynku, szukając wejścia, ale wszędzie widziałam tylko betonowe mury, szklane ściany albo nagle lądowałam na śmierdzącym, ociekającym wodą podziemnym parkingu. Zadzwoiłam więc ze swojej komórki i poprosiłam Vimlę, żeby po mnie wyszła na ulicę.

Jej dziecko, malutka Seema, miała ściśniętą buzię i zaskakująco bujne włosy, przez co wyglądała trochę jak przerażające trofeum zatknięte na drągu na polanie w wilgotnym lesie równikowym, mające odstraszyć złe duchy albo obcych. Mocno spała.

- Wiem, że będziesz uważać na moje dziecko - Vimla powiedziała z nadzieją. - Tu jest butelka i pieluszki. Nakarm, ją, proszę, za dwie godziny.

- Nic jej się przy mnie nie stanie, mam doświadczenie z dziećmi - skłamałam.

W co ja, do diabła, pogrywałam? Zapomnijmy o jajnikach: ja chyba po prostu oszalałam. Kiedy tylko Vimla wsiadła do autobusu, Seema się obudziła i zaczęła kwilić. Dzięki Bogu, że była słoneczna pogoda. Tuż przy High Road znajdował się park. Ładnie utrzymany, z kortami tenisowymi i placem zabaw dla maluchów, choć były w nim i dość niebezpieczne rejony, gdzie przesiadywali pijaczkowie albo i gorsze typki. Nie wiem, dlaczego, ale polubiłam to miejsce i często spędzałam tam z pół godzinki, czytając książkę albo jakiś magazyn albo po prostu obserwując gody gołębi.

Spacer w wózku na słońcu uspokoił dziecko. Seema spoglądała na mnie swymi czarnymi oczami, a ja się zastanawiałam, co widzi. Wziętą projektantkę mody, która wszędzie ma przyjaciół, piękne mieszkanie, przystojnego i oddanego partnera? Samotną matkę, oszczędzającą na mleku dla dziecka, żeby mieć na herę? Czy też może po prostu rozmazaną plamę, bo małe dzieci nie umieją skupiać wzroku?

- Katie!

Podniosłam głowę. Paru mężczyzn - jedni siedzący na murku, inni pokładający się na ziemi - odwróciło się do mnie przodem. Twarde twarze - niektóre rumiane, ale ogolone, inne blade, za to z zarostem. Włosy - brudnosiwe, nikotynowożółte, tłustobrazowe - rozwiewały się na wszystkie strony jak wzburzony prąd omiatający umierającą rafę koralową. Wszyscy ściskali w dłoniach typowe akcesoria pijaków: piwo, brytyjską sherry, wino Thunderbird i tani cydr.

- Katie! - powtórzył głos. - Nie mów, że znowu porywasz dzieci.

Był to Jonah. Wyglądało na to, że stanowi epicentrum owej grupy. Ale co on robił z tymi pijakami? Może i nie był stałym gościem rubryki towarzyskiej „Tatlera”, ale zakładałam, że należy do nieco lepszych sfer niż ta. I wtedy zobaczyłam książki. Klub książkowy!

- Nikt z nas nie może być ponad dobro i zło - powiedziałam zadziornie. Była to jedna z tych uwag, które w danym momencie wydają się zabawne, ale tracą na znaczeniu, kiedy próbuje się je powtórzyć. Niemniej jednak Jonah się roześmiał, a reszta się do niego przyłączyła.

- Chodź, poznaj chłopaków. Zastanawiamy się, w którym momencie ciągle pytanie „Dlaczego?” przestaje być logiczne.

Członkowie jego akademii wyglądali mało zachęcająco, lecz nie miałam nic innego do roboty, a poza tym pomyślałam, że Jonah się obrazi, jeśli odrzucę jego zaproszenie, odwrócę się na pięcie i pójdę dalej, pchając wózek przez park. Zresztą czyż każdy z nas nie chciałby się dowiedzieć, kiedy zadawanie pytania „Dlaczego?” staje się nielogiczne? Zrobiono miejsce dla mnie i dla wózka w kręgu, który utworzył się wokół Jonaha. Panowie ci pili i byli niechlujni, ale przynajmniej nie śmierdzieli, co należy zaliczyć im na plus. Już zdążyłam zauważyć, że pijaczkowie z Kilburn rano zawsze wychodzą na ulice, wyglądając nieskazitelnie czysto, jakby kochające żony wyszykowały ich na cały dzień, poprawiły krawaty, wyczyściły marynarki i pieszczotliwie uszczypnęły w policzek ze słowami „Miłego dnia w biurze”. Rozbryzgane wymiociny, plamy krwi i gilów z nosa, rozszerzająca się plama w okolicach krocza - wszystko to pojawiało się dużo później.

- Na pewno wszyscy kiedyś słyszeliśmy, jak dziecko wciąż się dopytuje „Dlaczego?”. „Dlaczego nie mogę dostać tego roweru?”. „Bo mnie na to nie stać” - człowiek odpowiada. „A dlaczego cię nie stać?”. „Bo nie mam pieniędzy”. „A dlaczego nie masz pieniędzy?”. „Bo nie mam pracy”. „A dlaczego nie masz pracy?”. „Bo uderzyłem brygadzystę”. „A dlaczego uderzyłeś brygadzystę?”. „Bo byłem pijany”. „A dlaczego byłeś pijany?”. I tak dalej.

Rozległy się potwierdzające pomruki pełne zrozumienia. Ktoś powiedział:

- Mały dostałby ode mnie w skórę.

- Rowery są cholernie drogie - dodał inny.

- Przyjdzie taka chwila - ciągnął Jonah - kiedy dzieciak spyta, dlaczego nie wolno kłamać, kraść czy zabijać. I co mu na to odpowiecie?

- Kościół mówi, że to grzech. Zabrania tego Dziesięć Przykazań, jak amen w pacierzu.

- Można i tak to ująć, ale to nie filozoficzna odpowiedź, prawda? Nie wolno tego robić, bo zabrania tego jakaś tam książka. Dzieciak znowu spyta: „A dlaczego...? Dlaczego ta książka tego zabrania?”. I nie ma w tym nic nielogicznego.

- Przecież to Słowo Boże, nie?

- Jasne, więc twierdzisz, że Biblia mówi prawdę, bo to Słowo Boże. A jeżeli Bóg powiedział coś innego? A jeżeli piąte przykazanie brzmi „Zabijaj”?

- Dlaczego miałby tak powiedzieć?

- A dlaczego nie?

- Bo to byłoby złe.

- Zrobiliśmy krok do przodu. Twierdzisz, że Bóg mówi, co jest dobre, bo to jest dobre, a nie że wszystko, co Bóg mówi, jest dobre.

Zapadła długa chwila milczenia, po której rozległo się parę „ochów” i „achów”, mogących lub nie oznaczać zrozumienie.

- A wówczas nadal jesteśmy w kropce i nasz mały chuligan może dalej pytać „Dlaczego?” i wciąż będzie to logiczne pytanie.

Znowu potakujące pomruki.

- Prawda jest taka, że nie można dotrzeć do samego sedna, do samych fundamentów. Ktoś mógłby powiedzieć, że dobre jest to, co propaguje powszechne szczęście...

- Jestem za, przydałoby się trochę - ktoś oznajmił.

- A to może być odpowiedź filozoficzna, bo wysuwa pewną teorię. Jednakże nasz małolat nadal będzie pytał, dlaczego powinniśmy propagować powszechne szczęście...

- Niech szlag trafi szczyła!

- Nie, nie, jeśli chcemy do tego podejść w sposób filozoficzny. Próbuję wam pokazać, że jeśli wciąż będziecie pytali „Dlaczego?”, zawsze traficie na kogoś, kto odpowie „Bo ja tak mówię”, a to żadna odpowiedź. Oznacza to, że niektórzy ludzie czerpią korzyść z tego, że w to uwierzyli. Zupełnie jak, jak w...

- W modzie - podpowiedziałam mu, znudzona słuchaniem.

- Właśnie, jak w modzie. Mów dalej, Katie.

- Jestem jedyną dziewczyną w waszym gronie mędrców, ale myślę, że z modą jest tak samo. Niektóre rzeczy z jakichś powodów uważa się za lepsze od innych: długie spódnice, krótkie spódnice...

- Ja tam jestem za miniówkami. - Jakiś facet z popsutymi zębami uśmiechnął się lubieżnie.

- Czarne, szare, białe. Czasami podaje się powody - czarny jest praktyczny, biały pasuje do opalenizny - ale przeważnie coś jest modne dlatego, bo ktoś tak mówi, a ktoś mówi tak dlatego, że chce, żebyś kupił coś, co w ogóle ci nie jest potrzebne. Dzięki Bogu.



- Ciekawa uwaga, Katie. I tu wkracza mój znajomy Nietzsche. Tylko on stwierdził, że cała ta gadka o moralności to puste słowa i same kłamstwa. Człowiek się wyzwoli dopiero wtedy, kiedy to zauważy. Nagle czuje, że spadają mu łuski z oczu. I wtedy zaczyna tworzyć własne prawa, sam staje się prawodawcą. Jeśli więc chodzi o modę, to zamiast przeglądać magazyny i nosić to, co mu każą, wymyśla własne stroje, tworzy własną garderobę...

- Boże, uchroni nas przed nierówno farbowanymi ciuchami - rzuciłam na boku do dziecka.

- Wiecie, właściwie jestem pewien, że w którymś miejscu Nietzsche mówi o modzie. Możesz to na chwilę potrzymać, bo chciałbym znaleźć tę stronę?

Jonah podał mi puszkę Carlsberga znanego również jako Perrier Kilburn. Wzięłam ją bez namysłu, a on sięgnął do plastikowej torby pełnej książek.

I wtedy, po raz drugi tego ranka, usłyszałam wołanie:

- Katie!

Odwróciłam się od grupy i zobaczyłam na ścieżce dwie młode kobiety - olśniewająco piękne, czyste i lśniące niczym anioły w chłodnym, jasnym blasku słońca.

Kookai i Kleavage.

- Ayesha, Sarena, co wy tu robicie? - Chyba straciłam panowanie nad głosem, który zabrzmiał jak skrzeczenie wariatki.

Ayesha, Kookai, odpowiedziały, wskazując w przeciwnym kierunku na Kilburn High Road:

- Mieszkam tam, na West Hampstead. To najbliższy park. Wybrałyśmy się na mały spacer. Ale co ty tu robisz? - Wtedy jej wzrok padł na wózek. - Nie wiedziałam... jak... kto... o Boże, przepraszam. - Kleavage, Sarena, uszczypnęła ją.

- Nie, to nie moje dziecko - powiedziałam z rozpaczą. - Ja się nim tylko opiekuję.

Wykonałam zamaszty ruch ręką i zauważyłam, że dziewczyny się na nią gapią. Właściwie nie na rękę, tylko na puszkę piwa. Które się spieniło i zalewało mi nadgarstek.

- Ja je tylko trzymam dla mojego znajomego.

Tu wykonałam kolejny gest w stronę Jonaha. Wylało się jeszcze trochę piwa. Jonah nadal grzebał w torbie, otoczony menelami, którzy

trajkotali, pokaszując. Dziewczyny spojrzały na nich i szybko odwróciły wzrok. Kleavage szepnęła coś do ucha Kookai.

- Przepraszamy, Katie - powiedziała Kookai. - Bardzo chciałybyśmy zostać i pogadać, ale musimy lecieć na spotkanie z... yyy... musimy... muszę odebrać rzeczy z pralni. Ale zadzwoń. Umówimy się na lunch, kolację albo... śniadanie. To znaczy, jeżeli jadasz śniadania.

I zaczęły odchodzić.

- Poczekajcie. Co u Toma i w ogóle? Jak się czuje Milo? - Zawołałam za nimi, ale w tej samej chwili dziecko się rozpłakało, a Jonah krzyknął:

- Mam! Tutaj, strona dwieście szósta. I dziewczyny sobie poszły.

Myśląc o tym później, doszłam do wniosku, że Kookai i Kleavage pewnie chciały mi oszczędzić wstydu, chociaż wtedy odebrałam to jako największe świństwo, jakie mi zrobiono. Ale jak można je było winić? Tylko na mnie spójrzcie: o dziesiątej rano siedzę na ławce w parku, w - Chryste, zupełnie o tym zapomniałam - różowym dresie, z wrzeszczącym dzieckiem, puszką mocnego piwa i bandą pijanych, starych meneli. Co miały zrobić, co ja bym zrobiła, w takiej sytuacji? Cały świat mody poinformowałabym o degrengoladzie i ostatecznym upadku Katie Castle.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

### Uskrzydłona Nike

Tydzień później przyszedł list od Veroniki. Był to dobry tydzień, chociaż nie aż tak bardzo, bym zapomniała o upokorzeniu, jakie mnie spotkało w sobotę. W tym celu musiałabym wygrać dużą sumę na loterii, odkryć, że dzięki pomyłce komputerowej jestem pięć lat młodsza, niż myślałam albo dostać propozycję nie do odrzucenia od Armaniego. W Winchesterze poszło dobrze. Klientce, która prowadziła sklep razem z siostrą, spodobała się moja kolekcja. W wystarczającym stopniu okazała też niedowierzanie, że udało nam się osiągnąć tak wysoką jakość za tak niską cenę. Najbardziej uradowało mnie to, co powiedziała o Penny Moss.

- Zupełnie im odbiło, Katie - zwierzyła się nad kawą. - Ich kolekcja jest dosłownie schizofreniczna: waha się między tandetą a zwykłą dziwaczością.

Ha! Dobrze wiedziałam, dlaczego. Penny podzieliła się projektami z tą głupią dziwką Sukie. Czyste szaleństwo. Penny i ja zawsze pracowałyśmy razem. Jej konserwatyzm temperował moją fantazję, nadawał jej cechy komercyjne, a moja wyobraźnia nieco unowocześniała jej klasyczny styl.

- Czułam się zobowiązana zamówić jedną czy dwie rzeczy - klientka ciągnęła swą cudowną opowieść - w imię starych, dobrych czasów, ale już je przeznaczyłam na wyprzedaż.

Podobna rzecz miała miejsce w środę w Bath, w czwartek w Bristolu i w piątek w Sevenoaks. Penny dostawała niezłe lanie, a ja wypełniałam puste miejsce po niej.

Rozpoznałam lawendową kopertę jeszcze z czasów mojego pobytu w domostwie Veroniki. Jak ona mnie znalazła? Pewnie poszukała w książce telefonicznej. Nawet ona to potrafiła. Spodziewałam się przechwałek, a nawet jadu i w pierwszej chwili chciałam wyrzucić list, nieotworzony, do śmieci. To jednak wymagałoby charakteru silniejszego niż mój.

Litery, jakie pisała Veronica, były grube, zaokrąglone, pasujące do nudnej, pracowitej dziewczyny z przetłuszczonymi włosami. Przynajmniej z łatwością odczytałam jej pismo. List brzmiał następująco:

Droga Katie,

Po tym wszystkim, co zaszło, nigdy bym nie pomyślała, że wezmę pióro do ręki i napiszę do Ciebie. Myślałam, że czasy naszej bliskości skończyły się już na zawsze tamtego feralnego dnia, kiedy weszłam do swojego pokoju i przyłapałam was, splecionych jak dwa węże w swym legowisku. Z tym jednak wyjątkiem, że on był biednym króliczkiem czy innym gryzoniem a Ty - węzem, który go owinął i zaatakował kłami.

Usłyszałam jednak od Ayeshy o Twoim smutnym losie i myślę, że mogę Ci wybaczyć. Też dostałaś od życia. Wiem, że to dziecko nie może być Twoje, ale sam fakt, że pracujesz jako niańka i pijesz z samego rana oznacza, że Twoje życie legło w gruzach. Współczuję Ci, a współczucie wyklucza nienawiść. Potem doszła do mnie inna wiadomość, która wszystko zmienia. Dlatego teraz do Ciebie piszę. Pomyślałam też, że chciałabyś wiedzieć, co się wydarzyło w świecie, odkąd zostałaś z niego wyrzucona.

Po Twoim odejściu płakałam - tak, płakałam - całą noc i cały dzień. Całe moje życie stanęło na głowie. Uważałam że jesteś najlepszą przyjaciółką, jaką można sobie wymarzyć, ale potem zobaczyłam Twoje prawdziwe oblicze i musiałam raz jeszcze przeanalizować wszystko, co mi się przydarzyło. I przekonałam się, że zawsze mnie krzywdziłaś, poniżałaś albo krzyżowałaś mi szyki. Tak samo jak Rosjanie, którzy po upadku komunizmu zniszczyli pomnik Lenina, Stalina i Trockiego - no, może nie Trockiego, ale innych na pewno. Było to bolesne, ale zdrowe. Oczyszczające. Nagle się uwolniłam i mogłam robić to, co chciałam.

Ale potem, tego dnia, kiedy odeszłaś, zadzwoniła do mnie Ayesha. Chciała z Tobą rozmawiać, ale powiedziałam jej, co się stało, i że zniknęłaś. Opowiedziała mi o biednym Milo (którego zresztą nigdy nie lubiłam) i dodała, że desperacko szuka osoby do pomocy w biurze. Wiedziałam, że to moja wielka szansa. Przyjęłam tę ofertę. Zawsze lubiłam Ayeszę. Powiedziała, że da mi szansę.

Tydzień później zaczęłam pracować w PR - ze! Moi szefowie w klinice leczenia bólu zdenerwowali się, że odchodzę tak nagle, ale powiedziałam im: słuchajcie, po raz pierwszy robię coś tylko dla siebie, i chyba zrozumieli. Jedna kobieta, która widzi aurę, stwierdziła, że moja jest czarna i straszna i że muszę nauczyć się ją oczyszczać poprzez wybaczenia, ale wtedy jeszcze nie byłam na to gotowa.

Mojego pierwszego dnia pracy Ayesha popatrzyła na mnie, znalazła jakieś ubranie i kazała mi je założyć. Powiedziała, żebym się nie przejmowała, bo robią tak ze wszystkimi nowymi pracownikami. Ciuchy były trochę za ciasne, ale i tak ładnie w nich wyglądałam. Potem Ayesha dodała, że powinnam się ostrzyc, co też zrobiłam. Doradziła mi, dokąd pójść. Fryzjer kosztował pięćdziesiąt funtów, czyli dwadzieścia pięć więcej, niż płaciłam do tej pory. Ale potem czułam się fantastycznie, a wszystkie dziewczyny w biurze uznały, że świetnie wyglądam.

Próbuję Ci wyjaśnić, że to, co mi zrobiłaś, wyszło mi na dobre. Nagle zaczęłam zupełnie nowe życie. Czułam, że zrzucam starą skórę. Już nie chciałam opychać się ciastkami, a Ayesha zachęciła mnie do tego, żebym zaczęła palić, bo od tego się chudnie, i chociaż nadal nie lubię papierosów, to jakoś lepiej się z nimi czuję.

Praca jest bardzo łatwa. Na początku tylko się objąłam i robiłam kawę, ale potem zaczęłam pomagać, będąc uprzejmą dla klientów przez telefon. Nie mogłam uwierzyć, że mi za to płacą! Prawdę mówiąc, nie mogę uwierzyć, że w ogóle ktokolwiek dostaje pieniądze za taką pracę. Potem było już tylko lepiej. Bo ni z tego, ni z owego, pojawił się Ludo! Wrócił z tej wyspy, gdzie opiekował się biednymi orłami, a jego przyjaciel Tom, który chodzi z Ayeshą, powiedział mu, że pracuję dla Smacka! i że Ty mieszkasz u mnie. Chciał się dowiedzieć, co u Ciebie. Zabrał mnie na lunch. Był bardzo przygnębiony - z powodu swoich orłów, bo jeden z nich był chory, ale martwił się też o Ciebie, o Twoje życie. Nie mógł uwierzyć, jak bardzo się zmieniłam. Bo ja naprawdę się zmieniłam. Wypiękniałam, a przynajmniej wyładniałam - to nie tylko wewnątrz - i mam nowych przyjaciół. Bardzo miło spędziliśmy czas i chyba trochę go pocieszyłam. Opowiedziałam mu o Tobie i Roddym, z czego bardzo ironicznie się uśmieł. A może z goryczą, trudno powiedzieć. Na koniec wziął mnie za rękę i powiedział, że chciałby kiedyś pójść ze mną na drinka, ja się zgodziłam, zaproponowałam jutro, i wtedy on się zgodził. Nie mogłam uwierzyć, że jestem taka pewna siebie.

Następnego dnia wieczorem wybraliśmy się na kolację do Browns. Ludo zaczął o Tobie opowiadać, ale szybko zmieniłam temat na jego sprawy. Myślę, że przez ostatnich parę lat nie miał okazji mówić o sobie, bo wylał z siebie cały potok słów. Dużo wypiliśmy, on więcej niż ja. Po kolacji poszliśmy do pubu. Powiedział, że od lat tak

dobrze się nie bawił, a potem wziął i stracił przytomność. Jakoś udało mi się zaciągnąć go do taksówki i zawiozłam go do jego mieszkania w Primrose Hill. Na miejscu się przebudził i zaprosił mnie na górę. Pomogłam mu się położyć, a wtedy mnie złapał i próbował pocałować. Początkowo się opierałam, ale pomyślałam sobie: właściwie czemu nie? Był bardzo romantyczny. Nie całowałam się od Sylwestra trzy lata temu, a i wtedy było ciemno i nawet nie wiedziałam, z kim się całuję. Wcale mi nie przeszkadzało, że Ludo jest zbyt pijany, by mógł posunąć się dalej. Nadrobił to następnego dnia rano. Ludo bardzo cierpi. Jest najlepszym, najmiłszym, najbardziej prostoliniowym człowiekiem na świecie. Miał w sobie mnóstwo miłości i dobroci, a miał kogo nimi obdarzyć. Zatrulaś go, a ta trucizna wciąż krąży w jego krwi. Pomyślałam, że moim zadaniem jest wyssać ją. Poza tym przyszła pora, bym i ja dostała trochę zainteresowania i miłości. Nie twierdzę, że seks z Ludo nie wiązał się z innymi przyjemnościami. Tak, dzięki temu zatriumfowałam nad Tobą! Tak, raz na zawsze pozbyłam się poczucia niższości i wstydu. Tak, pomyślałam sobie, w tej grze, jaką jest miłość, pokonałam Wielką Katie Castle!!! Poczułam się jak Uskrzydłona Victoria z Samotraki, z wyciągniętymi rękoma, skrzydłami na plecach i szatą powiewającą na wietrze. Ale oczywiście z głową.

Jakie cechy sprawiają, że kobieta jest przez wszystkich kochana? Nie dobroć, nie wspaniałomyślność, inteligencja, poczucie humoru czy umiejętność rozśmieszania innych. Nawet nie wyjątkowa uroda. Kochane są zawsze takie jak Ty, najokrutniejsze, najbardziej egoistyczne. Rozkochujesz w sobie ludzi. Po to istniejesz. Robisz to bezwzględnie. To gra. Może mężczyzn pociąga zło. Czy dlatego i ja Cię kochałam?

Trwało to parę tygodni. Myślę, że w głębi ducha wiedziałam, że Ludo wróci do swoich orłów. Jeszcze głębiej wiedziałam, że jestem tylko substytutem. Nie, nie orłów, ale Ciebie. Udawałam Ciebie i dlatego Ludo się ze mną przespał. Kiedy się kochaliśmy, wyobrażałam sobie, że jestem Tobą. Ale kochając się z nim, w pewnym sensie kochałam się również z Tobą. On był we mnie, był i w Tobie, więc ja byłam w Tobie, a Ty we mnie. Ale to wszystko były kłamstwa. Nie mogłam żyć pozorami. Bo, tak, Katie, on nadal Cię kocha. I dlatego tydzień temu napisałam do niego o wyznaniu Roddy'ego. Widzisz, Roddy powiedział Tracy, że za ten incydent w

sypialni należy winić jego tak samo jak Ciebie. Wyjaśnił, że próbowałaś go powstrzymać, co raz jeszcze udowadnia jego szlachetność, choć nieco za późno. Nie wiem, co sądzić o tych innych aferach z Francuzem, z kierowcą, ale słowa Roddy'ego oczyściły Cię (częściowo) przynajmniej z jednego zarzutu.

Tak więc chciałam powiedzieć, że (a) przebaczam Ci, (b) dzięki Tobie moje życie stało się lepsze, choć nie zamierzam Ci za to dziękować i (c) myślę, że powinnaś do niego pojechać i zamieszkać z nim na wyspie, opiekować się orłami i oddychać czystym morskim i górskim powietrzem.

Wspomniałam, że opowiem Ci, co się dzieje z ludźmi, których kiedyś znałaś. Mogę Ci o tym opowiedzieć, bo w PR - ze wie się wszystko o wszystkich. Oczywiście najważniejsze wiadomości dotyczą Milo. Przez dwa tygodnie leżał w szpitalu. Myślę, że tam doznał religijnego objawienia, bo kiedy wyszedł, zaczął wszystkim mówić, że chce zmienić swoje życie. Chce rozwinąć swoją „duchowość”. Potem się dowiedzieliśmy, że ma robić PR dla Dalajlamy i że poleciał do Indii, co - zważywszy na jego tyłek - musiało mu sprawić spory ból.

Biednego Pippina złapano po paru dniach. Przebrał się za rzeźnika. Wydano go w ręce policji po tym, jak jeden z pozostałych rzeźników zauważył, że Pippin wyczynia coś dziwnego z mięsem. Nie mam pojęcia, co, ale Sarena mówiła, że już nigdy w życiu nie weźmie kiełbasy do ust. Uznano, że Pippin jest niepoczytalny i umieszczono go w szpitalu dla psychicznie chorych przestępców. Mają tam mały teatrzyk, gdzie wolno mu wystawiać sztuki, grać koncerty. Bardzo to miło z ich strony.

Drugą najważniejszą wiadomością tuż po sprawie Milo jest kwestia Penny. W zeszły poniedziałek Penny pracowała do późna, co prawdopodobnie zdarzyło jej się po raz pierwszy w życiu, i zeszła do piwnicy po płyn do mycia naczyń, co - jak wszyscy stwierdzili - też zdarzyło jej się po raz pierwszy. Wtedy nastąpiła nieprawdopodobna lawina wypadków. Nie wiedziała, gdzie szukać, więc otworzyła niewłaściwą szafę i wiesz, co? Nigdy byś nie zgadła. Był tam Hugh z Sukie! Oczywiście Penny wpadła w szal, złapała biedną Sukie za włosy i dosłownie wyrzuciła ją z domu. Podobno na schodach zostały kępki włosów i skrawki skóry z głowy. Hugh przeniósł się do swojego

klubu, Bóg jeden wie, co teraz będzie, ale wszystko wskazuje na to, że Penny się załamała.

Och, zapomniałam o Tomie. Ayesha również dla niego znalazła posadę w Smacku! Ma łeb do liczb, więc dali mu stanowisko księgowego. Zbiera pieniądze od klientów, czym kiedyś nie zawracali sobie głowy. Tom mówi, że któregoś dnia wszyscy zaczną pracować w PR - ze i chyba rozumiem, co ma na myśli.

No więc takie to są niusy. Przepraszam, że tak się rozpisałam. Nie pomyśl sobie, że próbuję cię zgnębić faktem, że zupełnie wypadłaś z obiegu. Teraz jestem ponad to. I chociaż nie wiem, czy jeszcze kiedyś w pełni Ci zaufam, chciałabym wierzyć, że któregoś dnia będziemy razem śmiały się z tego, co się stało.

Dołączam wizytówkę Anonimowych Alkoholików.

Szczerze i gorąco życzę Ci szczęścia,

Veronica

Czytając ten potok słów, poważnie rozważałam następujące opcje, według kolejności: Histeryczny śmiech Gorzki śmiech. Śmiech pełen czułości Gorzkie łzy Histeryczne łzy. Łzy pełne czułości W końcu zdecydowałam się na cierpki uśmiech, chociaż bezstronnemu obserwatorowi mógł on się skojarzyć raczej z szokiem malującym się na twarzy rekruta na widok okopów po sześciodniowym obstrzale. Za wiele rewelacji, za wiele do przyswojenia. Ludo i Veronica! Veronica w parze z jakimkolwiek mężczyzną - to już miało posmak absurdalności, ale Veronica i mój były chłopak - to przechodziło ludzkie pojęcie. Była jednak też sugestia, że Ludo nadal mnie kocha. Jak miałam to rozumieć? Czy on nadal mnie pragnął? Oczywiście, że tak. No i Penny, która znalazła Hugh z Sukie w szafie! Współczułam Hugh, który zawsze traktował mnie przyzwoicie. Sukie chyba oszalała. Co ona chciała w ten sposób osiągnąć?

Po drugiej lekturze listu mój cierpki uśmiech stał się nieco bardziej przekonujący. Nieoczekiwana metamorfoza Veroniki z gąsienicy z kliniki leczenia bólu w motyla PR - u znalazła swe odzwierciedlenie w zmianie biegów z poważnego moralizowania na zwykłe plotki. Ale rzeczywiście wyglądało na to, że Veronica w końcu dorosła. Nie czułam do niej urazy za to, że wywalczyła sobie niepodległość po latach mojego kolonialnego panowania, chociaż dokonała tego, idąc do łóżka z Ludo. Cóż, byłam jej to winna. A skoro Ludo już musiał się z kimś pieprzyć, to wolałam, żeby to była



Veronica, a nie jakaś dziewczyna inteligentniejsza i ładniejsza ode mnie. Nie oznacza to, że nie cierpiałam, że nie chciało mi się rzygać na myśl o tym i z bezsilności gryźć poduszkę.

Moim spekulacjom na temat Ludo towarzyszył równoległy tok myślenia, tym razem bardziej praktycznego; surowy krytyk mógłby je uznać za oportunistyczne. Penny wyraźnie wpadła w tarapaty. Z tych strzępków informacji, które pozbierałam od swoich klientów, wywnioskowałam, że jej firma przechodzi ciężki okres. Eksperyment z Sukie okazał się katastrofą, a teraz jeszcze ta afera z Hugh. Incydent w parku uświadomił mi fakt, że z własnej woli nigdy nie porzuciłabym starego stylu życia na rzecz równoległego wszechświata Kilburn i Willesden. Wstyd i frustracja, jakie towarzyszyły temu spotkaniu, głęboko wryły się w moją duszę. Nadal chciałam odzyskać dawne życie, a teraz miałam na to szansę - może i niewielką, ale jednak. Sukie odeszła w najmniej sprzyjającej chwili. London Design Show miał się odbyć już za miesiąc, a zostało jeszcze mnóstwo roboty. Penny sama nigdy nie da sobie rady.

Pod wpływem impulsu zadzwoniłam do klubu Hugh na St. James's Square i zostawiłam wiadomość, że przyjdę po południu.

- Katie, niegrzeczna dziewczynko, to naprawdę ty? - spytał, wstając ze swego ulubionego fotela obitego brunatnoczerwoną skórą.

Drugi raz byłam w tym klubie, który dopiero od niedawna wpuszczał kobiety do swoich posępnych, pachnących stęchlizną pokoiów obwieszonych fatalnymi portretami zapomnianych wiktoriańskich luminarzy. Jak można się było spodziewać, niewiele kobiet wykorzystało tę okazję, więc przy barze siedzieli głównie siedemdziesięciolatkowie w blezerach: jedni nonszalancy, inni zawadiaccy, a jeszcze inni w stanie na pograniczu katatonii. Nie najlepsze miejsce na wielką imprezę w dziewczynskim gronie. Na szczęście jednak podawali tam gin z tonikiem.

- Hugh, nie po raz pierwszy przychodzi mi do głowy powiedzenie z kotem i śmietanką. - Ostro zagrałam, ale wiedziałam, że to przełknie. - Co u ciebie? Słyszałam o Sukie. Na miłość boską, co ty nawyprawiałeś?

Hugh powoli pokręcił głową. Nadal był przystojnym mężczyzną, ale Sukie poleciała chyba nie na jego urodę.

- Spieprzyłem sprawę, Katie. Nie ma co udawać. Problem polega na tym, że w moim wieku łatwo się nabrać na pochlebstwa. Szczerze

mówiąc, nie jestem całkowicie przekonany, czy kiedykolwiek odrzuciłem okazję do poflirtowania, jeżeli tylko kobieta nie męczyła oka. To nie leży w mojej naturze. Staralem się trzymać z dala od wszelkich pokus i dlatego tyle czasu spędzałem tutaj. Poza tym wolałem też schodzić Penny z drogi, kiedy wpadała w szal. Kiedy więc ten kociak zaczął do mnie puszczać oczko, nie mogłem się opanować. Próbowałem. Przez parę miesięcy dzielnie jej się opierałem, ale ciało jest słabe. Wtedy, w szafie, to był pierwszy raz.

- Ale, Hugh, gdzie Sukie miała oczy? Nie chcę być niegrzeczna, ale...

- Tak, wiem, mógłbym być jej ojcem. Dzięki, że mi o tym przypomniałaś. Prawda jest taka, że nieco podkoloryzowałem swoją rolę w firmie. Ukazałem siebie jako osobę niesłychanie wpływową. Głupia próżność. Ale ona się na to nabrała. Pewnie myślała, że zwolnię własną żonę, a ją posadzę na tronie. Tak jak Frankowie podczas Czwartej Krucjaty sadzali nierządnicę na tronie patriarchy w Konstantynopolu.

- Niezłe - powiedziałam, zdeprymowana. - Gdzie ona jest teraz?

- Bóg wie. Kiedy się zorientowała w sytuacji, pewnie straciła zainteresowanie. Ale szybko stanie na nogi. Dziewczyny jej pokroju zawsze spadają na cztery łapy.

Jej pokroju, mojego pokroju" - odezwał się jakiś szczerzy głos w moim wnętrzu.

- A co z tobą i Penny? Chcesz do niej wrócić?

- Oczywiście, że tak. Bez niej nie dam rady.

- A ona cię przyjmie?

- Zawsze tak myślałem, ale to dla niej straszliwy cios. Poza tym myślę, że teraz firma przeżywa ciężki okres. Widzisz więc, że odkąd odeszłaś, wszystko stanęło na głowie. Rozmawiałem z jedną z dziewczyn ze sklepu. Podobno Penny bardzo się zmieniła. Straciła dużo ze swojej charyzmy. Już nie ma tej ikry, co kiedyś. Zawsze brała się z życiem za bary. Za to ją kochałem. Oczywiście nadal Kocham. Czy mnie przyjmie z powrotem? Boże, mam nadzieję. Straszny ze mnie dupek. Ale słuchaj, nawet nie spytałem, co u ciebie. Słyszałem plotki, że w biały dzień wstrzykujesz sobie heroinę, a igły chowasz pod dzieckiem w wózku. No, ale na własne oczy tego nie widziałem.

Opowiedziałam mu historię ostatnich paru miesięcy, skupiając się głównie na zabawnych wydarzeniach, żeby go trochę rozweselić.

- Wygląda na to, że nieźle sobie radzisz. Zawsze wiedziałem, że tak będzie. Dobry wojownik nigdy nie przegrywa. Co teraz masz w planach?

- Mniej więcej to samo, co ty. Chciałabym, żeby Penny mnie przyjęła z powrotem. Myślisz, że to zrobi?

- Trudno wyrokować, ale spróbować nie zaszkodzi. Kiedy się ma do czynienia z Penny zawsze warto mieć w zanadrzu kij i marchewkę.

- Będę o tym pamiętać.

Została mi jeszcze jedna kwestia, którą chciałam poruszyć.

- Ludo się odzywał?

- Biedny chłopak. Niedawno wrócił ze swojego orlego gniazda. Trochę się tu pokręcił i znowu wyjechał. Myślę, że nadal do ciebie wzdycha. Ja na jego miejscu bym wzdychał.

- Niewiele mogę na to poradzić, skoro dzieli nas pięćset mil. - I siedzi na jakiejś górze. Możesz się zachować jak Mahomet.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

### Z zakończeniem w postaci okrężnicy

Na niedzielę wyznaczyłam sobie sporządzenie planów. Musiałam dopasować do siebie wiele fragmentów układanki. Nawet się zastanawiałam nad sporządzeniem kolorowego wykresu. To jednak oznaczało, że musiałabym wyjść po flamastry, a pogoda była paskudna. Oznaczało to też, że przemieniłabym się w Veronicę. Do czternastej zamiast zająć się flamastrami, wypaliłam dziewięć papierosów z paczki zawierającej dziesięć sztuk, oraz wypłam kawę: trzy dzbanki, które opróżniłam aż do dna.

Kiedy w całym tym chaosie zaczęła się formować pewna strategia, rozległ się dzwonek do drzwi. Był to Jonah.

- Mam coś dla ciebie - powiedział przez domofon tajemniczym głosem.

Wpuściłam go do mieszkania. Trzymał małą paczkę owiniętą w papier pakowy.

- Pamiętasz, Katie? O coś mnie prosiłaś.

Dopiero po paru chwilach zrozumiałam, o czym mówi.

- Boże, film!

Nie myślałam o tym filmie, odkąd spytałam Jonaha, czy mógłby go dla mnie zdobyć. Zakładałam, że go nie znajdzie.

- Katie, to - powiedział, trzymając paczkę w swych wielkich dłoniach - kosztowało mnie więcej cierpienia, niż możesz sobie wyobrazić. Musiałem się skontaktować ze złymi, bardzo złymi ludźmi. - Był o wiele poważniejszy niż zwykle. - Ten przemysł przyciąga najgorszy sort... biznesmenów. Bardzo trudno znaleźć świat, w którym nie ma żadnych zasad etyki, choćby najbardziej okrojonych, żadnego kodeksu honorowego, systemu wartości. Ale tu znalazłem tylko... nihilizm, pustkę.

- Ale chyba nic złego się nie stało? - Jego poważny ton mnie zaniepokoił.

- Cóż, mam ten film, a raczej wideo. Pewnie wiesz, że przed latami osiemdziesiątymi nie było nagrań wideo, tylko taśmy filmowe. Mój kontakt wytropił kopię „Alberta i Lechtancji” - jedyną, jaka istnieje. Trzeba ją było przerobić na wideo, a nagranie było w kiepskim stanie. Dosłownie rozpadało się na kawałki.

- Och. - Właściwie mi ulżyło. - A więc nic z tego nie wyszło? Nic nie widać?

Grzeszki Penny już nie były częścią mojego planu. Myślę, że nigdy nią nie były.

- Nie, nie, udało się. Teraz to jedyna kopia na świecie. Oryginał przepadł na zawsze. Ale sprawy nieco się.. .skomplikowały. Widzisz, po przekazaniu mi tej kopii, mój... yyy... wspólnik spytał, dlaczego zadałem sobie tyle trudu, żeby odnaleźć jakiś stary, zapomniany film porno, skoro istnieje tyle nowych, o wiele ostrzejszych. Mamy szczęście, że kiepski z niego filozof, bo mógł wcześniej zadać to pytanie.

- I co mu powiedziałaś? - Nie byłam pewna, do czego Jonah zmierza, ale czułam, że do niczego dobrego.

- Powiedziałem mu część prawdy. I to był błąd. Nie chciałem uwierzyć, że interesuję się tym filmem z powodów... humanitarnych, że chcę ci pomóc. Pomyślałem, że to jakiś kant i chce, żeby mu oddać to wideo, kiedy już je wykorzystasz do swoich celów. Myślę, że zamierza nim szantażować... bohaterkę filmu. A jego nie wolno lekceważyć. Widzisz, w tym mieście porno i narkotyki są nierozłączne jak Marks i Engels.

- Jonah, ale chyba jakoś sobie z nim poradzisz?

Zawsze mi się wydawało, że Jonah dysponuje jakimiś nadnaturalnymi siłami. Nie mieściło mi się w głowie, że mógłby się kogoś przestraszyć.

- Katie, jestem tylko człowiekiem, i to niezbyt młodym. Tamten ma za sobą całą organizację. A w dzisiejszych czasach młodzi ludzie z branży.. .nie znają granic. I filozofii. Katie, oni są zdolni zabić człowieka, który im stanie na drodze.

Cholera. To z całą pewnością nie było częścią mojego planu. Jeżeli ktoś miał szantażować, to na pewno ja. Z tym, że ja bym tego nie zrobiła. Zupełnie się zagubiłam. Zawsze wiedziałam, że Jonah obraca się w mrocznych, niebezpiecznych kręgach, ale jakoś nigdy nie wydawało mi się to realne. A teraz czułam się jak uczennica, która bawi się tabliczką Ouija, nie wierząc w duchy, i niechcący wywołuje prawdziwego upiora.

- Jonah, to straszne. I co my teraz zrobimy?

- Nie mamy wyboru. Musimy zwrócić tę taśmę. Katie, nasze uczynki zawsze pociągają za sobą pewne konsekwencje. Tego chyba się nauczyłaś?

Dzięki szczęściu, które od jakiegoś czasu mnie zaniedbywało, udało mi się znowu wziąć mój los we własne ręce. Udało mi się przywrócić pewien porządek, umieścić świat z powrotem w granicach rozsądku. Ale teraz, z powodu tej nowej komplikacji, znowu powstał chaos. Zamknęłam oczy i jęknęłam. Kiedy je otworzyłam, stwierdziłam, że patrzę na regał z książkami. Na jednej z półek leżało coś, co nie było książką.

Mogłabym przysiąc, że usłyszałam jakieś głośnie stuknięcie na zewnątrz.

Czułam się zupełnie tak, jakbym wróciła głodna do domu, przekonana, że lodówka jest pusta, po czym znalazła zapomnianą zapiekankę z kurczakiem od Marks&Spencera, z właśnie upływającą datą spożycia.

- Czy ten twój producent porno widział ten film?

- Osobiście nie. Przegrywał go jakiś technik. Bo co?

- Och, mam pewien pomysł.

Po kolejnym tygodniu udanych transakcji powiedziałam Kamilowi, że w piątek muszę sobie wziąć wolne popołudnie, by załatwić pewne sprawy osobiste. Kamil był szczęśliwy: zamówienia wciąż napływały, a fabryka mruczała jak głaskany kotek. Kamil ocenił swą sytuację i przekonał się, że został wziętym przedsiębiorcą.

Latifa powiedziała nieśmiało, że ją zaprosił na randkę.

- I co ty na to?

- Powiedziałam, że się zastanowię.

- Dlaczego się wahasz?

- No, przecież to palant, nie?

- Ale w gruncie rzeczy jest w porządku.

- Poza tym dziewczyny by się ze mnie nabijały. Nie wiem, czy bym przeżyła taki wstyd.

- Latifo, wstyd nigdy nie powinien się powstrzymywać przed czymś, czego pragniesz. W chłopakach najfajniejsze jest to, że jeżeli coś ci się w nich nie podoba, po prostu możesz to zmienić.

- Z Kamilem będę miała mnóstwo roboty.

Zrobiłam sobie prezent i do miasta pojechałam taksówką. Tak, po raz pierwszy od... no, sami wiecie. W drodze zastanawiałam się nad

taktyką. Przypomniało mi się, jak Hugh mówił kiedyś o różnicy między strategią a taktyką: „Strategia to sposób na wygranie wojny - wyraził się z churchillowskim patosem i autorytatywnością na temat jakiejś pomniejszej utarczki dotyczącej kosztów podszewki z włókna octanowego. - Taktyka to sposób na wygranie bitwy”.

Strategię miałam już opracowaną, ale nadal nie wymyśliłam, jak wygrać tę ostatnią wielką bitwę. Penny co prawda upadła nisko, ale pozostała silnym przeciwnikiem. Miała potężną broń, głównie w postaci własnego ego. Skąd mogę mieć pewność, czy w starciu z nią okażę się silniejsza? Wygram tylko wtedy, jeżeli użyję najsilniejszego narkotyku wzmacniającego efektywność działania: gniewu, lodowato zimnego i rozpalonego do białości. Raz jeszcze odtworzyłam sobie w myślach wydarzenia z ubiegłych paru miesięcy: upokorzenie i katastrofy. Cofnęłam się do tego okropnego przesłuchania, jakie mi urządzili Penny, Hugh i mały Cavafy. Czułam, jak z gniewu zaciskam szczęki. Dobrze, dobrze, musiałam jednak się pohamować wiedziałam bowiem, że bardzo nieatrakcyjnie wyglądam. Cofnęłam się jeszcze dalej i odnalazłam wiele innych zniewag, intryg w ogólnym planie manipulacji. Próba odebrania mnie Ludo, jaką Penny podjęła w Paryżu, aluzje do jakiejś wyniszczającej choroby, z powodu której w ciągu roku Ludo miał się znaleźć w hospicjum. Sugestie, że być może jest gejem. Wszelkie próby rozdzielenia nas. Szybko osiągnęłam właściwy stan, byłam gotowa przyjąć ataki Penny, a potem zrewanżować się tym samym. Szukałam w myślach odpowiedniego obrazu, którym mogłabym zaatakować niczym samuraj - lśniącem mieczem i z morderczą precyzją, wydając z siebie charakterystyczne odgłosy rozwścieczonego Japończyka, które przypominają pisk, jaki człowiek z siebie wydaje, gdy wejdzie do wanny ze zbyt gorącą wodą.

Kiedy szłam do sklepu wąską alejką, dopadła mnie cała armia upiórów: widmowe głosy, obrazy, wspomnienia. Ale ja miałam sprawę do załatwienia, więc szybko je przegoniłam. Wystawa znajdowała się w opłakanym stanie: zderzyło się na niej zbyt wiele konkurencyjnych pomysłów. Obok siebie ściśnięto trzy manekiny, co nasuwało na myśl poranny tłok w metrze. Kolory kłóciły się ze sobą, wszystko ustawiono pod złym kątem. Aż mnie zęby rozboleły.

Nie poznałam ani jednej z dziewczyn. Kiedy otworzyłam drzwi, dwie podskoczyły i rzuciły się w moją stronę niczym lwice. Źle, wszystko nie tak. Przede wszystkim powinny siedzieć i na pewno nie

powinny okazywać desperackiej chęci sprzedania czegokolwiek. Chyba Suicie nie obiecała im prowizji? Zanim zdążyły mnie rozszarpać, powiedziałam:

- Jestem umówiona z Penny. Pójdę prosto na górę. Ona na mnie czeka.

Kiedy tylko stało się jasne, że nie jestem klientką, dziewczyny zupełnie przestały się mną interesować. Byłam pewna, że nie zadzwonią na górę, by sprawdzić, czy mówię prawdę.

W pracowni panowała dziwna inercja. O tej porze roku powinno tam wrzeć jak w ulu. Tony i Mandy były na miejscu, ale z przygnębieniem stwierdziłam, że siedzą cicho, zamiast powarkiwać na siebie nawzajem. Nawet maszyny nie bzycały tak wesoło jak kiedyś, tylko świstały i pokasływały jak astmatycy. Spojrzałam na Tony, a jej twarz rozjaśniła się z radości. Zanim zdążyła krzyknąć, położyłam palec na ustach i wskazałam na górę. Bezgłośnie powiedziałam: „Na razie” i poszłam dalej.

Początkowo, kiedy znalazłam się na szczycie stromych schodów, myślałam, że biuro jest puste. Ucichło stukanie w klawisze klawiatury, brzęk filiżanek, odgłosy rozmów, chichoty. I wtedy ją zobaczyłam. Najpierw jej nie poznałam, bo wyglądała przez okno na wąski pas ciężkiego powietrza widocznego nad linią dachów Londynu. Ta krucha pani nie mogła być straszliwą Penny Moss, bezlitosną wyrocznią mody. Włosy Penny były intensywnie rude, oczywiście farbowane, ale tym bardziej zadziorne jako wynik wolnej woli, a nie zrzędzenia losu. Włosy tej kobiety były zupełnie pozbawione życia. Nie chodzi o to, że miała odrosty, po prostu kolor zupełnie wyblakł, ustępując miejsca nieubłaganej postępującej entropii. I ta pomarszczona skóra barwy popiołu - gdzie się podziała jej jędrność, słynna promiennność uzyskana dzięki hormonalnej terapii zastępczej? Ta pani siedziała, zgarbiona nad biurkiem, a Penny zawsze była wyprostowana jak uczennica szkoły prywatnej. Zaledwie pół roku wcześniej widziałam, jak dorośli Włosi wahają się, którą z nas poderwać, kiedy szłyśmy ulicą. Pomyślałam, że to pułapka. Przybrałam chłodny, rzeczowy ton.

- Penny?

Odwróciła się, usiłując skupić wzrok.

- Kto tam? Kto tam stoi w cieniu?

- To ja, Penny, Katie.



Zmrużyła oczy. Zobaczyłam, z jakim wysiłkiem wraca z chłodnej samotni, jaką znalazła w swoim umyśle.

- Katie, Katie. To naprawdę ty? - W jej głosie zabrzmiała melancholia, może nawet pewien żal, uczucie. Potem jednak pojawiła się dawna ostrość: - Po co tu przyszłaś? Chcesz triumfować? Czy błagać o pracę?

Ten mały pokaz hartu ducha zachwiały moim postanowieniem: jeszcze bardziej uzmysłowił mi zmianę, jaka zaszła. Musiałabym wykorzystać każdą broń ze swojego arsenału, by stawić czoło Penny w pełni sił, a uzalanie się nad sobą rozdrażniłoby mnie na tyle, że mogłabym ją w jednej chwili zmiażdżyć. Zobaczyłam natomiast Penny śmiertelnie raną, bez zębów, a jednak wciąż gotową do akcji. Nienawiść i strach mnie opuściły, zrezygnowałam z planów A i B, które wymagały wykorzystania środków przymusu bezpośredniego o różnym stopniu nasilenia. Mój samuraj schował miecz do pochwy i poszedł sobie.

- Nie, ani nie triumfuję, ani nie błagam. Przyszłam, żeby porozmawiać. Rozumiem, że Sukie odeszła na dobre?

- Nie wypowiadaj w mojej obecności tego imienia. Oczywiście, że odeszła. To, że jej zaufałam, było największym błędem, jaki popełniłam w ciągu tych trzydziestu lat.

- A co z Hugh?

- Hugh?

- Przecież odszedł...

- Och, jego nie winię. Mężczyźni już tacy są. Na jakiś czas schronił się do budy, ale myślę, że prędzej czy później przyjmę go z powrotem. Na własną rękę by nie przetrwał... No, ale czego chcesz?

W jej oczach pojawiła się dawna iskra: pierwszy ruch pacjenta dochodzącego do siebie po narkozie.

- Mam parę pomysłów. Pracuję w pewnym małym przedsiębiorstwie. Myślę, że to niezłe pole do synergii.

Aż się skrzywiłam, słysząc ten branżowy żargon we własnych ustach, i odnotowałam sobie w pamięci, by już nigdy nie użyć tego słowa.

- W tym sezonie nie układało nam się zbyt dobrze - powiedziała Penny. - Nawet jeszcze przed odejściem Sukie.

Nie byłam pewna, czy zrozumiała, co powiedziałam.

- Ale wiele przemawia na twoją korzyść. Nazwisko, historia.. i ja, jeśli mnie przyjmiesz z powrotem.

Nie miałam pojęcia, że to powiem, dopóki te słowa nie padły z moich ust. Penny po raz pierwszy spojrzała mi prosto w oczy.

- Bardzo zraniłaś Ludo.

- Wiem. Ale sprawa by przycichła... gdybyśmy mogli o tym porozmawiać.

W kącikach jej ust pojawił się lekki uśmiech.

- Tak, jestem pewna, że potrafiłabyś wszystko mu wmówić. Był to najważniejszy moment. Zastanawiałam się, czy wezwać z powrotem samuraja, który dał się w kacie. Ja też się uśmiechnęłam.

- Wiesz, że go kocham?

Kiwnęła głową i chwila napięcia minęła.

- A co z tą.. .synergia? - spytała. - Czy to jeden z tych nowych materiałów?

- Pamiętasz, że zawsze chcieliśmy poszerzyć swoją działalność, ale nie wiedzieliśmy, jak?

I przedstawiłam swoją propozycję. Wróć do Penny jako jej asystentka. Zachowamy klasyczny wizerunek Penny Moss, ale dodamy też bardziej młodzieżową kolekcję zaprojektowaną głównie przeze mnie i Kamila. Może wykorzystamy sklep w Kilburn jako punkt sprzedaży detalicznej. Oznaczało to, że bez żadnego realnego ryzyka możemy podwoić obroty. Już sprzedalam ten pomysł Kamilowi, który stwierdził, że bardzo chętnie wejdzie w spółkę.

Penny wyglądała na zainteresowaną, ale też bardzo, bardzo zmęczoną.

- Och, sama nie wiem, Katie. Chodzi nie tylko o problemy z Sukie i Hugh. Pamiętasz Kuypera i sprawę czynszu?

- Jak mogłabym zapomnieć?

- No więc jest coraz gorzej. Kuyper szaleje bardziej niż zwykle, a ja zostałam z tym sama. Grozi mi. Przychodzi, krzyczy i macha pięściami. Myślę, że naprawdę chce mnie uderzyć. Ale bardziej martwi mnie koszt rozprawy sądowej. Wiem, że my jesteśmy w prawie, ale jeżeli on nas poda do sądu za rzekome długi, zbankrutujemy. Nie wiem, co robić.

W moich myślach powoli zmaterializował się obraz młotka.

- Penny, akurat ten problem mogę rozwiązać. Mam pewnego znajomego. Zajmuje się... negocjacjami w podobnych sytuacjach. Dysponuje odpowiednimi narzędziami.

- Katie, naprawdę? Po tym wszystkim zrobiłabyś to dla mnie? Naprawdę myślisz, że znowu mogłybyśmy zacząć razem pracować? Obawiam się, że ja, że my, potraktowaliśmy cię... nieco nieuprzejmie... Ale stanowimy świetny zespół, prawda?

- Doskonały. Penny, słuchaj, będę z tobą całkowicie szczerą. Myślę, że mój plan jest bardzo dobry i że każdy na nim zyska. Ale chcę też wrócić do dawnego życia. Chcę znowu z tobą pracować.

- Tylko tyle? Sprytna jak zwykle!

- Na pewno zdajesz sobie sprawę z tego, że przede wszystkim chcę, żeby Ludo do mnie wrócił.

- Wiesz, że na jakiś czas przyjechał do Londynu? Potem jednak wrócił na tę swoją wyspę. Nie wiem, dlaczego. Nie sądzę, by był szczęśliwy w tym Muck, czy też Mull. Bardzo bym chciała, by tu był. Mogłabym wybaczyć, zapomnieć prawie wszystko. Myślę, że dostałaś niezłą nauczkę.

- I to niejedną.

I tak oto, nie będąc zmuszoną, by grozić, przypocholebiać się, wyłudzać ani błagać, wróciłam. Penny nigdy nie odzyskała w pełni swej energii, ale w ciągu następnych miesięcy odnalazła coś zupełnie nieoczekiwanego: pewien wdzięk. Mój plan się powiódł. Penny Moss nigdy nie zawładnie światem. Nie jesteśmy Armanim, Pradą ani Guccim, ale jednak trochę zarabiamy, a nasi klienci nawet zaczęli nas uważać za szykowną firmę. Jonah odwiedził Kuypera i wkrótce potem ustaliliśmy nową stawkę czynszu, na bardzo atrakcyjnych warunkach. Penny przyjęła z powrotem Hugh, wystraszonego i uległego, ale nadal z błyskiem w oku i dawnym upodobaniem do poklepywania dziewczyn po pupach.

A co z filmem „Albert i Łechtancja”? I co z moim pięknym, utraconym Ludo?

Mniej więcej miesiąc po powrocie do Penny spytałam ją niewinnym, lekkim tonem:

- Penny, pamiętasz swoją pierwszą rolę filmową?

- Jakby to było wczoraj. Był to delikatny, humorystyczny film erotyczny zrobiony incognito przez dość znanego włoskiego reżysera.

Nie mogę ci zdradzić jego nazwiska, bo na całym zespole wymógł dyskrecję. Niestety to nagranie gdzieś przepadło.

Byłam zaskoczona jej otwartością.

- A więc nie wstydzisz się go?

- Czy się wstydzę? Boże, nie. Miałam wtedy przepiękne ciało. Dałabym wszystko, żeby móc znowu zobaczyć ten film. Może Hugh znowu odzyskałby wigor.

- Penny, nie bardzo wiem, jak ci to powiedzieć, ale mam kopię wideo tego nagrania.

- Chyba żartujesz. Jakim cudem?

- To bardzo skomplikowana historia. Chciałam tylko cię wybadać. Zamierzałam je zniszczyć, ale to jedyna kopia. Nie spodziewałam się, że tak entuzjastycznie zareagujesz. Proszę, możesz ją sobie wziąć, jest w mojej torebce.

- Oglądałaś go?

- Nie. Myślałam, że jest zbyt obrzydliwy. Rzeczywiście taka była prawda.

A co z tym niegrzecznym gangsterem - producentem filmów porno i handlarzem narkotyków? Czy chciał odzyskać to wideo dla własnych, niecznych celów? By to wytłumaczyć, muszę nieco przewinąć taśmę do tyłu. Pamiętacie to nagranie Penny z płukania okrężnicy i ujęcie z obiektywem nasmarowanym wazeliną? Cóż, leżało na moim biurku, kiedy przed wygnaniem mnie z Raju moje rzeczy były pakowane do pudła. Znalazłam je, rozpakowując pudło w mieszkaniu w Kilburn. Położyłam kasetę na regale i zapomniałam o niej - aż do wizyty Jonaha.

I, jak pewnie się domyślacie, zamieniłam kasety.

Tydzień później dałam Jonahowi nagranie z płukaniem okrężnicy, a on oddał je producentowi pornosów.

- Mój współnik - powiedział Jonah przy następnym spotkaniu - trochę się zdziwił, kiedy obejrzał ten film.

- Naprawdę? Ja go nigdy nie obejrzałam. Postanowiłam, że jednak go nie wykorzystam.

- Tak, był zdziwiony, ale nie rozczarowany. Aktorki nie dało się zidentyfikować, więc film nie nadawał się jako narzędzie wymuszenia. Ale okazał się atrakcyjny dla osób... o pewnym rodzaju gustu. Zrobił tysiąc kopii i rozesłał po całym świecie.

Tak więc tylek Penny stał się taką gwiazdą taśmy celulooidowej, jaką ona sama nigdy nie została. Nie miałam serca jej tego zdradzić. A Ludo?

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

A Ludo...

- Gdzie mogę znaleźć coś o orłach?

- O orłach? Jakich orłach? Zresztą co konkretnie panią interesuje? Facet w Królewskim Towarzystwie Ochrony Ptaków nie był zbyt

pomocny.

- A jakie macie?

- No, hodowlane, orły przednie i bieliki.

- Chodzi mi o bieliki. Takie ze Szkocji. Żyją na jakiejś wyspie. A właściwie szukam nie orłów, tylko pewnego mężczyzny, który się nimi opiekuje. To mój narzeczony. - Uznałam, że najlepiej postawić sprawy jasno.

Chyba zdołałam go częściowo udobruchać. Najwyraźniej rozweseliła go niespodziewana wiadomość, że entuzjaści ptaków mogą mieć narzeczone.

- Wie pani, musimy uważać. Ze względu na zbieraczy jajek. A więc pani narzeczony jest jednym ze strażników w naszej akcji ochrony bielików? Jak się nazywa?

Dziesięć minut później miałam nazwę wyspy i ogólne instrukcje, jak tam trafić. Zadzwoiłam do informacji kolejowej i firmy promowej. Następnie spakowałam do małej walizki najbardziej praktyczne z moich ciuchów.

Na pierwszą przeszkodę natknęłam się w Euston, gdzie się okazało, że zajęte są wszystkie z nielicznych przedziałów sypialnych. To położyło kres moim fantazjom o Orient Expressie i pozostała mi perspektywa spędzenia dwunastu godzin na „wygodnej leżance” wciśniętej, jak to sobie wyobrażałam, między pijanego dokera z Glasweg, którego chrapanie przypominało trzęsienie ziemi, a upiornego przedsiębiorcę pogrzebowego ze Slough udającego się na Północ w celu rekonwalescencji po załamaniu nerwowym, które nasiliło jego epilepsję.

Wagon właściwie był pusty. Na drugim końcu siedziało tylko dwóch starszych facetów, którzy cicho grali w karty. Był to wakacyjny pociąg w wyżynne rejony północnej Szkocji i na wyspy, a kto chciałby tam jechać w lutym? Luksusowe kuszetki pewnie były zajęte przez biznesmenów jadących na koszt firmy i nie chcących

spędzić całej nocy w Glasgow ze strachu przed batonikami Mars smażonymi w głębokim tłuszczu.

Kiedy podróż się zaczęła, jak zwykle poczułam lekki dreszczyk emocji. Moje miejsce - jeśli nie traktowało się go jako łóżko - było dość wygodne i szybko się na nim umościłam. Przyszedł konduktor w barwnym, choć tandetnym uniformie, i został na chwilę, by ze mną poflirtować. Skojarzył mi się z argentyńskim generałem Penny z odległego okresu i kraju. Rzucił „To na razie!”, a po dziesięciu minutach wrócił ze stosownym kocem w szkocką kratę.

- Przyda się pani. Później bardzo się ochłodzi.

Przypomniawszy sobie, że na szkockiej kracie nie widać plam, podziękowałam i położyłam koc na miejscu obok.

Przez pięć minut grzebałam w torbie w poszukiwaniu książki, aż wreszcie sobie uświadomiłam, że jej nie wzięłam. Cudownie. Przez tyle miesięcy harowałam jak wół, nie mając nawet chwili na to, żeby zajrzeć do jakiejś powieści, a teraz miałam przed sobą wiele godzin wolnego czasu i nie wzięłam nic, dzięki czemu mogłabym oderwać myśli od potencjalnych przeszkód czekających mnie w nadchodzącym dniu - być może najważniejszym w całym moim życiu. Zaczęłam się gapić w ciemne okno, ale odbiło ono tylko moją zmartwioną twarz i coś, co wyglądało na tworzącą się zmarszczkę. Jakimś cudem, rytmiczne bujanie pociągu w połączeniu z hipnotyzującym mrokiem za oknami, wspomagane dużym ginem z tonikiem, który kupiłam sobie na dworcu, ukołysało mnie do snu.

Obudziłam się gwałtownie. Z zimna zupełnie skostniałam. W ustach czułam taki smak, jakby wpełzł do nich ślimak, po czym tam zdechł. I rzeczywiście, na brodzie miałam ślad, już wyschnięty i łuszczący się. Oczywiście śnił mi się Ludo. Sen ów nie układał się w żadną całość, tworzyły go luźne obrazy i świadomość, że znowu jesteśmy razem. Był szalenie wzruszający.

Była czwarta rano, wiedziałam, że już nie usnę. Rozglądając się po wagonie zauważyłam, że dwaj mężczyźni nadal grali w karty. Odświeżyłam się w toalecie, po czym podeszłam do nich i przywitałam się. Zaproсили mnie do gry i w ciągu następnych dwóch godzin przegrałam prawie trzy funty w pokera. Niezły wynik, zważywszy na to, że pod koniec gry znałam jej tajemnicze zasady mniej więcej równie dobrze, co na początku. Mężczyźni, mówiący z akcentem bardziej gęstym niż owsianka, powiedzieli, że dwa razy w

tygodniu kursują tą trasą do Calais. Tam kupowali całe wory nielegalnego tytoniu, który następnie tanio sprzedawali w Glasgow. Dziwna metoda zarabiania na życie, ale praca w świecie mody często nie była lepsza.

Dojechaliśmy do Glasgow i moi towarzysze wysiedli. Pojawiło się więcej pasażerów: uczestników jednodniowych wycieczek, w skafandrach z kapturami i nieprzemakalnych spodniach, gotowych na najgorsze. Kiedy nieco się rozjaśniło, uświadomiłam sobie, że znaleźliśmy się na łonie natury. Nagle pojawiły się prawdziwe góry, ogromne jeziora o ciemnych, połyskujących wodach, pełne potworów. W słońcu krajobraz ten pewnie byłoby ładny, ale pod zachmurzonym niebem wyglądał ponuro i odpychająco.

Przyszedł mi na myśl wstrętny Malheurbe. Co takiego powiedział? Jego słowa mieszały mi się w głowie z obrazami Penny walczącej z dziełem sztuki. Chyba chodziło o to, że wraz z wynalazkiem pojęcia „wysublimowana”, natura stała się zrozumiała jako „niezrozumiała”. Hmmm. Nie, żeby nie pojmowała natury: po prostu nie bardzo mnie ona obchodziła. Natura nie bywa błyskotliwa, głupia, seksowna, kokieteryjna, pijana, tandetna, inteligentna albo plotkarska. Nie potrafi cię zagadnąć, opowiedzieć zabawnej historyjki albo zabrać do nowej restauracji. Na łonie natury nie dzieje się nic, oprócz tego, że czasami pada deszcz. Często pachnie łajnem. Zawsze uważałam, że jeżdżenie na wieś to dziwactwo, jeszcze większe niż takie formy spędzania wolnego czasu jak chodzenie do opery czy na kręgle. I nie można jej przetestować. Kiedy przy najbliższej okazji ktoś, z zarożumiałym uśmieszkiem, wam powie, że „wybiera się na wieś”, spytajcie go „Po co?”. Na pewno nie znajdzie sensownej odpowiedzi. Natura za oknem próbowała zrobić na mnie wrażenie, lecz ja wiedziałam, że to strata czasu.

W Fort William musiałam się przesiąść na pociąg do Mallaig. Otoczenie nadal niegrzecznie domagało się mojej uwagi, a ja nadal je ignorowałam. W Mallaig musiałam biec do portu, żeby zdążyć na prom. Wyobrażałam sobie, że będzie to nieco mniejsza wersja promu kursującego przez kanał La Manche, on jednak bardziej przypominał kuter powoli przechodzący na emeryturę. Przydałoby mu się liźnięcie farbą; poza tym miałam nadzieję, że korek jest na swoim miejscu.

Pani w kasie spojrzała na mnie ze zdziwieniem, kiedy poprosiłam o bilet powrotny na wyspę Ludo.



- Ale tam nic nie ma - powiedziała ze śpiewnym akcentem. - Chyba że jest pani geologiem albo biologiem. A muszę przyznać, że nie wygląda mi pani na to. - Odebrałam to jako komplement. - Tam jest tylko schronisko młodzieżowe. I pole namiotowe. Ale przynajmniej mamy ładną pogodę - dodała, wyglądając przez okno na niebo w tysiącu odcieniach szarości.

Wypisując bilet, opowiedziała mi trochę o tej wyspie. Była to najbiedniejsza z Hebryd i prawdopodobnie jedyna wyspa, której mieszkańcy wystosowali petycję z błaganiami o eksmisję. Ale nawet owce, które się pojawiły na ich miejscu, nie zapewniły zysków właścicielom ziemskim. W końcu wyspę sprzedano angielskiemu przedsiębiorcy, który ją przekształcił w tereny myśliwskie, zaczął importować sarny i zbudował uroczo zwariowany zamek. Jednakże z czasem uporczywe muszki, deszcz i mrok stłumiły żądę krwi i teraz wyspa stała się własnością narodu i przedmiotem badań naukowców.

Nazwa wyspy w języku gaelickim oznacza „Diabelska rzepa”. Kasjerka zaczęła mi opowiadać legendę o jakimś oszuście z gór, który założył się diabłem, który z nich dalej rzuci rzepę w morze. Jak to zwykle bywa w podobnych opowieściach, stawką była jego dusza. Zdażyłam się jeszcze dowiedzieć, że kiedy diabeł rzucił rzepę w morze, ta przemieniła się w wyspę ("Jak pani widzi - powiedziała kasjerka, wskazując mapę za swoimi plecami - wyspa rzeczywiście trochę przypomina rzepę"), a oszust zjadł swoją rzepę - i na szczęście wtedy musiałam pobiec na prom.

Co dziwne, prom był pełen młodych ludzi. Wszyscy rozsądnie zaopatrzyli się w impregnowane, wodoodporne plecaki. Byli to studenci geologii, geografii i biologii pod opieką podenerwowanych wykładowców. Uspokajająco podziało na mnie to, że w większości potwierdzali stereotypy. Przez pierwsze pół godziny liczyłam ich pryszcze.

Mniej więcej tyle samo czasu minęło, kiedy pojawiły się u mnie pierwsze objawy choroby morskiej. Morze było tylko lekko wzburzone, ale prom kołysał się i podskakiwał jak członkowie akademii Jonaha po całodniowych wykładach, podczas których wzmacniali się napojami wysokowymi. Nigdy wcześniej nie płynęłam tak małym promem, więc nie zdawałam sobie sprawy z koszmaru, jakim jest choroba morska. Położyłam się na trzech twardych ławkach, usiłując się umościć i zapierając się kolanami o

rząd naprzeciwko. Nudności targały mną od stóp aż po czaszkę. Głowa mi pulsowała, usta jednocześnie miałam suche i pełne śliny, dzwoniło mi w uszach.

Wreszcie było mi już tego dosyć. Zanurkowałam przez małe metalowe drzwi na pokład, znalazłam bezpieczne miejsce z boku i przyczyniłam się do zwiększenia zawartości treści pokarmowej w morzu. Poczułam się nieco lepiej, a kiedy otarłam oczy zobaczyłam obok siebie kurtkę z anoraku, która robiła to samo, co ja. Kurtka się odwróciła i pod nią ujrzałam dziewczynę z Luksemburga o imieniu Smitty, która studiowała biologię morską.

- Nie mamy wybrzeża, morza ani wysp, więc musimy korzystać z waszych, które należą do najlepszych w Europie. Jestem jedynym biologiem morskim w Luksemburgu, więc czuję się dosyć samotnie.

Nawiązałam z nią uprzejmą rozmowę o rybach, za co chyba była mi wdzięczna.

Po paru godzinach kołysania zbliżyliśmy się do wyspy, dużej, czarnej i o nierównej powierzchni. Rozległ się czyjś wysoki głos: „Delfiny!” i wszyscy na pokładzie pobiegli na jedną stronę promu. Powlokłam się za nimi, lecz za późno, więc nic nie zobaczyłam. Wtedy na drugim końcu łodzi podniósł się krzyk. Znowu zakołysało i znowu straciłam okazję. Zaczęłam podejrzewać, że geografowie robią przedstawienie, by zemścić się na mnie za to, że jestem od nich atrakcyjniejsza. Kiedy po raz ostatni podążyłam za czyimś wołaniem, zdarzył się cud i zobaczyłam cztery ciemne grzbiety mknące pod powierzchnią wody. Myślałam, że poczuję euforię, ale one wyglądały po prostu złowieszczo.

Na wyspie nie było porządnego portu, a na spotkanie nam wypłynęła łódź jeszcze mniejsza od naszej. Przesiadka, co było do przewidzenia, okazała się dość niebezpieczna. Od katastrofy uchronił mnie jakiś olbrzymi Niemiec, który sam się nagroził, ukradkiem ściskając moje piersi. Wylądowaliśmy w małej wiosce, gdzie stało może ze dwadzieścia domów, pub, sklepik i jeden czy dwa budynki użyteczności publicznej. Zamek, który był po prostu zwykłym domkiem wiejskim z kilkoma blankami, stał za wioską na małym wzgórzu. W jego zabudowaniach gospodarczych znajdowało się schronisko, do którego podreptali studenci - nieco niepewni i zataczający się po podróży promem.

Ja skierowałam się do pubu. Nie dlatego, że miałam nieprzepartą ochotę na drinka, ale dlatego, że uznałam, że najlepiej tam zacząć poszukiwania Ludo. Pub znajdował się w dość nowym bungalowie, całkowicie pozbawionym wdzięku. W środku było jednak ciepło, a na kominku płonął ogień. Poszłam do toalety, i osuszyłam włosy małym ręczniczkiem, który wzięłam ze sobą. Mój płaszcz był ciężki od deszczu i morskiej wody, a stopy miałam całkowicie przemoczone. Jak mogłam założyć zwykłe pantofle? Zmieniłam skarpetki na suche, niestety nie miałam ze sobą innego obuwia.

Z suchymi włosami i stopami poczułam się nieco pewniej. Poprosiłam gospodarza o kawę, a kiedy zaproponował wkładkę, uśmiechnęłam się z aprobatą. Spytałam o Ludo.

- A tak, jest na górze. Tak, spędza tam większość nocy. Miły chłopak.

- Jak mogę go spotkać?

- Może tu pani poczekać parę godzin, sam przyjdzie. Nie jest pani odpowiednio ubrana na górskie wędrówki, co?

- Nie, nie mogę czekać, muszę iść do niego. Jak mam się tam dostać?

- Jak pani musi, to niech pani idzie. Najlepiej pójść parę mil brzegiem. Potem szlakiem prowadzącym w góry. Na pewno go pani znajdzie. Ten chłopak będzie albo w swojej kryjówce - w takiej małej chatce - albo będzie siedział, obserwując orły.

Pojawiła się żona barmana.

- Och - przepraszam, ale ona naprawdę rzuciła takie „och” - James, chyba nie wysyłasz panienki w góry w takim stroju?

- Nigdzie jej nie wysyłam, Jessie. Sama chciała tam iść. Jessie pokręciła głową i zniknęła. Pięć minut później wróciła

z jakimiś ciuchami. Przyniosła ciężką, wodoodporną kurtkę, spodnie do kompletu i gumowe kalosze.

- Pani przymierzy - powiedziała, a potem dodała na widok mojej miny: - Może to i niemodne, ale przynajmniej pani nie zmoknie.

Po raz pierwszy od czasów dzieciństwa założyłam kalosze. Nie miałam tego w planie. Miałam nadzieję, że pokażę się Ludo jako niesłychanie śliczna dziewczyna, a zamiast tego upodobniłam się do jednego z niemodnych geografów z promu. Pomyślałam, że może lepiej poczekać w cieple, aż Ludo do mnie przyjdzie, ale uznałam, że tak nie wypada. Po raz pierwszy w życiu wykonałam ekstrawagancki,

romantyczny gest, podróżując na drugi koniec świata, by odnaleźć utraconego ukochanego, więc powinnam dociągnąć sprawę do końca.

Podziękowałam barmanowi i jego żonie, po czym wyruszyłam z sercem pełnym radości i oczekiwania. Deszcz przeszedł w lekką mżawkę, która wesoło bębniła o kaptur mojej kurtki. Ścieżka prowadząca wzdłuż brzegu była ubita i łatwa do pokonania. Z jednej strony brzeg schodził ku kamienistej plaży, na spotkanie falom. Po drugiej stronie wznosił się imponująco jałowy i surowy łąd. Nie było tam żadnych drzew, między skałami i głazami rosły jedynie niskie kępy trawy i kolcolistu.

Kalosze były o jeden numer za duże, ale kiedy po godzinie człapania zaczęłam iść pod górę, ucieszyłam się, że je założyłam. Nadal szła tamtędy ścieżka, ale błotnista i śliska. Pomimo zimnego deszczu wkrótce zaczęłam się pocić. Na szczęście góry przypominały raczej spore wzgórze, a ścieżka wiła się po zboczach łagodnymi, łatwymi do pokonania łukami. Czy Ludo będzie na samym szczycie? Ciągle mi się wydawało, że już zbliżam się do celu, ale za każdym razem przede mną z mgły wyłaniała się kolejna półka skalna.

Po kolejnej godzinie wspinaczki zaczęłam wpadać w rozpacz. Od ślizgania się w za dużych kaloszach na moich stopach pojawiły się pęcherze. Po karku spływał mi deszcz i pot. Cała się pokryłam śmierdzącym błotem. Mój wcześniejszy entuzjazm przygasł, została mi już tylko zwykła wola, by iść dalej. Dręczyły mnie pytania: a jeżeli Ludo mnie nie zechce? Perspektywa spotkania z nim kazała mi wspinać się dalej, ale czy dam radę zejść, jeżeli mnie odrzuci? Czy znajdę urwisko, z którego będę mogła dramatycznie rzucić się w przepaść? A może powinnam położyć się w tej mgle i pozwolić, by przykrył mnie torf? Poza tym moje włosy musiały być w oplakanym stanie.

Usiadłam na skale. Wcześniej, na wypadek wystąpienia sytuacji kryzysowej, kupiłam paczkę chipsów i czekoladę, a położenie, w jakim się znalazłam, śmiało mogłam nazwać kryzysem. Przekąska spełniła swoje zadanie i podniosła mój poziom cukru oraz serotoniny, więc ruszyłam dalej. W grubej warstwie mgły minęłam kolejną skalną półkę. W dole widziałam wioskę, a za nią - szare morze. Powoli się odwróciłam. Na morzu unosiły się inne wyspy - jedne niskie i zielone, inne górzyste i poszarpane. Czy i one były warzywami, które porzrzucały naiwne diabły?

Znalazłam się już prawie na samym szczycie. Nadal zmuszałam do ruchu wyczerpane nogi i wciągałam powietrze do obolałych płuc, chociaż już wcale nie miałam pewności, czy na górze znajdę Ludo. Obawiałam się, że weszłam na niewłaściwe wzgórze albo wylądowałam na złej wyspie. Może powinnam trafić na pasternak albo seler, a nie na rzepę?

Nagle, właśnie kiedy moja wola zaczęła słabnąć, zobaczyłam go - stał samotnie na tle nieba, niecałe dziesięć metrów dalej. Wyglądał chudziej, niż kiedy go ostatnio widziałam. Mocniej zarysowały się mu kości policzkowe. Włosy miał rozwichrzony i poskręcany, co w Londynie zawsze mnie irytowało, teraz jednak wydało mi się całkowicie naturalne. Zbliżyłam się do niego, dysząc. Z emocji kręciło mi się w głowie. Stałam koło niego. Początkowo nie odwrócił się w moją stronę, ale wiedziałam, że wie, że tam jestem. Czy widział, jak się wdrapuję pod górę? Miał stąd doskonały widok. Ciemne klify schodziły ku wzburzonemu morzu.

- Widzisz? - szepnął, wskazując na niebo. Jego słowa zagłuszył wiatr, ale znałam go na tyle dobrze, żeby czytać z ruchu jego warg. - To rytuał godowy. Samiec przynosi samicy kąsek pożywienia, kawałeczek padliny, a potem podają go sobie nawzajem w powietrzu. To wzmacnia zaufanie.

Ja widziałam tylko dwie nieciekawe czarne plamy na tle grubej warstwy szarych chmur.

- Jakie to wzruszające - powiedziałam, ostrożnie dawkując ironię. W ostatniej chwili postanowiłam działać spokojnie. Musiałam zmagać się z przemożną chęcią zarzucenia mu rąk na szyję i błagania o wybaczenie i miłość.

Ludo na wpół się odwrócił, a na jego twarzy pojawiło się ćwierć uśmiechu.

- Pokonałaś kawał drogi. - Wiele mil.  
- Dlaczego przyjechałaś?  
- W ten weekend nie miałam nic innego do roboty. Znowu się uśmiechnął.

- Dostałem list od Veroniki.
- Jeszcze bardziej jej odbiło. . . .
- Miło się wyrażała o tobie.
- No właśnie.

- Pisała coś o dziecku w parku i o tym, że piłaś piwo z menelami. Martwiła się o ciebie.

- Kiedyś ci opowiem tę historię, na pewno się uśmiejesz. Jest bardzo długa.

- Nie ma skróconej wersji?

- To nie było moje dziecko, to nie było moje piwo i to nie byli moi menele.

Po raz pierwszy odwrócił się przodem do mnie.

- A co z tym kierowcą furgonetki?

- Nic. On nic dla mnie nie znaczył. Ale przepraszam, że spieprzyłam sprawę.

- Każdemu może się zdarzyć. Dobrze ci w tych kaloszach.

- Dobrze ci w tej dziczy. Pewnie uwielbiasz to miejsce.

- Zawsze myślałem, że je pokocham. Marzenia o ucieczce, o zostawieniu cywilizacji, wszystkich tych kłamstw, pozorów.

Bacznie mu się przyjrzałam.

- Nigdy bym cię stąd nie próbowała zabrać.

- Katie, mogę ci coś powiedzieć? - Mhm.

- To wielka tajemnica, nikomu nie wolno ci jej zdradzić. - Mów.

- Przysięgasz?

- Przysięgam.

- Nudzę się. Potwornie się nudzę.

- Słucham?

- Nuda, nuda, nuda. Nic, tylko orły i jelenie, wydrzyki pasożytne i burzyki cienkodziobe, foki i delfiny. Wszystko było bardzo pięknie. Przez parę pierwszych miesięcy. Ale od wyjazdu z Londynu z nikim tak normalnie nie pogadałem. Tom przysyła mi przez Internet wieści z wielkiego miasta. Tęsknię za tym. Tęsknię nawet za ruchem ulicznym. Nie mogę spać, tak tu cicho.

- Dlaczego nie wrócisz?

Znowu na mnie spojrział, marszcząc brwi ze skomplikowaną mieszaniną rozbawienia, rozdrażnienia i czułości.

- Nie mogę zostawić orłów... Jeszcze nie. Muszę poczekać, aż wylegną się pisklęta. Orły mnie potrzebują.

- Mogę poczekać, jeśli chcesz.

- Muszę ci powiedzieć o Veronice.

- Nie musisz mi nic mówić.

- Ale chcę. Spędziliśmy razem noc.

- Tak, wiem.
  - Wiesz?
  - Powiedziała mi.
  - Co powiedziała?
  - Że ją zaprosiłeś na drinka, upiliście się i poszliście do łóżka.
  - Ale do niczego nie doszło.
  - Do niczego?
  - Nie, właściwie nie. Tylko się przytulaliśmy. Trochę się rozkleiłem. Rano było mi okropnie wstyd.
  - A więc nie mieliście dwutygodniowego romansu?
  - Dwutygodniowego romansu? Boże, nie.
  - Dlaczego więc chciałeś mi o tym powiedzieć?
  - Och, dla ścisłości. Nie chciałem niczego ukrywać. Nie cierpię sekretów.
  - Nie obraziłabym się, gdyby się okazało, że miałeś z nią romans. Pewnie jestem wam to winna.
  - Jesteś nam winna romans?
  - Przebaczenie.
  - Zmieniłaś się, co, Katie? - Nie byłam pewna, czy to pytanie, czy stwierdzenie.
  - Życie to zmiany. Nie da się tego powstrzymać. Nie wiem, czy jestem miłsza, lepsza, mądrzejsza. No, może trochę. Ale na pewno nie przestałam być prózną, egocentryczną suką ze świata mody, która po trupach zdąża do celu.
  - Inaczej bym cię nie chciał.
  - Nie miałbyś wyboru.
  - Ale jest coś jeszcze. Nie bardzo potrafię to sprecyzować...
- Położyłam głowę na jego ramieniu i ostrożnie objęłam go w pasie. Zaczęliśmy razem obserwować orły, coraz bliższe i wyraźniejsze na tle szarego nieba. Szarpał nimi porywisty wiatr. Wydawało się, że są zabawką w rękach potężnych sił, nad którymi nie mogą zapanować, lecz jednocześnie również panami swojego losu, czarującymi wiatr delikatnymi piórami i gibkimi ciałami.
- Kiedy tak patrzyliśmy, przyszły mi do głowy pewne słowa, słowa z innych czasów. Słowa mówiące o niewinności i przebaczeniu, o nowym początku... i, owszem, święte „Tak”.

Musiałam głośno wymruczeć owo „Tak”, bo Ludo delikatnie dotknął mojego policzka, zająrzył mi głęboko w oczy i powiedział (tym razem wiedziałam, że to pytanie):

- Tak?

Cóż innego mogłam odpowiedzieć, jak nie ostateczne „Tak”?



## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

### Wieczne powtórki

- Latifa. - Tak?

- Ile nam się udało załatwić?

- Dwanaście tutaj, dziewięć w Beeching Place. Właściwie nie słuchałam. Miałam inne sprawy na głowie.

- To dobrze. Dwadzieścia dwa. Latifa przewróciła oczami.

Siedzieliśmy przy nowym stole konferencyjnym. Ja, Latifa, Frankie (która robiła notatki, usiłując sprawiać wrażenie prawdziwego PR - owca), Penny (która specjalnie przyszła na to spotkanie, gdyż chodziło w nim o politykę firmy, a nie o projekty, a w końcu firma nadal należała do niej) oraz Mandy i Vimla, które zaprosiłam w ramach innowacyjnego projektu polegającego na udziale w zebraniach dziewczyn ze sklepu. Kamil również by przyszedł, lecz wylądował w szpitalu, gdzie mieli mu usunąć kamienie żółciowe, która to dolegliwość wielce go zbliżyła do wuja Shirkuha. Ludo niespokojnie krążył w sali. Oczywiście miał duże udziały w firmie, ale zajmował się głównie robieniem herbaty i podwożeniem mnie po pracy do domu. Przez dziesięć minut rozmawialiśmy o drobiazgach, po dziesięciominutowej dygresji dotyczącej wystrzępionego kabla od żelazka, najdłużej zatrzymując się przy kwestii założenia klimatyzacji lub chociaż zainstalowania otwierającego się okna w pracowni. Wreszcie Penny przywołała nas do porządku, ironicznie się uśmiechając oraz starannie unosząc brwi, co wielokrotnie ćwiczyła przed lusterkiem w pudernicze.

- Chyba najwyższa pora, żebyśmy omówili tę ofertę?

Z jakiegoś powodu ten nowy pełen wdzięku rozsądek u Penny wydał mi się bardziej irytujący niż jej dawna agresywność.

Oferta.

Pojawiła się właściwie ni z tego, ni z owego. Złożono ją nam pewnie dzięki sukni, jaką Stephanie Pylum - Crater założyła na rozdanie Oscarów. Udrapowana z boku grecka kolumna z zielonkawej satynowej żorzety. Ogólny werdykt brzmiał: szokująco klasyczna, skandaliczna w swym konserwatyzmie. No tak, rzeczywiście była szalowa.

Niemcy potrzebowali czegoś podobnego. Ich ubrania stały się sztywne, nudne i niewidzialne. Nadal urządzali pokazy mody, ale

żaden magazyn - nawet „Draper's Record” - nie pisał relacji z nich. Zaoferowali nam dziesięć milionów, dzięki czemu firma Penny Moss mogłaby się stać bardzo bogatą rentierką. Byłam z nią związana na trzy lata, za asystentkę mając Latifę. Mogłam się pożegnać z całym tym gównem, jakim jest produkcja, i zająć się tylko projektowaniem. Czyli tym, o czym zawsze marzyłam, prawda?

No, niby tak. Ale chciałam też prowadzić własną firmę, podejmować ważne decyzje. W ciągu poprzednich paru miesięcy, kiedy Penny musiała się usunąć w cień, miałam wrażenie, że wszystko naprawdę idzie po mojej myśli. Większość projektów była mojego autorstwa, pomagała mi tylko Latifa ze swym coraz większym zmysłem estetycznym. Penny wolno było zatwierdzać projekty, by wciąż miała wrażenie, że liczy się w firmie, chociaż wcale się nie liczyła. Zaczęłam też unowocześniać firmę od samych podstaw. Sklepy zmieniły swój wystrój. Galatea Gisbourne wprowadziła do nich pastisz dyskotek z lat siedemdziesiątych: wirujące szklane kule i podświetlane podłogi. Postanowiłam też wprowadzić zmiany w sprzedaży hurtowej. Usunęłam nieproduktywnych pracowników i skupiłam się na młodych, nowych detalistach.

Gdybyśmy przyjęły ofertę Niemców, wszystko by się zmieniło. Nigdy nie odziedziczyłabym tej firmy. Już na zawsze pozostałabym niewolnikiem pensji, choć docenianym i rozpieszczanym. Rady Ludo były bezużyteczne. „Musisz iść za głosem serca” - mówił, co pewnie miało znaczyć, że powinnam odrzucić ofertę, lecz moje serce było rozdarte.

- Rozmawiałam z Veronicą - odparłam, chcąc zyskać na czasie. - Uważa, że trudno ją będzie sprzedać wydawcom magazynów, już nie wspominając o klientach. Zawsze tak podkreślaliśmy nasze przywiązanie do kraju. Wszystkie te brednie o klasycznej angielskiej róży. Na pewno spotkamy się z gwałtowną reakcją, kiedy się wyda, że stoją za nami Niemcy.

Tak, Veronica zajmowała się naszym PR - em. Cała historia jest zbyt długa, by ją tu przytaczać, powiedzmy tylko tyle, że jej prostoduszny brak przebiegłości tak często brano za wyjątkowy spryt, że wkrótce stała się jednym z najbardziej pożądanym PR - owców w Londynie. Już samo to, że znalazła się w czyimś zespole, potrafiło zapewnić rozgłos firmie. Wysłałam Ludo, żeby ją ubłagał i wkrótce

straciłam rachubę, jeśli chodzi o dokładną liczbę pokładów ironii, jakiej to wymagało.

- Ale to będzie ich problem, prawda, Katie?

- Ich problem i mój problem. Ja nadal tu będę.

- Ale my nie, prawda? - wtrąciła Mandy. Żuła gumę, czy też może tytoń, jednocześnie zaciągając się śmierdzącym papierosem. Swoją gniew wymierzyła we mnie, chociaż tylko ja chroniałam przed zwolnieniem. Penny nie chciała Mandy i Vimli. To nie był jej styl zarządzania firmą.

- Próbowałam zdobyć gwarancję dla szwaczek - ciągnęła Penny, patrząc gdzieś w przestrzeń - ale oni chcą stworzyć zespół zajmujący się marką i projektami, a nie stroną produkcyjną i wytwórczą. Mandy, Vimla, wy jesteście profesjonalistkami, ekspertami. Teraz trudno o dobrą szwaczkę. Na pewno znajdziecie pracę gdzie indziej.

- Znów w takim kieracie - powiedziała Latifa, przemawiając za Vimlę, która energicznie kiwała głową. Ciężko będzie dziewczynom od Kamila. Już nie wspominając o nim samym. Nigdy nie staną się częścią tej oferty. Byłam im potrzebna. Miałam też dziwne uczucie, że i ja potrzebuję ich.

Mogłam do tego wszystkiego nie dopuścić. Niemcy chcieli również mnie. Za samą markę „Penny Moss” mogli coś tam zapłacić, ale na pewno nie dziesięć milionów. Nie aż tyle, by się opłacało. Ale dlaczego miałabym powstrzymać ten proces? Przecież wesłabym do elity świata mody. Zyskałabym rozgłos. Znalazłabym się w blasku reflektorów. No i przyjęcia. Jeśli nie zapewniłabym sobie sławy, to coś bardzo do niej zbliżonego. Czy powinnam, czy mogłam odmówić tylko po to, by zachować kontrolę? Tylko dla dobra zespołu z Willesden? Dla Vimli, Roshni z uszkodzonymi jajowodami, zwaśnionych Pratimy i Biny oraz całej reszty dziewczyn, które uratowały mi życie? Dla Kamila - teraz dumnego i skromnego, nie zaś skrepowanego i zarozumiałego jak kiedyś?

Oczywiście plotka poszła w świat. Już zauważałam pewne zmiany: stolik w dobrym miejscu, który nagle zmaterializował się w restauracji „Nobu”, wyraz zwykłego potępienia, a nie lodowatej nienawiści na twarzy asystentki z „Voyage”, nieoczekiwany telefon od redaktorki działu mody w „Daily Beast”. Jak miło z tobą pogawędzić, Katie - powiedziała, a ja słyszałam, jak jej skóra napina się i trzeszczy, kiedy kobieta z wysiłkiem rozciąga usta w uśmiechu. -

Może byśmy wspólnie napisały artykuł? No i wiesz, w naszym magazynie zawsze znajdzie się dla ciebie miejsce, gdybyś miała ochotę uwiecznić swoje przemyślenia na temat mody".

Pokonałam długą drogę z East Grinstead, lecz wciąż nie mogłam się zdecydować.

Ludo pochwycił moje spojrzenie i uśmiechnął się lekko, jednocześnie marszcząc brwi. Odwróciłam wzrok i na długą, długą chwilę zatraciłam się we wspomnieniu sprzed dwóch nocy. Ludo był pełen zapału i niecierpliwy, w jego łagodnych oczach pojawił się głodny, drapieżny błysk. To była największa zmiana, jaka w nim zaszła. Przypuszczam, że wywołał ją lęk przed utratą, cierpienie i odkupienie, otchłań, która odwróciła się do góry dnem i przemieniła w górę. W każdym razie było miło. Bardzo, bardzo miło.

Wtedy zobaczyłam, że wszyscy na mnie patrzą. Pewnie coś mi umknęło. Oczy mi łzawiły od dymu z papierosa Mandy, więc musiałam cztery razy szybko zamrunąć. Kiedy znowu na nich spojrzałam, zaczęli blaknąć, a wraz z nimi blakły wspomnienia z Willesden i Kilburn, zaś na ich miejscu pojawiły się błyski tysiąca fleszy, tworzące konstelacje i galaktyki. Szłam przez tłum, odwróciłam się przez ramię, przechyliłam głowę na bok, co bardzo ładnie wygląda, uśmiechnęłam się promiennie do gapiów, po czym odezwałam się do Penny, którą jako jedyną z tłumu widziałam wyraźnie. Właściwie nie wiedziałam, na co się zgadzam, ale ona wiedziała. „Tak - powiedziałam. - Zgoda".

- Przepraszam, Katie - powiedziała Penny, a w jej głosie zabrzmiała dawna wyższość. - Coś mówiłaś? Mamrociesz pod nosem, dziewczyno.

- Mówiłam? Co ja mówiłam? - Zupełnie nie mogłam skojarzyć, co powiedziałam i co mam powiedzieć teraz. Z moich ust popłynęły słowa: - Powiedziałam: pieprzyć Niemców.

- Pieprzyć Niemców?

- Pieprzyć Niemców. Ludo uśmiechał się do mnie.

- Pieprzyć Niemców - powtórzył cicho. Tak też zrobiliśmy.